

KORONER

MR. Hall

Przekład AGATA KOWALCZYK

Tytuł oryginału The Coroner

Dla P., T. i W.

Prolog

Pierwszym zmarłym, jakiego Jenny widziała, był jej dziadek. Patrzyła, jak babcia szlocha w złożoną chusteczkę, jak zamyka powieki na jego martwych oczach. Gdy matka Jenny wyciągnęła rękę, żeby ją pocieszyć, szorstko odepchnęła dłoń. Tej reakcji Jenny nie potrafiła zapomnieć — oskarżycielskiej, nienawistnej i całkowicie odruchowej. Chociaż miała zaledwie jedenaście lat, wyczytała w tym geście — i w wymianie spojrzeń, która po nim nastąpiła — gorzką i wstydliwą historię. Gorycz pozostała na twarzy babci, dopóki i ona siedem lat później nie rozstała się z tym światem.

Kiedy potem stała na cmentarzu za plecami ojca, patrząc na trumnę spuszczaną do grobu, czuła, że milczenie dorosłych wokół niej jest zatrute czymś tak strasznym, tak rzeczywistym, że ścisnęło jej się gardło i nie mogła nawet płakać.

Dopiero wiele lat później — tego wieczoru, gdy były mąż wręczył jej papiery rozwodowe — uświadomiła sobie, że w obliczu śmierci istoty ludzkie są najbardziej podatne na prawdę, a w obliczu prawdy — najbardziej podatne na śmierć.

Właśnie ta świadomość powstrzymała ją przed wjechaniem w przepaść albo pod pociąg. Zdołała przekonać samą siebie, że dręczące ją samobójcze myśli to tylko drogowskazy na karkołomnej drodze, która jeszcze kiedyś zaprowadzi ją w bezpieczne miejsce.

Chociaż pół roku później wciąż czuła się zagubiona, była o wiele bliżej celu niż tamtej nocy, gdy zrozumienie znaczenia przykrych wspomnień z dzieciństwa zawróciło ją znad krawędzi. Dziś nikt nie pomyślałby, że kiedykolwiek było z nią tak źle. Tego jasnego czerwcowego ranka, w pierwszym dniu nowej kariery, wyglądała na pewną siebie kobietę, przed którą świat stoi otworem.

Rozdział 1

NIELETNI POSTRACH PRZEDMIĘĆ NIE ŻYJE

Danny Wills, lat 14, został znaleziony dziś rano powieszony na prześcieradle przywiązany do kraty okna swojej sypialni w zamkniętym zakładzie wychowawczym Portshead Farm. Odkrycia dokonał konserwator Jan Smirski, który przyszedł naprawić zatkaną toaletę.

Wills odsiedział zaledwie dziewięć dni z czteromiesięcznego wyroku pozbawienia wolności i przymusowej resocjalizacji, wydanego przez sąd dla nieletnich dystryktu Severn Vale. Na miejsce zdarzenia wezwano policję, jednak inspektor Alan Tate zapewnił reporterów, że nie ma podstaw, by podejrzewać działanie przestępcze.

Danny, syn 29-letniej Simone Wills, był najstarszym z sześciorga rodzeństwa pochodzącego, jak twierdzą sąsiedzi, od sześciu różnych ojców.

W jego kartotece policyjnej odnotowano zażywanie narkotyków, zakłócanie porządku i rozboje. Wyrok pozbawienia wolności zapadł w związku z napadem na sklep monopolowy. U Alego na osiedlu Broadlands w Southmead. Wills uzbrojony w nóż myśliwski groził właścicielowi, panu Alemu Khanowi, że „utnie mu pakistańskie jaja”. Dokonując napadu, złamał warunki nadzoru kuratorskiego i aresztu domowego, nałożonego na niego wyrokiem sądu zaledwie dwa tygodnie wcześniej za posiadanie kokainy.

Stephen Shah ze Straży Sąsiedzkiej Southmead powiedział nam, że Wills był postrachem dzielnicy, a jego śmierć powinna stanowić nauczkę dla wszystkich młodych chuliganów.

„Bristol Evening Post”

Krótkie życie Danny'ego Willsa zakończyło się w sobotę czternastego kwietnia. A że chłopak miał w chwili śmierci czternaście lat i tyle samo dni, został najmłodszą ofiarą śmiertelną współczesnego więziennictwa.

Nikt — z wyjątkiem matki i najstarszej z jego trzech siostr — nie uronił łzy z powodu odejścia Danny'ego.

Ważące czterdzieści jeden kilogramów ciało Willsa włożono do plastikowego worka i umieszczono na wózku w korytarzu kostnicy szpitala

miejskiego. Przeleżało tam cały weekend, bo w przeładowanej chłodni nie było miejsca.

W poniedziałek o ósmej rano patolog Nick Peterson — szczupły, startujący w maratonach czterdziestopięciolatek — spojrzął na sińce biegnące skośnie od szyi aż za uszy i uznał, że było to samobójstwo. Procedura wymagała jednak przeprowadzenia autopsji.

* *

Po południu krótki raport patologa wylądował na biurku Harry'ego Marshalla, koronera dystryktu Severn Vale. Peterson napisał:

„I

Choroba lub uraz będące bezpośrednią przyczyną zgonu:

(a) Asfiksja wskutek uduszenia

Przyczyny poprzedzające:

(b) Brak

II

Inne istotne nieprawidłowości mające związek ze zgonem, ale niebędące jego bezpośrednią lub pośrednią przyczyną:

Brak

Choroby i urazy wykryte, ale w opinii patologa niemające związku ze zgonem:

Brak

Czy zalecane jest przeprowadzenie dalszych badań laboratoryjnych, które mogą wpłynąć na ustalenie przyczyny zgonu?

Nie

Uwagi:

Czternastolatek został znaleziony w zamkniętym na klucz pokoju zakładu wychowawczego, powieszony na pętli zrobionej z prześcieradła. Pionowe zasinienia na szyi, brak złamania kości gnykowej i ogniska martwicy w mózgu wskazują na samobójstwo”.

* *

Harry, pięćdziesięcioośmiolatek borykający się z nadwagą i koniecznością utrzymania czterech nastoletnich córek, wszczął odpowiednie procedury. We wtorek siedemnastego kwietnia otworzył koronerski przewód sądowy i odroczył rozprawę, by poczekać na zakończenie czynności śledczych. Na kolejnym posiedzeniu, które odbyło się dwa tygodnie później, trzydziestego kwietnia, przesłuchał kilkoro pracowników zakładu wychowawczego. Ponieważ ich zeznania były zgodne, zarekomendował ośmiorgu sędziom przysięgłym wydanie orzeczenia o samobójstwie.

Ci zastosowali się do jego sugestii.

W środę drugiego maja Harry postanowił nie otwierać przewodu w sprawie piętnastoletniej narkomanki Katy Taylor i podpisał akt zgonu, który stwierdzał, iż śmierć nastąpiła w wyniku przedawkowania heroiny. Dokument ów okazał się ostatnim podpisanym przez Marshalla jako koronera Jej Królewskiej Mości. Trzydzieści sześć godzin później żona Harry'ego, obudzwszy się po wyjątkowo spokojnej nocy, znalazła go obok siebie w łóżku, zimnego jak gład. Lekarz rodzinny i długoletni przyjaciel z ulgą stwierdził naturalną przyczynę śmierci — zawał serca — oszczędzając mu tym samym poniżającej sekcji zwłok.

Harry został skremowany tydzień później, tego samego dnia i w tym samym krematorium co Danny Wills. Pracownik, który wymiatał popioły i fragmenty kości z paleniska do młynka w celu ostatecznego zmielenia, był, jak zwykle, niezbyt sumienny; urny przekazane rodzinom zawierały zmieszane prochy kilkorga zmarłych. Urnę Harry'ego opróżniono na polu w Gloucestershire, gdzie on i jego żona chodzili kiedyś na randki. Podczas wzruszającej ceremonii cztery córki Marshalla odczytały fragmenty wierszy Wordswortha, Tennysona, Graya i Keatsa.

Zawartość urny Danny'ego została rozsypana w ogrodzie pamięci przy krematorium. Napis na tabliczce umieszczonej wśród różanych krzewów głosił: „Aby pocieszać wszystkich zasmuconych, aby im wieniec dać zamiast popiołu”, lecz przez szacunek dla wszystkich religii z wyjątkiem tej, która

wydała owe słowa pociechy, usunięto odsyłacz do Biblii.

Harry, widząc to, pokręciłby głową i zadumał się nad nędznymi umysłami, które decydują, jaką część prawdy mają poznać bliźni.

Rozdział 2

Jenny Cooper, atrakcyjna kobieta po czterdziestce, siedziała ze zdeterminowaną miną naprzeciwko doktora Jamesa Allena. Psychiatra był co najmniej dziesięć lat młodszy od niej i bardzo się starał nie wyglądać na onieśmiałego. Bo ile kobiet na stanowisku mógł oglądać tutaj, w małym szpitalu w Chepstow — tej zapadłej dziurze?

— Nie miała pani ataków paniki przez ostatni miesiąc? — spytał, przeglądając jej obszerną kartotekę.

— Nie.

Zapisał odpowiedź.

— A czy na jakieś się zanosilo?

— Co pan ma na myśli?

Patrząc na jego równiutki przedziałek i perfekcyjny węzeł krawata, Jenny zastanawiała się, co takiego tłumi w sobie doktor Allen.

— Czy znalazła się pani w sytuacjach, które wcześniej wywoływały objawy paniki? — wyjaśnił z uśmiechem.

Jenny wróciła myślami do ostatnich tygodni: stresujące rozmowy o pracę, radość z otrzymania stanowiska koronera, impulsywna decyzja o kupnie domu na wsi, potworne zmęczenie przeprowadzką bez żadnej pomocy, przytłaczające poczucie winy, że z taką konsekwencją działała wyłącznie we własnym interesie.

— Wydaje mi się... — odparła z wahaniem — że najbardziej wytrącają mnie z równowagi telefony do syna.

— Dlaczego?

— Bo zawsze obawiam się, że odbierze jego ojciec.

Doktor Allen pokiwał głową, jakby spotykał się w swojej praktyce z podobnymi problemami.

— Czy potrafi pani określić, czego dokładnie się obawia?

Jenny spojrzała przez okno na niewielki spłachetek zieleni; jego sterylność niemal zaprzeczała idei ogrodu.

— On mnie obwinia... Chociaż to jego romanse rozbiły nasze małżeństwo, to on nalegał, żebym starała się być matką, nie rezygnując z kariery, a potem postanowił walczyć o opiekę nad synem. Wciąż mnie obwinia.

— A co o pani sądzi?

— Że jestem samolubną nieudacznicą.

— Powiedział to pani wprost?

— Nie musiał.

— Wspomniała pani, że nie chciał, aby porzucała pani pracę zawodową...

Może więc to pani sama osądza się w ten sposób?

— Myślałam, że jestem u psychiatry, nie u psychoanalityka.

— Utrata prawa do opieki nad synem musiała wywołać całą gamę trudnych emocji.

— Nie straciłam prawa do opieki. Zgodziłam się, żeby syn mieszkał z ojcem.

— Bo sam syn tego chciał, zgadza się? Pani choroba zachwiała jego zaufaniem do pani.

Posłała mu spojrzenie, które miało mu uświadomić, że dość już tego. Nie potrzebowała, żeby jakiś trzydziestoletni konował mówił jej, dlaczego nerwy ma w strzępach. Potrzebowała tylko recepty na temazepam.

Doktor Allen przyglądał jej się w zamyśleniu, widząc w niej — dla Jenny było to jasne — ciekawy przypadek do rozgryzienia.

— Nie sądzi pani, że przyjmując stanowisko koronera, wzięła pani na siebie zbyt duże obciążenie?

Jenny przełknęła słowa, które miała ochotę rzucić mu w twarz, i zmusiła się do uśmiechu.

— Przyjęłam tę pracę, bo jest przewidywalna, bezpieczna i dobrze płatna. Nie stoi nade mną żaden szef. Nikomu nie muszę się opowiadać.

— Z wyjątkiem zmarłych... i ich rodzin.

— Po piętnastu latach w sądownictwie rodzinnym zmarli będą miłą odmianą.

Jej odpowiedź wyraźnie go zaciekała. Pochylił się do przodu z poważną miną, gotowy drażnić głębiej. Jenny zdusiła to w zarodku.

— Doktorze, objawy są z każdym dniem słabsze. Mogę pracować i normalnie funkcjonować, a łagodne leczenie farmakologiczne pomaga mi odzyskać kontrolę. Doceniam pańską troskę, ale chyba się pan zgodzi, że robię wszystko, by moje życie wróciło na właściwe tory. — Spojrzała na zegarek. — I naprawdę muszę już iść do pracy.

Allen wyprostował się na krześle, rozczarowany jej reakcją.

— Gdyby pani dała mi szansę, to jestem przekonany, że moglibyśmy poczynić znaczne postępy, może nawet usunąć groźbę kolejnego załamania.

— To nie było załamanie.

— Więc epizod. Niezdolność poradzenia sobie z sytuacją.

Jenny uchwyciła jego spojrzenie i zdała sobie sprawę, że ten młody człowiek cieszy się z władzy, jaką ma nad nią. Kolejny mężczyzna, którego będzie musiała brać pod włos i urabiać pochlebstwami, aby uzyskać to, co należy jej się z definicji.

— Oczywiście nie chcę, żeby to się powtórzyło — zapewniła, patrząc mu w oczy. — I chętnie wrócę do tej rozmowy następnym razem, ale teraz naprawdę muszę już wyjść. To mój pierwszy dzień w biurze.

Uspokojony, że jeszcze się spotkają, sięgnął po notes.

— Za dwa tygodnie w piątek mam dyżur w poradni. Co pani powie na piątą trzydzieści?

Jenny uśmiechnęła się i odgarnęła z twarzy ciemne włosy.

— Doskonale.

Zapisując termin wizyty, powiedział:

— Mogę pani zadać jeszcze kilka pytań, żebyśmy mieli je z głowy?

— Niech pan strzela.

— Czy ostatnio świadomie prowokowała pani przeczyszczenie lub wymioty?

— Widzę, że dokładnie przeczytał pan historię choroby.

Wręczył jej karteczkę z datą wizyty i czekał na odpowiedź.

— Sporadycznie — odparła.

— Był jakiś konkretny powód?

Wzruszyła ramionami.

— Nie lubię czuć się gruba.

Bezwiednie spojrzał na jej nogi i zaczerwienił się, widząc, że go na tym przyłapała.

— Ale pani jest bardzo szczupła.

— Dziękuję. Widocznie to działa.

Zerknął do notesu, by ukryć zażenowanie.

— Czy brała pani jakieś leki nieprzepisane przez lekarza?

— Nie. — Sięgnęła po nowiutką błyszczącą aktówkę ze skóry. — Czy to już wszystko? Obiecuję, że pana nie pozwę.

— Jeszcze jedno. Przeczytałem w notatkach doktora Tralisa, że ma pani dwunastomiesięczną lukę we wspomnieniach z dzieciństwa, między czwartym a piątym rokiem życia.

— W jego notatkach powinno być też zapisane, że od piątego do trzydziestego piątego roku życia byłam stosunkowo szczęśliwa.

Allen złożył dłonie na kolanach i rzekł:

— Bardzo się cieszę, że zostanie pani moją pacjentką, pani Cooper, ale proszę zdawać sobie sprawę, że ten mur, który zbudowała pani wokół siebie, będzie musiał w końcu runąć. I lepiej, żeby to pani wybrała ten moment.

Jenny ledwo dostrzegalnie skinęła głową. Czowała, że serce zaczyna jej łomotać, ciśnienie ściska skronie, a brzegi pola widzenia ciemnieją. Wstała gwałtownie; ogarnął ją gniew na własną słabość i to wystarczyło, by opanować narastającą panikę. Siłąc się na swobodny i rzeczowy ton, powiedziała:

— Jestem pewna, że będzie nam się świetnie współpracowało. Czy mogłabym dostać swoją receptę?

Spojrzał na nią. Wyczuła, że zauważył objawy, ale nie komentuje ich przez grzeczność. Sięgnął po długopis.

— Oczywiście.

* *

Jenny kupiła pigułki w aptece i ledwo wsiadła do samochodu, łyknęła dwie, popijając dietetycznym sprite'em. Tłumaczyła sobie, że to tylko trema z powodu pierwszego dnia w pracy, że ten nieopierzony doktor nie trafił w żaden czuły punkt. Czekając, aż lek zadziała, spojrzała w lusterko i choć raz spodobało jej się to, co zobaczyła. Całkiem nieźle jak na jej wiek. Była całkiem ładna, a przynajmniej atrakcyjna.

Po kilkunastu sekundach pigułki zaczęły robić swoje czary-mary, rozluźniając jej mięśnie i naczynia krwionośne. Ogarnęło ją ciepło, jak po kieliszku chardonnay wypitym na pusty żołądek. Przekręciła kluczyk w stacyjce i wyjechała starzejącym się golfem z parkingu.

Słuchając płyty Tiny Turner, nastawionej na cały regulator, wlokła się w długim korku do ronda na skraju miasta. Tam zjechała na autostradę M4 i wcisnęła gaz do dechy. Z prędkością stu trzydziestu na godzinę przemknęła przez pięciokilometrowy Severn Bridge. Bliźniacze wieże na obu krańcach wiszącego mostu wydały jej się wspaniałe — niczym symbole niezłomnej siły i obietnicy. Pełna energii i optymizmu, próbowała spojrzeć na swoje życie z jasnej strony. W ciągu minionego roku przeżyła emocjonalną zapaść, która zmusiła ją do odejścia z pracy, przetrwała paskudny rozwód i straciła prawo do opieki nad nastoletnim synem, a jednak zdołała zacząć wszystko od nowa, w nowym domu i w nowej pracy. Była posiniaczona, ale nie złamana. I pewna — bardziej niż kiedykolwiek — że wszystko, co wycierpiała, uczyni ją silniejszą.

Przedzierając się przez zakorkowane ulice do centrum Bristolu, czuła się niezwykczona. Co może wiedzieć ten psychiatra? Jakie kryzysy przetrwał?

Do diabła z nim. Jeśli jeszcze kiedyś będzie potrzebowała pigułek, kupi sobie przez Internet.

* *

Jej nowe biuro mieściło się w wyblakłej georgiańskiej kamienicy przy Jamaica Street, nieopodal skrzyżowania z Whiteladies Road. Z trudem

znalazła miejsce parkingowe i pod sam budynek podeszła pieszo. Nie wyglądał imponująco. Trzy numery od skrzyżowania z główną ulicą, wciśnięty między zaniedbany azjatycki sklep spożywczy i jeszcze bardziej obskurny kiosk z gazetami na rogu. Jenny stanęła przed głównym wejściem i spojrzała na dwie mosiężne tabliczki. Pierwsze i drugie piętro zajmowało biuro architektoniczne Planter i S-ka. Parter należał do niej.

Koroner Jej Królewskiej Mości, Dystrykt Severn Vale. To brzmiało oficjalnie, a zarazem dumnie. I właśnie ona, czterdziestodwuletnia kobieta, która miewała napady złości, czytywała tanie romanse i paliła papierosy, kiedy za dużo wypijała, będzie od dziś odpowiedzialna za ustalanie przyczyn zgonów w sporej części północnego Bristolu i południowego Gloucestershire. Będzie piastowała urząd, który istniał od 1194 roku.

Czując, że chemiczny błogostan zaczyna się rozwiewać, wyłowiła z torebki pęk kluczy, który dostała pocztą, i otworzyła drzwi.

Hol był ponury, pomalowany na niezdrowy seledynowy kolor. Kręte schody z ciemnego dębu prowadziły na pierwsze piętro i dalej; ich szlachetność niweczyła szara wykładzina przykrywająca nierówne stopnie. Ponure wrażenie pogłębiały plastikowe tabliczki na ścianach, kierujące gości na górę i w lewo, do drzwi z brzydką matową szybą i napisem „Biuro koronera”.

Jenny zakonotowała sobie, że musi jak najszybciej zrobić tu remont.

Wnętrze jej nowego królestwa było jeszcze bardziej ponure. Zamknęła za sobą drzwi, zapaliła jarzeniówki i rozejrzała się po dużej, nieładnej recepcji. Wiekowy komputer i telefon stały na biurku, które było chyba starsze niż sama Jenny. Za biurkiem znajdował się rząd równie zabytkowych popielatych szafek na akta i zdychający filodendron, a po przeciwnej stronie dwie zapadnięte sofy, ustawione pod kątem przy niskim tandetnym stoliku, na którym ułożono pomięte numery „Reader’s Digest”. Jedyne miły dla oka akcent stanowiło wysokie okno wychodzące na przestronny dziedziniec, gdzie ktoś — pewnie ci architekci z góry — ustawił dwa drzewka laurowe w donicach i stylową ławkę.

W poczekalni było troje drzwi. Pierwsze prowadziły do funkcjonalnej,

świeżo wyremontowanej kuchenki, drugie do szatni, a trzecie — solidny kawał oryginalnej stolarki — do jej gabinetu.

Pokój, jakieś cztery i pół na cztery i pół metra, musiał wcześniej zajmować mężczyzna w średnim wieku. Na środku stało ciężkie wiktoriańskie biurko zasłane dokumentami. Jeszcze więcej papierzyśk leżało w stertach na podłodze. Wspaniałe okno z okiennicami, wychodzące na ulicę, zasłaniała zakurzona żaluzja.

Na sięgających sufitu regałach bibliotecznych stały rzędy „Krajowych Raportów Prawnych” i „Tygodnika Prawniczego”. Dwie wolne ściany ozdobiono reprodukcjami scen rodzajowych i zdjęciem pierwszoroczników Jesus College w Oksfordzie z 1967 roku. Wśród długowłosych studentów w togach i białych muszkach Jenny dostrzegła Harry’ego Marshalla — smukłego, uśmiechniętego nastolatka wydymającego wargi jak Mick Jagger.

Na półce nad starym gazowym kominkiem zauważyła filiżankę z niedopitą kawą. Podeszła i przyjrzała się cienkiej warstewce pleśni pływającej po powierzchni. Wyobraziła sobie Harry’ego pijącego tę kawę na kilka godzin przed śmiercią i przez chwilę zastanawiała się, jak będzie wyglądał koniec jej kariery.

Jej wzrok przyciągnęło mrugające światełko na biurku. Na automatycznej sekretarce, która wyglądała jak relikw z lat osiemdziesiątych, były nagrane dwie wiadomości. Jenny odstawiła filiżankę i wcisnęła guzik odtwarzania. Z trzeszczącego głośnika rozległ się głos młodej, wyraźnie wzburzonej kobiety:

— Mówi Simone Wills. To, co o mnie piszą w gazetach, to nieprawda. To wszystko kłamstwa... Właśnie że dzwoniłam do zakładu i powiedziałam im, jak jest z Dannym. Ta kobieta kłamie, jeśli twierdzi, że nie dzwoniłam... — Zaniósł się szlochem i po chwili ciągnęła płaczącym tonem: — Dlaczego nie pozwolił mi pan zeznawać? Obiecał pan, że będę mogła powiedzieć, co mam do powiedzenia. Obiecał pan... — Sekretarka kliknęła, przerywając jej w pół zdania.

Następna wiadomość też była od Simone Wills, ale tym razem kobieta mówiła bezbarwnym, monotonnym głosem.

— Źle pan to załatwił i dobrze pan o tym wie. Jeśli nie ma pan odwagi, żeby odkryć, co naprawdę się stało, sama to zrobię. Postaram się o sprawiedliwość dla Danny'ego. A pan jest tchórzem. Jest pan taki sam jak reszta. — Klik. Tym razem Simone uprzedziła sekretarkę i rozłączyła się pierwsza.

Danny Wills. Jenny przypomniała sobie, że czytała o młodym osadzonym, który zmarł w zakładzie poprawczym. Jego matka była narkomanką, kobietą z marginesu, z którymi tak często miała do czynienia w poprzedniej pracy. Gniewny głos Simone wywołał nieprzyjemne uczucie déjà vu. Jako prawniczka, której codzienność polegała na wydzieraniu zaniedbywanych dzieci z rak nieodpowiedzialnych, a często także brutalnych rodziców, Jenny widziała wiele historycznych scen. Miała nadzieję, że stanowisko koronera zapewni jej bezpieczny urzędowy dystans od zrozpaczonych czy nawet agresywnych petentów.

— Halo? — dobiegł z recepcji kobiecy głos. — Czy to pani, pani Cooper?

Jenny odwróciła się i zobaczyła w drzwiach kobietę po pięćdziesiątce, ze schludnym bobem ufarbowanym na blond. Była niska i mocno zbudowana, ale bez nadwagi, ubrana w beżowy płaszcz przeciwdeszczowy i elegancki granatowy kostium. Jej opalona skóra odcinała się od białej bluzki.

— Alison Trent, asystentka koronera — przedstawiła się i wyciągnęła rękę.

Jenny uścisnęła jej dłoń.

— Jenny Cooper. Już zaczynałam się zastanawiać, czy pani jeszcze pracuje.

— Byłam tu tylko dwa razy od śmierci pana Marshalla. Uznałam, że nie powinnam niczego ruszać.

Jenny czekała na dalsze wyjaśnienia, jednak Alison nie kwapiła się z nimi. Wyczuwała bijącą od niej niechęć, a nawet wrogość.

— Skoro nie bywała pani tutaj, to kto zajmował się bieżącymi sprawami?

— Ja — odparła Alison. — Mam gabinet na komisariacie. Nie powiedzieli pani?

— Nie. Myślałam, że...

— Pracowałam kiedyś w wydziale śledczym, więc udostępniają mi pokój. Trochę ładniejszy niż ten.

Jenny spojrzała na Alison wyraźnie przekonaną, że wszystko będzie jak dawniej. Nie zamierzała na to pozwolić.

— Dam pani trochę czasu na zagospodarowanie się, zanim zarzucę panią papierami — powiedziała Alison. — W tej chwili nie ma tego wiele. Zwykle zgony szpitalne i dwa wypadki komunikacyjne.

— Chyba nie podpisywała pani aktów zgonu?

— Nie na własną rękę. Dzwonię do pana Hamera, zastępcy w dystrykcie Bristol Central. On zatwierdza papiery i dopiero wtedy podpisuję je z jego upoważnienia.

— Rozumiem — odparła Jenny. Nie spodobał jej się ten wygodny układ: zastępca koronera z innej części miasta nie zadaje sobie nawet trudu, by spojrzeć na akta, bo wierzy na słowo emerytowanej policjantce, że sprawa nie wymaga dochodzenia. — Nie wiem, co pani powiedziano, pani Trent, ale mnie w Ministerstwie Sprawiedliwości dali jasno do zrozumienia, że mam zmodernizować to biuro i włączyć je do nowoczesnego systemu służby koronerskiej. Pierwszym krokiem będzie sprowadzenie wszystkich dokumentów w jedno miejsce.

Alison nie wierzyła własnym uszom.

— Mam urzędować tutaj?

— Oczywiście. Proszę jak najszybciej przywieźć tu wszystkie dokumenty z komisariatu. Chciałabym zapoznać się z bieżącymi sprawami jeszcze dziś przed południem. W razie potrzeby może pani wziąć taksówkę.

— Nie mogę tak po prostu się wynieść — zaprotestowała Alison. — Byłam tam pięć lat.

Jenny przybrała swój najbardziej oficjalny ton.

— Mam nadzieję, że przeprowadzka nie będzie dla pani zbyt męcząca, pani Trent. Bo musi się pani przenieść. I to szybko.

— Jak pani sobie życzy, pani Cooper. — Alison odwróciła się na pięcie i ruszyła do drzwi.

Jenny zawołała za nią:

— I proszę z łaski swojej przywieźć mi akta Danny'ego Willsa, dobrze?

Alison wyszła bez słowa.

Jenny oparła się o biurko i rozważyła sytuację. Kolejne utrudnienie, którego się nie spodziewała: humorzasta podwładna, bez wątpienia zawistna i mająca sto różnych powodów do niezadowolenia. Trzeba od samego początku narzucić jej swój autorytet. Respekt u podwładnych to było minimum, którego potrzebowała, aby dobrze wykonywać swoją pracę.

Pora ustalić priorytety. Biuro rozpaczliwie potrzebowało remontu, ale to będzie musiało poczekać. Najpierw przegryźć się przez papiery Marshalla i ustalić, co wymaga uwagi.

Ale teraz potrzebowała kawy. Mocnej kawy.

* *

Na Whiteladies Road znalazła brazylijską kawiarnię, w której sprzedawano ristretto na wynos i malutkie tarteletki z budyniem, w sam raz na jeden kęs. Kupiła kawę i ciastko i po dziesięciu minutach była z powrotem w biurze.

Na podłodze obok biurka znalazła stosik kartonowych teczek, które zawierały akty zgonu podpisane przez Marshalla w ostatnich dniach życia. Wszystkie wyglądały na rutynowe przypadki: głównie szpitalne zgony, czekające na zarchwizowanie przez Alison.

Na blacie leżały dwie nieporządne sterty akt. Na pierwszą składały się dokumenty i rachunki dotyczące biurowych wydatków. List z magistratu — który płacił pensję koronera i refundował wydatki — przypominał, że tegoroczny bilans jest spóźniony.

Drugi stos zawierał akta różnych spraw, niektórych nawet sprzed roku. Na samym wierzchu leżała plastikowa teczka pełna wycinków z gazet. Wszystkie dotyczyły spraw prowadzonych przez Marshalla — od tych z początku lat dziewięćdziesiątych po najnowsze. Niektóre artykuły zostały starannie wycięte, inne wydarte byle jak, ale wszystkie były opatrzone datami. Wyglądało to na osobiste archiwum; może były to materiały do wspomnień, które zamierzał spisać.

Pośród dokumentów Jenny znalazła plik osobistej poczty, przyciśnięty brudnym kałamarzem. Były tam potwierdzenia transakcji z karty kredytowej, wyciągi bankowe, przypomnienie o wizycie u dentysty. Odsiała śmieci, zebrała resztę i zaczęła szukać koperty, w której mogłaby to wszystko zmieścić. W szufladach biurka były połamane ołówki, spinacze i masa innych szpargałów, ale żadnych kopert. Już chciała się poddać, ale nagle zauważyła jeszcze jedną szufladę, płytszą i o wiele szerszą, pod samym blatem. Pociągnęła za uchwyt. Szuflada była zamknięta. Rozejrzała się za kluczem i dostrzegła plastikowy pojemnik z kolekcją obgryzionych pisaków. Wysypała całą zawartość i wśród kurzu i garści drobnych znalazła to, czego szukała.

Otworzyła szufladę. Były w niej koperty najróżniejszych rozmiarów oraz jedna papierowa teczka. Jenny upchnęła pocztę do bąbelkowej koperty, napisała na niej „Pani Marshall” i sięgnęła po teczkę.

Zawierała tylko kilka kartek. Na wierzchu leżała kopia aktu zgonu z datą drugiego maja, czyli sprzed ponad czterech tygodni. Był to formularz B wypełniany, gdy po przeprowadzeniu autopsji koroner nie uważa za konieczne wszczęcia przewodu sądowego. Zmarła nazywała się Katherine Linda Taylor. Wiek: piętnaście lat i trzy miesiące. Adres zamieszkania: Southmead, Harvey Road 6. Miejsce zgonu: Bridge Valley w Clifton. Jenny natychmiast przyszły na myśl dziesiątki osób, które co roku skaczą z tego mostu, ale jako przyczynę śmierci podano „dożylne przedawkowanie diamorfiny”. W rubryce „Zezwolenie na kremację” wpisano dwa słowa: „Pochówek tradycyjny”.

Zaintrygowana Jenny sięgnęła po dwustronicowy policyjny raport, napisany górnolotnym, niegramatycznym stylem, i sygnowany przez posterunkową Campbell. Przypadkowy przechodzień natknął się na częściowo rozłożone zwłoki Katy w krzakach niecałe trzydzieści metrów od głównej drogi. Została znaleziona w siedzącej, skulonej pozycji, z pustą strzykawką u boku. Siedem dni wcześniej rodzice zgłosili jej zaginięcie. Na koncie miała już wagary, ucieczki z domu i drobne przestępstwa.

Do raportu dołączono kserokopię policyjnego zdjęcia, przedstawiającego ciało Katy w miejscu, gdzie je znaleziono. Drobna szczupła postać ubrana w

dżinsy spięte szerokim białym paskiem, białe sandały na obcasach i krótką różową koszulkę. Jej szczupłe ręce, pocętkowane plamami rozkładu, obejmowały chude kolana. Szopa rozczochranych jasnych włosów zasłaniała twarz. Broda była oparta o pierś.

Jenny długo wpatrywała się w zdjęcie. W dotychczasowej pracy miała do czynienia z tysiącami dzieci, ale nigdy z martwymi. Zwróciła uwagę na kontrast między jaskrawą białą sandałów a barwą gnijącego ciała. Wyobraziła sobie, jak by wyglądały zwłoki, gdyby je znaleziono wiele tygodni później. Czy byłyby jeszcze miękkie tkanki, czy tylko szkielet w ubraniu?

Odłożyła fotografię i przewróciła stronę, spodziewając się znaleźć pod spodem kopię raportu z autopsji. Nie było go. Dziwne. We wszystkich innych teczkach, które przeglądała, był raport policyjny, raport z sekcji zwłok i akt zgonu. I dlaczego tylko tę zamknięto w szufladzie?

Choć większą część ostatnich trzech tygodni spędziła, przegryzając się przez prawo koronerskie, nie czuła się pewnie na tym gruncie. Sięgnęła do aktówki po podręcznik Jervisa, biblię każdego koronera i znalazła odpowiedni fragment. Miała rację. Paragraf ósmy ustawy o urzędzie koronera z 1988 roku stanowił, że należy przeprowadzić dochodzenie w każdym przypadku gwałtownej lub nienaturalnej śmierci. A trudno o bardziej nienaturalną śmierć niż potencjalne samobójstwo, jak więc Marshall mógł wystawić akt zgonu z pominięciem przepisowej procedury?

Sprawdziła daty: ciało znaleziono trzydziestego kwietnia, raport policyjny sporządzono pierwszego maja, a akt zgonu został podpisany drugiego maja. Może Marshall nie czuł się dobrze i poszedł po linii najmniejszego oporu? A może po prostu chciał zaoszczędzić rodzinie koszmaru rozprawy sądowej? Tak czy inaczej, zaniechanie dochodzenia było jawnym naruszeniem przepisów. Właśnie takie praktyki chciało wykorzenić Ministerstwo Sprawiedliwości.

* *

Alison wróciła po godzinie. Jenny czuła fale bijącej od niej niechęci, jeszcze zanim asystentka zapukała w uchylone drzwi.

— Proszę — powiedziała, siląc się na przyjazny ton.

Alison wniosła do gabinetu ciężką plastikową torbę i postawiła ją na podłodze.

— To akta spraw prowadzonych po śmierci Marshalla. Te w niebieskich teczkach na wierzchu wciąż są w toku. Średnio mamy pięć zgonów dziennie, czasami więcej.

— Dziękuję. Postaram się to przejrzeć.

— Zamówiłam furgonetkę, ale kierowca będzie wolny dopiero jutro po południu. Mam pół tuzina szafek. Nie wiem, gdzie pani zamierza je postawić.

— Jestem pewna, że znaczną część dokumentów można przekazać do archiwum — odparła Jenny, udając, że nie zauważa zbolącej miny asystentki.

— Tu zostawimy tylko akta z ostatnich dwóch lat. I tak wkrótce zaczniemy wprowadzać system komputerowy.

Alison westchnęła.

— Chyba miała pani do czynienia z komputerami?

— Tylko jeśli nie dało się tego uniknąć. Bywają zawodne.

— Standardowy system, który polecono wdrożyć wszystkim koronerom, działa bez zarzutu. W przyszłości lekarze domowi i szpitalni będą nas zawiadamiać drogą mailową o wszystkich zgonach. Nie tylko o przypadkach, kiedy nie są w stanie sami wystawić aktu zgonu. Wie pani, że Harold Shipman zamordował dwustu pięćdziesięciu swoich pacjentów i ani jeden z tych przypadków nie trafił na biurko koronera?

— Tutaj to by się nie zdarzyło. Znamy wszystkich lekarzy na naszym terenie.

— I na tym polega problem — podchwyciła Jenny. — Nie cierpię biurokracji jak mało kto, ale właśnie dlatego, że wszyscy polegali na zaufaniu, Shipman trafił do księgi rekordów.

Alison zmarszczyła brwi.

— Cóż, nie mogłam się spodziewać, że będziemy działać jak do tej pory. Chęć wprowadzania zmian leży w ludzkiej naturze.

— Mam nadzieję, że będziemy się dogadywać, pani Trent — powiedziała Jenny. — Słyszałam o pani wiele dobrego. Członkowie mojej komisji

kwalifikacyjnej mówili, że koroner Marshall nie mógł się bez pani obejść. Ze mną na pewno też tak będzie.

Twarz Alison nieco złagodniała.

— Przepraszam, jeśli wydaję się trochę rozdrażniona, pani Cooper... Marshall i ja bardzo się zaprzyjaźniliśmy przez lata wspólnej pracy. To był taki miły człowiek. Troszczył się o wszystkich. Nie byłam tu od... — głos jej się załamał.

— Rozumiem. — Jenny uśmiechnęła się, tym razem szczerze, a Alison odpowiedziała uśmiechem.

Napięcie między nimi zelżało. Zawarły niepisany rozejm.

Alison spojrzała na pusty papierowy kubek na biurku Jenny.

— Ma pani ochotę na jeszcze jedną kawę? Właśnie chciałam sobie przynieść. Przepraszam, że w kuchni nic nie ma; później wyskoczę do sklepu i kupię, co trzeba.

— Dziękuję. — Jenny sięgnęła do torby po portmonetkę.

— Nie trzeba. Ja stawiam.

— Ależ bardzo proszę. — Wyjęła dwudziestofuntowy banknot i podała go Alison. — To powinno wystarczyć także na zaopatrzenie kuchni.

Alison wahala się chwilę. W końcu wzięła banknot i schowała go do kieszeni płaszcza.

— Dziękuję. — Omiotła wzrokiem gabinet. — Zapewne będzie pani chciała tu odnowić. Nie robiono tego od lat.

— Wytrzymam jeszcze parę dni i poczekam na natchnienie.

— Harry ciągle powtarzał, że zrobi tu remont, ale jakoś nigdy się nie zebrał. Za dużo miał na głowie... Żona i cztery dorastające córki.

Jenny przypomniało się zdjęcie Katy Taylor.

— Pani Trent, zanim pani wyjdzie...

Sięgnęła po teczkę.

— Wystarczy Alison.

— Oczywiście...

— Proszę się nie martwić, zostaną przy „pani Cooper”. To mi odpowiada.

— Jak pani woli — odparła Jenny z ulgą, że oszczędzono jej żenującego nalegania na zachowanie oficjalnych form. — Znalazłam tę teczkę w zamkniętej na klucz szufladzie.

— Pamiętam. Młoda dziewczyna, która przedawkowała narkotyki.

— Zastanowiły mnie dwie rzeczy. Po pierwsze, nie ma raportu z autopsji. Po drugie, czy w przypadku podejrzenia samobójstwa nie należy wszcząć dochodzenia?

Alison była zaskoczona.

— Policja nie sugerowała samobójstwa. Przypadkowe przedawkowanie jest dość częste wśród narkomanów.

— Mimo wszystko to nie był naturalny zgon.

— Pan Marshall nie lubił męczyć rodzin, kiedy i tak nic by z tego nie wynikło. Bo i po co?

Jenny postanowiła nie wdawać się w wyjaśnienia. Zrozumiała, że do reedukacji asystentki trzeba czegoś więcej niż krótki wykład z ustawy o urzędzie koronera.

— A co z raportem z autopsji? Przecież chyba nie podpisał aktu zgonu, nie czytając raportu?

— Właściwie nie miał wyboru. Mamy szczęście, jeśli pisemny raport trafi do nas trzy tygodnie po fakcie. Patolog dzwonił do pana Marshalla i przekazywał wyniki sekcji, a papierki przychodziły, kiedy przychodziły.

— Trzy tygodnie?

— Mówimy o państwowej służbie zdrowia.

Zadzwoiła komórka Alison.

— Przepraszam. — Wyjęła telefon z kieszeni i odebrała. — Asystentka koronera... Witam, panie Kelso... Rozumiem... Oczywiście. Zaraz powiem pani Cooper... Tak, właśnie zaczęła. Dobrze. — Rozłączyła się i zwróciła do Jenny: — Dzwonił szef ostrego dyżuru z Vale. Pięćdziesięcioletni bezdomny zmarł po przyjęciu do szpitala. Podejrzewana niewydolność wątroby. Autopsja dziś po południu.

— A raport za miesiąc?

— Podam pani telefon do kostnicy. — Sięgnęła po karteczkę i zapisała

numer. — To numer na automatyczną sekretarkę doktora Petersona, naczelnego patologa. Zwykle oddzwania.

Jenny jeszcze raz spojrzała na teczkę i poczuła łaskotanie w żołądku. Jakikolwiek były motywy Marshalla, załatwił tę sprawę niesumiennie — w najlepszym wypadku — a do niej należało posprzątanie po nim.

— Dziękuję, ale złożę mu wizytę i zapytam, czy uda się trochę przyspieszyć sprawę.

— Może pani spróbować — odparła Alison. — Czy mam przynieść tę kawę?

Jenny wstała z krzesła i wzięła torebkę.

— Napiję się, jak wrócę.

— Była już pani w kostnicy?

— Nie.

— Więc ostrzegam, to może być mocne przeżycie. Pana Marshalla wołami by tam nie zaciągnęli.

Alison poczekała, aż Jenny wyjdzie z budynku. Jeszcze chwilę siedziała przy swoim biurku, aż w końcu sięgnęła do aktówki i wyjęła z niej grubą, związany tasiemką plik dokumentów. Przeglądała go, zerkając niespokojnie na drzwi, jakby w obawie, że ktoś ją przyłapie. Gdy usłyszała czyjeś głosy na schodach, zamknęła akta i schowała z powrotem do teczki. Głosy wkrótce ucichły, a ona wciąż siedziała na krześle, wpatrując się w otwarte drzwi gabinetu, w którym powinien być Harry Marshall. Oczy piekły ją od łez, które nie chciały popłynąć.

Rozdział 3

Jenny jechała zakorkowanymi ulicami, popijając ciepłego sprite'a. Do szpitala było niecałe sześć kilometrów. Gdy przebijała się przez odcinek robót drogowych, wciśnięta między smrodzącą ciężarówkę a sportowego mercedesa, w pewnej chwili poczuła, że jej serce przyspiesza, a „dryfujący lęk”, jak to określił doktor Travis, jej poprzedni psychiatra, zaczyna wpływać na powierzchnię.

Napięta. Zestresowana. Nerwowa. Jak zwał, tak zwał. Od dnia — to było niemal dokładnie rok temu — kiedy nagle zaniemówiła w sądzie i musiała usiąść w połowie odczytywania jakiegoś banalnego raportu medycznego speszonemu sędziemu, każda stresująca sytuacja wywoływała u niej objawy paniki. Kolejka w supermarkecie, jazda windą, korek na drodze — każda sytuacja, z której nie było natychmiastowej ucieczki, mogła sprawić, że jej serce zaczynało łomotać, a przepona się kurczyła.

Jenny wykonała ćwiczenia relaksacyjne — oddychała wolno i głęboko, poczuła ciężar rąk, pozwoliła udom zapaść się w fotel — i lęk zniknął. Wycofał się rakiem do swojej kryjówki w podświadomości, ale zostawił za sobą szparkę w drzwiach. Żeby Jenny przypadkiem nie zapomniała, że tam jest.

Stojąc na świątlach, wrzuciła pustą butelkę pod fotel pasażera, znalazła w torebce temazepam i wytrząsnęła jedną tabletkę. Połknęła ją, wściekła na swoje uzależnienie. Inni ludzie przeżywają traumy bez łykania pigułek, więc dlaczego ona nie może? Próbowała pocieszyć się myślą, że od trzech miesięcy, gdy zdecydowała się rozstać z salą sądową, jej objawy wyraźnie zelżały. Żadnych mrocznych, niechcianych myśli. Żadnych pełnowymiarowych ataków paniki.

Dzień za dniem...

* *

Podjeżdżając pod budynek szpitala, który niczym się nie różnił od otaczających go anonimowych biurów, postanowiła podejść do tego racjonalnie. Musi pogodzić się z faktem, że stres związany z nową pracą chwilowo podniesie jej poziom lęku. Będzie więc łykała pigułki, dopóki nie przywyknie do nowych obowiązków, a potem, za tydzień czy dwa, znów się od nich odzwyczai.

Zaparkowała i ruszyła przez plac do budynku, ale jej umysł nie chciał się wyciszyć. Niepokojące, bezkształtne obrazy przelewały się tuż pod powierzchnią. A jeśli psychiatrzy mieli rację? Jeśli w jej dzieciństwie krył się jakiś horror, który będzie ją prześladował, dopóki nie znajdzie siły, by spojrzeć mu w oczy?

Do licha. Myślała, że ma to już z głowy.

Dostrzegła swoje odbicie w szybie obrotowych drzwi: elegancka, pewna siebie kobieta w biznesowym kostiumie. Profesjonalistka. Osoba, z którą należy się liczyć. Jeszcze trochę, powiedziała sobie, a wszystko rozplynie się jak zły sen.

Po dziesięciu minutach błądzenia po szpitalnych korytarzach Jenny zorientowała się, że nie ma żadnych znaków prowadzących do kostnicy. Stała w kolejce do recepcji, zbyt skrępowana, by wykorzystać stanowisko i ominąć ludzi stojących przed nią. Większość z nich stanowiły osoby starsze albo zagubione; jakaś Polka w zaawansowanej ciąży trzymała się za brzuch, krzywiąc się z bólu. Recepcjonistka, chuda kobieta z nikotynowym osadem na zębach, pokazywała kolejnym petentom skomplikowaną drogę przez budynek na brudnym plastikowym planie, którego nikt nie rozumiał.

* *

Kostnica mieściła się w oddzielnym parterowym budynku na tyłach kompleksu szpitalnego. Jenny wcisnęła dzwonek, ale nie doczekała się żadnej reakcji. Spróbowała jeszcze raz. Nadal nic. Po trzeciej próbie otworzyła jej młoda skośnooka sprzątaczką, wycierająca mokre dłonie w brudny kombinezon bez rękawów. Gdy Jenny zapytała, gdzie może znaleźć doktora Petersona, dziewczyna wzruszyła ramionami i wpuściła ją do środka.

— Nie rozumie angielski, sorry — powiedziała i wróciła do mycia podłogi.

Jenny pokonała krótki korytarzyk i weszła do otwartej poczekalni z dwójgciem częściowo przeszklonych drzwi biurowych i ciężkimi drzwiami z samozamykaczem. W kącie stały dystrybutor wody i automat z przekąskami. Zajrzała do pomieszczeń biurowych, ale nikogo nie było. Usłyszała głosy po drugiej stronie ciężkich drzwi, więc pchnęła je ramieniem i weszła do szerszego korytarza, w którym pod ścianą stało sześć wózków z ciałami w plastikowych workach. Uderzył ją zapach: silny środek dezynfekcyjny zmieszany z ciężkim słodkim odorem, który dławił gardło.

Z drzwi po prawej wyszedł wysoki smagły mężczyzna w brudnym kitlu lekarskim. Zdjął z twarzy maseczkę i patrząc na Jenny jak na miłą

niespodziankę, spytał:

— W czym mogę pomóc?

Jenny z trudem oderwała wzrok od rzędu wózków.

— Jenny Cooper, koroner dystryktu Severn Vale — przedstawiła się. — Szukam doktora Petersona.

— To ja. — Uśmiechnął się; wokół jego oczu pokazały się kurze łapki. Jenny wyciągnęła rękę.

— Miło mi pana poznać.

— Przepraszam... może najpierw się umyję. — I znów ten uśmiech, niemal chłopięcy. — Koroner, hm? Nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałem tu kogoś od was. Harry Marshall zdołał uniknąć wizyty nawet po śmierci. Może przejdziemy do mojego gabinetu?

— Oczywiście.

Peterson poprowadził ją korytarzem. Po drodze zdjął fartuch, pod którym miał koszulkę polo, i razem z maską wrzucił do kosza na pranie. Był szczupły, ale ładnie umięśniony. Otworzył drzwi, po których obu stronach stały wózki z ciałami.

— Panie przodem. — Gdy Jenny spojrzała niespokojnie na wózki, dodał: — Najlepsi pacjenci państwowej służby zdrowia. Czekają tyle godzin i nawet nie pisną.

Zdobyła się na blady uśmiech i weszła do skromnie urządzonego gabinetu z pojedynczym oknem wychodzącym na szpitalny parking. Było tu proste drewniane biurko, regały pełne książek, szafki na akta i kilka nieokreślonych obiektów pływających w słojach z formaliną. Peterson podszedł do umywalki z nierdzewnej stali i zaczął energicznie szorować ręce silnie pachnącym mydłem w płynie.

— Proszę siadać. — Wskazał ruchem głowy krzesło stojące przy biurku. — Właśnie przejęła pani gospodarstwo?

— Tak, to mój pierwszy dzień w biurze... — Jenny rozejrzała się po gabinecie i jej wzrok przyciągnął samotny obrazek na ścianie: reprodukcja przedstawiająca martwą łasicę z miniaturowym rewolwerem w łapie. — Jeśli można je tak nazwać. Mam wrażenie, że mój poprzednik trochę sobie

odpuścił.

Peterson splukał pianę z dłoni i zakręcił kran.

— No nie wiem... Harry Marshall wydawał mi się kompetentnym gościem. Wprawdzie nie widywałem go zbyt często — wyciągnął papierowy ręcznik z pojemnika — ale lubiłem z nim współpracować.

— Chyba nie był fanem procedur.

Peterson, z lekko drwiącą miną, zmiął mokry ręcznik i wrzucił do kosza. Jenny podejrzewała, że nie czuje się swobodnie w kontaktach z kobietami na stanowiskach, zwłaszcza takimi, które nie są skłonne z nim flirtować.

— Czyżby to była jakaś aluzja?

— Nie, tylko spostrzeżenie. Na początku ubiegłego miesiąca przeprowadził pan sekcję piętnastoletniej dziewczyny, Katy Taylor. Mamy już drugi tydzień czerwca, a moje biuro jeszcze nie dostało od pana raportu.

— Proszę odświeżyć mi pamięć.

— Drobną blondynką. Podejrzewane przedawkowanie heroiny.

— Już kojarzę. Tak... dość posunięty rozkład. Nazywamy takich śmierdzielami.

— Doprawdy?

— Wyniki sekcji przekazałem Marshallowi telefonicznie.

— A co pan ustalił?

— Wstrzyknęła sobie niemal czystą heroinę. Co miesiąc mam kilka takich przypadków.

— Czy to mogło być samobójstwo?

— Tego nigdy nie można wykluczyć.

— Więc Marshall miał obowiązek przeprowadzić dochodzenie. Może pan wie, dlaczego tego nie zrobił?

— Jestem tylko patologiem. Podaję koronerowi przyczynę zgonu i na tym moja odpowiedzialność się kończy.

— Moja asystentka twierdzi, że zwykle czeka na raporty z autopsji ponad trzy tygodnie.

Peterson się uśmiechnął.

— Pani Cooper... Jenny... mam wspólną sekretarkę z pięcioma innymi

lekarzami, których pacjenci wciąż oddychają. Bardzo bym chciał przysłać wam raporty szybciej, ale to nierealne. Prędeż któremuś z tych sztywniaków stanie na mój widok.

Jenny popatrzyła na niego jak na świadka unikającego odpowiedzi.

— Dlaczego nie pisze ich pan sam? — spytała.

— Gdybym miał dodatkowe trzy godziny w ciągu dnia, robiłbym to z przyjemnością.

— Więc proszę je znaleźć, bo nie podpiszę aktu zgonu, dopóki nie otrzymam raportu na piśmie.

— Proponuję, żeby załatwiła to pani z zarządem szpitala. Ja już próbowałem, Bóg mi świadkiem. — Spojrzał na zegarek. — A skoro już mowa o zarządzie, za chwilę mam spotkanie z tymi draniami. Będę musiał panią pożegnać.

— Mówiłam poważnie, doktorze. Chyba pan wie, że bez aktów zgonu ciała nie będą wydawane rodzinom.

— Co? — Peterson roześmiał się. — Chce pani zobaczyć moje lodówki? Już teraz mam po trzech klientów w każdej szufladzie.

Jenny wstała.

— Więc niech zacznie ich pan składować na parkingu. Podejrzewam, że bardzo szybko dostanie pan osobistą sekretarkę. — Posłała mu rozbrajający uśmiech. — Niecierpliwie czekam na raport.

* *

W biurze Jenny znalazła liścik od Alison: „Pojechałam po resztę rzeczy na komisariat” i cztery zgłoszenia zgonów pacjentów z Vale. Zjadła sałatkę na wynos i zajęła się nowymi przypadkami. Pierwszy, bezdomny mężczyzna, zmarł w izbie przyjęć prawdopodobnie z powodu niewydolności wątroby. Jenny wystarczająco znała się na medycynie, by wiedzieć, że opuścił ten świat, cierpiąc katusze i czekając, aż przepracowani młodzi lekarze zdecydują, który z nich wyciągnie krótszą słomkę. Drugim przypadkiem była kobieta po siedemdziesiątce, którą przyjęto z rozedmą płuc i która natychmiast złapała szpitalną infekcję. Trzeci, sześćdziesięcioletni

mężczyzna, zmarł tuż po przyjeździe do szpitala, najprawdopodobniej na zawał, a czwarta, dziewiętnastoletnia niezamężna Pakistanka, wykrwawiła się, rodząc dziecko w parku.

Jenny wyobraziła ich sobie upchniętych w lodówce doktora Petersona i nagle ogarnęło ją przerażenie: jej życie, być może przez najbliższych dwadzieścia pięć lat, będzie niekończącą się procesją zmarłych.

Z ulgą powitała dzwonek telefonu, który przerwał te rozmyślenia.

— Jenny Cooper.

W słuchawce odezwała się pewna siebie młoda kobieta.

— Tara Collins, „Bristol Evening Post”. Czy pani jest nowym koronerem Severn Vale?

— Tak. A o co chodzi?

— Dwa tygodnie temu napisałam artykuł o chłopcu, który zmarł w zakładzie wychowawczym. Nazywał się Danny Wills. Pani poprzednik prowadził dochodzenie w tej sprawie.

— Tak, wiem — potwierdziła Jenny rzeczowo. Nieufnie traktowała dziennikarzy, choć w sądzie rodzinnym bardzo rzadko miała z nimi do czynienia.

— Marshall zmarł trzy dni po tym, jak przysięgli orzekli samobójstwo.

— Zgadza się.

— Jego lekarz stwierdził — ciągnęła Collins — że przyczyną śmierci był zawał, ale o ile mi wiadomo, nie przeprowadzono sekcji zwłok.

— Obawiam się, że wiem niewiele więcej od pani — odparła Jenny ostrożnie — skoro jednak lekarz był pewien przyczyny zgonu...

— Jak mógł być pewien? Marshall miał tylko łagodną dusznicę. W lutym robił sobie EKG.

— Czego pani właściwie chce, pani Collins?

— Nie wydaje się pani dziwne, że zaledwie dwa dni po zamknięciu dochodzenia w sprawie śmierci czternastolatka w zakładzie poprawczym koroner nagle umiera i nie przeprowadza się nawet autopsji?

— Dopiero przejęłam urząd, więc sprawę Willsa znam głównie z relacji waszej gazety, która, o ile sobie przypominam, nie potraktowała tego

chłopca zbyt łaskawie.

— Moja wersja została odrzucona... — Tara Collins urwała.

Jenny czekała, co powie dalej.

— Przed rozprawą Marshall był bardzo pracowity — podjęła dziennikarka. — Przesłuchał personel zakładu, więziennych konwojentów i zespół kuratorski do spraw nieletnich przestępców. A potem nagle zakończył sprawę w ciągu jednego dnia. Wezwał tylko czterech świadków i wbrew wcześniejszej obietnicy nie pozwolił zeznawać matce chłopaka.

Jenny doskonale zdawała sobie sprawę, że wszystko, co powie, może się ukazać w wieczornej gazecie.

— Skąd pani wie o EKG Marshalla? — spytała.

— Mam swoje źródła.

— A o jego rozmowach z matką?

— Od śmierci Danny'ego jestem w bliskim kontakcie z panią Wills. Marshall obiecał jej, że wyjaśni sprawę. Początkowo regularnie relacjonował jej przebieg dochodzenia, ale na trzy dni przed rozprawą nagle zamilkł i więcej się nie odezwał.

— Cóż, może być wiele wyjaśnień. Musiałabym zajrzeć do akt, żeby wyrobić sobie zdanie. Ale jeśli rodzina nie jest usatysfakcjonowana przebiegiem dochodzenia, może szukać pomocy prawnej.

— Pomoc prawna po zamknięciu przewodu koronerskiego to fikcja, bo żaden adwokat nie zdecyduje się podważyć jego wyniku.

— Śmierć pana Marshalla była bardzo niefortunna — odparła Jenny, starając się zachować cierpliwość. — Szczerze współczuję jego rodzinie, a także rodzinie Danny'ego Willsa. Postaram się, żeby od tej pory biuro koronera było prowadzone w sposób nowoczesny, efektywny i jawny i żeby rodziny zmarłych nie miały zastrzeżeń do prowadzonych dochodzeń.

— Przeczytała to pani z kartki, pani Cooper? Bo tak to zabrzmiało. Jenny się najeżyła.

— Czy zadzwoniła pani, żeby poznać moje zdanie, czy żeby coś mi udowodnić?

Dziennikarka milczała chwilę. Kiedy się odezwała, znów panowała nad

emocjami.

— Przepraszam, nie chciałam pani urazić. Ale zajmowałam się sprawą Danny'ego i mam wrażenie, że prawda nie ujrzała światła dziennego. No i ta śmierć Marshalla...

— Co pani sugeruje?

— Nie wydaje się to pani czymś więcej niż zwykły zbieg okoliczności?

— Biorąc pod uwagę, że zmarł z przyczyn naturalnych, nie.

— Ale zachowanie Marshalla przed rozprawą było dość niezwykle.

— Nie znałam go, więc nie potrafię tego ocenić.

— Czy wznowi pani dochodzenie w sprawie Willsa?

— Sprawa jest zamknięta. To nie leży w mojej gestii.

— A paragraf trzynasty ustawy o urzędzie koronera? Może pani poprosić Sąd Najwyższy o zgodę na otwarcie nowego przewodu.

Jenny z trudem przełknęła ślinę, opanowując chęć trzaśnięcia słuchawką.

— Skoro badała pani aspekty prawne, na pewno pani wie, że taki wniosek można złożyć tylko w razie pojawienia się nowych dowodów.

— Jeżeli pani ich poszuka, może je pani znaleźć. Do widzenia, pani Cooper.

Jenny odłożyła słuchawkę na widełki, czując, jak adrenalina buzuje jej w żyłach. Jest w pracy od zaledwie kilku godzin, a jakaś dziennikarka już próbowała ją podpuścić. W sądach rodzinnych miała do czynienia z zapłakаныmi matkami i agresywnymi ojcami, ale żadna ze spraw, które prowadziła, nie wzbudziła nawet cienia zainteresowania dziennikarzy. Radzenie sobie z mediami to kolejna rzecz, której musiała się nauczyć. Tara Collins najwyraźniej szukała punktu zaczepienia, więc Jenny musiała poznać wszystkie fakty. Odszukała akta Danny'ego Willsa i zaczęła czytać.

Przysięgli uznali śmierć Danny'ego za samobójczą. Przewodniczący ławy przysięgłych napisał: „Między 2 a 4 rano denat przywiązał jeden koniec prześcieradła do kraty w oknie i stanąwszy na krześle, drugim końcem obwiązał sobie szyję, po czym kopnął krzesło, powodując swoją śmierć przez uduszenie”.

W ramach dochodzenia przesłuchano: konserwatora, który znalazł ciało; dwóch opiekunów, którzy tamtej nocy mieli dyżur w oddziale mieszkalnym; pracownika ochrony, który poświadczył awarię systemu hydraulicznego w oddziale; personel medyczny, który badał Danny'ego po przyjęciu do zakładu; dyrektorkę Portshead Farm; oraz kuratora, który zajmował się chłopcem przed wyrokiem.

Zamknięty zakład wychowawczy Portshead Farm ulokowano w szczerym polu przy ujściu Severn, w połowie drogi między Severn Bridge a elektrownią atomową Oldbury, która znajdowała się jakieś sześć i pół kilometra na wschód.

Składał się z pięciu budynków wzniesionych wokół centralnego dziedzińca i z boiska. Cały kompleks był otoczony trzyipółmetrowym betonowym murem zwieńczonym drutem kolczastym i kamerami. W pierwszym budynku znajdowała się recepcja i oddział medyczny, gdzie badano nowo przybyłych i w razie potrzeby pozostawiano na obserwację w jednej z kilku izolatek. W kolejnych czterech mieściły się: oddziały mieszkalne dla chłopców i dziewcząt, szkoła oraz stołówka, która służyła również za salę gimnastyczną. W zakładzie mogło przebywać do stu młodocianych przestępców w wieku od dwunastu do siedemnastu lat.

W niektórych krajach Europy zakłady zamknięte dla nieletnich praktycznie przestały istnieć, lecz w Wielkiej Brytanii apetyt na wsadzanie dzieci do więzień wciąż niezwykle rośnie. W poprawczakach przebywa ponad cztery tysiące nieletnich, prawie pięć razy więcej niż we Francji.

Aby poradzić sobie z rosnącą armią osadzonych, rząd utworzył Radę do spraw Przestępczości Nieletnich, która organizowała i rozstrzygała przetargi na ośrodki dla młodocianych przestępców. Portshead Farm prowadziła firma UKAM Secure Solutions, posiadająca wiele instytucji penitencjarnych w USA, a teraz również w Wielkiej Brytanii. W gestii UKAM leżało zapewnienie bezpieczeństwa personelowi więziennemu. Catering, sprzątanie, pranie, opiekę zdrowotną i edukację zlecano firmom zewnętrznym.

W nietypowym dla siebie przypływie skrupulatności Marshall napisał cały elaborat na temat życia i przestępczej działalności Danny'ego Willsa.

Chłopiec pochodził z wielodzietnej, dysfunkcyjnej i bardzo biednej rodziny. Matka, jego jedyna opiekunka, sama miała na koncie kilka wyroków za posiadanie narkotyków. Danny trafił do kartotek już jako dziesięcioletek — od tego wieku zaczynała się odpowiedzialność karna — co sugerowało, że zaczął łamać prawo znacznie wcześniej.

Miał wyroki za posiadanie marihuany, amfetaminy i cracku, za naruszenie nietykalności fizycznej, zabór mienia i zakłócanie porządku. Na miesiąc przed śmiercią dostał tak zwany zakaz zachowań społecznych i elektroniczny lokalizator, który miał go zmusić do przestrzegania aresztu domowego. Gdy po trzech tygodniach odciął lokalizator „dla zabawy”, stanął przed sądem dla nieletnich za naruszenie warunków zakazu. Chociaż zespół kuratorski rekomendował roboty publiczne, sąd skazał go na cztery miesiące w zakładzie wychowawczym.

Czwartego kwietnia Danny został przyjęty do Portshead Farm. Pielęgniarka odpowiedzialna za ocenę stanu zdrowia, siostra Linda Raven, zanotowała, że „utrudniał badanie, stawiał opór i przeklinał”, a podczas standardowej rewizji osobistej zagroził, że „się zabije”. Ze względu na potencjalne skłonności samobójcze został umieszczony w celi obserwacyjnej, ubrany tylko w gruby jednoczęściowy chałat, który Marshall opisał jako „przypominający końską derkę”. Spędził w izolatce trzy dni, a potem przeniesiono go na oddział mieszkalny dla chłopców.

Po przeniesieniu odmawiał udziału w lekcjach, został więc zdegradowany na najniższy poziom przywilejów (brązowy). Miał tylko trzy zmiany bielizny na tydzień, nie mógł oglądać telewizji i nie otrzymywał deserów. Przez sześć dni wychodził z pokoju tylko do stołówki i pod prysznic. Siódmej nocy na oddziale mieszkalnym już nie przeżył.

Na końcu, innym długopisem, Marshall zanotował, że po ogłoszeniu wyroku matka Danny'ego kilka razy dzwoniła do dyrektorki zakładu, by wyrazić swoje zaniepokojenie stanem umysłu syna, ta jednak „nie zareagowała na telefony”.

Jenny odszukała zeznanie dyrektorki. Elaine Lewis, podwójny magister filozofii i zarządzania, twierdziła, że Wills został poddany takim samym

starannym badaniom jak inni osadzeni, a na oddziale mieszkalnym pozostawał pod specjalną opieką doskonale wyszkolonych funkcjonariuszy. Żałowała, że nie odpowiedziała na „rzekome” telefony pani Wills, podkreślała jednak, że tak czy inaczej ani ona, ani nikt z jej personelu nie mógłby zrobić dla chłopca nic więcej.

Jenny zamknęła teczkę z uczuciem przygnębienia i rezygnacji, jakie ogarniały ją, ilekroć miała do czynienia z rozwydrzoną, autodestrukcyjną młodzieżą. Doskonale potrafiła wyobrazić sobie Danny’ego: agresywny, plujący jadem, lżący personel, przeżarty nienawiścią do samego siebie. Umieszczony w celi dwa na dwa metry, bez godności i ubrania, gdzie przez okienko w drzwiach podawano mu plastikowe tacki z jedzeniem, a obojętna twarz zaglądała do niego co godzinę. Jak mysz w pudełku — klaustrofobiczny koszmar.

To, co system robił z młodocianymi przestępcami, było zdaniem Jenny o wiele bardziej okrutne niż większość ich wybryków na wolności. Pozbawianie nastolatka całej miłości, wszelkich uczuć i kontaktu z drugim człowiekiem było ogromnym barbarzyństwem, którego Jenny nigdy nie potrafiła pojąć. Westchnęła ze znużeniem. Złośliwy los na samym wstępie podrzucił jej sprawę śmierci nieletniego, choć zaryzykowała całą swoją przyszłość, aby nie mieć więcej do czynienia z dziećmi.

To ci dopiero krok naprzód.

* *

Alison wróciła do recepcji, a po chwili krzyknęła zaskoczona i stanęła w drzwiach gabinetu z plikiem kartek w dłoni.

— Widziała pani, co przyszło faksem, pani Cooper? To raport z autopsji Katy Taylor.

Podawała Jenny jeszcze ciepłe kartki.

— Najwyższy czas — odparła Jenny, zerkając na końcowy wniosek doktora Petersona: przedawkowanie heroiny.

— Wątpię, żeby mu to weszło w zwyczaj. Raczej chce pani zaimponować. Co mam zrobić najpierw? Pomyślałam, że może opróżnię stare

szafki.

— Świetnie. Ale zanim pani zacznie... Dzwoniła do mnie niejaka Tara Collins z „Bristol Evening Post”. Coś pani mówi to nazwisko?

Alison zastanawiała się chwilę, wreszcie pokręciła głową.

— Pisała o sprawie Danny’ego Willsa — wyjaśniła Jenny. — Wydaje się, że sporo wie o śledztwie pana Marshalla.

— Nigdy o niej nie wspominał.

— Jaki był pani udział w tym śledztwie?

— W sumie niewielki. Przez ostatni tydzień kwietnia byłam na urlopie, mąż mi chorował. Wróciłam do pracy w dniu rozprawy.

— Jaki wydawał się pani pan Marshall?

— Całkiem normalny. No, może trochę milczący. A czemu pani pyta? Co mówiła ta reporterka?

Jenny starannie dobierała słowa:

— Odniosła wrażenie, że przeprowadził bardzo rzetelne dochodzenie, ale jeśli chodzi o samą rozprawę, to bardzo się pospieszył. Chyba widzi w tym coś podejrzanego.

— Nie lubił niepotrzebnie przeciągać rozpraw. Mówił, że to tylko sprawia ból rodzinie.

— Znała go pani lepiej niż ktokolwiek inny... Czy w tej sprawie było coś, co go niepokoiło?

— Na przykład?

— Przejrzałam tylko kilka jego teczek, ale mam wrażenie, że nad tą wyjątkowo się napracował. A ze słów matki Danny’ego, która dwa razy nagrała się na sekretarce, wynika, że czuje się zostawiona na lodzie. Pan Marshall obiecał, że pozwoli jej zeznawać, ale nie dotrzymał słowa.

— Nie sądzę, żeby składał jakiegokolwiek obietnice. To nie było w jego stylu. Okazywał krewnym współczucie, nic poza tym. Miał ogromne wyczucie w postępowaniu z rodzinami zmarłych.

— Może w tym wypadku zrobił wyjątek? Zaangażował się odrobinę bardziej niż zwykle?

— Nie wydaje mi się. Widziała pani dokumenty. Nie ma w nich żadnych

uchybień, zgadza się?

Jenny wzruszyła ramionami.

— Nic nie rzuciło mi się w oczy.

— Tak też myślałam. — Alison była dziwnie niespokojna. Temat ewidentnie jej nie leżał, Jenny wyraźnie to czuła.

— Ta reporterka chyba uważa, że w tej sprawie jest jakieś drugie dno. Odniosłam wrażenie, że zamierza drążyć dalej. Jeśli więc jest coś do wykopania, wolałabym dotrzeć do tego pierwsza.

Spojrzała Alison w oczy i nie miała już wątpliwości, że asystentka ma coś do powiedzenia.

Alison wbiła wzrok w podłogę.

— Pani Cooper, chcę, żeby pani wiedziała, że darzyłam pana Marshalla ogromnym szacunkiem. Na pierwszym miejscu stawiał ludzi. Czasem był aż za dobry. Telefon dzwonił prawie bez przerwy, pewnie dlatego, że pan Marshall był taki spokojny i wyrozumiały... Zawsze starał się zachowywać dystans, ale od czasu do czasu się angażował. Robił się zamyślony, zamknięty w sobie. Między innymi dlatego wzięłam wtedy urlop. Przez ostatnie dwa tygodnie kwietnia był zrzędlivy jak diabli. Któregoś dnia zrobił mi awanturę, a ja, niestety, nie pozostałam mu dłużna — zamilkła, powstrzymując łzy.

— Pani go bardzo lubiła, prawda? — spytała Jenny łagodnie.

Alison spojrzała na nią spod zmarszczonych brwi.

— Nie w takim sensie, pani Cooper.

— Nie chciałam niczego...

— Byliśmy przyjaciółmi, to wszystko. A wtedy po prostu działaliśmy sobie na nerwy, więc wzięłam urlop.

— A kiedy pani wróciła?

— No cóż, nic nie powiedział, ale widziałam, że mu przykro, że stracił panowanie nad sobą. Więc pracowaliśmy dalej, jakby nic się nie stało.

— Nie rozmawiał z panią o tej sprawie?

— Wspominał, jaka jest trudna. Na sali sądowej matka była bardzo wzburzona, ciągle coś wykrzykiwała. W pewnym momencie musiałam ją

wyprowadzić.

— Nie wypowiadał się na temat werdyktu?

— Powiedział tylko, że właśnie takiego się spodziewał. Moje zdanie oczywiście nie ma znaczenia, ale sądzę, że przysięgli nie mogli orzec nic innego.

Jenny rozejrzała się po brzydkim gabinecie. Zaczynała rozumieć, jak Marshall czuł się w ostatnich dniach życia. Pragnął pomóc zrozpaczonej matce, ale bał się wychylić. W domu żona i cztery córki, a do tego wszystkiego Alison, która ewidentnie miała dla niego więcej uczuć, niż wynikałoby to z kontaktów zawodowych. Mnóstwo sprzecznych emocji. Mężczyźni słabo sobie z nimi radzą.

— Jest pani całkowicie pewna, że nie było żadnego związku między tą sprawą a śmiercią pana Marshalla? — spytała.

— O jaki związek pani chodzi?

— Sama nie wiem.

— Harry chorował na serce, wszyscy o tym wiedzieliśmy. Kiedy popracuje tu pani kilka miesięcy, przekona się pani, ile mężczyzn po pięćdziesiątce umiera nagle na zawał. A co do dziennikarzy, uważam, że to wszystko kanalie. Najlepiej zignorować tę kobietę, taka jest moja rada.

— Myślę, że powinnam porozmawiać z panią Wills. Choćby po to, żeby sprawdzić, czy nic nie zostało przeoczone. — Zobaczyła, że Alison sztywnieje z oburzenia. — Oczywiście nie sugeruję...

— Mogę panią zapewnić, że pan Marshall zrobił wszystko, co było do zrobienia.

Jenny zrozumiała, że nic więcej nie uzyska.

— Na pewno ma pani rację, Alison. Domyślam się, jak trudne były dla pani te ostatnie tygodnie.

Jej pojednawczy ton sprawił, że oczy asystentki zaszyły łzami. Zawstydzona uciekła do kuchni z wymówką, że idzie zaparzyć herbatę.

Jenny, słysząc tłumiony szloch Alison, która krzątała się po kuchence, pozbyła się wszelkich wątpliwości, że coś było nie tak z dochodzeniem w sprawie Willsa.

Koroner. Ten tytuł brzmiał dumnie i zarazem wydawał się całkiem oderwany od zwykłych życiowych spraw. Ale siedząc przy biurku w atmosferze aż gęstej od bolesnych emocji, Jenny poczuła się jak dziecko, które chowa się w swoim pokoju, żeby nie słyszeć kłótni rodziców na dole.

Dlaczego życie zawsze rzuca ją w sam środek cudzych kryzysów? Czego jeszcze chce ją nauczyć?

Starła się nie wierzyć w przeznaczenie, ale sięgając po teczkę Danny'ego Willsa, czuła, że w jakiś sposób było jej to pisane; że ten zmarły chłopiec dotykał tajemniczego, martwego miejsca w jej duszy, gdzie kryła się ciemność.

Własne załamanie nauczyło ją, że nie wolno ignorować intuicji. A intuicja mówiła jej, że choć ich ciała zostały spopielone, ani młody więzień, ani Harry Marshall nie spoczywają w pokoju.

Rozdział 4

Osiedle Broadlands, gnieźdzące się między autostradą M5 na zachodzie a M4 na północy, to sieć zaniedbanych uliczek i domów z prefabrykatów, zbudowanych z niewielką troską o wygląd, a jeszcze mniejszą o wygodę przyszłych mieszkańców. Basowy pomruk ruchu samochodowego był tu wiecznie obecny i złowrogi jak odgłosy nadchodzącej burzy.

Jenny uznała, że jak na slumsy Broadlands nie jest jeszcze takie najgorsze. Jeśli wysokościewce wschodniego Londynu, Birmingham czy Glasgow uznać za siódmy krąg piekieł, to był zaledwie drugi lub trzeci — ale i tak śmierdziało tu biedą. Ani jeden dom nie był porządnie utrzymany. Śmieci fruwały na wietrze i gromadziły się pod krzakami, przygarbione dzieciaki w za dużych bluzach z kapturami sterczały na rogach, paląc papierosy; szkoły, w których powinny teraz siedzieć, były kompletnie nieistotne w ich życiu pełnym narkotyków, seksu i drobnych przestępstw.

Praktykując prawo rodzinne, odwiedziła wiele takich miejsc i zawsze szokowała ją ciasnota świata ich mieszkańców. Ulice w najbliższym sąsiedztwie uważali za swój najdalszy horyzont. A przecież kilka pokoleń

wcześniej ich przodkowie wyruszali na morze z bristolskich doków i wyrąbawali sobie drogę przez nieznaną kontynenty.

Już dawno doszła do wniosku, że to przygniatająca nuda egzystencji na takich osiedlach wysysa z ludzi życie. Nie było żadnych wyzwań, walczyć mogli tylko z prawem.

Zaparkowała pod domem Willsów, upewniła się, czy drzwi samochodu są zamknięte, i podeszła krótkim chodniczkiem pod frontowe drzwi. Małeńki trawnik zaśmiecały wyblakłe plastikowe zabawki i połamany wózek.

Drzwi otworzył kościsty mężczyzna o skórze koloru kawy i z koralikami we włosach, ubrany w złachaną koszulkę i bokserki. Na widok kobiety w eleganckim kostiumie burknął:

— Co jest? Czego pani chce? — Ciągnęła się za nim gęsta chmura dymu z marihuany.

Jenny zerknęła przez jego ramię na dwójkę białych dzieci w wieku przedszkolnym, wciąż w piżamach.

— Jenny Cooper, nowy koroner Severn Vale — przedstawiła się. — Szukam Simone Wills.

Mężczyzna wytrzeszczył na nią podpuchnięte przekrwione oczy.

— Nie ma jej.

Chciał zamknąć drzwi, ale Jenny wetknęła stopę w szparę.

— Nie obchodzi mnie, co tu palicie. Chcę z nią tylko porozmawiać. To ważna sprawa.

— Zjeżdżaj. — Chciał kopnąć jej but bosą stopą, ale nie trafił i stłukł sobie palce o futrynę. — Kurwa.

Jenny powstrzymała uśmiech.

— Kto tam, Ali? — rozległ się kobiecy głos z głębi domu. Jenny zobaczyła ją w drzwiach na końcu korytarza; chudą jak szczapa, palącą jointa.

Ali, rozcierając obolałe palce o tył gołej łydki, powiedział:

— Ta pinda coś chce od ciebie. Mówi, że jest koronerem.

— Zajmę pani tylko parę minut, pani Wills! — zawołała Jenny. — Przepraszam, że nachodzę panią w domu.

Simone zniknęła na chwilę, po czym wróciła już bez jointa. Przelazła nad dziećmi i zwróciła się do Alego:

— Zabierz ich na górę i ubierz.

Mężczyzna cofnął się posłusznie, ale spojrzenie, jakie posłał Jenny, mówiło, że jej tego nie zapomni.

Simone wyszła na próg, bosa i w wystrzępionych džinsach.

— Nie mogę pani zaprosić do środka, mam bałagan. — Rozejrzała się po ulicy, sprawdzając, czy ktoś nie patrzy. Miała sińce pod oczami, ale jakimś cudem wciąż była ładna i zgrabna; tylko luźne fałdy skóry nad paskiem wskazywały, że urodziła szóstkę dzieci. — Czego pani chce?

— Słyszała pani, że pan Marshall zmarł wkrótce po rozprawie?

— Tak. I nie powiem, żeby mnie to zmartwiło.

Przeczesała palcami tlenione włosy.

— Odsłuchałam wiadomości, które nagrała pani na jego sekretarce — ciągnęła Jenny. — Nie oddzwonił do pani?

Simone pokręciła głową.

— Nie chciał mnie znać. Przed rozprawą obiecywał cuda na kij, a potem nic. Nawet nie pozwolił mi zeznawać w sądzie.

— A co by pani powiedziała?

— To, co mu ciągle powtarzałam. Że dzwoniłam do zakładu tego dnia, kiedy Danny umarł. Dzwoniłam do nich pięć razy, żeby powiedzieć, że z nim jest naprawdę źle. Nigdy przedtem nie siedział. Wiedziałam, że tego nie wytrzyma.

— Czy pan Marshall pytał o te telefony dyrektorkę zakładu, kiedy zeznawała na rozprawie?

— Tak. Twierdziła, że o nich nie wiedziała, że pewnie odbierała je sekretarka.

— Więc to z sekretarką pani rozmawiała?

— Pewnie tak.

— Czy dyrektorka powiedziała pani, że nawet gdyby ona odebrała te telefony, Danny nie byłby traktowany inaczej?

— Tak. To suka. Pieprzona, twarda suka. Ubrana jak pani. Czego pani

właściwie chce?

— Może porozmawiamy w jakimś wygodniejszym miejscu? — zaproponowała Jenny. — Postawię pani kawę. Może włoży pani buty?

* *

Simone wybrała sieciową kawiarnię w centrum handlowym przy Cribbs Causeway. Jenny, idąc za nią alejkami i po schodach, pomyślała, że ta kobieta nie zgubiłaby się nawet z zawiązanymi oczami. Simone przystawała przed niemal każdą wystawą. Obejrzała nową sezonową kolekcję w Next, a potem jakieś kolorowe plastikowe kule w sklepie z gadżetami — głośniki do iPod'a, o których, jak wyjaśniła, marzy Ali. Powiedziała, że w zasadzie nie jest jej chłopakiem, raczej kolegą. Dopiero się poznają i nie jest do końca pewna, czy Ali lubi dzieci.

Przystając przed witryną sklepu z bielizną, wyznała, że czuje się jak inny człowiek, kiedy uda jej się wyrwać samej z domu.

Jenny kupiła im cappuccino i muffinki w Soho Coffee, kawiarni, której wystrój miał udawać Manhattan. Usiadły naprzeciwko siebie we wnęce pod wielkim posterem z Empire State Building. Simone starannie zgarnęła łyżeczką piankę ze swojej kawy. Wyraźnie się nią delektowała.

Powiedziała Jenny, że Danny był jej najstarszym dzieckiem. Jego ojca, Trynidadczyka z Saint Paul's, poznała, mając piętnaście lat. Gdy zaszła w ciążę, musiała się wyprowadzić z domu i zamieszkać samodzielnie. Starła się dobrze wychować syna, ale kolejni faceci okazywali się porażką, a Danny źle znosił zmiany. Uspokoił się na jakiś czas, kiedy wyszła za ojca swojego czwartego dziecka, ale Jason, teraz już eksmaż, uzależnił się od cracku i ciągle lądował w więzieniu. W domu znów nie było mężczyzny i Danny zadał się z chłopakami z osiedla, którzy ciągle chodzili kraść. Już jako dziewięciolatek był zbyt silny, żeby zdołała go powstrzymać, kiedy chciał wyjść. W domu miała piątkę młodszych dzieci, więc co mogła zrobić?

Danny lądował przed sądem przeważnie za drobiazgi. Nie był zły, po prostu chciał zaimponować innym chłopcom. Inaczej dostawałby od nich lanie. Problem w tym, że wpadał w panikę, kiedy go zamykali, i przyznałby

się do wszystkiego, byle tylko wyjść z aresztu. Policja to wykorzystywała; połowa jego kartoteki to rzeczy, których nigdy nie zrobił.

Gdy sąd skazał go na areszt domowy, bał się, że koledzy uznają go za pedała, bo ciągle siedzi w domu. Któregoś dnia wrócił ze szkoły z podbitym okiem i dwoma wybitymi zębami i cały wieczór nie chciał wyjść z pokoju. To wtedy odciął sobie lokalizator. Następnego ranka został zatrzymany. Był przerażony po weekendzie spędzonym w areszcie. Nigdy by się do tego nie przyznał — ale dwie noce za kratkami nauczyły go trochę moresu. Simone miała nadzieję, że Danny się opamięta. Justin, pracownik socjalny z zespołu kuratorskiego, mówił, że pewnie skończy się na robotach publicznych albo na kuratorze. Niestety, sędzia postanowił zamknąć go w poprawczaku. Adwokat Danny'ego powiedział, że tylko po to, żeby chłopaka nastraszyć. I nastraszył. To wtedy zaszła w nim ta zmiana.

— Jaka zmiana?

— Zrobił się cichy, nie odzywał się do Alego ani do mnie i ciągle się kłócił z młodszymi braćmi. Strasznie dużo palił, głównie papierosy, ale i trochę trawki. Widziałam też, że zaczął się przypalać.

— Papierosami?

— Tak. Miał takie małe okrągłe ślady na całych rękach, przedramionach.

— Nie próbowała pani go powstrzymać?

— Próbowałam. Uderzył mnie. Nigdy wcześniej tego nie robił. Ali się wtrącił i też go walnął. O mało nie złamał mu nosa. To było dzień przed wyrokiem. Musiałam mu zagrozić glinami, żeby znowu nie uciekł z aresztu domowego. Odbijało mu, ale to pewnie dlatego, że się bał.

— Czego?

Simone wbiła wzrok w stół i zaczęła przesuwac łyżeczką rozsypane na blacie ziarenka cukru.

— Nikt nie rozumiał, że Danny to był tylko dzieciak. Bił się i przeklinał, ale on po prostu chciał, żeby wszystko było normalnie... A ja nigdy mu tego nie dałam. — Uniosła ciemnozielone oczy. — Wiedział, że nie wytrzyma w zakładzie. Ta myśl go przerażała.

— Była pani w sądzie, kiedy ogłoszono wyrok?

— Oczywiście. — Odłożyła łyżeczkę na spodek. — Danny nie odezwał się ani słowem. Próbowałam się z nim zobaczyć, zanim go wsadzili do furgonetki, ale powiedzieli, że nie wolno — przerwała i wytarła oczy grzbietem dłoni. — Wiedziałam, że dzieje się z nim coś złego. Że spróbuje zrobić sobie krzywdę... Po prostu wiedziałam.

Jenny podała jej czystą serwetkę i poczekała, aż wydmucha nos. Myślała o dyrektorze Portshead Farm. Wyobraziła sobie, jak Elaine Lewis mówi sekretarce, że nie będzie odbierać telefonów od matek. Niezameżna kobieta na najniższym szczeblu korporacyjnej drabiny. Zamknięty zakład wychowawczy pewnie był jej szansą: miała prowadzić go przez powiedzmy dwa lata, mieszcząc się w budżecie, a potem dostać awans i postarać się o dziecko, dopóki jeszcze będzie mogła zająć w ciążę.

Kiedy Simone przestała płakać, Jenny zapytała ją, czy widziała się z synem albo chociaż rozmawiała z nim podczas jego pobytu w Portshead Farm.

— W pierwszy weekend mi nie pozwolili, powiedzieli, że jest na obserwacji. Więc zapisałam się na odwiedzinę na następną sobotę, czternastego. Justin powiedział, że dzieciaki mogą dzwonić do domu, ale karta telefoniczna jest przywilejem, na który trzeba zasłużyć. To dlatego Danny nie zadzwonił przez cały tydzień.

— Więc nie mieliście żadnego kontaktu?

Simone potwierdziła.

— Czy Danny wiedział, że ma pani przyjść w sobotę?

— Nie mam pojęcia. Nikt nie potrafił mi powiedzieć... Ale chyba nie zrobiłby tego w piątek w nocy, gdyby wiedział.

— Dlaczego pani tak sądzi?

Simone zaczęła skręcać chusteczkę w palcach.

— Nie potrafię tego wytłumaczyć. Po prostu czuję, że nie zrobiłby tego, gdyby nie czuł się taki samotny. Jeśli pani ma dzieci, na pewno rozumie pani, o co mi chodzi.

— Mam nastoletniego syna — powiedziała Jenny, ale nie dodała, że wolał zamieszkać z ojcem.

Wracając do rzeczy, zapytała Simone, kiedy Marshall skontaktował się z nią po raz pierwszy. Simone odparła, że w sobotę przed południem, jakąś godzinę po tym, jak policjanci przyszli do domu powiedzieć jej, że Danny nie żyje. Pamiętała z tej rozmowy tylko tyle, że koroner mówił coś o sekcji zwłok. Dopiero w poniedziałek rano wpuścili ją do szpitalnej kostnicy, żeby zobaczyła ciało. Nawet nie ubrali Danny'ego w jego własne rzeczy. Był w ohydny granatowym kombinezonie, który dali mu w Portshead.

We wtorek spotkała się z Marshalllem w jego biurze. Sprawiał wrażenie, że bardzo jej współczuje. Sam zaparzył kawę i zadawał mnóstwo pytań o przeszłość Danny'ego o to, jak wylądował w zakładzie. Potem powiedział, że w Portshead Farm powinni byli otoczyć tak młodego chłopca szczególną opieką, i zapewnił że nie spocznie, dopóki się nie dowie, co się działo od wyroku do chwili jego śmierci.

— Spotkaliście się ponownie przed rozprawą?

— Nie, ale Marshall dzwonił do mnie kilka razy i mówił, że robi postępy.

— Podawał jakieś szczegóły?

— Powiedział, że wszystko wyjdzie na rozprawie. Obiecał, że postara się o sprawiedliwość dla Danny'ego.

— Użył właśnie takich słów?

— Tak. I powiedział, że będę mogła zeznać o tych telefonach.

— I co dalej?

— Więcej się nie odezwał.

— Domyśla się pani, dlaczego?

Spojrzenie Simone powędrowało poza kawiarnię, w stronę sklepów.

— W gazetach zaczęli wypisywać, że byłem złą matką i różne inne bzdury. Dziennikarze ciągle do mnie dzwoniли. Jeden zapytał, czy to prawda, że Danny urodził się naćpany, inny twierdził, że kłamałam w sprawie swojego wieku i że zaszłam w ciążę, kiedy miałam trzynaście lat. Zmyślali na potęgę.

— Kiedy dokładnie zaczęły się te telefony?

— W połowie tamtego tygodnia.

— Ale Marshall o nich nie wiedział.

Simone tylko wzruszyła ramionami.

To nie ma sensu, pomyślała Jenny. Dlaczego Marshall najpierw przejął się sprawą, a potem wycofał w taki sposób?

— Do mojego biura zadzwoniła dzisiaj dziennikarka, niejaka Tara Collins — powiedziała. — Odniosłam wrażenie, że jest po pani stronie.

Simone się rozchmurzyła.

— Tak, ona jest w porządku. Przynajmniej przyszła ze mną porozmawiać.

— Uważa, że na rozprawie nie odpowiedziano na wiele ważnych pytań.

— Na nic nie odpowiedziano. W półtora dnia było po wszystkim.

Jenny patrzyła przez chwilę na zmęczoną twarz Simone; w ostrym jarzeniowym świetle było widać każdą krostkę. Zależna od opieki społecznej, przypalająca trawkę matka szóstki dzieci, dla której najlepszą rozrywką była wyprawa do centrum handlowego, mogła nie budzić sympatii. Ale zasługiwała na wyjaśnienie sprawy, na odrobinę spokoju ducha.

— Simone, chcę panią o coś zapytać i proszę, żeby się pani dobrze zastanowiła nad odpowiedzią. Czy uważa pani, że ława przysięgłych miała rację, orzekając, że to było samobójstwo?

Simone była wyraźnie zdumiona pytaniem.

— A co innego mogło być?

— Widzi pani, zadaniem koronera jest ustalenie przyczyny śmierci. Kiedy orzeczenie zostanie już wydane, trzeba bardzo ważnego powodu, zwykle nowych dowodów, żeby wznowić dochodzenie. A nawet wtedy konieczna jest zgoda Sądu Najwyższego. Gdyby okazało się, że pan Marshall poprowadził tę sprawę nierzetelnie, albo gdyby wypłynęły jakieś nowe fakty, zrobiłabym wszystko, co w mojej mocy.

— Więc nic pani nie zrobi?

— Zgadza się pani, że Danny popełnił samobójstwo. Co zatem chce pani ustalić?

— Dlaczego był sam. Dlaczego nie pozwolono mu porozmawiać z matką. Dlaczego przez trzy dni trzymali go w celi bez ubrania. Dlaczego mnie nie słuchali, kiedy im mówiłam, co może się stać...

To były sensowne pytania, ale Jenny potrzebowała nowych dowodów, a

nie miała pretekstu, by inwestować czas i pieniądze w ich szukanie. Jedyne, co miała, to dziennikarkę szukającą sensacji.

— Już wiem, co zrobię — powiedziała. — Przejrzę akta Danny'ego i zrobię listę pytań, które pan Marshall powinien był zadać, a nie zadał. Od tego zaczniemy.

Simone spojrzała na nią obojętnie.

— Jak pani chce.

* *

Na Severn Bridge Jenny opuściła szybę w samochodzie, pozwalając, by ciepły wiatr rozwiewał jej włosy. Minęła ujście rzeki i teraz jechała wąską drogą z Chepstow do Tintern, wijącą się przez porośnięty lasem wąwóz. Czuła uniesienie, jakie daje zanurzenie się w przyrodzie u szczytu witalności. Lipiec i sierpień to miesiące dojrzewania i schyłku; czerwiec jest zenitem życia. Między drzewami rosnącymi przy drodze widziała gęsty las w głębi doliny — falujące morze we wszystkich odcieniach zieleni.

Jadąc na noc do domu, czuła się lekka i wyzwolona. Simone Wills i wszyscy zmarli zostali w bezpiecznej odległości po drugiej stronie pięciokilometrowej połaci wody. W innym kraju. W innym świecie.

Właśnie nad takim odcięciem się od spraw zawodowych po całym dniu pracowała z doktorem Travisem. Powiedział jej, że tak jak wiele innych kobiet jest perfekcjonistką, która nie spocznie, dopóki wszystko nie będzie w idealnym porządku. A że jej praca była ciągle walką z chaosem, niezalutowanymi sprawami i niejasnymi sytuacjami, wcześniej czy później musiała załamać się pod presją. Travis nauczył Jenny technik radzenia sobie z poczuciem winy. Nauczył ją odnieść się do tego, że nie jest niezastąpiona i nie ponosi odpowiedzialności za wynik każdej sprawy.

Mimo tych wysiłków głęboko zakorzeniony niepokój i niechciane katastroficzne myśli sączące się z podświadomości nie chciały zniknąć. Nie uleczył jej rozwód, nie uleczyło odcięcie się od stresów prawa rodzinnego. Mogła tłumić lęki za pomocą pigułek, mogła pławić się w bujnej wiejskiej przyrodzie, ale korzenie jej problemu — choć głęboko ukryte — mocno tkwiły

w miejscu.

Próbując skupić się na chwili, jak uczył ją doktor Travis, skręciła do Tintern i patrzyła na klasztor nad rzeką, rzucający majestatyczny cień na łąkę. Z budynku pozostały ruiny — bo przed niemal pięciuset laty Henryk VIII kazał go zniszczyć — ale nieodmiennie ją inspirowały. Nawet autokary i samochody rojące się wokół opactwa w letnie weekendy nie niweczyły jego urody. Jeśli ta budowla zdołała przetrwać wszystkie przeciwności, to i ona może.

* *

Podziwiając widok, Jenny przez chwilę czuła spokój i lekkość, jakich nie potrafiły dać żadne pigułki.

Przy hotelu Royal George skręciła w lewo i przejechała trzy kilometry pod górę, jednopasmową serpentyną obrzeżoną wiekowymi żywopłotami. W końcu dotarła do Melin Bach (po walijsku „stary tartak”) — kamiennego domku z dwiema sypialniami, który bez zastanowienia kupiła na aukcji i do którego wprowadziła się dwa tygodnie temu. Poprzednia właścicielka, osiemdziesięcioletnia panna Preece, mieszkała tu całe życie i niewiele zmieniła w domu od śmierci ojca przed kilkudziesięciu laty.

Od frontu znajdował się zarośnięty ogród, pełen malw, mizernych krzaków lawendy i zapuszczonych róż, rywalizujących z chwastami i półmetrową trawą. Jenny nie znalazła jeszcze czasu na walkę z zielskiem. Niski kamienny mur, oddzielający ogród od drogi, wymagał naprawy, a podjazd — kawałek gruntowej drogi, którą kiedyś wozy zajeżdżały pod dom — był tak nierówny, że przejście po nim w szpilkach groziło skręceniem kostki.

Za domem znajdowały się niewielki splechetek zapuszczonego trawnika, pozostałości po ogrodzie warzywnym i kamienny budynek bez dachu wzniesiony tuż nad strumieniem — niegdysiejszy tartak. Do początku lat pięćdziesiątych, jak powiedział Jenny sąsiad, ojciec panny Preece obsługiwał koło wodne napędzające piłę tartaczną, przerabiając dęby i buki z okolicznych lasów na tarcicę. Konie ciągnęły wozy stromą dróżką i piły wodę

z potoku. Zardzewiałe żelazne pierścienie, do których je przywiązywano, wciąż tkwiły w kruszącej się zaprawie ścian budynku.

Jenny zamierzała przywrócić gospodarstwo do dawnej świetności. Wyplewi chwasty, będzie uprawiać warzywa i uruchomi koło wodne, żeby zasilalo dom w prąd (koło łóżka miała już stertę książek w rodzaju *Życie bez prądu* czy *Przydomowa elektrownia — przewodnik dla małych gospodarstw*). A kiedy już to zrobi, będzie egzystować w dwóch różnych światach: w mieście, otoczona ludźmi i ich problemami, i tutaj, rozkoszując się spokojem i owocną pracą fizyczną.

Czy będzie dzielić z kimś życie i czy odnajdzie jego prawdziwy sens — to były kwestie na później. Teraz wciąż dochodziła do siebie po nieudanym małżeństwie i próbowała uwolnić się od leków. Musi cieszyć się chwilą i osiągnięciami każdego dnia i hołubić nadzieję, że kawałki jej rozbitego życia w końcu ułożą się na nowo w sensowną całość.

Z głową pełną optymistycznych myśli przekręciła wielki żelazny klucz w zamku i weszła do domu, który przywitał ją zapachem drzewnego popiołu z kominka i dodającą otuchy solidnością kamiennej podłogi.

Dom był niewielki, ale sufity były wystarczająco wysokie, by rosty mężczyzna nie musiał się schylać pod belkami, a okna na tyle szerokie, że w środku nigdy nie było ciemno. Wąskie schody naprzeciw drzwi wejściowych prowadziły do dwóch sypialni i łazienki na piętrze. Dawna bawialnia, którą Jenny zdążyła już przerobić na gabinet, znajdowała się po lewej stronie. Z prawej był przytulny salonik, z którego przechodziło się do kuchni, wyposażonej w porcelanowy zlew, solidne sosnowe szafki i opalaną koksem kuchenkę. Pralka przy kuchennych drzwiach była jedynym ustępstwem na rzecz nowoczesności. W przyszłości Jenny zamierzała połączyć salon i kuchnię w jedno pomieszczenie i dobudować oranżerię, ale na razie staroświecki układ domu miał w sobie coś, co sprawiało Jenny frajdę: jej były mąż, ambitny, nietolerancyjny chirurg kardiolog, nie cierpiałby tutaj wszystkiego. Stary, zaniedbany, niewygodny dom byłby sumą jego wszystkich lęków. Jak można podziwiać przeszłość? — powiedziałyby. Była śmierdząca, pełna chorób i człowiek miał szczęście, jeśli dożył czterdziestki.

David zawsze chciał mieszkać na przedmieściach, w nowoczesnym domu, z wymienionym co roku autem na podjeździe. Jego definicją rajy było żyć w nieskończoność w środowisku wolnym od zanieczyszczeń. Jenny wciąż nie mogła pojąć, dlaczego aż szesnaście lat małżeństwa zajęło jej zrozumienie, że dla niej to była definicja piekła.

Zostawiła aktówkę w gabinecie, wbiegła na górę, żeby przebrać się w dzinsy i starą koszulę, po czym poszła szukać kieliszka hiszpańskiego wina i resztek wieczornego słońca.

* *

Siedziała, sącząc wino, przy starym, heblowanym stole, który wysunęła na środek trawnika — z tego miejsca widać było zachód słońca nad Barabadoes Hill. Słuchała gołębi grzywaczy gruchających w kasztanowcu za tartakiem i pluskania potoku na kamieniach. Nie mogła uwierzyć we własne szczęście. Jeszcze niecałe trzy tygodnie temu jej domem było wynajęte mieszkanie na nowym osiedlu niedaleko Aztec West, na obrzeżach Bristolu.

Kiedy już uporządkuje zapasową sypialnię, będzie musiała ściągnąć tutaj Rossa. Na pewno mu się tu spodoba, kiedy już przywyknie do ciszy. Wkrótce miał zdawać końcowe egzaminy w gimnazjum, więc przez ostatnie dwa tygodnie nie widywała się z synem zbyt często. Od czasu, kiedy rozstała się z jego ojcem, spędził parę weekendów w jej mieszkaniu, ale nudził się i ciągle się kłócili. Postanowiła więc poczekać do lata, żeby na nowo ocenić sytuację. Była pewna, że kiedy Ross zobaczy Melin Bach, zamieszka z nią. Mogła go podrzucać do liceum, jadąc do pracy, i przywozić do domu wieczorami. W przeciwieństwie do jego ojca nie miałyby nic przeciwko temu, żeby zapraszał dziewczyny czy od czasu do czasu wypił piwo. Mogliby tu spędzać więcej czasu razem i wreszcie poznać się lepiej.

Na myśl o Rossie ogarnął ją smutek pomieszany z nieodwzajemnioną tęsknotą. Zwykle nie dzwoniła do niego w poniedziałki — rozmawiali w środy i piątki o ósmej — ale nie chciała czekać tak długo. Chciała powiedzieć synowi o swojej nowej pracy i że już nie może się doczekać, kiedy ją odwiedzi. Nie mogła wyjść na zdesperowaną — on tego nie cierpiał — ale

przecież na pewno chętnie wysłucha dobrych nowin.

Trzeci kieliszek wina dodał jej odwagi. Przyniosła z domu telefon i zadzwoniła na jego komórkę. Po kilku sygnałach włączyła się poczta głosowa. Niech to szlag. Mogła spróbować na stacjonarny, ale pewnie odbierze David i uraczy ją kolejną porcją przyciężkiego sarkazmu.

No i co z tego? Po prostu odpowie mu tym samym.

— Halo? — odezwał się nieznajomy kobiecy głos.

— Czy zastałam Rossa? — spytała Jenny.

— Zaraz sprawdzę — odparła kobieta. Była młoda, ale raczej nie nastolatka.

Jenny usłyszała, jak odkłada telefon i woła Rossa — nie tak, jak wołałaby jego dziewczyna, lecz jakoś niepewnie, a potem głos Davida i pospieszną rozmowę między nimi, której nie mogła zrozumieć. W końcu David sięgnął po słuchawkę.

— Jenny?

— Próbowałam się dodzwonić do Rossa, ale ma wyłączoną komórkę. — Starła się zachować spokój.

— Poszedł na noc do Maksa. Jutro mają test z matematyki. Powtarzają razem materiał, a przynajmniej Ross tak twierdzi.

— Okej. Spróbuję później.

— Mam nadzieję, że pamiętasz o środowej wywiadówce? Spodziewamy się ciebie. — Podejrzewała, że takim samym tonem mówi do swoich podwładnych w sali operacyjnej. Na pewno go nie cierpią.

— Przyjdę. — Nie mogła się oprzeć. — Kto odebrał telefon?

Chwila ciszy.

— Debora. Jeszcze się nie spotkałyście. Ale na pewno się poznacie.

— Wydaje się bardzo młoda. Pielęgniarka?

A kim innym mogła być? David od prawie dwudziestu lat nie miał żadnych znajomych poza szpitalem.

Westchnął niecierpliwie.

— Mam prawo mieć swoje życie, a ty swoje. Zatem do zobaczenia w środę.

— Przejęłam dzisiaj biuro koronera.

— Świetnie. Mam nadzieję, że odniesiesz sukces.

Wiedziała, że nie powinna się unosić, ale był tak nadęty, że miała ochotę go kopnąć.

— Jeśli będę choć w połowie tak dobra w mojej pracy, jak ty w zaciąganiu dziewczyn do łóżka, na pewno odniosę sukces.

— Musisz żyć dalej, Jenny — odparł.

I rozłączył się. Lekceważąc ją, jakby była nikim.

Rzuciła słuchawkę, przeklinając go z oczami pełnymi łez. Wychyliła resztę wina, wściekła, że David wciąż tak na nią działa. Przecież nie czuje do niego już nic prócz nienawiści.

— Dobry wieczór.

Podniosła wzrok i zobaczyła nieznanego mężczyznę, zbliżającego się ścieżką za domem.

— Pani Cooper?

— Tak. — Wytarła oczy. Cholera. Jeszcze tylko gości jej trzeba do szczęścia.

Mężczyzna szedł w jej stronę, brodząc po kolana w pokrzywach. Miał około czterdziestki i wyblakłą czerwoną koszulę wypuszczoną na dzinsy. Był nieogolony, a ciemna opalenizna wskazywała, że dużo czasu spędza na świeżym powietrzu.

— Steve Painter — przedstawił się. — Mieszkam za wzgórzem, przy Catbrook Way. Mike z Apple Tree powiedział, że może pani szukać ogrodnika.

— Tak? A kto to jest Mike?

Wy dostał się z zielska na niższą trawę i rozejrzał po ogrodzie. Był całkiem przystojny. Wysoki, płaski brzuch, szerokie ramiona.

— To gość, który wie wszystko o wszystkich. Tutaj plotki rozchodzą się szybciej, niż sobie pani wyobraża. — Spojrzał na nią. — A ogrodnik chyba by się pani przydał. Nie biorę dużo. Dwa dni wystarczą, żeby odwalić to, co najpilniejsze.

Jenny próbowała sobie uświadomić, co w tym obcym mężczyźnie ją zaskoczyło. Chyba jego sposób mówienia, łączący miejscowy akcent ze

słownictwem znamionującym osobę wykształconą. I to, jak na nią patrzył — grzecznie, ale nie z niższością.

— Ile to jest niedużo?

— Dziewięć funtów za godzinę.

— Ile?

— Siedem pięćdziesiąt.

— No dobrze. Kiedy pan chce zacząć?

— Jutro rano. Może być koło ósmej?

— Okej. Obawiam się, że nie mam wiele narzędzi.

— Nic nie szkodzi. Mogę przywieźć wszystko, co mi będzie potrzebne.

— Świetnie. — Jenny zastanawiała się, kim jest człowiek, którego właśnie zatrudniła. Mógł być kimkolwiek. Nigdy nawet nie była w Apple Tree.

— Ma pan jakieś referencje? Kogoś, kto za pana poręczy, jeśli zadzwonię?

Uśmiechnął się i podrapał po głowie. Włosy miał piaskowobrazowe, rozjaśnione słońcem.

— Ktoś, kogo nie okradłem? Niech pomyślę... Może pani zadzwonić do Mike'a.

Wzięła telefon.

— Jaki jest numer?

Wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia. Nie używam takich gadżetów.

— Nie ma pan telefonu?

— Nie. Próbuję wyżyć z kawałka ziemi. I jest całkiem okej, dopóki człowiek nie musi zapłacić podatku gruntowego albo nie zachce napić się piwa.

— Brzmi ambitnie. Co pan uprawia?

— To i owo. Ale nie chcę pani przeszkadzać. Do zobaczenia rano.

Odwrócił się, żeby odejść.

— Wychodzę do pracy za piętnaście ósma — uprzedziła Jenny.

— To dobrze, lubię zaczynać wcześnie. Miłego wieczoru. — Uniósł rękę, pomachał jej leniwie i oddalił się tą samą drogą, którą przyszedł, znikając za węglem domu.

Jenny usłyszała silnik, który zakaszał i zaskoczył z ociąganiem. Samochód musiał być wiekowy. Widziała go przez moment w przerwie żywoplotu, kiedy odjeżdżał szosą: land-rover bez dachu, z bystrookim owczarkiem na pace.

Nalała sobie kolejny kieliszek i sącząc wino, patrzyła na zachodzące słońce i jesiony poruszane wietrzykiem. Myślała o swoim nowym ogrodniku. Jaki inteligentny młody człowiek mieszka w lesie, bez pieniędzy i telefonu? Jaka kobieta chciałaby dzielić z nim życie? Mieszkała na wsi od zaledwie dwóch tygodni, a już nauczyła się dwóch rzeczy: że choćby twój dom stał w największej głuszy, nie istnieje coś takiego jak prywatność, i że ludzie tutaj są bardziej skomplikowani i interesujący, niż myślała. Mając wokół siebie tyle przestrzeni, mają także więcej wolności, by być sobą.

* *

Planowała położyć się o wpół do jedenastej, ale jej myśli uparcie krążyły wokół wydarzeń dnia. Wiedziała, że zaśnie bez pigułek, po których rano byłaby przymulona, usiadła więc w gabinecie, włączyła elektryczny grzejnik i wyjęła z aktówki teczkę Danny'ego Willsa i Katy Taylor.

Przeglądając ponownie akta Danny'ego, zaczęła rozumieć, dlaczego Marshall zaangażował się w sprawę, po czym stopniowo stracił do niej serce. Wszyscy — od pracownika socjalnego po dyrektorkę Portshead Farm — rzetelnie wykonali swoje obowiązki i zakreślili właściwe okienka w formularzach. Fakt, że niezrównoważony czternastolatek powiesił się, przebywając pod opieką państwa, był szokujący, ale trudno było o to obwinie kogoś konkretnego.

Jenny chciała znaleźć jakiś punkt zaczepienia, ale na podstawie zgromadzonego materiału trudno było wychwycić, kto popełnił błąd — jeśli nie liczyć rządu, który w ogóle dopuszczał, żeby dzieci trafiały do więzień.

Simone Wills też nie była bez winy. Ile razy przez tych czternaście lat Danny poczuł, że zależy jej na nim bardziej niż na wypaleniu skręta czy na wypiciu paru piw z nowym gachem? Może i Marshall doszedł do takich wniosków? Nastawił się, że narobi szumu, a potem zrozumiał, że jedyna

osoba, która mogłaby mieć wpływ na życie chłopaka, sama była straconym przypadkiem, i że musiałby wskresić Danny'ego, aby uzyskać dla niego sprawiedliwość.

Z tą przygnębiającą konkluzją zakonotowała sobie, że musi skontaktować się z żoną Marshalla i zapytać ją, co mąż myślał o tej sprawie. Nie wiedziała, co oprócz tego mogłaby zrobić.

Jeśli chodzi o Katy Taylor, mogła przynajmniej naprawić konkretne uchybienie proceduralne. Oczywiście postara się być bardzo taktowna wobec jej rodziców, ale musi otworzyć przewód sądowy. Nowe wytyczne zobowiązywały koronera do działania przede wszystkim w interesie publicznym, a nie w interesie rodziny.

Po raz drugi tego dnia przeczytała policyjny raport napisany przez posterunkową, która nie miała pojęcia, gdzie należy wstawiać przecinki i duże litery. Policjantka wspomniała, że bliżej nieokreślona „miejskowa młodzież” podejrzewała, iż Katy prostytuowała się, by zdobyć pieniądze na narkotyki, i że dostawała już pouczenia za posiadanie marihuany oraz kradzieże w sklepach. Nie było w tym nic niezwykłego, ale posterunkową nie starała się wyjaśnić, w jaki sposób dziewczyna wylądowała dziesięć kilometrów od domu ze strzykawką pełną hery — większość ćpunów dałaby sobie w żyłę w najbliższej ciemnej uliczce. Na dodatek Katy miała sandały na szpilkach, więc niemożliwe, żeby dotarła tam pieszo. Nawet najgłupszy policjant musiał podejrzewać, że została przez kogoś przywieziona w odludne miejsce.

Ale fakt, że raport milczał na ten temat, nie zaskoczył Jenny. Policja z okrojonym budżetem wołała inwestować w sprawy, które mogły wzbudzić zainteresowanie mediów. Gdyby w krzakach znaleziono zwłoki kogoś ważnego, wysłano by pełną ekipę kryminalistyczną, a gładko ogolony inspektor co godzinę składałby sprawozdania na użytek dziennikarzy. Bezimienna denatka, której rodzice byli zadowoleni, że ich rozpacz nie nadaje się do telewizji, dostała niepiśmiennego krawężnika.

Jenny zamknęła teczkę z postanowieniem, że dowie się, z kim Katy była przed śmiercią. Jeśli policji się to nie spodoba, trudno.

* *

Spała fatalnie. Na dworze puszczyk przekrzykiwał się z lisem, którego wrzaski brzmiały jak płacz dziecka. Śniło jej się, że jest w domu swojego dzieciństwa, sparaliżowana wściekłymi krzykami i trzaskaniem drzwiami; we śnie wbiła kciuki w uszy i naciskała dłońmi powieki, aż zobaczyła gwiazdy.

Koszmary męczyły ją całą noc; zerwała się przerażona, gdy morderca bez twarzy wyjął nóż i wbił go w jej brzuch. Padła na poduszkę z sercem walącym jak oszalałe i spojrzała na zegarek. Dochodziła siódma. Gdy oprzytomniała, usłyszała metaliczne pobrzękiwanie dobiegające zza okna.

Wyskoczyła z łóżka, pobiegła do okna i odsunęła brzeg rolety. Steve, odwrócony plecami do niej, właśnie kończył ostrzyć kosę. Sprawdził krawędź kciukiem i zaczął kosić chwasty szerokimi, swobodnymi pociągnięciami. W jego postawie nie było ani śladu napięcia.

Rozdział 5

Dzięki Ci, Panie, za temazepam. Gdy dojechała do biura, zastała Alison dyrygującą tragarzami, którzy wnieśli już szafki na akta, a teraz zapelniali recepcję pudłami pełnymi dokumentów.

Ledwie przekroczyła próg, asystentka zwróciła się do niej i oznajmiła:

— Mówiłam pani, że nie ma gdzie tego wszystkiego upchnąć.

— Wynajmiemy jakieś pomieszczenie i zarchiwizujemy to, co nam nie będzie potrzebne.

— A kto za to zapłaci?

— Jakoś było z czego płacić za pokój na komisariacie. — Jenny wzięła swoją pocztę z tacki na biurku Alison. — Mogę prosić na słówko?

Alison wydała tragarzom jakieś instrukcje i ruszyła za nią do gabinetu.

— Skoro już mowa o komisariacie — powiedziała — to nadinspektor był, oględnie mówiąc, zaskoczony, że pani mnie przynosi. Uważaliśmy to za układ wygodny dla obu stron. Byli koledzy zawsze mi pomagają.

— A co z tego mają? — odparowała Jenny.

— Przez te lata pan Marshall i ja zdemaskowaliśmy kilku morderców, którzy inaczej nigdy by nie trafili w ręce sprawiedliwości. Mężczyznę, który otruł żonę insuliną, dziewczynę, która udusiła swoje dziecko...

— Różnica między policjantem a koronerem jest taka — weszła jej w słowo Jenny — że policjant stara się doprowadzić do oskarżenia, a koroner dotrzeć do prawdy. Jedno niekoniecznie musi się pokrywać z drugim.

— Pracowałam w policji przez dwadzieścia lat i nigdy nie spotkałam się z fałszywym oskarżeniem.

— Ale czy zawsze docierała pani do prawdy? Czy kiedy już miała pani podejrzanego, zawsze chciała pani do niej dotrzeć?

— Nie jest pani fanką policji, prawda?

Jenny wyjęła z aktówki teczkę Katy Taylor. Podała ją Alison.

— Czytała pani raport policyjny, zanim Marshall podpisał akt zgonu?

— Pewnie tak. Zwykle je czytam.

— Dziewczynę znaleziono dziesięć kilometrów od domu, w szpilkach. Dlaczego nie przeczesano okolicy? Dlaczego nie było ekipy kryminalistycznej? Dlaczego nie zbadano, jak się tam dostała, kto ją przywiózł, skąd wzięły się narkotyki? Może policja uznała, że ma inne priorytety, ale dlaczego Marshall nie zadał tych pytań?

— Na pewno miał swoje powody.

— Pracowała pani dla niego, więc pewnie pani wie, co to były za powody.

Alison zaczęła skubać róg teczki.

— Właściwie nie rozmawiałam z nim o szczegółach tej sprawy... Byłam na urlopie, kiedy się pojawiła.

— Musiał coś mówić.

— Tylko tyle, że doktor Peterson stwierdził przedawkowanie, a nadinspektor Swainton z wydziału śledczego nie miał żadnych obiekcji.

— Więc konsultował się z policją?

— Oczywiście.

— I skoro Swainton uznał śmierć Katy za przypadkowe przedawkowanie, Marshallowi to wystarczyło?

— Miał bardzo dobre układy z wydziałem śledczym. Ufali sobie.

— Rozumiem. — Jenny zaczynała dostrzegać całokształt: Marshall nie deptał wydziałowi śledczemu po odciskach, a w zamian dostał byłą policjantkę z biurem w komisariacie, żeby odwalala za niego czarną robotę. — Ale obawiam się, że w tym wypadku to zaufanie nie było uzasadnione. Zamierzam cofnąć akt zgonu i wszcząć porządne dochodzenie.

— Co mam powiedzieć śledczym?

— Nic. To nie ma z nimi nic wspólnego. — Sięgnęła po notes i włożyła go do aktówki. — Porozmawiam z doktorem Petersonem i z rodzicami Katy. Pani może w tym czasie doprowadzić biuro do porządku. I proszę się spodziewać telefonu od Josha z Ministerstwa Sprawiedliwości.

— Josha?

— To informatyk, który nas skomputeryzuje. Jeszcze przed weekendem będziemy miały bezprzewodowy Internet.

Jenny wyszła, zanim Alison zdążyła zaprotestować. Postanowiła, że da jej tydzień. Jeśli asystentka nie zdoła się przystosować, będzie musiała odejść.

* *

W prosektorium dowiedziała się, że doktor Peterson jest właśnie w trakcie sekcji, a ma jeszcze trzy do przeprowadzenia przed lunchem. Jeśli więc Jenny chce z nim porozmawiać, musi przejść do galerii widokowej w kostnicy. Zgodziła się i asystent „bardzo ważnego pana doktora” wskazał jej drzwi w korytarzu.

Galeria okazała się podwyższoną częścią prosektorium, odgradzoną od reszty pomieszczenia metrową barierką. Zapach był przytłaczający: krew, fekalia, środek dezynfekcyjny i woń rozkładu. Zakrywając usta, zobaczyła, jak doktor Peterson, nie więcej niż trzy metry od niej, wyjmuje serce i płuca z szeroko otwartej klatki piersiowej otyłego mężczyzny w średnim wieku. Instynktownie odwróciła wzrok, walcząc z mdłościami, gdy rzucił organy na nierdzewny blat tuż pod miejscem, gdzie stała.

— Drugi raz w ciągu dwóch dni, pani Cooper? Czemu zawdzięczam tę

wizytę?

Jenny oddychała przez usta, wmawiając sobie, że ten zapach to tylko środki dezynfekcyjne i formalina, że nie czuje gnijącego ciała.

— Dostałam wczoraj pański raport. Dziękuję.

— Proszę nie myśleć, że tak będzie za każdym razem. — Uniósł do światła plaster płuca. — Widzi pani te czarne smugi? Denat nie był palaczem, ale większość życia spędził w Londynie. Wszyscy mieszkańcy południowego zachodu mają płuca, jakby palili trzydzieści fajek dziennie.

Jenny zerknęła na ciemnoróżowy gąbczasty ochłap, który pokazywał jej Peterson. Rzeczywiście, powierzchnia była upstrzona smolistymi plamkami.

Odłożył płuco na blat i wrócił do pracy, ciachając nożem jak wytrawny kucharz.

— Przyglądała się pani kiedyś autopsji?

— Nie.

— Jeśli będzie pani chciała wymiotować, ma tam pani plastikowe wiaderko. A gdyby zrobiło się pani słabo, proszę usiąść. W zeszłym miesiącu jedna studentka przeleciała przez barierkę. Wylądowała na wątrobie pokrojonej na plastry.

— Dzięki za ostrzeżenie.

— Nie ma za co. — Spojrzał na nią jego oczy uśmiechały się nad maską.

Jenny przełknęła ślinę, powstrzymując mdłości. Psychicznie radziła sobie nieźle, ale jej ciało buntowało się. Zrozumiała, że albo szybko załatwi sprawę, albo będzie musiała skorzystać z wiaderka.

— Przyszłam w sprawie Katy Taylor.

Wyjmując drugie płuco, Peterson powiedział:

— Zawarłem moje wnioski w raporcie.

— Nie chodzi mi tylko o wnioski. Chciałabym wiedzieć, jak wprowadzono pana w sprawę, co panu powiedziano.

Peterson obejrzał drugie płuco, otworzył rozwieraczem tchawicę i zajrzał do środka.

— A dlaczego to panią interesuje?

— W sprawie śmierci Katy Taylor nie wszczęto dochodzenia. Chcę się

dowiedzieć, dlaczego.

Peterson odłożył rozwieracz i oparł dłonie na blacie.

— Jeśli sugeruje pani, że jestem zamieszany w tuszowanie przestępstwa, proszę mi powiedzieć wprost.

— Dopóki nie zbadam sprawy, nie mogę orzec, czy ktokolwiek próbował coś zatuszować. — Wzięła kolejny oddech; czuła już nawet smak tego powietrza. — Wiem tylko, że piętnastoletnia dziewczyna zmarła w okolicznościach, które zasługiwały na coś więcej niż dwustronicowy raport posterunkowej i sześć linijek od patologa miesiąc po fakcie.

— Na pani miejscu przez kilka tygodni siedziałbym cicho. Proszę mi wierzyć, że ten system działa sprawniej, niż się pani zdaje. A jeśli zacznie się pani szarogęsić, narobi sobie pani wrogów, o jakich się pani nie śniło.

— Tak wygląda pańska filozofia, doktorze? Nie wychylać się i nie kiwać łódką?

Znów uśmiech pod maską.

— Posłuchaj, Jenny, może zaczniemy od nowa? Może pójdziemy na drinka i wtedy podzielę się z tobą swoimi doświadczeniami? Oczywiście nieoficjalnie.

Jezu. Wystarczyły mu dwa dni.

— Wolałabym, żeby złożył pan oficjalne zeznanie.

— A jeśli nie mam nic do powiedzenia?

— Nie wierzę — odparła i odwróciła się do drzwi.

— Widziała pani kiedyś zastawkę aorty? — spytał Peterson.

Zerknęła przez ramię. Trzymał w dłoni zakrwawione serce.

— Fałd tkanki, nie grubszy niż paznokieć. Wystarczy malutki kawałek cholesterolu, który oderwie się od złogu i ją zablokuje. I koniec.

— Do czego pan zmierza?

— Do niczego. Sugeruję tylko, że po kilku dniach tutaj człowiek zaczyna rozumieć, jak cienka jest granica między życiem a śmiercią.

— Pan nie żartuje, prawda?

* *

Andy i Claire Taylorowie mieszkali w bliźniaku z lat trzydziestych, z pseudogeorgiańskimi drzwiami i geranium w wiszących koszykach po obu stronach wejścia. Choć oddalone o niecałe dwa kilometry od osiedla, które Jenny odwiedziła wczoraj, to miejsce wyglądało jak zupełnie inny kraj. Tutaj domy były zadbane, a na ulicach nie wystawiali wagarowicze.

Zastała oboje w domu. Andy, urzędnik w biurze firmy budowlanej, wziął dzień urlopu, żeby po południu pojechać do szpitala z żoną, która była na zwolnieniu lekarskim od śmierci Katy. Lekarz Claire podejrzewał, że to depresja powoduje ostre bóle brzucha, które nie dawały jej spać po nocach, ale na wszelki wypadek wysłał ją na badanie kontrastowe, by wykluczyć nowotwór.

Wszystkie te informacje wyrzucił z siebie Andy, korpulentny mężczyzna o dobrych, bystrych oczach. Siedział na kanapie obok milczącej żony i paplał jak rozbitek ściągnięty z tratwy ratunkowej po kilku tygodniach na morzu. A Claire, z zapadniętymi policzkami i bladą twarzą, wyglądała jakby właśnie tonęła. Zupełnie nie przypominała kobiety ze zdjęć stojących nad kominkiem, jakby coś wyssało z niej życie.

Kiedy Andy przerwał, by zaczerpnąć tchu, Jenny wyjaśniła powód swojej wizyty: koroner Marshall zbyt się pospieszył z wystawieniem aktu zgonu, więc ona prowadzi teraz śledztwo, by móc otworzyć przewód sądowy w sprawie śmierci Katy.

Claire uniosła brwi i odezwała się po raz pierwszy od cichego „dzień dobry”.

— Zapewniał nas, że rozprawa nie jest konieczna. — Spojrzała na męża.
— Powiedział tak, kiedy byliśmy w jego biurze, pamiętasz.

Andy wziął ją za rękę.

— Masz rację, kochanie.

— Obawiam się, że się mylił — powiedziała Jenny. — Zapewne chciał oszczędzić państwu dalszych nieprzyjemności, ale jeśli istnieje choćby cień podejrzenia, że śmierć nie nastąpiła z przyczyn naturalnych, prawo nakazuje

otworzyć przewód.

— Co to znaczy? — spytał Andy.

Claire wysunęła dłoń z jego dłoni i ciaśniej owinęła się swetrem.

— Nie sugeruję, broń Boże, że Katy nie zmarła w wyniku przypadkowego przedawkowania, ale okoliczności były tego rodzaju, że trzeba wykluczyć wszystkie inne możliwości.

— Nie zrobiła tego celowo — zapewniła Claire. — Wiem, że nie. Mówiłam mu to.

— Moje zadanie polega również na ustaleniu jej stanu ducha. Cokolwiek państwo macie do powiedzenia, jest ważnym dowodem.

— Dowodem? O czym pani mówi? Pan Marshall twierdził, że jest już po wszystkim. Specjalnie zadzwonił, żeby nam to powiedzieć.

— Przykro mi...

— Nie mam zamiaru tego słuchać. Nie jesteśmy zainteresowani.

— Rozumiem, jak państwo musicie się czuć...

— Nie, nie rozumie pani. Skąd pani ma to wiedzieć? Proszę już iść. Andy położył dłoń na ramieniu żony.

— Kochanie...

— Zostaw mnie. — Wstała z kanapy. — Ja nie prosiłam o to wszystko. Dlaczego pani nie zostawi nas w spokoju?

— Pani Taylor...

Claire wypadła na korytarz i pobiegła na górę. Andy wstał, żeby iść za nią, ale zrezygnował, gdy drzwi sypialni huknęły, aż zatrzęsł się cały dom.

Odwrócił się zażenowany.

— Niestety, jest taka, od kiedy straciliśmy Katy.

— Rozumiem.

Wrócił na kanapę; milczał, a na jego twarzy malowała się rozpacz.

— Bardzo by mi pomogło, gdyby pan uzupełnił parę luk w informacjach.

— Co pani chce wiedzieć?

— Czytałam w aktach, że Katy miała kilka wyroków w ciągu ostatnich dwóch lat.

Spuścił głowę.

— Przeprowadziliśmy się tutaj zaraz po jej trzynastych urodzinach. To wtedy się wszystko zaczęło. Koledzy, z którymi się zadawała, ćpali i kradli. Próbowaliśmy trzymać ją krótko, ale za każdym razem, kiedy jej czegoś zabranialiśmy, uciekała. Nie pamiętam nawet, ile razy szukała jej policja.

— Dokąd uciekała?

— Gdzieś ze znajomymi. Nigdy nie mówiła, z kim.

— Ci znajomi to byli chłopcy czy dziewczęta?

Andy pokręcił głową i spojrzał na kolekcję fotografii zmarłej córki. Drobna blondynka o ładnej twarzy i zblazowanym spojrzeniu. Ostatnie zdjęcie — szkolny portret — pokazywało piękną młodą dziewczynę, za którą każdy chłopak obejrzałby się na ulicy.

— Na pewno byli jacyś chłopcy, przynajmniej w ostatnim roku, bo Katy zaczęła brać tabletki antykoncepcyjne. Ale nie potrafię powiedzieć, kto to konkretnie był.

— Czy policja pytała państwa o towarzystwo córki? Czy rozmawiała z jej znajomymi, sprawdzała komórkę?

— Zadali kilka pytań, ale kiedy dowiedzieli się, że brała, od razu uznali, że to był wypadek. Powiedzieli, że to się często zdarza.

Jenny dała mu chwilę i pytała dalej.

— Jak pan sądzi, co Katy robiła sama w Bridge Valley?

— Chyba nietrudno się domyślić.

Jenny przypomniała sobie policyjne zdjęcie ciała Katy — skąpa bluzeczka niezastaniająca pępka, obcisłe dżinsy i sandały na obcasach. Szczupła, piękna, seksowna i na głodzie.

— Myśli pan, że się sprzedawała, żeby mieć pieniądze na narkotyki?

Andy zacisnął zęby.

— Nigdy nie sądziliśmy, że to zaszło aż tak daleko, ale ponoć jej koledzy widzieli, jak wsiadała do samochodów... Wiem, że to brzmi, jakbyśmy byli złymi rodzicami, ale pani nie ma pojęcia, jaka była dzika. Nie mieliśmy nad nią kontroli. Zupełnie jakby ją diabeł opętał.

— Kto to byli ci koledzy, którzy widzieli, jak wsiadała do samochodów?

Andy pokręcił głową.

— Dzieciaki, które płaczą się po parku... Policja pewnie zna nazwiska.

Jenny widziała, że jest bliski załamania. Nie chciała zadawać mu więcej cierpień, niż to było konieczne, ale nie mogła wyjść bez informacji o policyjnym dochodzeniu.

— Panie Taylor, czy pamięta pan nazwisko funkcjonariusza, który rozmawiał z wami po śmierci córki?

— Zdaje się, że to była posterunkowa Campbell. Helen Campbell. Ta sama, która aresztowała Katy, zanim trafiła do zakładu.

— Do zakładu?

— Tak — potwierdził Andy. — Dostała trzy miesiące za złamanie nosa jakiejś kobiecie. Rozbój, żeby zdobyć pieniądze na narkotyki.

— Ach tak. Jakoś mi to uniknęło.

— Zamknęli ją na początku marca. Ci z zespołu kuratorskiego powiedzieli, że kiedy Katy trafi do zakładu, zrobią jej detoks. Obiecali, że wyrwą ją z tego, zanim uzależni się na dobre. Ale dwa dni przed wyrokiem znów uciekła i znalazła się w jakimś ryszotku. Całą noc przesiedzieliśmy w szpitalu, nie wiedząc, czy się w ogóle obudzi. — Głos zaczął mu drżeć. — Gdy oprzytomniała, obiecała mi, że nigdy więcej. Ale kiedy tylko wyszła z zakładu...

Jenny milczała chwilę, by Andy mógł dojść do siebie.

— W którym zakładzie przebywała?

— Tu niedaleko, koło Severn Bridge. W Portshead Farm.

— Kiedy wyszła?

— W urodziny mojej żony, siedemnastego kwietnia.

* *

Szafki Alison umieściła po dwie — jedna na drugiej — pod ścianą, a pudła z aktami ułożyła w schludne stosy obok nich. Na parapecie stał wazon z kwiatami, a na stoliku były świeże gazety. Widać było, że bardzo się starała, choć akurat w tej chwili gdzieś wyszła.

Przez całą drogę powrotną Jenny układała listę świadków, których chciała przesłuchać, oraz pytań, jakie chciała im zadać. Jej mózg pracował na

wysokich obrotach. Właśnie znalazła w biurku Alison kartkę i długopis i zaczęła wszystko spisywać, gdy zadzwonił telefon w jej gabinecie. Idąc do swojego biurka, notowała po drodze. Podniosła słuchawkę i przycisnęła uchem do ramienia.

— Jenny Cooper.

— Tara Collins, „Bristol Evening Post”. Rozmawialiśmy wczoraj.

Jenny straciła rozpęd.

— Tak?

— Spotkała się pani wczoraj z panią Wills.

— Przepraszam, ale jestem w tej chwili bardzo zajęta. Czego pani chce?

— Simone Wills odniosła wrażenie, że nie jest pani zainteresowana sprawą jej syna.

Jenny przestała pisać i z niemałym wysiłkiem powstrzymała wybuch.

— Więc się myli.

— Ale nie wznowi pani dochodzenia?

— Pani Collins, mam naprawdę dużo pracy, pani pewnie też. Chętnie będę rozmawiać z mediami o kwestiach leżących w interesie publicznym, ale nie zamierzam składać dziennych meldunków z moich działań. Więc proszę wybaczyć...

— Jeśli szuka pani nowych dowodów, mogę pani powiedzieć, od czego zacząć.

Jenny westchnęła o włos od utraty panowania nad sobą.

— Darren Hogg — ciągnęła dziennikarka — pracownik ochrony, który tamtej nocy był odpowiedzialny za kamery monitoringu na żeńskim i męskim oddziale, zeznał, że dwie kamery w korytarzu oddziału męskiego były zepsute od tygodnia i czekały na naprawę. Marshall rozmawiał z serwisem i ustalił, że usterkę zgłoszono dopiero czternastego, tego dnia, kiedy zmarł Danny.

Jenny nie przypominała sobie, żeby widziała takie zeznanie.

— Obiecałam pani Wills, że dokładnie przejrzę akta. I że będę szukać wszelkich nieprawidłowości.

— Tego nie będzie w aktach, bo Marshall nie odebrał od nich zeznań. I

jeszcze jedno: Kevin Stewart, opiekun, który stwierdził, że zgłaszał awarię toalety wieczorem przed śmiercią Danny'ego, nie został zapytany, dlaczego nie przeniósł chłopaka do innego pokoju, chociaż tej nocy na męskim oddziale były dwa wolne. Kiedy rozmawiałam ze Smirskim, tym konserwatorem, który znalazł Danny'ego, powiedział, że nie pamięta, kiedy Stewart zgłosił usterkę. Marshall nawet nie wezwał Smirskiego na rozprawę.

— Kiedy będę miała okazję zajrzeć do protokołu...

Tara Collins znów jej przerwała.

— Rzecz w tym, pani Cooper, że opiekun powinien co pół godziny zaglądać przez judasz do każdego pokoju. Zapis z tych rzekomo uszkodzonych kamer mógłby zweryfikować, czy w ogóle robił obchód. Jeśli awarię toalety zgłoszono rano, to znaczy, że Smirski został wystawiony, by znaleźć ciało.

Jenny wiedziała, do czego zmierza dziennikarka. Gdyby nie rażące zaniedbanie, prawdopodobnie można by było zapobiec samobójstwu Danny'ego. Ujawnienie tego zatrząsłoby Ministerstwem Sprawiedliwości, z niej zaś uczyniło najbardziej niepopularnego koronera w kraju.

A ona chciała tylko spokoju.

— Będę z panią szczerą — ciągnęła Collins. — Nie odpuszczam sobie tej sprawy, bo dwa razy zetknęłam się z Dannym Willsem, kiedy robiłam materiał o zespole kuratorskim do spraw nieletnich przestępców. To był bystry dzieciak. Używał sformułowań, które dawały do myślenia, na przykład opisywał siebie jako „zagubioną duszę”. Odnosiło się wrażenie, że przy odrobinie pomocy mógłby się wyrwać z tego bagna. Był naprawdę inteligentny... Może to niezbyt profesjonalne z mojej strony, ale mam to gdzieś.

Jenny poczuła, że jej wrogie nastawienie do Tary Collins zaczyna znikać.

— Sama znałam wiele takich dzieci — wyznała. — Dziękuję, że zwróciła pani moją uwagę na sprawę Danny'ego. Przyjrę się jej. Naprawdę.

— Czy mogę to powtórzyć pani Wills?

— Wolałabym, żeby pani tego nie robiła.

Tara Collins milczała chwilę. W końcu rzekła:

— Chcę być fair, więc muszę to pani powiedzieć. Dostałam informację, że ostatnio nie cieszyła się pani najlepszym zdrowiem psychicznym.

— Co takiego? — wypaliła Jenny.

— To jedna z tych sytuacji, kiedy dziennikarz musi dokonać trudnego wyboru. Zdecydować, co leży w interesie publicznym. No cóż...

Połączenie zostało przerwane.

Jenny była przerażona. Nawet w ministerstwie nie wiedzieli, że chodziła do psychiatrii. Gdyby to się wydało, nie tylko straciłaby pracę, ale także groziłby jej proces za oszustwo. W rubryce „Choroby, które mogą wpłynąć na zdolność wykonywania obowiązków koronera”, wpisała „Brak”, wmawiając sobie, że to usprawiedliwione kłamstwo, bo przecież nowa praca była kluczem do wyzdrowienia.

— Wszystko w porządku, pani Cooper? Wygląda pani na wzburzoną. — W drzwiach stała Alison i patrzyła na nią z zatroskaną miną.

Jenny odłożyła słuchawkę.

— Znow ta dziennikarka — wyjaśniła, starając się panować nad głosem. — Bardzo nękali pana Marshalla?

— Nigdy z nimi nie rozmawiał. Nazywał ich pasożytami.

— Miał rację. — Jenny czuła, że musi jak najszybciej łyknąć temazepam, i chciała, żeby Alison już sobie poszła.

— Mam nadzieję, że pani się nie pogniewa... ale chyba przegapiłam telefon od Josha. Byłam na komisariacie.

— Trudno. — Jenny zamaskowała uśmiechem panikę, która zaczęła ją ogarniać. Spojrzała na zegarek. — Idę na lunch. Może spotkamy się o wpół do drugiej i naradzimy, co dalej? — Sięgnęła po torebkę.

— Zanim pani wyjdzie... Rozmawiałam dziś z jednym z moich byłych kolegów z wydziału o Katy Taylor.

Cholera. Nic z tego.

— Tak...? — Jenny sięgnęła do torebki i wyjęła z niej małą butelkę wody Evian i pigułki. Zasłaniając etykietę dłonią, odkręciła buteleczkę. Widziała, że Alison patrzy na nią tak, jak robią to policjanci: nie spuszcza wzroku z twarzy, a jednocześnie kątem oka obserwuje rękę.

— Jemu też nie podobało się to dochodzenie. Bo chociaż nie znaleziono śladów użycia siły czy napastowania, wyglądało na to, że ktoś mógł z nią być w chwili śmierci. Ale w przypadku narkomanki udowodnienie, że to nie był wypadek, wymagałoby drobiazgowego śledztwa.

Jenny połknęła tabletkę i popiła łykiem wody, pewna, że Alison zauważyła drżenie jej rąk.

— A zdaniem tego kolegi jak powinno ono wyglądać?

— Po pierwsze, mieli dowody, że się prostytuowała, więc klienta, który z nią był, można by było aresztować za seks z nieletnią. Po drugie, przy ciele nie znaleziono łyżki ani zapalniczki, a na tych przedmiotach mogły być odciski palców. Znaleźli tylko strzykawkę z odciskami Katy.

— Więc praktycznie mamy pewność, że nie była sama?

— Miejsce zdarzenia mogło zostać naruszone przez kogoś po jej śmierci, a przed znalezieniem ciała, ale mój znajomy uważa, że jest w to zamieszany jakiś mężczyzna. Na przykład diler, który dawał jej narkotyki w zamian za seks. W tak odludnym miejscu było to możliwe.

Jenny poczuła, jak temazepam przenika do jej krwiobiegu; serce zaczęło zwalniać, racjonalne myślenie znów się włączyło.

— Podejrzenie seksu z nieletnią, możliwe zabójstwo. Czego jeszcze trzeba, żeby rozpocząć śledztwo?

— Z technicznego punktu widzenia sprawa wciąż jest otwarta.

— To znaczy?

— Będą ją badać, jeśli pojawią się jakieś dowody, tyle że nikt nie dostaje pieniędzy za ich szukanie.

— Spotkałam się dziś rano z rodzicami Katy — powiedziała Jenny. — Niestety, wcale im nie zależy na rzetelnym dochodzeniu. Biorąc pod uwagę zachowanie dziewczyny przez ostatnie dwa lata, chyba spodziewali się tragedii.

— Ponoć przez kilka miesięcy była w zakładzie zamkniętym. Tym samym co Danny Wills.

— Dość prawdopodobny zbieg okoliczności, skoro to jedyny poprawczak w tym rejonie miasta.

— Mimo wszystko daje do myślenia.

Spojrzały sobie w oczy.

— Wiem — przyznała Jenny. — Ale co z tego wynika?

Alison wzruszyła ramionami.

— Dilerzy, alfonsi, gangi... Wszystkie szumowiny żerują na takich dzieciakach. Katy i Danny byli z tej samej części miasta. Mogę się założyć, że jest jakiś związek.

— To nadinspektor Swainton podjął decyzję, żeby nie szukać dalej?

Alison kiwnęła głową.

— I chodziło wyłącznie o brak środków?

— To byłby najbardziej oczywisty powód.

Wyraźnie coś sugerowała, ale Jenny nie załapała. Kolejna cecha policjanta: zakładanie, że inni myślą tak samo pokrętnie jak ty.

— A mógł być jakiś inny?

— Nic mi nie przychodzi do głowy. Chyba że nie chciał sabotować innego śledztwa... albo ktoś na niego naciskał.

— Dlaczego ktoś miałby na niego naciskać?

Alison nerwowo przestąpiła z nogi na nogę.

— Może osoba, która była z Katy, to ważny informator albo jakaś szycha.

— Czyżby uprawiała seks z jakimś parlamentarzystą?

— Nie, nikt nic takiego nie mówił, jeśli nie liczyć plotek. Prawdopodobnie nadinspektor miał po prostu za dużo spraw, a za mało ludzi.

Jenny widziała jej wewnętrzny konflikt — lojalna policjantka kontra przyzwoita kobieta, tak samo jak ona poruszona tragiczną śmiercią Katy Taylor i niedbałym śledztwem. Pewnie sama ma dzieci, teraz już dorosłe, ale jeszcze nie tak dawno musiały być nastolatkami. Jenny uderzyła kolejna myśl: zaledwie wczoraj Alison broniła swojego byłego szefa jak lwica, a teraz wyraźnie sugeruje, że brał udział w czymś podejrzanym. Trzeba było czegoś więcej niż plotek, żeby Marshall spadł z piedestału.

— Jeżeli ktoś wyperswadował policji szukanie człowieka, który był z Katy, to może wyperswadował to również panu Marshallowi?

Alison chwilę stała nieruchomo, a potem się rozplakała. Wciąż sztywna, jakby kij połknęła, wyznała:

— Kochałam Harry'ego Marshalla, pani Cooper. Nie jak mężczyznę, ale jak przyjaciela. Był najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałam. Ale w tych ostatnich tygodniach coś się z nim stało... Sprawa Danny'ego Willsa doprowadzała go do furii, nigdy go nie widziałam w takim stanie. Mówił, że wstrząśnie tą twierdzą aż do fundamentów. Gdy wróciłam z urlopu, był w takiej depresji, że ledwie się do mnie odzywał — przerwała na chwilę, bo głos uwiązł jej w gardle. — A w czwartek w nocy zadzwonił mój telefon. Odebrałam, ale ten ktoś się rozłączył. Sprawdziłam... to był domowy numer Harry'ego. Nigdy nie telefonował do mnie z domu. Powinnam była oddzwonić, ale było mi głupio, była prawie północ... A następnego ranka już nie żył.

Tamy w końcu puściły. Jenny posadziła Alison na krzesło i podała jej chusteczki. Zrozpaczona kobieta zanosiła się płaczem, wylewając z siebie cztery tygodnie milczącego cierpienia.

Rozdział 6

Wracając do domu po zaledwie drugim dniu nowej pracy Jenny czuła pierwsze ukłucia tęsknoty za prawem rodzinnym. Sądy, choć stresujące, miały tę zaletę, że były anonimowe. A jej relacja z Alison już stała się zbyt osobista. Patrząc na swoją asystentkę, która wypłakiwała oczy za kochankiem, który nigdy nim nie był, zrozumiała, że nie ma mowy o jej zwolnieniu — przynajmniej w najbliższym czasie. Odziedziczyła po poprzedniku bałagan nie tylko prawny, ale i emocjonalny.

Do tej pory zawsze zaspokajała najpierw cudze potrzeby, a dopiero potem własne. Otoczona silnymi osobowościami, jakimi byli jej rodzice, mąż, liczni szefowie i sędziowie, prawdziwa Jenny Cooper jeszcze nie wywalczyła miejsca dla siebie. W wieku czterdziestu dwóch lat wciąż nie miała skrawka terytorium, które mogłaby nazwać własnym.

Ponure myśli towarzyszyły jej przez całą drogę. Zajechała do Melin Bach z tępym bólem głowy i uczuciem dręczącego niepokoju, który mógł ukoić

tylko duży kieliszek wina. Była już prawie pod drzwiami, kiedy zauważyła, że ogród od frontu jest odmieniony. Chwasty zniknęły, trawa była skoszona, a na świeżo skopanych grządkach po obu stronach ganku posadzono naparstnice i malwy. Spod zielska ukazała się lawenda i piwonie, o których istnieniu nawet nie miała pojęcia. Zostawiła w holu aktówkę i poszła za dom. Przez trawnik ciągnący się od ściany domu aż do potoku biegła ścieżka z równo ułożonych kamieni wkopanych w ziemię, a pod kamiennym murem otaczającym parcelę rosły krzaczkami rozmarynu, szaławii i tymianku, do tej pory duszące się w gąszczu ostów i pokrzyw.

Stała przez długą chwilę, podziwiając swój nowy ogród. Wyobraziła sobie pokolenia kobiet, które w słońcu i deszczu chodziły tą ścieżką do potoku po wodę i sękatymi dłońmi zrywały zioła w takie letnie wieczory jak ten. Wyobrażała sobie kobiety, w grubych wełnianych spódnicach, marzące o wolności, jaką mogłyby się cieszyć w mieście odległym o trzydzieści kilometrów, i niemające pojęcia, że ich domostwo będzie kiedyś miejscem ucieczki dla kobiety, która cieszyła się wolnością, o jakiej one nawet nie śniły.

Na heblowanym stole zauważyła list przyciśnięty zardzewiałą podkową. „Trochę mnie poniosło i pracowałem do siódmej. Mam nadzieję, że zmiany nie są zbyt drastyczne. Steve”. Był zbyt taktowny, by bezpośrednio wspomnieć o zapłacie, ale dał do zrozumienia, że jest mu winna za dodatkowe trzy godziny. Miała pieniądze w portfelu, ale Steve nie zostawił adresu. Wspomniał tylko, że mieszka przy Catbrook Way i że nie ma telefonu.

A może by spróbować go znaleźć? Był ładny wieczór, a Jenny nie spenetrowała jeszcze płataniny drózek wijących się wśród lasów po zachodniej stronie doliny. Postanowiła zostawić wino na później i podtrzymać dobre stosunki z ogrodnikiem.

Włożyła białą lnianą bluzkę, dzinsy i wyblakłe granatowe adidas i sprawdziła przed lustrem w sypialni, czy nie wygląda zbyt miastowo. Trzy razy zmieniała zdanie co do adidasów, wreszcie zdecydowała się na ciężkie robocze buciora, które kupiła przed przeprowadzką, wyobrażając sobie

siebie, jak kopie grządki i rąbie drwa. Buty były dziewicze, prosto z pudełka, ale ich ciężar sprawił, że poczuła się solidnie i pewnie. Na koniec związała włosy czarną gumką. Obejrzała się w lustrze: wiejsko, ale oficjalnie, kobieco, ale bez epatowania seksem. Przejmowała się swoim wyglądem, jakby miała szesnaście lat.

Ruszyła wąską drogą biegnącą wzdłuż potoku po stromym zboczu doliny, wśród dębów i buków. Tu i ówdzie mijała gospodarstwa na polanach przy drodze, ale żadne nie wyglądało na tyle odłotowo, by należeć do trzydziestopięcioletniego pustelnika. Dostrzegła kilka gruntowych dróg, które mogły prowadzić do siedzib położonych w głębi lasu, lecz wszystkie miały zbyt głębokie koleiny, by ryzykować zapuszczanie się na nie golfem. Wyjechała z lasu, przecięła podmokłe wrzosowisko i objechała dookoła wioski Whitelye i Botany Bay. W prostej linii była najwyżej pięć kilometrów od domu, ale pokonała prawie dwadzieścia.

Pomyślała, że warto zapukać do kogoś i spytać o dom Steve'a. Zatrzymała się nawet przed obejściem z tabliczką reklamującą miejscowe jajka i miód, ale zabrakło jej odwagi i nie wysiadła z samochodu. Był to ten sam lęk, który od czasu „epizodu psychiatrycznego” nękał ją często przed proszoną kolacją czy bankietem: strach na samą myśl, że spotka obcych ludzi. Kiedy ją dopadał, bez pigułki czy drinka nie potrafiła się przemóc. Nawet zdawkowa rozmowa stawała się katorgą; kiedy mówiła, własny głos odbijał się echem w jej głowie, jakby słyszała siebie z oddali. Policzki zaczynały jej płonąć, przepona kurczyła się, serce waliło jak oszalałe. Doktor Travis nauczył ją kontrolować te objawy za pomocą technik relaksacyjnych, ale sama świadomość, że zwykłe kontakty z ludźmi mogą być takie trudne, doprowadzała Jenny do szału. Czuła się przez to głupio i dziecinnie.

Zła na siebie ruszyła z powrotem w kierunku północnego krańca Tintern, coraz mocniej wciskając pedał gazu. Wśród wysokich żywopłotów i poboczy zarośniętych zielskiem szanse dostrzeżenia samochodu nadjeżdżającego z przeciwka były zerowe. Padło na stary traktor z przyczepą pełną świeżej kiszonki, który wyrósł jej przed maską na ciasnym zakręcie. Kierowca traktora zobaczył ją pierwszy i skręcił ostro w bramę wjazdową na pole.

Oczom Jenny ukazała się niebezpiecznie wąska luka między przyczepą a żywoplotem. Zadziałał instynkt. Szarpnęła kierownicę, zahaczyła lusterkiem o przyczepę i zatrzymała się z lewymi kołami w rowie na poboczu.

Przez chwilę siedziała oszołomiona, aż dotarło do niej, że samochód stoi przechylony i utknął w rowie. Usłyszała pukanie w okno od strony kierowcy. Gdy odwróciła głowę, zobaczyła starego mężczyznę o ogorzałej twarzy. Opuściła szybę.

— Trochę się spieszymy, co, kochana? — spytał i uśmiechnął się szeroko, pokazując cztery pożółkłe zęby.

— Przepraszam.

— Szczęście, że panią zobaczyłem.

— Nie mam pojęcia, jak to się stało. Musiałam się zamyślić. — Chciało jej się płakać, ale wzięła się w garść. — Nie uszkodziłam przyczepy?

— Nic jej nie będzie. — Zerknął na jej samochód. — Pani golfowi też się upiekło. Mam linę, wyciągnę panią.

— Naprawdę bardzo mi przykro...

Farmer uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Pani Cooper, prawda? Słyszałem, że trzeba na panią uważać. Ale chyba dostała pani nauczkę, co? — Zarechotał i poszedł do traktora po linę.

* *

Piętnaście minut później, cała i zdrowa, jeśli nie liczyć urwanego lusterka i urażonej dumy, Jenny jechała ostrożnie polną drogą wśród brzoź do Ty Argel. Tam — jak zapewnił dobroduszny farmer Rhodri Glendover — miała znaleźć Steve'a, który „siedzi jak jaki borsuk w tym swoim lesie”. Minęła zakręt i zajęchała pod mały domek. Na błotnistym podwórku zobaczyła starego land-rovera, najróżniejsze narzędzia, materiały budowlane i stadko kur. Wysiadła z samochodu zadowolona, że ma wysokie buty, i natychmiast została powitana przez wylewnego owczarka, który podbiegł do niej z głośnym szczekaniem. Psy były chyba jedynymi istotami, których Jenny się nie bała. Jej dziadkowie mieli trzy. Klepiąc się po udach, powiedziała:

— No chodź. Dobra sunia. — Pies, wyczuwając przyjaciela, wspiał się i oparł brudne łapy na jej bluzce. Jenny zepchnęła go i poczochnęła po łbie, gaworząc jak do dziecka, co uwielbiają wszystkie psy.

— To chłopiec. Alfie. — Steve wyłonił się z parterowej stodoły na drugim końcu podwórka, z siekierą w dłoni. Rzucił na ziemię skręta i przydeptał go, idąc w jej stronę. — Jest bardzo przyjazny.

Alfie przewrócił się na grzbiet — oznaka całkowitego zaufania.

— Chyba że widzi listonosza. Nie znosi urzędasów i mundurowych, prawda Alfie? Zupełnie jak jego pan. — Steve kucnął i przyłączył się do Jenny, głaszcząc psa po brzuchu. Spojrzał na jej buty. — Widzę, że przyjechałaś ubrana do roboty? Mam pięć ton drewna do porąbania.

Jenny się uśmiechnęła. Czuła zapach jego potu i tytoniu — silny, lecz całkiem przyjemny.

— Jestem ci winna za trzy godziny. Ale ogród wygląda wspaniale.

— Szkoda, że nie widziałas go parę lat temu, kiedy Joan była jeszcze sprawna. Był piękny, taki naturalny.

— Mam nadzieję, że znów będzie.

— Ogrody wymagają mnóstwo uwagi. Wystarczy zaniedbać je na parę tygodni i się obrażają.

Jenny wyjęła pieniądze z kieszeni dżinsów.

— Będę regularnie potrzebować twojej pomocy, jeśli jesteś zainteresowany.

— To mi niebezpiecznie przypomina stałą pracę.

— Sam zdecyduj. — Podała mu banknoty.

Wstał.

— Jesteś pewna...?

— Nie jechałam taki kawał i nie wpadłam do rowu tylko po to, żeby pogłaskać twojego psa. Chociaż muszę przyznać, że jest bardzo miły.

Steve uśmiechnął się i włożył pieniądze do kieszeni spodni.

— Dzięki. — Obrzucił wzrokiem golfa zadrapanego na całej długości. — Widzę, że przystrzygłaś jakiś żywopłot. Co się stało?

— Omal nie walnęłam w traktor na drodze. Na szczęście facet zachował

się przyzwocie i wyciągnął mnie z rowu.

— Stary dziadek bez zębów?

— Być może. Rhodri Jakiśtam.

— Tak myślałem. Zamknij dziś w nocy drzwi na klucz, to straszny pies na baby.

— Sama ledwie mogłam się powstrzymać.

— Od kiedy owdowiał, zaliczył większość kobiet w dolinie. Wszystkim obiecuje zostawić farmę w spadku. — Steve się uśmiechnął. — Napijesz się piwa? Oprowadzę cię po tym śmietniku.

Przyniósł dwie butelki ze spiżarki — powiedział, że nie ma lodówki — i ruszyli na wycieczkę po gospodarstwie. Było to jakieś pięć hektarów lasu, głównie młodnika, skąd Steve wycinał drewno i gdzie hodował różne gatunki drzew, które sprzedawał komercyjnej szkółce. Na tyłach domu znajdował się duży ogród warzywny, którego produkty trafiały do okolicznych sklepów. Nie zaprosił Jenny do domu — wyjaśnił, że wciąż pracuje nad wystrojem — ale przez okna na parterze dostrzegła schludne, choć raczej spartańskie wnętrze: podłogi z desek i drewniane meble, które mógł zrobić sam.

Oprowadzając ją po ogrodzie, sięgnął za pazuchę po puszkę z tytoniem i skręcił sobie kolejnego papierosa. Powiedział też sporo o okolicznościach mieszkańcach. Dick Howell, były księgowy i alkoholik, stracił pracę i żonę, po czym zamieszkał w swoim kombi. Gdy przepił resztki pieniędzy ukradzionych klientom, przez jakiś czas koczował w stodole Steve'a, a teraz mieszka z kobietą, która mogłaby być jego matką. Był też stolarz Andy, najął się do roboty u pewnej pary świeżo przybyłej z Londynu; dwa lata później wciąż mieszkają pod jednym dachem i czasami przychodzą we troje do pubu.

Słuchając tej gadaniny, Jenny przyłapała się na tym, że ocenia Steve'a, jak adwokat ocenia świadka, i zastanawia się, czyjego spokój pochodzi z jego wnętrza, czy z tego, co pali w skręcie.

— A jaka jest twoja historia? — zapytała.

Steve zatrzymał się przy krzywej drewnianej furtce, prowadzącej z warzywnika na podwórko i pociągnął łyk piwa. Rozglądając się po swoim królestwie, odparł:

— Nie takie życie planowałem, to na pewno.

Jenny oparła się o sztachetę.

— A co planowałeś?

— Studiowałem architekturę w bristolskim college'u. Na czwartym roku kupiłem to gospodarstwo za pieniądze, które zostawił mi ojciec. Miałem wielkie plany. Potem poznałem dziewczynę... — Postawił butelkę na słupku bramy i zaczął skręcać trzeciego papierosa. — Studiowała sztuki piękne. Była utalentowana, ale pokręcona. Zakochaliśmy się, zamieszkaliśmy tutaj i klóciliśmy się jak pies z kotem. — Zapalił skręta i zaciągnął się głęboko. — Po dwóch latach takiego życia rzuciłem studia. Ona zaczęła ćpać. Dwa razy poszła w cug, a potem odeszła z jakimś gościem, którego poznała na odwyku w Cardiff. Kiedy ostatnio o niej słyszałem, była w Tajlandii.

— Jak ma na imię?

— Sarah Jane. Brzmi niewinnie, co? — Ściągnął koszulkę z lewego ramienia, odsłaniając poszarpaną bliznę, sięgającą niemal do szyi. — Zrobiła mi to kuchennym nożem. Mogła mnie zabić. Następnego dnia mieliśmy najlepszy seks w życiu.

Jenny próbowała ukryć zażenowanie.

— Jak długo z nią byłeś?

— Pięć lat. A kolejnych pięć spędziłem sam. Czasami jest trochę za cicho, ale przynajmniej nikt nie próbuje mnie zabić. — Zauważył, że Alfie skrada się za kurczakiem na podwórku, i krzyknął na psa. Owczarek czmychnął za dom. — No i wyszło na to, że użalam się nad sobą. Ale to nie tak. Życie jest fajne.

— Wielu ludzi by ci zazdrościło. — Jenny dokończyła piwo. — A gdybyś miał ochotę popracować, wiesz, gdzie mnie znaleźć. — Oddała mu pustą butelkę. — Dzięki.

— Nie ma za co.

Uniósł furtkę opadającą na zawiasach i wypuścił Jenny na podwórze. Gdy szła do samochodu, zastanawiając się, czy może prowadzić, bo piwo zaszumiło jej w głowie, zawołał:

— Przekonałaś mnie. Do zobaczenia w przyszły wtorek.

* *

W środę rano Jenny połknęła tylko jeden temazepam. Jadąc do biura, postanowiła przywrócić swoje relacje z Alison na profesjonalny grunt. Poprzedniego wieczoru długo zastanawiała się, dlaczego Marshall zaniechał dochodzenia w sprawie Katy Taylor i stracił serce do sprawy Danny'ego Willsa. Doszła do wniosku, że istnieją dwa logiczne wyjaśnienia: albo jakieś złowrogie siły wywarły na niego nacisk, co — jak wszystkie teorie spiskowe — było mało prawdopodobne, albo miał jakiś osobisty powód. Sama przeżyła niewielkie załamanie nerwowe, więc potrafiła sobie wyobrazić, jak wygląda poważne. Zachowanie Marshalla w ostatnich tygodniach życia miało wszystkie cechy takiego załamania. Człowiek borykający się z depresją jest humorzasty i apatyczny. Dochodzenie w sprawie Willsa mogło dać mu chwilowego kopa, ale chmury znów się zebrały, gdy zdał sobie sprawę z daremności swoich wysiłków. Zanim teczka Katy wylądowała na jego biurku, całkiem stracił wolę walki. Pograżony w depresji, nie widział sensu wszczynania dochodzenia, którego wynik — przypadkowa śmierć — był z góry oczywisty.

Idąc do biura, Jenny postanowiła, że zwoła posiedzenie sądu w sprawie Katy i grzecznie, ale stanowczo poprosi odpowiedzialnych funkcjonariuszy policji, by wytłumaczyli się ze swojego postępowania. Przejrzy też ponownie akta Danny'ego Willsa i zdecyduje, czy wznowienie dochodzenia jest uzasadnione. Rzetelność, sumienność i bezstronność — właśnie tego Ministerstwo Sprawiedliwości oczekuje od koronera.

W recepcji zastała Alison pochyloną nad biurkiem. Spojrzała na zegarek. Było dopiero wpół do dziewiątej.

— Dzień dobry, Alison. Wcześniej pani przyszła.

Asystentka zerknęła na drzwi gabinetu Jenny.

— Przyszedł do pani pan Grantham — powiedziała. — Poprosiłam go, żeby poczekał w gabinecie, bo tutaj ciągle jest lekki bałagan.

— Grantham? — Jenny nie mogła skojarzyć.

— Z magistratu. Szef działu prawnego.

— No tak. — Pamiętała to nazwisko z rozmowy kwalifikacyjnej. Według przepisów prawnych to magistrat zatrudniał koronera i finansował jego biuro, ale nie miał nad nim żadnej władzy. Kontrolę nad urzędem koronera, a i to w ograniczonym zakresie, sprawowało Ministerstwo Sprawiedliwości. — Spodziewaliśmy się go?

Zanim Alison zdążyła odpowiedzieć, w drzwiach gabinetu stanął korpulentny mężczyzna po pięćdziesiątce. Miał na sobie blezer, szare flanelowe spodnie i krawat w barwach klubu golfowego.

— Dzień dobry, pani Cooper. Miło znów panią widzieć. — Wyciągnął do Jenny pulchną dłoń, którą, chcąc nie chcąc, musiała uścisnąć, po czym spojrzał na asystentkę: — Dziękuję, Alison.

Alison służbiście skinęła głową i wróciła do swojej pracy.

— Zajmę pani tylko chwilę — powiedział Grantham, zwracając się do Jenny. — Na pewno jest pani bardzo zajęta.

— To prawda — odparła, z trudem ukrywając irytację.

— Pozwoli pani? — Zaprosił ją do gabinetu jak do siebie.

— Proszę mi przynieść zgłoszenia, które nadeszły w nocy — poleciła Jenny asystentce.

Weszła do gabinetu i wskazała Granthamowi jeden z dwóch foteli dla gości. Sama stanęła za biurkiem i zaczęła wyjmować dokumenty z aktówki.

— Co mogę dla pana zrobić, panie Grantham?

— Dobrą robotę, mam nadzieję. Byłem w pani komisji kwalifikacyjnej. — Nie usiadł, wciąż walcząc z nią o dominację.

— Pamiętam.

— Przeszła pani o włos. Mieliśmy kilku znakomitych kandydatów.

Jenny nie zareagowała na tę zaczepkę. Postawiła aktówkę na podłodze, usiadła w swoim fotelu za biurkiem i spojrzała na nieproszonego gościa z profesjonalnym uśmiechem.

Grantham podciągnął nogawki spodni, także usiadł i rozejrzał się po pokoju. Zauważył wazon dali, który Alison postawiła na parapecie.

— Widać kobiecą rękę — powiedział takim tonem, jakby myśl o kobiecie na stanowisku koronera bardzo go bawiła. — Słyszałem, że od samego

początku działa pani bardzo energicznie.

— Tak jak obiecywałam.

— Oczywiście. Ale... Jak by to ująć, Jenny?... Jestem pewien, że nikt z nas nie chce, aby to biuro zyskało reputację instytucji niepotrzebnie niepokojącej ludzi.

— Co pan ma na myśli?

— Chodzi mi o to, że w naszym dystrykcie staramy się, aby różne instytucje publiczne współpracowały ze sobą w pełnej harmonii.

— Obawiam się, że nie rozumiem.

— Słyszałem, że rozmawiała pani z doktorem Petersonem.

— Tak.

— Jak już mówiłem, pani Cooper, w Severn Vale staramy się, aby wszystkie służby publiczne wspierały się nawzajem. Taką mamy zasadę i ona doskonale się sprawdza.

— Z pewnością nie sprawdzała się w tym biurze. Mój poprzednik czekał trzy albo cztery tygodnie na raporty z autopsji. Rzecz jasna nie mógł zwlekać tak długo z podpisywaniem aktów zgonu, musiał więc postępować nie do końca zgodnie z przepisami, co mogło doprowadzić nawet do usunięcia go ze stanowiska.

Grantham lekko się skrzywił; najwyraźniej nie lubił wysłuchiwać pouczeń, ale słuchał, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć.

— Koronerzy mają obowiązek rzetelnie zbadać każdy nienaturalny zgon, więc po prostu nie mogą sobie pozwolić na ścinanie zakrętów — oznajmiła i dodała sucho: — Poza tym wydaje mi się, że moje rozmowy z oddziałem patologii to nie pańska sprawa.

— Mój dział finansuje biuro koronera. Wszystko, co pani robi, to moja sprawa.

— Obawiam się, że prawo stanowi inaczej.

— Próbuję być grzeczny, pani Cooper, ale fakty są takie, że każdy urząd zależy od współpracy z pozostałymi urzędami. Jeśli ma pani jakiś problem, chętnie pomogę rozwiązać go w odpowiedni sposób. Od tego tu jestem.

— Jeśli może pan sprawić, żeby raporty z autopsji docierały do mnie na

czas, będę ogromnie wdzięczna.

— Porozmawiam z kim trzeba.

— Dziękuję.

— Jest jeszcze jedna kwestia...

Przerwało im pukanie do drzwi. Do gabinetu weszła Alison z plikiem zgłoszeń z nocy, położyła je na biurku i szybko wycofała się do sekretariatu. Jenny sięgnęła po raporty i zaczęła je przeglądać, dając Granthamowi do zrozumienia, że nie poświęca mu całej uwagi.

— Wiem od Alison, że planuje pani otwarcie dochodzenia w sprawie śmierci Katy Taylor.

— Tak. Powinno być otwarte już miesiąc temu.

— Nie przyszedłem tu pani pouczać, jak ma pani wykonywać swój zawód, ale czy to jest naprawdę konieczne? Z tego, co słyszałem, rodzina o to nie prosi, a wie pani, jakie używanie mają media w takich przypadkach.

— To jest konieczne. I dlatego to zrobię.

Grantham westchnął i zmarszczył brwi.

— Harry Marshall był moim przyjacielem. Dobrym przyjacielem. Nigdy nie otwierał przewodu, jeśli nie musiał, i przez wszystkie lata, kiedy prowadził to biuro, nigdy nie usłyszał słowa skargi. Proszę to przemyśleć, pani Cooper.

Wstał, życzył jej miłego dnia i wyszedł. Usłyszała, jak przyjaźnie żegna się z Alison, i jej „do widzenia, Frank”. Gdy tylko wyszedł do holu, napadła na asystentkę.

— Wiedziała pani, że on przyjdzie?

— Tak, zadzwonił do mnie wczoraj wieczorem i się zapowiedział.

— Dlaczego nie zadzwoniła pani do mnie?

— Było już po dziewiątej.

— Rozumiem. A jakim cudem w waszej rozmowie wypłynęła sprawa Katy Taylor?

— Zapytał mnie o to. Podejrzewam, że musiał coś usłyszeć na komisariacie.

— A pani nie uznała za stosowne skonsultować się ze mną, zanim

zaczęła pani omawiać z nim moje działania?

— On jest szefem.

Jenny wzięła głęboki oddech.

— Myli się pani. Odpowiadamy przed Ministerstwem Sprawiedliwości, nie przed nim. Czy to jasne?

Alison skinęła niepewnie głową.

— A tak przy okazji, może zechce mi pani opowiedzieć o tej nieformalnej sieci państwowych urzędników, którzy tak bardzo się starają nawzajem ułatwić sobie życie.

— Chodzi o to, że wszyscy znają wszystkich. A Frank Grantham ma bardzo szerokie kontakty. Zasiada w mnóstwie komitetów.

— Mazoni, rotarianie...

— Coś w tym rodzaju.

— I boi się, że narobię wstydu jego przyjaciółom z policji, prowadząc dochodzenie, które może wykazać ich niekompetencję?

— Tego nie wiem.

— Alison — ciągnęła Jenny — kiedy mówiła pani, że mogły być naciski na nadinspektora Swaintona, kogo miała pani na myśli?

— Nikogo konkretnego... Po prostu kogoś na górze.

— Przyjaźni się pani z Granthamem?

— Nie, ale znam jego żonę. Czasem gramy w golfa.

— A gdzie w tym towarzystwie wzajemnej adoracji jest miejsce doktora Petersona?

— Zdaje się, że on i Harry byli w tym samym Komitecie Charytatywnym. Zbierali fundusze na badania nad rakiem. Wiem, że Frank też się udziela w takich akcjach.

Wszystko stawało się jasne. Dystrykt Severn Vale mógł obejmować część północnego Bristolu, ale funkcjonował jak małe miasteczko. Lekarze, policjanci, urzędnicy służby cywilnej, koroner — wszyscy należą do jednej grupy towarzyskiej. Bardzo użytecznej, jeśli się do niej pasowało, ale też po mistrzowsku kryjącej grzeszki kolegów. Jenny uświadomiła sobie, że przy istnieniu takiej sieci nieformalnych powiązań i zależności każdy scenariusz

jest prawdopodobny. Niewykluczone, że jakaś miejscowa szychta płaciła Katy Taylor za seks albo że Marshall został poddany naciskom, by nie naraził na szwank reputacji zakładu poprawczego Portshead Farm. Nie tylko nie chciała brać w tym udziału; postanowiła, że jeśli taki plugawy system naprawdę istnieje, obnaży go i zniszczy.

— Jutro rano otwieram przewód w sprawie Katy Taylor — oznajmiła asystentce.

— Jutro? — Alison zrobiła przerażoną minę.

— Zanim świadkowie zdążą uzgodnić wersje. Chcę, żeby jeszcze dziś wezwania trafiły do doktora Petersona, do funkcjonariuszy prowadzących śledztwo i do opiekuna Katy z zespołu kuratorskiego.

— A jej rodzice? Czy nie powinno się im dać więcej czasu?

— Ja się nimi zajmę — odparła Jenny i ruszyła do gabinetu.

— Pani Cooper?

Obróciła się na pięcie.

— Tak?

— Gdzie pani zamierza zebrać sąd?

Pytanie było oczywiste, ale jej nie przyszło do głowy. Severn Vale, jak większość dystryktów, nie miał własnej sali sądowej; koronerzy rezerwowali odpowiednie pomieszczenia w różnych budynkach publicznych. Niektórzy wciąż musieli prowadzić rozprawy w domach kultury czy w salkach parafialnych, wciskając się między dziecięce urodziny a loterie fantowe.

— A gdzie odbywał posiedzenia pan Marshall?

— Zwykle w starym sądzie hrabstwa, ale budynek został sprzedany pod mieszkania.

— Musi być jakieś inne miejsce.

— Od czasu do czasu korzystaliśmy z wiejskiej świetlicy w Ternbury. Jest tania.

— Wiejska świetlica? Nie stać nas na nic lepszego?

— Z jednodniowym wyprzedzeniem? W indyjskiej knajpce koło mojego domu jest salka na piętrze.

Jenny potrzebowała chwili, by wyczuć ironię Alison.

— No cóż, niech będzie świetlica.

* *

Przez resztę przedpołudnia Jenny zajmowała się zgłoszeniami z nocy. Polski kierowca ciężarówki prawdopodobnie zasnął za kierownicą i uderzył w wiadukt na M4. Godzinę zajęło jej namierzenie i poinformowanie odpowiednich władz w Gdańsku, a chwilę później zadzwoniła do biura rozhisteryzowana kobieta, zapewne wdowa, która nie znała ani słowa po angielsku. Przez dobry kwadrans wyplakiwała się niezrozumiale do słuchawki, gdy tymczasem Alison bezskutecznie szukała tłumacza. Następna była czteroletnia dziewczynka, która zmarła w domu na zaawansowaną białaczkę. Lekarz domowy chciał podpisać akt zgonu, ale rodzice uparli się przy autopsji, przekonani, że dziecko zostało skażone przez promieniowanie z już dawno wyłączonej pobliskiej elektrowni atomowej w Berkeley. Jenny zgodziła się na sekcję, skoro miało im to dać spokój ducha.

Wykonała kilka telefonów do ordynatorów ze szpitala Vale, którym wyjaśniła, że nie będzie wystawiała aktów zgonu ich zmarłym pacjentom, dopóki nie otrzyma pisemnego raportu z autopsji. Po ośmiu takich rozmowach zadzwonił do niej wściekły dyrektor, Michael Summers, i zaczął tłumaczyć, że kostnica jest już przepełniona, na co Jenny odparła, że osobista sekretarka dla patologa to o wiele tańsze i bardziej przyjazne dla środowiska rozwiązanie niż parking pełen chłodni na kołach.

O w pół do szóstej, kiedy właśnie chciała zacząć przygotowania do jutrzejszej rozprawy, Alison przyniosła kolejnych sześć zgłoszeń — wszystkie dotyczące starszych osób, które zmarły tego dnia w domach opieki. Asystentka była zdumiona. Dziewięćdziesiąt dziewięć na sto zgonów w domach opieki następowało z przyczyn naturalnych i akty zgonu wystawiali miejscowi lekarze, wyjaśniła. Marshall bardzo rzadko dostawał takie zgłoszenia. Jenny zadzwoniła do czterech koronerów w sąsiednich dystryktach i jej podejrzenia potwierdziły się: tylko ona padła ofiarą tego nowego zjawiska. Ustaliła, że korporacja lekarzy pierwszego kontaktu Severn Vale wysłała do okolicznych przychodni mail z zaleceniem, żeby wszystkie

zgony z wyjątkiem najbardziej oczywistych zgłaszać koronerowi. Wystarczyły trzy dni, a wrogowie już zwierali szeregi, by pogrzebać ją w papierkowej robocie.

Zareagowała natychmiast, wysyłając do przychodni mail z informacją, że wkrótce będą mogli zgłaszać wszystkie zgony drogą elektroniczną, a ostatnią instrukcję korporacji należy zignorować.

Wizyta Granthama i akcja, która nastąpiła zaraz po niej, obudziły w Jenny gniew — jedyne uczucie na tyle silne, by wyprzeć niepokój. Niech ją piorun strzeli, jeśli pozwoli, żeby ten nadęty drugorzędny biurokrata sabotował jej pracę. Znalazła w podręczniku Jervisa fragment dotyczący utrudniania pracy koronera — przestępstwa ściganego z urzędu. Jeśli Grantham spróbuje jeszcze czegoś, mogła kazać go aresztować.

* *

Dochodziła ósma, kiedy Jenny znalazła miejsce parkingowe pod szkołą Rossa, a było prawie dziesięć po, gdy spocona jak mysz stanęła pod salą gimnastyczną, gdzie odbywała się wywiadówka. Temazepam, który łyknęła po południu, przestał działać, więc jej serce łomotało jak szalone. Przepisnęła się przez tłum rodziców płynący w przeciwnym kierunku i dotarła pod drzwi w chwili, gdy wychodził z nich David. Miał czterdzieści sześć lat, ale wciąż był przystojny, i to aż za bardzo. Włożył jeden ze swoich najdroższych garniturów, ostentacyjnie dając do zrozumienia innym rodzicom, że jego syn nie chodzi do państwowego gimnazjum z braku pieniędzy.

Rzucił Jenny pełne politowania spojrzenie, które wyćwiczył do perfekcji już w pierwszych latach małżeństwa.

- Punktualna jak zwykle.
- Ledwie minęła ósma.
- Zebranie było o wpół do. Napisałem ci mail w zeszłym tygodniu.
- Doprawdy?
- Niczego nie straciłaś. Ci idioci nie dostrzegliby potencjału nawet u Einsteina.
- Co powiedzieli?

— Czy to ważne? Znasz moje zdanie o tej szkole.

— Lada dzień ma egzaminy.

— Według nauczycieli będzie miał szczęście, jeśli zda którykolwiek przedmiot.

— Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? Musiałaś przecież wiedzieć, że Ross ma problemy.

— Masz dość własnych. Nie chciałem cię dodatkowo obciążać.

— A co mówi Ross?

— Niewiele. Zwykle tylko coś burczy i znika na górze ze słuchawkami na uszach.

— Mieszkaś z nim pod jednym dachem. Chyba masz jakieś pojęcie, co się dzieje?

— Obawiam się, że nie mam twojej przenikliwości.

Jenny poczuła ucisk w gardle.

— Posłuchaj, David, nie przyszedłam tutaj się kłócić. Przepraszam, że się spóźniłam, ale wydaje mi się, że powinnam porozmawiać raczej z Rossem, a nie z jego nauczycielami.

— To może wpadniesz w sobotę na lunch?

— Do ciebie?

— To także jego dom. Jeśli zdołasz to znieść, może uda nam się stworzyć wspólny front i choć raz pogadać z nim jak dwoje odpowiedzialnych rodziców.

Powstrzymując chęć nazywania go złośliwym kutasem, odparła:

— Jeśli uważasz, że to pomoże, przyjdę. Czy ona też będzie?

— Debora i ja jesteśmy razem. Ale jeżeli masz coś przeciwko...

— Nie mam. Jeśli tylko Rossowi to nie przeszkadza.

— Prawdę mówiąc, dogadują się całkiem dobrze.

— Ładna jest?

David zignorował pytanie.

— Może być o pierwszej?

— Okej. — Jenny poczuła lekkie wyrzuty sumienia za swój tani chwyt. — Przepraszam.

Zapanowało niezręczne milczenie.

— Chapnęłaś niezłą posadkę. Jakim cudem się na nią wkręciłaś?

— Cóż, zapewne byłam najlepszą kandydatką.

— Tylko nie pozwól, żeby cię to całkiem pochłonęło. Ross będzie cię potrzebował przez najbliższych parę lat.

— Nie widzę powodu, dlaczego miałoby mu mnie zabraknąć.

— Świetnie. — Skinął głową i odszedł.

Jenny stała, patrząc za nim. Nawet chód miał arogancki. Jakby był najważniejszym człowiekiem na świecie.

Nic dziwnego, że przy nim zwariowała.

Rozdział 7

Ternbury było niewielkim skupiskiem domów pośród pól rzepaku i jęczmienia, jedenaście kilometrów na północ od Bristolu. Tak zwana wiejska świetlica — zwykły blaszany barak na skraju centralnego skweru — była udekorowana wyblakłymi chorągiewkami i transparentem reklamującym najbliższą sobotnią potańcówkę. Jenny nie potrafiła sobie wyobrazić budynku mniej kojarzącego się z wymiarem sprawiedliwości.

Przyjechała o wpół do dziewiątej. Alison, w czarnym dwuczęściowym kostiumie, ustawiała stoły i stare składane krzeselka w taki sposób, żeby sala przypominała sąd. Świetlica, niewiele większa niż przeciętna szkolna klasa, miała podłogę z gołych desek i ściany pokryte sosnową boazerią, lepka od nikotyny. Na jednym końcu znajdowało się niewielkie podwyższenie, na drugim — okienko do kuchni. Zapach starego drewna, stęchlizny i herbaty przypominały Jenny szkółkę niedzielną, do której musiała chodzić i która kojarzyła jej się ze strachem i niejasnym poczuciem wstydu. Pani Talbot, skwaszona stara panna prowadząca religię, należała do tych chrześcijan, którzy za swoją życiową misję uznawali wykorzenie wszelkiej radości. I w granicach swego małego królestwa odniosła sukces.

Widząc niezbyt entuzjastyczną reakcję Jenny, Alison powiedziała:

— To nie jest budynek sądu królewskiego, ale przynajmniej ludzie czują

się tu swobodnie. — Wyprostowała stół, za którym miała zasiąść Jenny. — Panu Marshallowi bardzo się tu podobało. Mówił, że przypomina mu się dzieciństwo.

— Nie dziwię się. Gdzie mogę zostawić swoje rzeczy?

Alison wskazała drzwi koło podwyższenia.

— Tam jest kantorek. Przynieść pani herbaty? Nastawiłam ekspres.

— Tak, dziękuję.

Weszła do niewielkiego pokoju ze starym biurkiem i pojedynczym krzesłem. Pod ścianą stało kilka kartonów po herbacie, w których trzymano jakieś szmaty, bodajże kostiumy na jasełka. Wąskie okienko wychodziło na rozległe pole młodej pszenicy i niezbyt odległe wzgórze Severn i Gloucestershire. Mimo wiejskiego otoczenia i staroświeckiego uroku sali poczuła nadciągający atak klaustrofobii. Nie chciała łykać środków nasennych w przeddzień rozprawy, więc spała fatalnie; była na nogach już od piątej rano. Czuła ucisk w piersiach i nie zdołała przełknąć śniadania. Temazepam, który zażyła godzinę temu, ledwie nadgryzł jej niepokój i tylko ją przymulił. W rezultacie czuła się niezdrowo pobudzona, a jednocześnie zmęczona fizycznie.

Wzięła głęboki wdech, powtarzając mantrę, której nauczył ją doktor Travis: „Moja prawa ręka jest ciężka”. Poczuła ciężar prawej ręki, po czym skupiła się na lewej. Cały czas oddychała głęboko, wciągała powietrze aż do przepony. Po jakiejś minucie jej tętno zaczęło zwalniać. Co za ulga. Otworzyła oczy i bez pośpiechu wyjęła z aktówki dokumenty, książki i notatki.

Usiadłszy przy biurku, zaczęła przeglądać pytania, które przygotowywała do pierwszej w nocy. W przeciwieństwie do sądu karnego czy cywilnego, przewód koronerski nie polega na rywalizacji między oskarżeniem a obroną. Ma na celu zbadanie okoliczności śmierci. Koroner przesłuchuje wszystkich świadków, po czym pozwala zadawać pytania innym zainteresowanym stronom. Pytania sugerujące albo oparte na pogłoskach są jak najbardziej dopuszczalne, jeśli tylko mogą się przyczynić do ustalenia prawdy.

Jenny przyłapała się na tym, że gapi się bezmyślnie na zapisane kartki

— widziała słowa, ale jej mózg ich nie przyjmował. Wczoraj wieczorem w swoim gabinecie myślała trzeźwo, była pewna siebie. Teraz w jej głowie kłębiły się niechciane myśli i obawy. Każdą próbę koncentracji niweczyły czarne scenariusze. Spróbowała jeszcze raz ćwiczenia doktora Travisa, ale jej ręka nie chciała się rozluźnić, a serce zaczęło przyspieszać. Pot zaczął ciec po jej plecach i spod pach. Nie było rady. Sięgnęła po torebkę i wyjęła temazepam. Drżącymi dłońmi wcisnęła zakrętkę i przekręciła. Za mocno. Pigułki posypały się na biurko i podłogę. Cholera. Chwyciła dwie, połknęła, po czym zaczęła zgarniać resztę do buteleczki. Nagle drzwi się otworzyły. Weszła Alison z kubkiem herbaty. Jenny poderwała głowę.

Alison nadepnęła jedną z pigułek i zobaczyła ich więcej, rozsypanych po podłodze.

— Wysypała mi się aspiryna... — wyjaśniła Jenny.

Alison postawiła kubek na biurku i spojrzała na nią z troską.

— Wszystko w porządku, pani Cooper?

— Tak, tylko głowa mnie boli. Pracowałam do późna.

Alison spojrzała na małe białe tabletki z sygnaturą T-30 wyraźnie widoczną na każdej z nich. Nie trzeba było farmaceutki, by się domyślić, że nie są to tabletki od bólu głowy.

— Mamy ponad dobrą godzinę do rozpoczęcia — powiedziała uspokajającym tonem. — Policję będzie reprezentować mecenas Hartley. Rodzice postanowili nie zatrudniać prawnika. Młody człowiek z zespołu kuratorskiego zadzwonił i powiedział, że jest już w drodze. Nie odezwał się żaden z wezwanych funkcjonariuszy ani doktor Peterson, ale zakładam, że się pojawią.

Jenny wypiła łyk gorącej herbaty, splukując tabletki, które utkwily jej w przełyku.

— Mam nadzieję. Jeśli nie, wydam nakazy aresztowania.

— Za to przysięgłych mamy w komplecie, a właściciel miejscowego pubu przygotowuje kanapki.

— To jak organizowanie wiejskiej potańcówki. — Jenny zebrała resztę pigułek z biurka i wsypała do buteleczki, nie przejmując się, co sobie pomyśli

Alison. Wielu ludzi bierze czasem środki na uspokojenie.

— Czy mogę pani udzielić pewnej rady, pani Cooper?

— Oczywiście.

— Z mojego doświadczenia z rozpraw, a widziałam ich trochę, wynika, że wszystko idzie sprawniej, kiedy koroner nie wprowadza napiętej atmosfery. Świadkowie są wtedy spokojni i chętniej odpowiadają na pytania.

— Zrobię, co w mojej mocy.

Alison milczała chwilę, po czym dodała:

— I przepraszam za przedwczoraj. Nie powinnam była pozwolić sobie na taki wybuch. To nie było profesjonalne.

— To był dla pani trudny okres.

— Tak.

Alison pokiwała głową w zamyśleniu, odwróciła się do drzwi i chwyciła za klamkę.

— Niech pani będzie ostrożna — powiedziała, zanim wyszła.

* *

Gdy o dziewiątej trzydzieści Jenny wyszła z kantorka, znów panowała nad sobą — dwie pigułki temazepamu całkiem ją uspokoiły — ale nie była przygotowana na widok, który ukazał się jej oczom. Sala pękała w szwach i już było w niej duszno.

Alison, w todze zarzuconej na kostium, zawołała:

— Proszę wstać.

Zebrani wstali posłusznie. Cztery rzędy krzeseł zajmowali dziennikarze, publiczność i ośmioro przysięgłych. Wśród tego tłumku Jenny dostrzegła rodziców Katy. Andy, w garniturze i krawacie, ścisnął dłoń żony, Claire była jeszcze bledsza niż podczas ich poprzedniego spotkania.

Za stołem ustawionym pod kątem czterdziestu pięciu stopni od biurka Jenny siedziało dwóch prawników: mężczyzna tuż po trzydziestce, zapewne reprezentant policji, i elegancki pan po pięćdziesiątce w granatowym garniturze w prążki i śnieżnobiałej koszuli z wykrochmalonym adwokackim kołnierzykiem. Naprzeciwko stołu prawników stał mniejszy stolik, który miał

służyć za miejsce dla świadków. Umieszczono na nim magnetofon, jako że skąpy budżet koronera nie pozwalał zatrudnić stenotypistki. Alison zajęła miejsce obok podwyższenia, skąd miała widok na całą salę.

Jenny skinęła obecnym głową i usiadła. Zgromadzeni zrobili to samo, głośno szurając krzesłami. Gdy już się usadowili, dostrzegła mężczyznę w garniturze, który właśnie wszedł i znalazł wolne krzesło w ostatnim rzędzie, Granthama.

Złożyła dłonie przed sobą. Na szczęście nie drżały.

— Dzień dobry państwu. — Spojrzała na karteczkę z nazwiskiem prawnika, którą Alison położyła jej na biurku. — Panie Hartley, rozumiem, że reprezentuje pan policję dystryktu Severn Vale.

Mecenas Giles Hartley wstał zza biurka z teatralną powagą i odparł nadętym belferskim tonem:

— Tak jest, z pełnomocnictwa pana Goodisona.

Goodison, jego mocodawca, zgodnie ze zwyczajem potwierdził skinieniem głowy.

— Czy zanim zaczniemy, mogę podnieść pewną kwestię prawną? — kontynuował Hartley, nie czekając na odpowiedź. — O ile wiem, podczas autopsji przeprowadzonej we wtorek pierwszego maja stwierdzono, że śmierć Katy Taylor była wynikiem przedawkowania narkotyku powszechnie znanego pod nazwą heroiny. W świetle takiego orzeczenia można by kwestionować prawomocność tego przewodu, choć muszę przyznać, że poranna przejażdżka w to urocze miejsce była doprawdy przyjemna.

Przez salę przebiegła fala pochlebczego śmiechu.

Jenny była przygotowana na próbę podważenia jej decyzji.

— Na pewno zna pan sprawę Terry versus Craze z 2001 roku — odparła. — Sąd apelacyjny orzekł, że koroner ma prawo otworzyć przewód nawet po wystawieniu aktu zgonu, jeśli pojawią się nowe dowody, które pozwalają podejrzewać, iż śmierć nie nastąpiła z przyczyn naturalnych.

— I właśnie o to chodzi, pani koroner — nie ustępował Hartley. — Śmierć denatki nie nastąpiła z przyczyn naturalnych i pan Marshall to właśnie stwierdził. Być może popełnił błąd, nie otwierając przewodu, ale to nie daje

pani podstawy prawnej do otwierania go teraz. Prawidłowa procedura wymaga złożenia do Sądu Najwyższego wniosku o wydanie zgody na wszczęcie nowego dochodzenia.

Miał rację, ale nie do końca. Jenny wykuła się na blachę i wiedziała, jak się bronić. Odpowiedziała z grubej rury:

— Pan Marshall oczywiście popełnił błąd, podpisując ten akt zgonu, i ja uznaję go za nieważny. Jako że nie przeprowadzono formalnego dochodzenia, jestem nie tylko uprawniona, ale wręcz zobligowana przez prawo do otwarcia tego przewodu. I nie dam się przekonać, że jest inaczej. Dziękuję, panie Hartley.

Zwróciła się do Alison, która była wyraźnie pod wrażeniem jej mocnego wejścia.

— Czy możemy powołać przysięgłych?

Zdeprimowany Hartley usiadł. Kiedy Alison kolejno wywoływała przysięgłych, pochylił się do Goodisona i zaczął coś mu szeptać. Po chwili starszy prawnik przemknął się do drzwi i wyszedł z sali.

Gdy przysięgli zajmowali miejsca w rzędzie krzeseł pod ścianą, naprzeciwko stołu prawników, Jenny rozejrzała się po sali. Nie dostrzegła doktora Petersona ani policjantów. Goodison pewnie poszedł ich zawiadomić, że jednak będą musieli stawić się na rozprawie. Spojrzała na Hartleya, niecierpliwie stukającego wiecznym piórem o notes. Czy naprawdę sądził, że ona da się tak łatwo wysadzić z siodła? Wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Granthamem i jakby wyczuwając, że go na tym przyłapała, wziął jakieś papiery i udawał, że czyta.

Wygrała pierwszą potyczkę, ale nie miała złudzeń. Była pewna, że Grantham i jego przyjaciele zamierzają utrudnić jej życie, jak tylko się da. Poczowała ucisk w piersi i uświadomiła sobie, że to strach. Dotarło do niej, że gdy Marshall ten jeden jedyny raz zaczął kopać za głęboko, nie zdążył opowiedzieć, co znalazł.

* *

Pierwszym — i jedynym — świadkiem, który stawił się o wyznaczonej

godzinie, był Justin Bennett, młody pracownik socjalny z zespołu kuratorskiego do spraw nieletnich przestępców. Ross nazwałby go wapniakiem. Biały, dwadzieścia cztery lata, metr siedemdziesiąt wzrostu i długie do ramion dredy, które na tę okazję związał w kucyk. Miał kilka kolczyków w uchu, ćwiek w nosie i kolczyk w dolnej wardze, który albo powodował, albo podkreślał jego seplenienie. Usiadł niepewnie na miejscu dla świadków, wyraźnie spięty w garniturze khaki i rozpiętej pod szyją koszuli. Ten młody człowiek, pomyślała Jenny, jest odrobinę zagubiony: pracuje po stronie prawa i porządku, ale na ulicy próbuje uchodzić za dilera.

Przesłuchiwała go, jak przesłuchiwałyby zbuntowanego nastolatka.

— W marcu tego roku — zaczęła — Katy Taylor dostała wyrok dwunastu tygodni pozbawienia wolności i przymusowej resocjalizacji za napad na osiemnastoletnią kobietę.

— Tak — wymamrotał Justin, patrząc wszędzie, tylko nie na nią.

— Czy mógłby pan mówić głośniejszym głosem, panie Bennett? Sędziowie przysięgli muszą pana słyszeć.

Kiwnął głową, czerwieniąc się ze wstydu.

— Podczas tej napaści złamała ofierze nos i ukradła trzydzieści funtów, by kupić sobie narkotyki.

— Zgadza się.

— Siedemnastego kwietnia, po sześciu tygodniach w zamkniętym zakładzie wychowawczym Portshead Farm, została warunkowo zwolniona i oddana pod pański nadzór na pozostałych sześć tygodni wyroku.

— Tak.

— Na czym dokładnie polegał ten nadzór?

— Musiała codziennie chodzić do szkoły, przestrzegać aresztu domowego od siódmej wieczorem i dwa razy w tygodniu chodzić na TU.

— Co to jest T.U.?

— Terapia uzależnień. Wyszła z Portshead całkowicie czysta i tak miało zostać.

— W jaki sposób kontrolowano, czy spełniała te warunki?

— Przez weryfikację głosową. Codziennie o siódmej piętnaście

dzwoniło do niej na domowy numer i komputer sprawdzał próbkę głosu, potwierdzając, że to ona.

- Czy musiała spotykać się z panem osobiście?
- Dwa razy w tygodniu po szkole, przed T.U.
- To dość surowy reżim.

Justin nie odpowiedział. Jenny podejrzewała, że nie wie, co znaczy słowo „reżim”.

- Katy zaginęła po zaledwie pięciu dniach od wyjścia.
- No tak.
- Ile razy spotkał się pan z nią w ciągu tych pięciu dni?
- Dwa. W środę osiemnastego, w wyznaczonym terminie, i w piątek, przed jej T.U. Następne spotkanie mieliśmy wyznaczone na poniedziałek, dwudziestego trzeciego.

Jenny zapisała jego odpowiedzi i w nawiasie dodała: „Dobrze przećwiczone”.

- Czy Katy przestrzegała aresztu domowego?
- Przeważnie. W piątek trochę się spóźniła.
- Ale zjawiała się na T.U.?
- Tak.
- Czy wiedział pan albo podejrzewał, że prostytutowała się, by kupować narkotyki?

- Czytałem o tym w jej aktach.
- Rozmawiał pan z nią o tym na środowym spotkaniu?
- Nie.
- A o czym rozmawialiście?
- Wyjaśniłem jej warunki zwolnienia, nagrałem próbkę jej głosu i podałem informacje o terapii. Zwykle formalności.

— Formalności? Czy jako kurator nie powinien był pan udzielić wsparcia emocjonalnego? Rozmowa o przyczynach wcześniejszych wykroczeń i o ewentualnej prostytutce wydaje się niezbędną, zwłaszcza w przypadku piętnastolatki.

Twarz Justina zrobiła się ciemnopurpurowa.

— To było tylko pierwsze spotkanie — wyjąkał.

— Rozumiem. A czy wie pan, od kogo kupowała heroinę?

— Nie.

— Nie spytał pan, kto jej sprzedaje narkotyki?

— Nigdy nie prosimy naszych podopiecznych, żeby donosili. Nasze zadanie polega na zdobyciu ich zaufania.

Jenny uznała, że wyciągnęła z Justina Bennetta wszystko, co dało się wyciągnąć. Przypominał jej wielu pracowników socjalnych, z którymi zetknęła się w sądzie rodzinnym. Po paru latach dochodzili do wniosku, że ich walka o naprawienie świata jest daremna, tracili empatię i zmieniali się w zwykłych biurokratów. Zadać wymagane pytania, zakreślić wymagane okienka i o piątej wyjść z biura. Justin miał wszelkie cechy takiego formalisty.

— Dziękuję, panie Bennett, nie mam więcej pytań. — Spojrzała na Hartleya, który pokręcił głową. — Może pan wrócić na miejsce, a nawet wyjść z budynku, jeśli pan chce.

Justin zerwał się z krzesła i ruszył do drzwi, unikając spojrzeń państwa Taylorów; zdjął marynarkę, zanim wyszedł z sali.

Kolejny świadek, posterunkową Helen Campbell, była młoda, ale tak otyła, że kłopot sprawiało jej nawet poruszanie nogami, a co dopiero mówić o ściganiu przestępców. Czytała przysięgę drżącym głosem i zacinając się przy co drugim słowie. Przysięgli wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Jenny rozumiała zdenerwowanie młodej policjantki, więc przybrała łagodny ton i zaczęła od prostych pytań.

Posterunkową Campbell rzuciła na sprawę tyle samo światła, co Justin Bennett. Odebrała zgłoszenie przypadkowego przechodnia i pierwsza zjawiała się na miejscu zdarzenia (o dziewiątej). Była sama w radiowozie, bo jej partner zadzwonił rano, że jest chory. Otoczyła taśmą teren wokół ciała i wezwała funkcjonariusza z wydziału śledczego, który przyjechał z niewielką ekipą kryminalistyczną. Do pierwszej technicy niczego nie znaleźli, więc zadzwoniła po karawan, który przewiózł ciało do kostnicy w Vale. Po południu spotkała się w szpitalu z Taylorami i zorganizowała okazanie, by mogli zidentyfikować ciało córki. Przed końcem zmiany napisała odręczny raport z

wydarzeń dnia, który oddała nadinspektorowi Alanowi Swaintonowi, oficerowi prowadzącemu śledztwo. Przez dwa dni nie słyszała nic o sprawie i dopiero drugiego maja dowiedziała się, że wydział śledczy uznał śmierć Katy za przypadkowe przedawkowanie, a koroner wydał ciało rodzinie.

Jenny przerwała na chwilę przesłuchanie, by zastanowić się nad tym, co powiedziała posterunkowa. Młoda, ewidentnie niezbyt bystra policjantka pierwsza zjawiała się na miejscu. Śledczy i technicy przyjechali dopiero po godzinie. Choć Campbell była niemal analfabatką nawet jak na policyjne standardy — polecono jej napisać raport dla koronera. Jenny zanotowała te spostrzeżenia i ponownie zwróciła się do świadka.

— Czy to zwykła praktyka, że stosunkowo niedoświadczony funkcjonariusz, taki jak pani, przez godzinę samotnie nadzoruje potencjalne miejsce zbrodni i jest odpowiedzialny za sporządzenie raportu dla koronera?

— Raczej nie, Wysoki Sądzie — odpowiedziała posterunkowa ze swoim twardym bristolskim akcentem, teraz już trochę bardziej pewna siebie. — Mamy tak mało ludzi, że robotę dostaje ten, kto jest akurat wolny.

— Czy pani sama zaproponowała, że napisze raport, czy została o to poproszona?

— I tak musiałam napisać protokół ze znalezienia ciała. Nadinspektor Swainton polecił mi go wysłać do biura koronera.

Jenny dostrzegła kątem oka, że Hartley bardzo uważnie przysłuchuje się tej wymianie zdań. Alison też siedziała jak na szpilkach. Przypomniała sobie spekulacje asystentki, że Swainton był naciskany, bo Katy mogła uprawiać seks z kimś prominentnym — kimś, kogo ani policja, ani Marshall nie chcieli albo nie śmieli tknąć.

— Pani Campbell, czy może pani powiedzieć przysięgłym, jak i przez kogo zostało odkryte ciało Katy?

— Znalazła ją niejaka Julia Gabb, która spacerowała z psem. A właściwie to znalazł ją pies; ta pani szukała go w krzakach i trafiła na ciało.

— Czy codziennie spaceruje tam z psem?

— Powiedziała, że nie była tam od tygodnia.

— Czy i inni wyprowadzają tam psy?

— Parę osób na pewno.

— Więc nawet jeśli ciało nie było widoczne z szosy i ścieżki powyżej, można uznać za dziwne, że nie zostało znalezione wcześniej?

Posterunkową wzruszyła ramionami.

— Trudno mi powiedzieć.

Jenny sięgnęła po kopie policyjnych zdjęć i jeszcze raz im się przyjrzała. Ciało osłaniał duży krzak, laur albo rododendron. Pamiętała ze swoich dziecięcych zabaw w chowanego na północnym wybrzeżu Somerset, że takie krzaki z wierzchu wydają się zbite, ale kiedy przedrzeć się przez zewnętrzną warstwę liści, w środku zawsze znajduje się świetna kryjówka. Skąd Katy, dziewczyna wychowana w mieście, mogła to wiedzieć? I po co szukała aż tak odludnej kryjówki, żeby się naćpać?

— Proszę powiedzieć, czy znalazła tam pani cokolwiek, co wskazywałoby, że było to miejsce popularne wśród narkomanów albo prostytutek? Jakież igły, strzykawki lub prezerwatywy?

— Widziałam tylko jedną strzykawkę, obok Katy.

— Czy ta okolica jest znana policji jako miejsce odwiedzane w tych celach?

— Raczej nie.

— Można więc uznać, że jest to miejsce odległe od miasta, w które trudno się dostać bez samochodu?

— Tak.

— A Katy miała buty na obcasach?

— Zgadza się.

— Więc wydaje się mało prawdopodobne, że dotarła tam pieszo?

— No tak, faktycznie.

— Istnieją zatem dwie możliwości: albo pojechała tam z kimś, kiedy jeszcze żyła, albo jej ciało zostało tam umieszczone po śmierci.

— Ja tylko napisałam raport, pani koroner. Nie jestem śledczym.

— To prawda. — Jenny spojrzała na przysięgłych i dostrzegła ich podejrzliwe miny. Zwróciła się do prawników: — Czy mają panowie jakieś pytania?

Hartley wstał z za stołu z cukierkowym uśmiechem na twarzy; w kąciu jego ust, na górze, połyskiwał złoty ząb.

— Tylko dwa pytania, pani Campbell. Zakładam, że znalazła się pani na miejscu, bo była pani akurat najbliżej, kiedy wpłynęło zgłoszenie.

— Zgadza się.

— I jako pierwsza na miejscu zdarzenia miała pani obowiązek napisać raport o tym, co pani tam zastała.

— Tak jest.

— Ale nie ma pani pojęcia, w jaki sposób Katy Taylor się tam znalazła? Posterunkową Campbell wahała się chwilę, po czym przyznała:

— Nie.

Hartley posłał przysięgłym kolejny uśmiech i usiadł, wyraźnie bardzo z siebie zadowolony.

Jak na zawołanie zjawił się doktor Peterson w towarzystwie umundurowanego policjanta — sądząc po liczbie gwiazdek na pagonach, nadinspektora Swaintona. Obaj mężczyźni wyglądali na zirytowanych, że oderwano ich od licznych obowiązków i ściągnięto w jakiś zapadły kąt Gloucestershire. Jenny poczuła dreszczyk radości, że ma nad nimi taką władzę.

Najpierw powołała nadinspektora Swaintona. Wysoki, barczysty mężczyzna koło pięćdziesiątki z gęstą kasztanową czupryną wyglądał doprawdy imponująco. Nie krył zniecierpliwienia i był bardzo pewny siebie — Jenny ze swoim sądem nie robiła na nim najmniejszego wrażenia. Jego arogancja natychmiast wytrąciła ją z równowagi. Bennett i Campbell byli uległymi świadkami, ale ten człowiek zamierzał stawić jej czoło.

— Panie nadinspektorze, czy to pan kierował śledztwem w sprawie Katy Taylor?

— Tak.

— Kiedy przyjechał pan na miejsce?

— Mniej więcej godzinę po posterunkowej Campbell. Razem z moim zespołem przez całą noc zajmowałem się strzelaniną koło Stroud.

— Czy uznał pan ten zgon za podejrzany?

— Początkowo tak. Ale kiedy zapoznałem się z raportem z autopsji, stało się dla mnie jasne, że dziewczyna zmarła wskutek przedawkowania heroiny.

— Przecież z tego raportu nie wynikało, czy sama wstrzyknęła sobie śmiertelną dawkę, czy też ktoś jej w tym pomógł albo nawet zmusił ją do tego.

— Patolog nie znalazł żadnych śladów użycia przemocy. — Zwrócił się bezpośrednio do przysięgłych, jakby chciał ostatecznie wyjaśnić sprawę: — Teoretycznie nie można wykluczyć zabójstwa czy wręcz morderstwa, nie było jednak żadnych fizycznych dowodów, na których można by oprzeć takie podejrzenie. W takiej sytuacji przekazujemy sprawę koronerowi, ale śledztwo pozostaje otwarte, na wypadek gdyby pojawiły się dalsze dowody. Tak właśnie zrobiliśmy i jak na razie nie wypłynął żaden dowód uczestnictwa osób trzecich.

— Więc dopuszcza pan możliwość, że Katy została zabita, czy przypadkiem, czy umyślnie, przez kogoś innego?

— Oczywiście, ale możemy działać tylko w granicach naszych środków. Co roku mamy kilkanaście takich przypadków przedawkowania. Gdybym każdy z nich traktował jako potencjalne morderstwo, potrzebowalibyśmy dwa razy tyle śledczych.

— Katy Taylor była bezbronną piętnastolatką, która miała już na koncie zażywanie narkotyków i prostytutkę. Osoby takie jak ona są szczególnie narażone na wykorzystanie przez dewiantów seksualnych.

— Zgadza się z panią.

— Więc dlaczego nie przeprowadził pan dokładniejszego śledztwa? Dlaczego nie skupił się pan na ustaleniu, co robiła w ostatnich godzinach życia i z kim była?

— Proszę mi uwierzyć, że próbowaliśmy, ale prostytutki niechętnie pomagają policji. Moi ludzie zaapelowali o udzielenie wszelkich informacji i wysłuchanie każdego, kto ma cokolwiek do powiedzenia w tej sprawie. To jednak nie zmienia faktu, że nie było żadnych śladów, by ktokolwiek używał wobec niej przemocy.

— A uwzględniliście możliwość, że jej ciało mogło zostać umieszczone w

tym miejscu po śmierci?

— Tak, ale po pierwsze, zwłoki przez kilka dni mokły na deszczu, co uniemożliwiło odnalezienie DNA ewentualnego sprawcy, a po drugie, patolog stwierdził, że pozycja, w jakiej ciało stężało, i układ plam opadowych odpowiadają pozycji, w jakiej umarła.

— W jaki sposób patolog poinformował pana o tym? Tego nie ma w raporcie.

Swainton zerknął na Petersona siedzącego w pierwszym rzędzie. Pytanie wybiło go z rytmu i przysięgli to zauważyli. Nadinspektor odchrząknął i wyjaśnił:

— Odbylem z nim długą rozmowę telefoniczną pierwszego maja po południu, kiedy zakończył już autopsję. Wnioski patologa skłoniły mnie do przekazania sprawy do biura koronera.

— Zaledwie dwadzieścia cztery godziny po znalezieniu ciała.

— Jak już wyjaśniłem, to nie oznaczało, że zamykamy śledztwo, tylko że nie było konkretnych podstaw, aby podejrzewać przestępstwo.

— Nie uznał pan, że śmierć Katy Taylor zasługuje na choćby kilkudniowe intensywne śledztwo?

— W tym czasie mieliśmy kilka brutalnych zabójstw i napaści na tle seksualnym.

— Innymi słowy, to nie był priorytet.

— W porównaniu z innymi sprawami, nie. Uznałem, że biuro koronera będzie właściwszym organem do zajęcia się tym przypadkiem.

Jenny odchyliła się na krześle i przemyślała implikacje słów Swaintona. Jeśli mówił prawdę, policja miała zwyczajnie za mało ludzi, żeby każdej śmierci poświęcić tyle uwagi, ile oczekiwaby opinia publiczna. Pierwszeństwo miały oczywiste morderstwa; zgony bardziej problematyczne czy niejasne lądowały na dnie szuflady. Aby uniknąć oskarżeń o zaniedbanie, śledztwa teoretycznie pozostawały otwarte, choć praktycznie były równie martwe jak ofiara. Nastaly dobre czasy dla morderców, którzy mieli dość sprytu, by zatrzeć po sobie ślady.

— Jak intensywnego śledztwa spodziewał się pan po koronerze? —

zapytała.

Nadinspektor kiwnął głową, jakby czekał na to pytanie.

— Szczerze mówiąc, byłem zaskoczony, że akt zgonu został wydany bez otwarcia przewodu, zwłaszcza biorąc pod uwagę burzliwą przeszłość Katy. Miała być pod ścisłym nadzorem zespołu kuratorskiego.

Manewr zrzucenia winy na innych Swainton przeprowadził z podziwu godną prostotą i szczerością. Jenny pomyślała, że pewnie planował to od wczorajszego popołudnia, kiedy wezwanie wylądowało na jego biurku.

— Podzielił się pan tymi wątpliwościami z koronerem Marshalllem?

— Nie, pani koroner. Nie uważam się za uprawionego do stawiania takich pytań, zresztą kiedy się dowiedziałem, on niestety już nie żył. Ale jestem bardzo wdzięczny, że pani poświęca śmierci Katy należną uwagę.

Wcielenie uroku. Swainton zręcznie wyparł się odpowiedzialności i zrzucił ją na barki Jenny. Poczła dzieciinną ochotę, żeby odplacić mu pięknym za nadobne. Alison, widząc, co się święci, posłała jej ostrzegawcze spojrzenie. Jenny zignorowała to.

— Dziękuję za uznanie, panie nadinspektorze, niemniej chciałabym się dowiedzieć, dlaczego pan i pański wydział poświęciliście zaledwie kilka godzin na wyjaśnienie zgonu piętnastoletniej dziewczyny. To tak zdumiewające, że trudno się nie zastanawiać, czy nie było po temu jakiegoś innego powodu.

Hartley poderwał się z miejsca.

— Pani koroner, doprawdy muszę zaprotestować. Nadinspektor Swainton podał całkiem racjonalny powód swojej decyzji.

— Panu może się on wydawać racjonalny, panie Hartley, ale ja bynajmniej nie jestem usatysfakcjonowana. — Jenny złapała ich za gardło i nie miała zamiaru puszczać. Alison wbiła wzrok w podłogę, jakby chciała zapaść się pod ziemię. Hartley klapnął na krzesło z ledwo tłumioną furią. — Spytam wprost, panie nadinspektorze. Czy ktoś naciskał na pana, żeby wycofał się pan z tej sprawy?

— Nie, pani koroner. Nic takiego nie miało miejsca.

Dziennikarze na widowni skwapliwie notowali każde słowo.

— Czy były jakiegokolwiek podejrzenia, że Katy uprawiała seks z kimś,

kogo pański wydział miał powód chronić? Na przykład z policyjnym informatorem albo jakąś prominentną osobistością?

Nadinspektor zmierzył ją zimnym, spokojnym wzrokiem.

— Absolutnie nie. I z całym szacunkiem, pani koroner, ale czuję się głęboko oburzony taką sugestią.

Czując, jak kurczy się pod jego spojrzeniem, podziękowała Swaintonowi za poświęcony czas i starała się odzyskać panowanie nad sobą. Tymczasem Hartley zadał kilka prostych pytań, obliczonych na zmniejszenie szkód. Jenny pluła sobie w brodę. Nie tylko wyszła na porywczą jędzę, ale też za szybko odkryła karty. Jeśli Swainton ma coś do ukrycia, to teraz poruszy niebo i ziemię, żeby ona tego nie znalazła. Poczowała znajomy supeł pod przeponą i pulsowanie w skroniach. Pigułki przestawały działać. Poczekała, aż Hartley skończy zadawać pytania, i zarządziła dziesięciominutową przerwę.

* *

Splawiła Alison, mówiąc, że musi wykonać kilka telefonów, wyjęła z torebki buteleczkę z temazepamem oraz metalowy pilniczek i przecięła trzy tabletki na połówki. Nie stosowała tej sztuczki od czasu czarnych miesięcy po załamaniu, kiedy jeszcze jako adwokat w sali sądowej z trudem przedzierała się przez każdy dzień. Teraz nie była wprawdzie tak zdenerwowana, jak bywała wtedy, ale tym razem nie miała żadnej możliwości odwrotu, nie mogła po prostu uciec i się schować, gdyby poczuła, że sobie nie radzi. Podczas tamtych koszmarnych miesięcy nauczyła się, że połówka tabletki pozwala jej funkcjonować przez godzinę. Nauczyła się też je ukrywać w miętówkach, jedynym produkcie spożywczym dopuszczalnym w brytyjskich sądach. Rozwinęła folię, wyjęła sześć miętówek, wcisnęła połówki tabletek w dziurki pośrodku i zawinęła je z powrotem.

Nikt się nie zorientuje.

* *

Po powrocie do sali zauważyła, że nadinspektor Swainton wyszedł z budynku. Grantham też zniknął, co upewniło ją w przekonaniu, że ci dwaj są

w zmowie. Peterson siedział na miejscu dla świadków z miną człowieka, który pogodził się z faktem, że ma dzień z głowy. Miał zmęczoną twarz i sprawiał wrażenie, jakby dźwigał na plecach wszystkie ciała, które czekają na sekcję w korytarzu jego prosektorium.

— Przeprowadził pan autopsję Katy Taylor rankiem pierwszego maja, mniej więcej dwadzieścia cztery godziny po znalezieniu ciała. Zgadza się?

— Tak.

— Co pan wiedział o okolicznościach jej śmierci?

— Tylko to, co powiedziała mi posterunkową Campbell. Że znaleziono ją w pozycji siedzącej, ze strzykawką leżącą obok.

— Co pan stwierdził podczas autopsji?

— Pierwszą kwestią był czas zgonu. Stan tkanek wskazywał, że denatka nie żyje od pięciu do siedmiu dni, ale niemożliwe było ustalenie tego z większą dokładnością. Ciało znaleziono w pozycji płodowej, lecz po zdjęciu ubrania było wyraźnie widać, że krew zebrała się na pośladkach, w podbrzuszu, stopach i kostkach, czyli obszarach najbliższej ziemi. Oznaczało to, że denatka przebywała w pozycji siedzącej od chwili śmierci albo tuż po niej. Badanie organów wewnętrznych wykazało, że nastąpiło zatrzymanie akcji serca, co jest typowe dla przedawkowania narkotyków. Zamówiłem ekspresową analizę hematologiczną, która potwierdziła wysoką zawartość we krwi niezmetabolizowanej diamorfiny, czyli heroiny. Nie sposób było stwierdzić, jak dużą dawkę sobie wstrzyknęła, ale w ciągu ostatnich sześciu miesięcy miałem kilka podobnych przypadków, co sugeruje, że do obiegu trafiła wyjątkowo czysta heroina. Słyszałem, że ostatnio bardzo staniała.

— Był pan w stanie stwierdzić, czy Katy sama ją sobie wstrzyknęła?

— Nie.

— Czy heroiniści zwykle sami robią sobie zastrzyki?

— Tak, chyba że są wyjątkowo niedoświadczeni.

— Potrafi pan powiedzieć, czy Katy była doświadczoną heroinistką?

— Nie miała żadnych ewidentnych oznak wyniszczania, na przykład...

Jenny dostrzegła, że Andy Taylor dyskretnie podnosi rękę, próbując ściągnąć jej uwagę. Skinęła mu głową i poleciała gestem Alison, by poszła

spytać, o co mu chodzi.

— Proszę chwilę zaczekać, doktorze.

Gdy Alison pochyliła się do Andy'ego, on i jego żona zaczęli coś szeptać z ożywieniem. Asystentka wróciła do Jenny i przekazała wiadomość: Katy paliła marihuanę i wciągała kokainę, ale zawsze stanowczo twierdziła, że ona i jej koledzy nie tykają heroiny. Tamtej nocy, kiedy wylądowała w szpitalu, paliła crack, do którego nie była przyzwyczajona. To wydawało się logiczne: zażywanie heroiny jest skomplikowane, bo podaje się ją dożylnie. Już samo zdobycie igieł stanowiłoby niemały problem dla piętnastolatki. O wiele prościej było wciągnąć szczyptę koki, jeśli człowiek chciał się zabawić.

Jenny uderzyła pewna oczywista myśl. Zwróciła się do Petersona.

— Czy mam rację, zakładając, że aby spowodować śmierć, dawka heroiny musiała trafić prosto do żyły?

Patolog zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią. Jenny wydało się, że dostrzegła przeblysł paniki. Może jego myśli biegły tym samym torem co jej?

— Tak — potwierdził — to słuszne założenie.

— A dziewczyna nieprzyzwyczajona do wstrzykiwania heroiny miałaby problem ze znalezieniem żyły, zgadza się? Nawet doświadczone pielęgniarki nie zawsze od razu trafiają w żyłę przy pobieraniu krwi.

Przysięgli pokiwali głowami ze zrozumieniem.

— To nie jest łatwa sztuka do opanowania — przyznał Peterson.

— Ale kiedy się ją już opanuje, przypadkowe przedawkowanie staje się mało prawdopodobne. Czy mam rację?

— Chyba tak.

— Zmierzam do tego, doktorze Peterson, że bardziej prawdopodobne jest, iż śmiertelną dawkę podał Katy ktoś, kto wiedział, co robi.

— To możliwe.

— O ile wiem, istnieją testy laboratoryjne, które pozwalają stwierdzić, czy ktoś zażywał wcześniej heroinę, na przykład analiza włosów.

Patolog poruszył się niespokojnie, założył ręce na piersi i znów je rozplótł.

— Tak.

- Czy przeprowadził pan takie testy?
- Nie.
- Dlaczego?
- Nie wydały mi się istotne dla sprawy.

Jenny już chciała odpowiedzieć zjadliwą uwagą, ale tym razem zdołała się powstrzymać. Dręczyła ją jakaś niejasna myśl, jakiś szczegół, którego nie mogła uchwycić. Wreszcie skojarzyła. Paznokcie. Przez kilka tygodni od powołania na stanowisko naczytała się dość o patologii, by wiedzieć, że o ile DNA wystawione na działanie żywności bardzo szybko ulega zniszczeniu, o tyle włókna są dosyć trwałe. Jeśli Katy zrobiono zastrzyk siłą, istniała szansa, że się opierała i podczas szamotaniny zebrała pod paznokcie włókna z ubrań napastnika. Zarówno ekipa kryminalistyczna, jak i patolog mogli pobrać próbki i zlecić szczegółowe testy, by ustalić pochodzenie wszelkich znalezionych włókien. Wszystko to oczywiście kosztowało, więc teraz, gdy policja miała okrojony budżet, takie testy należały do rzadkości.

— Czy pobrał pan materiał spod paznokci Katy, by ustalić obecność włókien lub obcego DNA?

— Nie. Nie robię tego, chyba że poprosi mnie o to policja. To wymaga współpracy z ekipą kryminalistyczną.

Jenny mogła się założyć, że policja też nie zwracała sobie tym głowy. Utknęła w dowodowej luce. I policja, i doktor Peterson po prostu odfajkowali sprawę; nikt nie wysiłł się, by stwierdzić, jak naprawdę umarła Katy. Wprawdzie niektóre testy można było przeprowadzić nawet teraz, to jednak wymagało od niej podjęcia bardzo trudnej decyzji.

Spojrzała na zbolące twarze Andy'ego i Claire i sięgnęła po miętówki.

* *

Jenny schroniła się w kantorku, podczas gdy za drzwiami Alison kierowała przysięgłych na drugą stronę wiejskiego skweru do pubu, gdzie czekał na nich lunch. Słuchając ich wesołych głosów, kiedy wychodzili ze świetlicy w ciepłe popołudnie, popijała ciepłą wodę i próbowała pozbierać rozproszone myśli. Pukanie rozległo się, gdy nie była jeszcze gotowa.

Odwróciła się gwałtownie.

— Proszę.

Alison otworzyła drzwi Taylorom i weszła za nimi. Claire wydawała się wykończona przedpołudniem spędzonym w sądzie. Andy nadrabiał miną, ale on także był zmęczony. Depresja żony stresowała go nie mniej niż sama rozprawa.

— Pani Trent powiedziała, że chce pani z nami porozmawiać — rzekł.

— Tak — potwierdziła Jenny. — Przepraszam. Zaproponowałabym państwu krzesła, ale tu jest trochę ciasno.

Wzruszył ramionami.

— Nie szkodzi. — Dobrze rozumiał, że nie zostali tu wezwani, by usłyszeć dobre wieści. Objął Claire, która wbijała puste spojrzenie w okno.

— Wiem, że oboje państwo rozumiecie — zaczęła Jenny — że celem przewodu koronerskiego jest ustalenie przyczyny śmierci. Słyszeliście państwo zeznania i zapewne doszłicie do tych samych wniosków co ja: że ani policja, ani patolog nie starali się ustalić, czy w chwili śmierci Katy była sama i czy jej śmierć rzeczywiście była wypadkiem — przerwała. Mimo tabletek czuła, jak serce łomocze jej o żebra. — Obawiam się, że mój poprzednik, pan Marshall, nie zlecił pewnych badań, takich jak analiza włókien czy analiza włosów. Analiza włosów pozwoliłaby ustalić, jakie narkotyki zażywała Katy i od kiedy. A może nawet, skąd one pochodziły. Te badania wciąż można przeprowadzić.

Claire popatrzyła na nią oczami pełnymi łez.

— Nie. Nie dotknie jej pani. Nie pozwalam.

Alison posłała Jenny spojrzenie pod tytułem „a nie mówiłam”.

— Pani Taylor, musimy się dowiedzieć, czy nikt nie przyczynił się do śmierci waszej córki.

— Wiedziałam, że pani będzie chciała to zrobić. Wiedziałam. Ale nie pozwolę ruszać Katy. Tak nie można. — Wyrwała się z objęć męża.

— Kochanie, posłuchaj... — zaczął Andy.

— Nie będę niczego słuchać. Po co? I tak nie wyniknie z tego nic dobrego. Dlaczego pani nie może zostawić jej w spokoju? — Ruszyła do

drzwi. Alison musiała zejść jej z drogi.

Andy złapał żonę za nadgarstek.

— Claire...

— Idź do diabła. Ja się nie zgadzam. — Wyrwała rękę i szlochając, wybiegła z kantorka.

— Panie Taylor... — powiedziała Jenny.

— To jest jakiś koszmar — przerwał jej.

— Niech mi pan pozwoli wyjaśnić. Wolałabym mieć waszą zgodę...

— Niech pani to powie mojej żonie. — Wyszedł za Claire, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

* *

Jenny patrzyła w przestrzeń. Czuła się jak kierowca, który właśnie przejechał przechodnia. Jakby to ona była winna cierpień Taylorów.

— Chyba nie chce jej pani wykopać? — powiedziała Alison.

— Obawiam się, że nie mam wyboru.

— A co spodziewa się pani znaleźć?

— Nie wiem. Właśnie o to chodzi. Potrzebuję patologa spoza tego rejonu, kogoś, kto nie ma związków z lokalną kliką.

— Więc to musi być ktoś z Walii. W Newport jest niejaki profesor Lloyd.

— Świetnie. Więc zarządzę ekshumację. I będę wdzięczna, jeśli pani to zorganizuje tak szybko, jak się da.

— Ekshumacja? Pan Marshall nigdy by się na to nie zdecydował.

— Może gdyby się zdecydował, nie byłibyśmy w takiej trudnej sytuacji.

— Jeśli chce pani mojej rady, zostawiłabym tę decyzję na później... kiedy pani trochę ochłonie.

— Jeśli będę chciała pani rady, poproszę o nią — wypaliła Jenny.

Alison zeszytniała i z przesadnym spokojem odwróciła się do drzwi.

— Jak pani uważa, pani Cooper.

Rozdział 8

Jenny nie podała powodu odroczenia rozprawy, bo chciała decyzję o ekshumacji jak najdłużej utrzymać w tajemnicy. Kiedy Hartley wstał i zażądał podania przyczyny, powiedziała tylko:

— Chcę przeprowadzić dalsze czynności śledcze.

Nie musiała niczego wyjaśniać ani jemu, ani przysięgłym, i Hartleyowi bardzo się to nie podobało. Gdy wychodziła z sali, naradzał się po cichu z Goodisonem i dwoma innymi krawaciarzami, którzy zjawili się w czasie przerwy na lunch. Domyślała się, że to prawnicy miejscowej kasy chorych, wezwani by rozważyć konsekwencje niekompletnej autopsji przeprowadzonej przez Petersona. Hartley na pewno poprosi o wszystkie dokumenty i postara się znaleźć wyjaśnienie jakichkolwiek możliwych uchybień.

Grantham siedział przed budynkiem w swoim mercedesie — trochę za dobrym jak na urzędnika magistratu — z komórką przyciśniętą do ucha. Zerknął ukradkiem na Jenny, kiedy go mijała. Miała ochotę przystanąć i spytać, po co przyjechał na rozprawę, ale jakoś się powstrzymała. Podczas krótkiego spotkania w jej gabinecie dowiedziała się wszystkiego, co musiała o nim wiedzieć: był małym człowieczkiem z jeszcze mniejszym rozumkiem i wielkim mniemaniem na własny temat. Nie ma sensu rozmawiać z kimś takim; lepiej po prostu pokazać mu, kto tu rządzi.

* *

Jej optymizm miał krótki żywot. Gdy wróciła do biura, odebrała mail od Josha z ministerstwa; pisał, że dział informatyczny ma za mało ludzi i nie będzie mógł zainstalować systemu jeszcze przez ponad miesiąc. A faks wypłynął kolejny tuzin zgłoszeń i suchą prośbę z działu finansowego magistratu o rachunki koronera za zeszły rok.

Jenny usiadła za biurkiem i spojrzała na stertę papierów, które Marshall optymistycznie nazywał „księgowością”. Uznała, że jej czas jest zbyt cenny, by miała go marnować na tak przyziemne czynności. Przełożyła dokumenty na podłogę — Alison może się z tym uporać.

Zabrała się do czytania ostatniej porcji zgłoszeń. Każde było krótką historią czyjejs tragedii. Mężczyzna, lat dwadzieścia osiem, przewlekła astma, podejrzenie niewydolności oddechowej. Mężczyzna, lat osiemdziesiąt pięć, częściowo rozłożone ciało znaleziono na podłodze w kuchni, przyczyna zgonu nieznana. Kobieta, lat pięćdziesiąt trzy, alkoholiczka, podejrzenie wylewu krwi do mózgu. Kobieta, lat czterdzieści jeden, pacjentka poradni psychiatrycznej, spadła/skoczyła z balkonu na dziewiątym piętrze. Nieszczęśnicy, których ziemską wędrówka kończyła się na stole sekcyjnym — i których śmierci właśnie ona miała nadać choć odrobinę godności.

Po zaledwie czterech dniach była ziemskim reprezentantem pięćdziesięciu dusz, które rozstały się z ciałem w tragicznych okolicznościach. Chociaż знаła tylko małe wycinki z ich historii, czuła ich obecność. Kiedy podczas długich godzin spędzonych w gabinecie doktora Tralisa próbowała zgłębić naturę lęku czającego się w zakamarkach jej umysłu, niejednokrotnie opisywała go jako strach przed śmiercią. Psychiatra zachęcał ją, by przywołała wspomnienia widzianych w dzieciństwie zmarłych dziadków, ale to był fałszywy trop. Próbowała mu wyjaśnić, że chodzi o coś znacznie głębszego — o przecucie jakiegoś straszego nieszczęścia. Doktor odparł, że wiele osób z nerwicami lękowymi używa podobnych słów, opisując swoje emocje. Chwilami wierzyła, że cierpi na powszechną przypadłość, ale w głębi duszy — i o tym nigdy nie odważyła się mu powiedzieć — była przekonana, że tak naprawdę załamał się nie jej system nerwowy, lecz cienka bariera odgradzająca codzienne życie od królestwa zła.

W najgorszych momentach, kiedy David mocno spał obok niej, sięgała po oprawioną w skórę Biblię, otwierała ją na Ewangelii według świętego Mateusza i czytała czternasty werset z siódmego rozdziału: „Jakże ciasna jest brama i wąska droga, która prowadzi do życia, a mało jest takich, którzy przez nią wchodzi”* [* Biblia Tysiąclecia, wyd. V, Pallotinum]. Potem zamykała oczy i modliła się żarliwie, by Bóg pozwolił jej znaleźć tę wąską drogę i uchronił ją od cierpienia. Rozwód przyniósł pewną ulgę, a odejście z pracy nieco większą — już od kilku miesięcy nie czuła potrzeby modlitwy — ale bezwiednie podążyła ku nowej karierze, w której stanęła oko w oko z

sumą swoich lęków. Siedząc za biurkiem zmarłego koronera i mając do czynienia wyłącznie ze zmarłymi, zastanawiała się, czy to właśnie jest odpowiedź na jej modlitwy; czy to Bóg przyprowadził ją w to miejsce.

Z trudem wróciła myślami do chwili bieżącej i napisała serię maili z wnioskami o autopsje ostatnio zmarłych. Możliwość sprowadzenia tych tragedii do serii czynności administracyjnych działała na nią uspokajająco. Pozwoliła jej odzyskać poczucie kontroli. Być może, myślała, ludzie, którzy na co dzień mają do czynienia ze śmiercią, w głębi duszy boją się jej bardziej od innych.

Szybko uporała się ze zgłoszeniami i zastanawiała się, czy jednak nie wziąć się do rachunków, kiedy wróciła Alison. Właśnie omówiła z przedsiębiorcą pogrzebowym, panem Dawesem, techniczne aspekty ekshumacji. Choć była to bardzo rzadka procedura i on sam przeprowadzał ją tylko dwa razy w ciągu minionych trzydziestu lat, wiedział, że robi się to w nocy, po zamknięciu bram cmentarza, na ogół w obecności kogoś z policji i czasami krewnych. Dawes obiecał załatwić koparkę do usunięcia ziemi, ale ostatni metr musiał być odgarnięty ręcznie. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, trumna zostanie wyciągnięta w godzinę, a potem firma pogrzebowa przewiezie ją do szpitalnej kostnicy w Newport.

Starając się zachować chłodny profesjonalizm, Jenny spytała o stan trumny i ciała. Alison odpowiedziała, że Katy została pochowana w solidnej trumnie, która na pewno nie uległa zniszczeniu w ciągu miesiąca. Samo ciało zapewne rozłożyło się bardziej, ale większość tkanek powinna się nadawać do badań. Nowoczesne trumny są w dużym stopniu hermetyczne, więc pełny rozkład trwa wiele miesięcy. Pan Dawes stwierdził, że czasami dopiero po dziesięciu latach z ciała pozostaje tylko szkielet.

Jenny poleciła asystentce załatwić wszystkie formalności i wróciła do komputera, żeby napisać nakaz ekshumacji. Termin wyznaczyła na następną noc.

— Jest pani absolutnie pewna, że chce to zrobić? — spytała Alison.

Jenny otworzyła Jervisa na spisie treści i znalazła rozdział *Ekshumacja*.

— To nie jest kwestia chcenia — odparła. — Ja po prostu nie mam

wyboru. Nie mogę oskarżyć Swaintona i Petersona o zaniedbanie, ale przecież do tego wszystko się sprowadza.

Odszukała odpowiednią stronę w podręczniku i spojrzała na twarz Alison. Asystentka była wyraźnie zaniepokojona.

— Przecież sama mi pani powiedziała, że Harry Marshall nie był sobą w ostatnich dniach przed śmiercią — tłumaczyła cierpliwie. — Wystawił akt zgonu w sprawie, w której powinien był otworzyć przewód. Proszę pomyśleć, co to może oznaczać.

— Na pewno nie czuł się dobrze — przyznała Alison. — Ale może dlatego popełnił błąd. Nie miał siły prowadzić dochodzenia.

— Tej nocy, kiedy umarł, zadzwonił do pani. Wiele lat temu mnie też zdarzyło się coś takiego. Moja przyjaciółka ze studiów wpadła w depresję i odebrała sobie życie. Wiedziała, że się o nią martwię, więc na kilka godzin przed samobójstwem zadzwoniła do mnie i powiedziała, że już czuje się lepiej.

— Sugeruje pani, że pan Marshall popełnił samobójstwo. — W głosie Alison brzmiała nuta paniki.

— Wiem tylko, że zrobił wszystko, co w jego mocy, aby jego następcą podjął tę sprawę. Podpisał akt zgonu, który musiał zostać zakwestionowany, i zamknął teczkę z aktami w szufladzie. Gdyby zamierzał wrócić następnego dnia do pracy, po co by ją zamykał? Przed kim chciał ją ukryć?

— Na pewno nie przede mną.

— No właśnie. A nikt inny nie ma dostępu do jego biura, prawda?

Alison pokiwała głową.

— Więc będę wykonywać swoje obowiązki i zobaczę, dokąd mnie to zaprowadzi — oznajmiła Jenny. — Chyba że jest jeszcze coś, czego mi pani nie powiedziała.

— Naprawdę nie wiem, co się z nim stało, pani Cooper — zapewniła Alison. — Nie omawiał ze mną tej sprawy, nie powiedział ani słowa o Dannym Willsie. Wydawał się zupełnie oderwany od wszystkiego... może rzeczywiście był w depresji. Ale zapewniam panią, że między nami nie zaszło nic, co mogło go wytrącić z równowagi.

— Czy powinnam się bać? — spytała Jenny. — A jeśli tak, to czego?

— Niestety nie wiem.

* *

Telefon domowy Taylorów milczał, ale Jenny znalazła w aktach numer komórki Andy'ego. Odebrał w hałasie jakiejś ciężkiej maszynerii i powiedział, że pracuje na drugą zmianę przy robotach ziemnych w Sharpness. Kiedy spytała, czy mogłaby spotkać się z nim albo z jego żoną, powiedział, że może odwiedzić go w pracy; o siódmej ma przerwę.

* *

Jenny przejechała przez nieznaną jej część Gloucestershire i zobaczyła tymczasowe znaki, które doprowadziły ją drózkami wzdłuż ujścia rzeki na miejsce budowy. Było stąd widać betonowy sarkofag starej elektrowni atomowej Berkeley. Nadszedł wilgotny, chłodny wieczór, powietrze było ciężkie od mgły i mżawki. Bure niebo zlewało się z szarą wodą Severn, wsysaną do morza przez wieczorny odpływ.

Błotnistą prowizoryczną drogą dotarła do biura budowy w przenośnym baraku, za którym wznosiło się trzymetrowe druciane ogrodzenie z tablicami informacyjnymi, że teren jest patrolowany przez psy i strażników. Po drugiej stronie płotu trwały prace przy budowie drogi przeznaczonej dla elektrowni Berkeley II. Wprawdzie nie wydano jeszcze pozwolenia na budowę samej elektrowni atomowej w tym miejscu, ale wszyscy byli pewni, że politycy niedługo przepchną projekt. Jenny miała na ten temat jasny pogląd: skoro elektrownie atomowe są bezpieczne, dlaczego nie buduje się ich w środku Londynu?

Strażnik w kasku i kamizelce odblaskowej skierował ją na spłachetek zabłoconego żwiru służący za parking i przez walkie-talkie wezwał Andy'ego do bramy. Jenny wysiadła z samochodu i, czekając na Taylora, patrzyła na rzekę. Wieczór był chłodny, a jej cienka kurtka marnie chroniła od zimna i zacinającej mżawki. Z jakąś perwersyjną przyjemnością kulila się w tej miniaturowej wicherze i obserwowała klucz gęsi lecących w górę rzeki:

wcielenie gracji i piękna, z którym nie mogły się równać istoty ludzkie.

Andy podjechał do bramy pikapem. Wysiadł z szoferki w gumiakach i odblaskowej kurtce, pod którą miał spodnie od garnituru, koszulę i krawat. Stał naprzeciwko Jenny, oddzielony od niej ogrodzeniem.

— Nie chcę przechodzić przez bramę, bo musiałbym wpisać wyjście i powrót do książki — wyjaśnił.

— Nie szkodzi. — Widziała, że chce jak najszybciej omówić, co było do omówienia; zerkał niespokojnie na barak, jakby to spotkanie było nielegalne. — Panie Taylor, naprawdę wolałabym, żeby był jakiś inny sposób załatwienia tej sprawy...

Popatrzył na nią z kamienną twarzą. Podmuch zimnego wiatru chlapnął im deszczem w oczy.

— Kiedy to się odbędzie?

— Jutro. O jedenastej wieczorem. Ma pan prawo tam być, jeśli pan sobie życzy.

Pokręcił głową.

— Na litość boską, tylko proszę nic nie mówić mojej żonie. Ja to z nią załatwię. — Odwrócił się do pikapa.

— Ona się obwinia, prawda? — powiedziała Jenny. — Każda matka na jej miejscu by się obwiniała.

Andy odwrócił się na pięcie, tym razem nie tłumiąc emocji.

— Urabialiśmy sobie ręce po łokcie, żeby kupić dom w pobliżu dobrej szkoły. Claire pracowała po nocach, robiliśmy wszystko. I co z tego wyszło? Nasza trzynastoletnia córka robiła się coraz gorsza i wciskali jej narkotyki, aż umarła. Moja żona się nie obwinia. Obwiniamy nauczycieli, policję, polityków, wszystkich tych zadufanych w sobie drani, którzy mówią innym, co jest dla nich najlepsze, a nie potrafią odróżnić dobra od zła. To oni są odpowiedzialni za śmierć Katy.

Wsiadł do pikapa i odjechał, bryzgając błotem i żwirem spod opon.

* *

Deszcz przybrał na sile, nadciągnęły ciemniejsze burzowe chmury i

rozległy się pierwsze grzmoty. Samochody pełzły w żółtym tempie przez Severn Bridge. W półmroku błyskały znaki ostrzegawcze. Jenny kurczowo trzymała kierownicę, sztywna ze strachu. W połowie mostu wjechała w tuman mgły. Sznur samochodów przed nią zdawał się ginać w nicości. Włączyła radio, ale taneczne kawałki płynące z głośników nie wystarczyły, by odgonić narastającą panikę. Jej serce waliło jak szalone, każdy oddech był ogromnym wysiłkiem, a droga rozmywała się jej przed oczami. Pewna, że wiatr zmiecie ją z mostu i ciśnie do rzeki kotłującej się poniżej, zmuszała się, by jechać dalej metr za metrem. Jakoś wytrzymała i dotarła na drugi koniec.

Gdy skręciła z autostrady i znalazła się wyżej, wyjechała z mgły i klaustrofobiczny lęk zaczął słabnąć. Jenny ogarnęła ulgą, że nie poddała się atakowi paniki, ale zarazem rozpacz, że problem wrócił, by znów ją prześladować. Doktor Travis powiedziałaby, że to oznaka nadmiernego stresu. Ona odczuwała to raczej jako psychiczną anomalię, która zaczęła się dziś rano, przed rozprawą. Jakby w ciągu dnia przeżyła mentalne trzęsienie ziemi, które otworzyło mroczne szczeliny bez dna, na tyle duże, by ją pochłonąć.

Powtarzając sobie, że musi być jakaś przyczyna takiego samopoczucia, próbowała ją odnaleźć. U źródła tego lęku leżało coś strasznego, ale równocześnie jakby znajomego. To coś zalewało ją poczuciem nieznośnej rozpacz. Skoncentrowała się na słowie, „rozpacz”, jak nauczył ją doktor Travis. Jaki obraz stawał jej przed oczami?

Katy. Zdjęcie martwej dziewczyny skulonej w krzakach przypominało jej stan, który pamiętała z własnego okresu dorastania. Ileż razy wypadała z domu i błąkała się bez celu całymi godzinami, aż wściekłość i niepewność zastępowało odrętwienie i przemożne pragnienie jakiegokolwiek ulgi.

Porównywanie własnych uczuć z uczuciami zmarłej trzynastolatki wydawało się samolubne, ale obudziło w niej pewną refleksję: Czy gdyby ktoś zaproponował jej wtedy strzykawkę z heroiną, przyjęłaby ją z własnej woli?

Odpowiedź brzmiała: nie. Nawet w najgorszych chwilach instynkt życia zawsze był w niej silny. I czuła, że Katy była taka sama. Mimo swojego zagubienia była pełna energii, żywotności. Intuicja podpowiadała Jenny, że

Katy nie chciała umierać. To, co spotkało ją i Danny'ego Willsa, było tragedią, ale tragedią, której dałoby się uniknąć.

Uświadomiła sobie, że jej lęk to lęk przed złem, które przerwało ich młode życie. Gdy wreszcie sprecyzowała tę myśl, dopadła ją przytłaczająca samotność. Dolina, osnuta mgłą i deszczem, wydała jej się ponurym i groźnym miejscem, po którego dębowych lasach błakają się zagubione, skołowane dusze. Sama na drodze mocniej wcisnęła pedał gazu. Każdy ciemny kształt w żywopłocie zmieniał się w złowrogą postać, każdy cień w ducha. Dostrzegłszy jakiś ruch w lusterku, zerknęła w nie, na wpół spodziewając się zobaczyć czyjaś postać na tylnym siedzeniu, niemal czując czyjeś palce zaciskające się na jej gardle. Poczucie czyjejś obecności stało się tak silne, że obejrzała się przez ramię, szukając napastnika; kiedy go nie zobaczyła, była prawie pewna, że schował się za jej fotelem. Sięgnęła ręką do tyłu i poczuła pustkę. Wiedziała, że to paranoja, że wyobraźnia płata jej głupie figle, ale to nie zmniejszało poczucia zagrożenia. Sfrustrowana, walnęła pięścią w kierownicę. Ma czterdzieści dwa lata, a boi się jak małe dziecko.

Gdy skręciła do Tintern, zjawy zniknęły, pozostawiając wyczerpanie i zażenowanie. Skręcając pod górę w stronę domu, próbowała zająć umysł banalnymi codziennymi sprawami. Czy w lodówce jest jedzenie? Co jeszcze trzeba zrobić w ogrodzie? Cholera. Przecież chciała pojechać do supermarketu w Chepstow. W domu ma tylko kilka puszek, makaron i główkę zwiędłej sałaty. I skończyło jej się czerwone wino. A tego wieczoru nie zdoła przetrwać bez drinka.

Zastanawiając się, czy nie zawrócić dziesięć kilometrów do sklepu — głównie z myślą o alkoholu — zwolniła, żeby minąć auta zaparkowane wzdłuż ulicy pod pubem Apple Tree. W innych okolicznościach nawet by jej nie przyszło do głowy, że może wejść sama do pubu, ale wśród samochodów dostrzegła land-rovera Steve'a; Alfie siedział na przednim siedzeniu z nosem w szparze okna. Jeśli Steve jest tutaj, to wejdzie, przywita się z nim i kupi przy barze butelkę wina na wynos. W tej chwili jej potrzeba napicia się była większa niż strach przed narobieniem sobie wstydu.

Pub był przyjemnie zatłoczony. Żadnej muzyki, tylko pomruk rozmów. Wystrój był prosty, ale sympatyczny — drewniane podłogi, beczki służące za stoliki, przy których stały grupki mężczyzn ze szklankami piwa w dłoniach, i kilka osłoniętych boksów, w których pary wcinały solidne kolacje. Bez skrepowania przepchnęła się przez przyjazny tłumek i podeszła do baru. Wcisnęła się w lukę obok dwóch jowialnych, krzepkich mężczyzn, którzy wyglądali i pachnieli, jakby cały dzień pracowali przy bydle, i ściągnęła wzrokiem barmankę — ciemnowłosą kobietę przed trzydziestką, właśnie przyjmującą pieniądze od klienta na końcu lady. Zauważyła, że klient, którego twarzy nie widziała, dotknął dłoni dziewczyny, a ona nie protestowała, jakby przyjmowała gest przeprosin. Gdy barmanka odwróciła się z zamyśloną miną, Jenny zobaczyła, że tym klientem jest Steve. Dostrzegł ją i uniósł rękę na powitanie, zerkając to na nią, to na dziewczynę. Wyczuła, że przyłapała go w jakiejś żenującej, a przynajmniej niezręcznej sytuacji.

Poprosiła o butelkę wina, jakiegokolwiek, byle nie najtańszego, i przyglądała się dziewczynie, która poszła je przynieść ze stojaka pod kontuarem. Nie dostrzegła w niej ani śladu młodzieńczej radości. Była ładna, ale zaniedbana, a gęste włosy, które mogłyby stanowić jej ozdobę, miała założone za uszy. Jenny naszkicowała w myślach jej wymaginowaną biografię: miejscowa, dość bystra, by pójść na studia, ale zakochała się i zaszła w ciążę jako osiemnastolatka. Dziesięć lat później jest samotna, ledwie wiąże koniec z końcem i rozpaczliwie szuka mężczyzny, który by ją uratował, lecz jest zbyt dumna, by się do tego przyznać.

Zauważyła, że wracając z butelką chilijskiego wina, barmanka taksuje ją wzrokiem. Spojrzenie dziewczyny mówiło, że to jej teren i inne kobiety zainteresowane tą samą zdobyczą nie są mile widziane.

A może tylko jej się wydawało? Jej umysł działał dzisiaj na przyspieszonych obrotach. Pewnie będzie potrzebowała całej tej butelki, żeby go wyciszyć. Jenny podziękowała grzecznie i zaczęła przeciskać się do wyjścia.

— Hej...

Obejrzała się i zobaczyła, że Steve idzie za nią z na wpół opróżnioną szklanką w dłoni. Dogonił ją przy drzwiach.

— Cześć.

— Cześć, Steve. — Zauważyła, że dziewczyna za barem zerka na nich, przyjmując kolejne zamówienie.

— Obiecałem kumplowi, że przekażę ci wiadomość. Nazywa się Al Jones. Ma partię kamiennych płyt, z których wyszłoby świetne patio za twoim domem. Właśnie je przywiózł z rozebranej kaplicy.

— W tej chwili raczej mnie nie stać na patio. W zupełności wystarcza mi trawa, zwłaszcza teraz, kiedy mogę ją nazwać trawnikiem.

— Da dobrą cenę, piętnaście funtów za sztukę. Nie znajdziesz tańszych.

— Niezły z ciebie handlowiec jak na faceta, który nie pracuje.

— To tylko propozycja. Nikt nie naciska. — Wypił łyk piwa. — Mogę ci postawić drinka?

— Może innym razem.

— To twoje pieniądze. Czemu miałybyś z nich nie skorzystać? — Zauważył, że bezwiednie spojrzała w kierunku baru. — Annie jest moją starą przyjaciółką. Ale nie w tym sensie... Miała ciężko ze swoim byłym, który przepił pieniądze z hipoteki i był damskim bokserem.

— Czy tutaj ktoś ma jakieś sekrety?

— Nie. A czego nie wiedzą, to sobie wymyślą. — Uśmiechnął się. — O nas też już krążą Bóg wie jakie plotki, więc nie ma sensu odmawiać mi drinka.

— A ja myślałam, że to przyjazne miejsce.

— Nikt nie ma na myśli nic złego. Tutaj trzeba sporo się naszukać, żeby znaleźć jakąś rozrywkę. — Kiwnął głową w stronę wolnej wnęki ze stolikiem. — Zrób mi tę przyjemność. Chcę posłuchać o twojej pracy. — Uśmiechnął się niewinnie i ujmująco.

— No dobrze. Dziesięć minut.

— Czerwone wino?

— Krwawa mary. Duża.

Usiadła plecami do baru, poza zasięgiem wzroku Annie. Dotknięcie jej

dłoni przez Steve'a nie było gestem starego przyjaciela. Opowiadało całą historię: Annie chciała czegoś więcej niż okazjonalny seks i chłopak na przychodne, a Steve, uzależniony od samotności, nie zamierzał się wiązać.

Wrócił, niosąc jej drinka i whisky dla siebie, i usiadł naprzeciwko niej, blisko ściany; Annie musiałaby się postarać, żeby go tu zobaczyć.

— Więc ustalasz, jak umarli różni ludzie.

— Coś w tym rodzaju. Ale nie pamiętam, żebym ci mówiła, czym się zajmuję.

— Jeszcze nie łapiesz? Wiedziałem, kim jesteś, na dwa tygodnie przed twoją przeprowadzką. „Atrakcyjna rozwódka z Bristolu, świeżo upieczony koroner”.

— Co jeszcze o mnie mówią?

— Naprawdę chcesz wiedzieć?

— Czemu nie.

— Mąż jest ważnym doktorem, uciekł z pielęgniarką.

— Nieźle. Prawie dobrze. — Zamieszała drinka i wypła solidny łyk. —

Tak naprawdę to były pielęgniarki.

— Ale chyba coś pomylili. Mówili, że masz dzieci.

— Syna. Ma piętnaście lat, mieszka z ojcem w Bristolu.

— Och. Przepraszam.

— Nie szkodzi. To żaden sekret. Po prostu tak nam pasowało. W tym roku ma egzaminy, bez sensu byłoby go przenosić.

— Mimo to musi ci być ciężko.

Jenny spojrzała w szklanekę.

— Owszem.

— Posłuchaj, nie chciałem...

— Daj spokój. Pewnie niedługo ze mną zamieszka. Myślę, że mu się tu spodoba.

— Nie ma tu nocnych klubów.

— Bristol nie jest daleko, a przyjaciół mógłby zapraszać do siebie. Może przebuduję ten stary tartak na domek dla gości.

— Znam dobrego budowlańca.

— Nie wątpię. — Pociągnęła kolejny łyk, czując, jak wódka odnajduje drogę do krwiobiegu i zaczyna przytępiać napięcie.

Steve musiał zauważyć, że jest bardziej zrelaksowana.

— Poprosiłem, żeby ci zrobiła porządnego.

— I zrobiła.

Zerknął w stronę baru.

— Nie jesteśmy parą. Po prostu się przyjaźnimy.

Jenny kiwnęła głową, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć.

— Nie wyobrażasz sobie, jak tutaj jest. Mało ludzi, niewiele trzeba, żeby coś się zaczęło.

— Właśnie się tego uczę. — Zaczęło jej świtać, że Steve jest mocno wstawiony, nie na tyle, żeby bełkotać, ale hamulce z pewnością mu puściły.

— Umówiliśmy się parę razy, kiedy rozstała się z mężem, ale nic by z tego nie wyszło. Ona lubi rzeczy. Mnie one nie obchodzą. Dlatego mieszkam w lesie. Staram się, żeby wszystko było proste.

— Myślisz, że tak się da?

— Nigdy nie wiadomo, dopóki człowiek nie spróbuje. Ty też tu przyjechałaś, bo czegoś szukałaś.

— Pewnie tak.

— I znalazłaś?

— Za wcześnie, żeby to stwierdzić. Mam nadzieję, że znajdę.

Napił się whisky i spojrzał na nią znad brzegu szklanki.

— Nie obrazisz się za osobistą uwagę, Jenny?

Była pewna, że i tak ją usłyszy, więc nie było sensu się sprzeciwiać.

— Dawaj.

— Jest w tobie jakiś smutek. Widziałem go na twojej twarzy, kiedy pierwszy raz zobaczyłem cię w ogrodzie.

— Właśnie rozwiodłam się z mężem.

— Wciąż go kochasz?

— Nie. I to nie twój interes. — Chciała to powiedzieć poważnie, ale zabrzmiało, jakby go podpuszczała. Zaczerwieniła się i roześmiała, próbując ukryć zażenowanie.

— Więc jednak?

— Nie. Ani trochę. Nie cierpię go. To arogancki gnojek.

— Uhm, rozumiem.

Żartował sobie z niej. Nie mogła pojąć, jakim cudem tak się spoufaliła z ogrodnikiem.

— Nie mamy ze sobą nic wspólnego. Przez piętnaście lat tłamsił mnie, osądzał i pieprzył każdą kobietę, która była chętna.

— Prawdziwy dżentelmen.

Jenny pociągnęła kolejny duży łyk.

— I po tym wszystkim spodziewa się, że przyjadę w ten weekend do jego domu i grzecznie zjem lunch, patrząc, jak jego dwudziestopięcioletnia dziewczyna mizdrzy się do niego.

— To było od serca.

— Sam pytałeś. — Jenny spojrzała na swoją szklankę; była pusta.

— Jeszcze jedną?

— Lepiej nie.

— Wygląda na to, że dobrze by ci zrobiła.

— Mam butelkę wina do wysuszenia przed telewizorem. I dziesięć minut już minęło. — Przesunęła się po ławce, żeby wstać.

— Wierzysz w karmę? — zapytał Steve.

— Co masz na myśli?

— Annie powtarza mi od miesięcy, że gromadzę złą karmę, bo nigdy nie robię nic dla innych.

— Powiedz jej, że uporządkowałeś mi ogród.

— Przyznam ci się do czegoś. Dobrze ci się przyjrzałem, zanim do ciebie podszedłem. Stałem w pokrzywach, kiedy rozmawiałaś przez telefon. Masz rację, to naprawdę jest dupek. — Spojrzał na nią z zainteresowaniem; nie jakby zamierzał się do niej przystawiać, czego się obawiała, ale jakby stanowiła dla niego wyzwanie. Patrzył tak przez chwilę i w końcu powiedział:

— A gdybym zaproponował, że pojadę z tobą do twojego męża?

— Dlaczego miałbyś to robić?

— Dla moralnego wsparcia. Może uzbierałbym trochę dobrej karmy.

— Ledwie mnie znasz.

Dopił whisky.

— Mnie się tak nie wydaje. A tobie?

— Pomyślę o tym — odparła.

Wzięła swoje wino i ruszyła do drzwi.

Steve zawołał za nią:

— Uprzedź mnie wcześniej, jeśli chcesz, żebym się ogolił.

Rozdział 9

Ulewny deszcz bębnił o udekorowane groby w nowej sekcji miejskiego cmentarza. Przy zamkniętej bramie stało kilku policjantów w mundurach. Furgonetka przedsiębiorcy pogrzebowego i parę prywatnych aut — w jednym siedział nieszczęśliwy pastor, popijający herbatę z termosu — stały na dróżce, obok której pracowała minikoparka. Scenę oświetlało kilka tymczasowo ustawionych lamp.

Jenny, pod parasolem, szła wzdłuż rzędu świeżych nagrobków. Niektóre były otoczone miniaturowymi płótkami albo wypełnione kolorowym żwirem; na większości umieszczono zdjęcia zmarłych lub małe latarenki zasilane bateriami słonecznymi. Jeden, szczególnie krzykliwy, rozświetlił się migającymi lampkami, gdy go mijala, a z głośnika ukrytego w pęku plastikowych chryzantem popłynęło *Somewhere over the rainbow*. Napis na nagrobku głosił: „Nasza kochana Doreen, żona i mama. Spotkamy się na końcu tęczy”.

Minęło prawie dwadzieścia lat, od kiedy Jenny była ostatnio na cmentarzu, i stwierdziła, że wszystko się zmieniło. Symbole religijne prawie zniknęły; pomniki były pełne wesołych pamiątek z życia: przycementowanych kijów golfowych, ulubionych kufli czy figurek Franka Sinatry. Życie po śmierci — jeśli już o nim wspomniano — było wyobrażone jako miejsce w rodzaju Disneylandu z niewymagającym podkładem muzycznym, miejsce, gdzie drodzy zmarli mogą wiecznie się bawić w przytulnej i eleganckiej knajpce.

Ani śladu bojaźni bożej czy strachu przed piekłem.

Podeszła do niej Alison w długiej do kostek pelerynie i kapeluszu przeciwdeszczowym.

— Jesteśmy prawie gotowi do wyciągania trumny, pani Cooper.

Jenny wróciła z nią wzdłuż rzędu nagrobków, znów uruchamiając melodyjkę i światełka. Elektroniczne nutki grały w najlepsze, gdy dwóch ludzi pana Dawesa opuściło chudego młodego grabarza do głębokiej dziury w ziemi i podało mu szpadel. Kiedy wbił go w lepka, mokrą glinę i trafił w trumnę, rozległ się głuchy odgłos pękającego drewna. Dawes, w czarnym garniturze i płaszczu przeciwdeszczowym, zawołał do niego, żeby uważał, i gestami pokazał, że ma delikatnie zgarnąć ziemię, jakby to on sam tam leżał. Grabarz poklepał się w pierś, jakby na chwilę opuściła go odwaga, po czym odgarnął luźną ziemię, odsłaniając wieko. Ledwo miał miejsce, żeby nie stać na trumnie; nikt nie pomyślał, że dół powinien być szerszy, aby grabarz mógł przełożyć pod trumną pasy pozwalające ją unieść. Młody człowiek wyraźnie się ociągał. Zażenowany Dawes podeszedł do Jenny i Alison i poprosił, żeby dały mu chwilę na rozwiązanie problemu.

Jenny obejrzała się, widząc światła samochodu podjeżdżającego pod bramę cmentarza. Do okna po stronie kierowcy podeszedł policjant.

— O nie — jęknęła Alison. — Błagam, niech to nie będą rodzice.

Po chwili policjant podeszedł do bramy, otworzył ją i machnął na kierowcę, żeby przejechał.

— Co on robi? Mówiłam im, że mają nikogo nie wpuszczać.

— Ja to wyjaśnię — powiedziała Jenny. — Pani niech zostanie tutaj i dopilnuje, żeby nie narobili szkód.

Ruszyła na spotkanie wielkiego sedana, który właśnie parkował obok furgonetki zakładu pogrzebowego. Widziała już tego mercedesa. Wsiadł z niego Frank Grantham. Jenny dopadła go, zanim wszedł na trawę.

— Muszę pana prosić o opuszczenie tego miejsca, panie Grantham. Wydałam jasne instrukcje, że nikomu nie wolno tu wjeżdżać.

— Co pani wyprawia, pani Cooper?

— Paragraf dwudziesty trzeci ustawy o urzędzie koronera...

— Myślałem, że zatrudniliśmy koronera, a nie jakąś cholerną cmentarną hienę! — wrzasnął Grantham.

Jenny z trudem zachowała spokój.

— Nie muszę się panu tłumaczyć, ale to jest zgodne z prawem i konieczne dochodzenie. Robię tylko to, czego z jakichś powodów nie zrobił mój poprzednik.

— Powiem pani, co pani robi. Popelnia pani cholerny błąd. — Jenny czuła alkohol w jego oddechu. — I nie ma mowy, żeby mój dział za to zapłacił, więc równie dobrze może pani przerwać od razu. — Był tak wściekły, że nie zdziwiłaby się, gdyby ją uderzył.

— Przed chwilą to była prośba, ale teraz już nakaz. Proszę stąd odjechać albo każe policji pana usunąć.

— Mam takie samo prawo jak pani, żeby tu być. To teren należący do miasta.

— Ale ta procedura podlega kompetencji korony. Każda próba jej utrudniania jest przestępstwem.

Grantham uśmiechnął się szyderczo; mokre od deszczu kosmyki brudnosiwych przykleiły mu się do czoła.

— Chyba pani rozum odjęło — mruknął.

Przepchnął się obok niej i ruszył w stronę grobu. Jenny popędziła za nim.

— Jak pan śmie! Za kogo pan się uważa? Proszę się wynosić.

— Jeśli ktoś powinien się wynosić, to pani. — Zawołał do Dawesa i jego ludzi: — Proszę natychmiast przestać! Dosyć tego!

Odpowiedziały mu zdezorientowane spojrzenia. Alison ruszyła w stronę Granthama.

— Frank?

Jenny złapała go za rękaw kurtki, zatrzymując w miejscu. W końcu wybuchła:

— Może masz problem z kobietami na stanowiskach, ale lepiej do tego przywyknij, palancie. Ja tu jestem koronerem i ja wydaję polecenia. Wynoś się z tego cmentarza albo spędzisz noc w areszcie.

Grantham spojrział na nią osłupiały.

— Chyba zwariowałaś, kobieto.

— Jeśli nie znikniesz w ciągu minuty, wniosę oskarżenie o obrazę koronera i utrudnianie mu wykonywania obowiązków. Twój wybór.

Grantham spojrział na Alison, spodziewając się, że przyjdzie mu na ratunek.

— Pani Trent, proszę odprowadzić pana Granthama poza teren cmentarza — powiedziała Jenny.

— Myślałem, że jesteś na tyle rozsądna, żeby nie brać udziału w tych bzdurach, Alison — rzekł Grantham.

Alison spokojnie, ale stanowczo odparła, że będzie lepiej, jeśli pozwoli koronerowi wykonywać obowiązki.

Grantham pokręcił głową.

— Nie do wiary. Po prostu nie do wiary...

Jenny zwróciła się do Alison:

— Chyba nie zrozumiał. Proszę ściągnąć tu policjanta.

Alison wahała się ułamek sekundy, ale sięgnęła do kieszeni po walkietalkie.

— Dobrze — skapitulował Grantham. — Ale ostrzegam cię, Jenny, że będziesz miała poważne kłopoty. Ministerstwo Sprawiedliwości się o tym dowie.

— O, z pewnością.

Spojrział na nią z pogardą i ruszył do samochodu, potykając się kilka razy na śliskiej trawie. Mały, przemoczony i żaloszny, usiadł za kierownicą i wycofał się zygzakiem do bramy.

— Co on sobie w ogóle wyobraża? — powiedziała Jenny. — Przecież nie ma prawa mieszać się w koronerskie dochodzenie.

— Nie zna go pani. Przywykł, że jest tu panem na włościach. Jeśli coś mu się nie podoba, wydaje mu się, że może tego po prostu zabronić.

— Jak Marshall sobie z tym radził?

Alison odparła z nutą żalu:

— Obawiam się, że nie potrafił się postawić takim ludziom.

Patrzyły, jak policjant zamyka bramę za mercedesem, który odjechał z rykiem silnika.

Jenny odwróciła się do grobu, nad którym ludzie Dawesa wciąż stali beczynn timer.

— Kto wam kazał przerywać? No dalej, chcę zabrać stąd tę trumnę.

* *

Obudziła się z głębokiego, pozbawionego marzeń snu o dziesiątej rano. Była prawie druga w nocy, kiedy przyjechała z cmentarza, rozdrażniona i nakręcona. Długo leżała bezsen timer, wzdrygając się na każdy dźwięk, aż wreszcie przed czwartą ogłuszyła się dwiema pigułkami nasennymi.

Dopiero po chwili zrozumiała, że obudził ją telefon i że wciąż dzwoni. Dźwignęła się z łóżka i złapała szlafrok. Półprzytomna, niepewnie zeszła po schodach, zastanawiając się, kto z takim uporem wydzwania do niej w sobotę rano. Weszła do gabinetu i podniosła słuchawkę.

— Halo.

— Dzień dobry, pani Cooper. Mówi Tara Collins z „Post”. Pamięta mnie pani?

Jak mogłaby zapomnieć?

— Bardzo przepraszam, że dzwonię do domu, ale pani numer jest w książce.

— Tak? A nie powinien być.

— Dzwonię, żeby zapytać, czy chce pani skomentować ekshumację Katy Taylor. O ile wiem, odbyła się zeszłej nocy.

— Skąd pani to wie?

— Niestety nie mogę powiedzieć. Rozumie pani.

Nie, nie rozumiała, ale była naiwna, myśląc, że informacja o tak spektakularnym wydarzeniu nie przedostanie się do gazet. Ktoś po drodze sięgnął po telefon i sprzedał temat za kilkaset funtów. Prawdopodobnie któryś z grabarzy, a może nawet z policjantów przy bramie.

Wiedziała, że musi coś powiedzieć, aby uniknąć spekulacji i sensacyjnych nagłówek w rodzaju „Koroner nie ujawnia powodów

ekshumacji". Powiedziała więc:

— W celu ustalenia przyczyny zgonu ciało będzie ponownie zbadane, zostaną też przeprowadzone dodatkowe testy kryminalistyczne. Nie szukam niczego konkretnego, staram się tylko, by moje dochodzenie było rzetelne.

— Z tego, co wiem, Katy zmarła pięć dni po zwolnieniu z Portshead Farm.

— Owszem.

— Czy to nie wydaje się pani dziwnym zbiegiem okoliczności?

— Mnie obchodzą dowody, nie zbiegi okoliczności.

Tara Collins nie dawała za wygraną.

— Wie pani, że Danny Wills i Katy się znali? Chodzili razem na terapię antynarkotykową organizowaną przez zespół kuratorski. Obojgiem zajmował się Justin Bennett.

Jenny starała się zachować spokój.

— Jak powiedziałam, nie zajmuję się spekulacjami.

— A tak między nami — Tara Collins przybrała konspiratorski ton — nie sądzi pani, że warto się temu przyjrzeć? Chętnie bym tam poszła i spróbowała odnaleźć dzieciaki, które znały ich oboje, ale niestety nie mam tam wstępu. Pani ma.

Nawet półprzytomna, nie dała się nabrać na numer z „tak między nami”.

— Proszę zrozumieć, że moje śledztwo będzie prowadzone zgodnie z procedurą. Wszystko w swoim czasie. Nic więcej pani nie powiem.

— Słyszysz pani? — Jenny usłyszała ciche kliknięcie. — Wyłączyłam dyktafon, przysięgam na Boga. Nic z tego nie pojawi się w gazecie. Wiem, że ma pani problem z ponownym otwarciem sprawy Danny’ego Willsa, bo przewód został zamknięty, ale to, co pani robi teraz, naprawdę może pomóc. Proszę mi uwierzyć, rozmawiałam z dzieciakami, które były w Portshead. Tam są narkotyki, seks, to miejsce to prawdziwe bagno. Jeśli pani myśli, że uliczne gangi są gorsze, to popełnia pani błąd. W zakładzie one też są, za to nie ma przed nimi ucieczki. Nikt nie wychodzi stamtąd lepszy. Katy mogło tam spotkać dosłownie wszystko. Była przecież wyjątkowo ładną piętnastoletnią prostytutką z problemem narkotykowym. Trudno o łatwiejszą

zdobycz.

Jenny wiedziała, że Tara Collins ma rację; ona sama wielokrotnie ubolewała nad oplakany stanem instytucji, które miały oferować pomoc dzieciakom z problemami. Ale perspektywa rzucenia im wyzwania i obnażenia całego brudu napełniała ją lękiem. Właśnie przed tym bagnem miała nadzieję uciec, zostając koronerem. Andy Taylor walnął ją jak obuchem w głowę, mówiąc, że system nie odróżnia dobra od zła. W młodocianych przestępcach było coś demonicznego; budzili przerażenie i zarazem fascynację. Trzeba było żelaznej woli i niezawodnego kompasu moralnego, aby się nimi zajmować, Jenny rzadko spotykała w tej branży kogoś, kto miałby obie te cechy. By ukryć swoją bezradność, urzędnicy polegali na zasadach i procedurach; system, jaki stworzyli, przypominał pasożytniczą bestię, która żywiła się nieszczęściem i wypuszczała dwie nowe macki na miejsce każdej odciętej.

— Pani Collins — odparła, siląc się na rzeczowy ton — kiedy rozmawialiśmy ostatnio, groziła mi pani. Rozumiem, że te sprawy budzą ogromne emocje, ale nie pozwolę, żeby pani czy ktokolwiek inny dyktował mi, co mam robić. Będę wykonywać swoją pracę najlepiej, jak potrafię. Każdy wątek tej sprawy zostanie dokładnie zbadany. A teraz proszę wybaczyć, ale muszę zjeść śniadanie.

— Jeszcze tylko jedno pytanie...

Jenny odłożyła słuchawkę. Spodziewała się, że dziennikarka zadzwoni ponownie, lecz telefon milczał. Idąc do kuchni, analizowała możliwe powiązania między Katy i Dannym Willsem, a żadna z tych możliwości nie była miła.

* *

W połowie drugiej filiżanki mocnej kawy, gdy zapisała kilka stron w notesie, przypomniała sobie o umówionym lunchu z Davidem, Rossem... i Deborą. Wczoraj, jadąc na ekshumację, zadzwoniła do syna. Rozmawiali tylko chwilę, bo Ross wybierał się z kolegami do kręgielni. Na pytania o egzaminy odpowiadał monosylabami, a jeszcze mniej chętnie mówił o

dzisiejszym lunchu. Czy mogła mieć mu to za złe? Pewnie David rzucał jakieś luźne uwagi o „naradzie rodzinnej” i „poważnej rozmowie” — takim samym złowróbnym tonem, jakim obwieszczał swoim pacjentom, że musi im wstawić bajpasy. Wyobraziła sobie, jak siedzą we czwórkę przy stole, i aż się skuliła.

Trzecia filiżanka kawy i pół temazepamu (by zneutralizować działanie kofeiny) nie poprawiły jej samopoczucia, więc włożyła jakieś stare ciuchy i wyszła do ogrodu.

W ciągu zaledwie trzech dni trawa zdążyła urosnąć kilkanaście centymetrów, ale chwasty na drodze miały się jeszcze lepiej. Zrozumiała, że albo znajdzie siłę i ochotę, by przez całe lato co tydzień kosić i plewić, albo wyda fortunę na ogrodnika. Wciągnęła w płuca ciepłe, wilgotne powietrze. Wszystko było mokre po nocnym deszczu i teraz, kiedy słońce wreszcie przebiło się przez chmury, z ziemi unosiły się kłęby pary. Ogród wydawał się przysięgiony i zduszony, jakby każdy liść i źdźbło ugięły się pod ciężarem wilgoci. Jenny poszła do zrujnowanego tartaku, oparła się plecami o mokrą ścianę i popatrzyła na potok. Woda była o dobrych piętnaście centymetrów wyższa i pełna brązowego mułu. Strumyk po kostki zmienił się w miniaturową rwącą rzeczkę.

Jenny pomyślała o Davidzie. Chociaż był zaledwie parę lat starszy od niej, zawsze czuła się z nim jak z ojcem. A teraz nawet gorzej niż z ojcem, który przebywał w domu opieki Weston Super Mare. Przez wszystkie lata małżeństwa nigdy nie zdołała sobie wywalczyć równych praw, zawsze była młodszym partnerem, zawsze to on miał rację. Tylko w kwestii edukacji Rossa postawiła na swoim. Uparła się, żeby poszedł do miejscowej państwowej szkoły i dorastał wśród dzieci, które nie uznają bogactwa i przywilejów za dane odgórnie. Musiała przyznać, że nie był to bezwzględny sukces — szkolne niepowodzenia syna zaopatrzyły Davida w kij, którym nie omieszkał jej walnąć przy każdej okazji — ale przynajmniej Ross nie stał się arogancki i wyniosły jak jego ojciec. A egzaminy można zdać drugi raz.

Wróciła do domu, wzięła prysznic i prawie godzinę spędziła na komponowaniu stroju, który pozwoli jej dobrze wypaść przy bez wątpienia

atrakcyjnej Deborze, a jednocześnie nie będzie wyglądał, jakby za bardzo się starała. Zdecydowała się na dopasowane džinsy i czarną bluzkę z dekoltem. Założyła prosty srebrny naszyjnik, który kupiła sobie po rozwodzie, i kolczyki do kompletu. Z odpowiednim makijażem wyglądała o dziesięć lat młodziej i całkiem sexy, jak kobieta, która pożarłaby dwudziestopięcioletnią kozę na śniadanie. Proste czarne czółenka na obcasach dodawały jej osiem centymetrów; dzięki nim będzie mogła stać niemal oko w oko z Davidem i — miała nadzieję — patrzeć z góry na Deborę.

W bitewnym rynsztunku zeszła na dół i zatrzymała się przed lustrem w holu, żeby jeszcze raz sprawdzić efekt. Ledwie rozpoznała kobietę, która na nią spojrzała: silną, pewną siebie, dojrzałą. Ale pod tą maską była kłębką nerwów, a co gorsza, David natychmiast to wyczuje. Wszyscy jej znajomi myśleli, że zmęczyły ją sądy rodzinne i zapragnęła zmiany. Tylko David znał prawdę; wiedział, że jest pusta w środku.

Wzięła kluczyki do samochodu, sprawdziła drzwi i okna i... spanikowała na całego. Wszystkie objawy paniki wezbrały jak rzeka. Mogłaby przetrwać ten dzień naćpana po czubek głowy, ale miała żelazną zasadę: żadnych pigułek w weekend. Wprawdzie złamała ją dziś rano, niemal bezmyślnie; ale gdyby teraz zażyła kolejną tabletkę, znaczyłoby to, że jest uzależniona. Kilka miesięcy temu, kiedy była w o wiele gorszym stanie, przysięgła sobie, że do tego nie dojdzie.

Wyszła przez frontowe drzwi i dotarła do samochodu, ale zanim wsiadła, ogarnęło ją przerażenie. Poczuła, że nie zdoła stawić czoła tej sobocie. Wściekła, walnęła pięścią w dach. Co się z nią dzieje? Jak może rozmawiać o przyszłości syna, skoro jest tak pokręcona i egocentryczna, że nie potrafi przeskoczyć własnych lęków? Jest emocjonalną kaleką, wrakiem.

Cholera! Cholera! Cholera! Jednak jest uzależniona. No cóż, trzeba będzie brać piguły i jakoś kuśtykać przez życie do chwili, gdy bezpiecznie wprowadzi Rossa w dorosłość. Tylko to się liczyło — wszystko inne było nieważne. Sięgnęła po temazepam, wcisnęła korek i przekręciła. Zostały tylko trzy tabletki. Jak to możliwe? Przypomniała sobie, że pigułki rozsypały się w kantorku wiejskiej świetlicy. Połowa poleciała na podłogę. Chciała

zamówić więcej przez Internet, ale zapomniała. Teraz musi czekać do wtorku, aż dostanie je pocztą, a potrzebowała przynajmniej dwóch, żeby przeżyć poniedziałek. Na dzisiaj zostawała tylko jedna. Jeśli połknie ją teraz, do lunchu lek przestanie działać, a bez prochów nie pisała się nawet na jazdę samochodem, nie mówiąc już o męczarniach, które czekały ją później.

Mogłaby zadzwonić i wykręcić się pracą, ale wiedziała, że David ją przejrzy. Ten lunch to był test, któremu chciał ją poddać: czy kobieta, która jeszcze niedawno dwa razy w tygodniu chodziła do psychiatry, mówi prawdę, twierdząc, że panuje nad swoim życiem? Czy można jej zaufać i pozwolić decydować o przyszłości syna?

Udręczona i niezdecydowana trzymała pigułkę w dłoni. Terenowa toyota, nowiutka i błyszcząca, przejechała drogą, trąbiąc; znajoma postać uniosła rękę i pokiwała na powitanie. Był to Rhodri Glendover, z przyjaciółką na fotelu pasażera. Jenny uśmiechnęła się i odmachnęła, wzruszona tym przyjaznym sąsiedzkim gestem. Rhodri pewnie zabawiał towarzystwo opowieścią, jak to wyciągnął ją z rowu, ale bez wątpienia znów by jej pomógł, gdyby zaszła potrzeba. Tak robili przywoici ludzie.

Toyota zniknęła za zakrętem, a Jenny przyszła do głowy szalona myśl, że może odpowiedzią na jej problem będzie inny uczynny sąsiad. Steve był wprawdzie lekko wstawiony, kiedy proponował swoje towarzystwo, chyba jednak mówił szczerze. Nie była na tyle naiwna, by myśleć, że nie chciałby się z nią przespać, ale w jego zainteresowaniu było chyba coś więcej: dogadywali się, coś między nimi zaskoczyło. Steve to inteligentny człowiek spragniony towarzystwa; naturalne, że ciągnęło go do niej.

To był wariacki pomysł, ale ona przecież była wariatką. Im dłużej zastanawiała się, jak by to było przyprowadzić ze sobą przystojnego młodszego faceta, tym bardziej podobała jej się ta myśl. David kompletnie zgłupieje. Poczuje się tak zagrożony, że to on będzie ukradkiem łykał w łazience tabletki uspokajające.

Co miała do stracenia? Najwyżej Steve odmówi.

* *

Steve nie odmówił, powiedział tylko, żeby mu dała minutkę, to wrzuci na siebie jakieś czyste ciuchy i przeciągnie maszynką po twarzy. Tak po prostu, ani śladu zaskoczenia. Zostawił ją na dole z Alfiem i krzyknął z góry, że jeśli chce, to w spizarce jest piwo — on może prowadzić.

Skorzystała z propozycji. Dziesięć minut później siedziała na miejscu pasażera w swoim golfie, popijała grolscha, słuchała Boba Marleya i patrzyła, jak Steve skręca sobie papierosa, przytrzymując kierownicę nadgarstkami. Miał na sobie białą bawełnianą koszulę bez kołnierzyka, zmięty Iniany garnitur i płócienne buty — wyglądało na to, że ten strój służył mu od ładnych paru lat. Był w sam raz, na tyle elegancki, że Steve sprawiał wrażenie raczej ekscentryka niż oberwańca.

— Chyba byłaś zaskoczona, że się ciebie spodziewałem — powiedział.

— Widocznie znasz mnie lepiej niż ja sama. Ja się nie spodziewałam, że cię poproszę.

— Naprawdę? — Polizał bibułkę i spojrzał na Jenny.

— Naprawdę.

Wyjął zapalniczki z kieszeni marynarki.

— Masz coś przeciwko?

— Nie. To twoje zdrowie.

— Wymienię cię w testamencie.

Zapalił papierosa i uchylił szybę. Jenny nie powiedziała mu tego, ale podobał jej się zapach jego skręta. Przypominał jej studenckie czasy, kiedy świat wydawał się pełen możliwości, a odpowiedzialność była jeszcze daleko za horyzontem.

— Więc robisz to dla karmy?

Steve zaciągnął się i wydmuchnął dym przez okno.

— Dla karmy i dlatego, że mi się podobaasz. — Widząc jej zażenowanie, dodał: — Nie o to mi chodziło... Spodobałaś mi się jako człowiek. Od razu cię polubiłem, kiedy tylko się poznaliśmy. Pomyślałem, że moglibyśmy zostać przyjaciółmi. — Uśmiechnął się przeprasząco. — Wybacz. Powinienem

staranniej dobierać słowa. Tak to jest, gdy człowiek żyje sam. Zapomina, jak ludzie reagują na pewne rzeczy.

— Patrz na drogę — odparła Jenny.

Zadzwoiła z komórki do Davida, by go uprzedzić, że przyjeżdża ze znajomym, ale odebrała Debora. Powiedziała, że to nie problem, jedzenia jest mnóstwo. Kiedy wjechali na schludny ceglany podjazd i zaparkowali obok jaguara Davida, Jenny zauważyła, że jej były wygląda przez okno salonu, by oszacować konkurencję. W ciągu dziesięciu sekund zdążył zdjąć sweter w serek i podwinąć rękawy koszuli, odsłaniając żylaste przedramiona, wyćwiczone przez lata squasha i machania ciężarkami w siłowni, którą urządził w piwnicy.

Otworzył drzwi z męskim „cześć”, usiłując od samego początku zyskać przewagę.

Jenny, rozluźniona po piwie, powiedziała:

— David, poznaj Steve’a, mojego sąsiada. Debora powiedziała, że nie ma nic przeciwko.

— Ależ skąd. Bardzo mi miło, Steve. — Mocno uściśnął mu dłoń.

Otakował wzrokiem niechlujny garnitur i buty i wyraźnie się odprężył. Radził sobie z innymi mężczyznami, jeśli tylko mógł uchodzić za ważniejszego. A wygląd Steve’a wskazywał, że jego status nie jest zagrożony.

— Bardzo miło cię poznać, David — powiedział Steve. — Pomyślałem, że Jenny przyda się kierowca. Przedwczoraj omal nie wjechała pod traktor.

— To się nazywa dobry sąsiad — rzuciła Jenny.

— Doskonale. — David jeszcze raz zerknął na Steve’a, by ostatecznie upewnić się co do swojej wyższości, i gestem zaprosił ich do środka. — Zrobię wam drinki.

Wprowadził ich do jadalni z otwartym aneksem kuchennym, której częścią była oranżeria wychodząca na ogród za domem — duży, ale dobrze utrzymany. W ogóle cały dom był duży, drogi i bezduszny, czysty jak sala operacyjna. Nowoczesne gustowne meble, bez jakichkolwiek ozdób czy uduziwień. Nie było tu żadnych bibelotów ani przedmiotów, które mogłyby

zbierać kurz; nieliczne obrazy były równie nowoczesne i zimne jak reszta wystroju. Projektant pewnie nazwałby to wnętrzem spokojnym; Jenny wołała inne określenie: martwe. Ogród też sprawiał wrażenie pozbawionego życia. Wypielęgnowany nerkowaty trawnik obrzeżony zimozielonymi krzewami i żadnej rośliny, która mogłaby ekstrawagancko zakwitnąć albo nie daj Boże zgubić liście. Żyła tu z Davidem przez ponad dziesięć lat i nigdy nie czuła się jak w domu.

Debora była drobną blondynką bliżej trzydziestki niż dwudziestki piątki. Krzątała się przy kuchennej wyspie w niebieskim pasiastym fartuszkowi zawiązanym na ładnej letniej sukience z wysokim stanem. Dokładnie w typie Davida, z miłym, pokornym uśmiechem. Kobieta, która marzy, by sprawić przyjemność swojemu mężczyźnie. Była dla niego idealna.

Wytarła ręce w fartuch — Jenny rozpoznała w nim swój gwiazdkowy prezent od matki Davida — i przytruchtała, żeby ich przywitać.

— Witaj, Jenny. Jestem Debora.

— Cześć. — Dotknęły się dłońmi; Debora była zbyt mało asertywna, by porządnie uścisnąć rękę. — To mój znajomy, Steve.

Steve rzucił wesołe „cześć” i bez ceregieli cmoknął Deborę w policzek. Chyba jej się to spodobało. Rumieniąc się lekko, powiedziała:

— Lunch będzie za parę minut, trochę mi zeszło z sałatką ryżową.

— Nic nie szkodzi.

— Ross powinien gdzieś tu być. Mam go zawołać?

David, nalewający przy lśniącej lodówce pinot grigio do kieliszków, rzucił:

— Na pewno jest wypoczęty. Wykopałem go łóżka ledwie godzinę temu.

— Z pewnością zrobiłeś to bardzo delikatnie — powiedziała Jenny.

Zanim David zdążył się odgryźć, Steve wtrącił:

— Wpół do pierwszej to całkiem niezłe jak na piętnastolatka. Ja sypiałem co najmniej do czwartej.

— Z Rossem nie jest aż tak źle, ale kto wie, co by było, gdyby go zostawić samemu sobie — odparł David.

Debora uśmiechnęła się słodko, niosąc na stół miskę sałatki ryżowej.

— Nastolatki. Wszyscy byliśmy tacy sami.

Zapanowała chwila niezręcznej ciszy, gdy David rozdawał kieliszki. Jenny czuła, że aż skręca go z ciekawości, kim jest dla niej Steve, ale nie odważył się zapytać wprost. Uważał Jenny za osobę irracjonalną, nieprzewidywalną i skłoną do żenujących emocjonalnych wybuchów, a jego priorytetem w tej chwili było uniknięcie sceny przy Deborze.

To Debora przełamała ten impas.

— David mówił, że mieszkasz niedaleko Tintern. Tam jest bardzo pięknie.

— Miła odskocznia od miasta.

— Za to ludzie są pokręcani — wtrącił Steve. — Nieznajomi pukają do twoich drzwi i pytają o pracę. — Zerknął znacząco na Jenny.

Była wdzięczna za tę odpowiedź.

— Steve ma farmę za wzgórzem. Uporządkował mi ogród. Gdyby chwasty urosły jeszcze trochę, nie widziałabym niczego z okien.

— Tak? A co to za farma? — spytał David.

— To raczej małe samowystarczalne gospodarstwo. Mieszkam tam już dziesięć lat i próbuję prowadzić zacne życie.

David zrobił zdumioną minę.

— Samowystarczalne?

— Takie było założenie. Prawie się udaje.

— Steve jest z wykształcenia architektem — wtrąciła Jenny.

— Nie całkiem. Odpadłem na ostatnim roku. — Łyknął wina. — Macie coś przeciwko, żebym zapalił na dworze?

David pokręcił głową i machnął ręką, wskazując ogród. Debora natychmiast pogrzebała w szafce i wręczyła gościowi spodeczek.

— Popielniczka.

— Dzięki. — Steve wyszedł na nieskazitelne patio, zamykając za sobą rozsuwane drzwi.

Debora zerknęła na Davida i posłała Jenny nerwowy uśmiech.

— Pójdę sprawdzić, gdzie się podział Ross. — Wyszła do holu, zostawiając ich samych.

David skrzywił twarz w nieszczerym uśmiechu, czekając na wyjaśnienia.

— To tylko znajomy. Zaproponował, że mi dotrzyma towarzystwa, i tyle.

— A czy ja coś mówię?

Nie musiał. Jenny czytała mu w myślach. Sprawiała sobie młodego kochasia, odrzut z college'u, w akcie dziecinnego buntu przeciwko niemu, przeciwko życiu na wysokich obrotach, jakie z nim prowadziła, i przeciwko matczynym obowiązkom, którym nie podołała. Nie miała ochoty na wyjaśnienia. I tak by nie uwierzył.

— A ty i Debora? To coś poważnego?

— Wygląda na to, że idzie we właściwym kierunku.

— Dogaduje się z Rossem?

— Ma do niego świetne podejście. Jest cierpliwsza ode mnie.

Jenny miała ochotę powiedzieć, że to dlatego, iż sama niedawno była nastolatką, ale się powstrzymała. Postanowiła, że zachowa panowanie nad sobą. David zobaczy dzisiaj jej inną twarz. Przyszła tu rozmawiać jak równy z równym.

— Jak to jest być koronerem? — zapytał. — Muszę powiedzieć, że nie wyobrażałem sobie siebie w tej pracy. Zawsze mówiłaś, że nie chciałabyś być sędzią.

— To w niczym nie przypomina bycia sędzią. Jestem raczej detektywem. Sędziowie oceniają argumenty stron. Ja muszę odkryć prawdę.

— Stresujące?

— Radzę sobie.

— Więc z twoim zdrowiem już jest lepiej?

— Czuję się całkiem dobrze.

Kiwnął głową z taką miną, jakby naprawdę się cieszył.

— To dobrze.

Poczuła się jak oszustka. Niby czuła się odrobinę lepiej, ale wciąż łykała pigułki i bała się cieni. Pytania Davida miały drugie dno: mam nadzieję, że się nie oszukujesz, bo załamanie w sądzie koronerskim to naprawdę byłby koniec twojej kariery. Czuła motylki w żołądku i kołatanie serca. Wypiła solidny łyk wina, zastanawiając się, czy nie powinna była jednak wziąć

temazepamu.

Zjawiała się Debora z Rossem. Był ubrany w workowate dżinsy i koszulkę z długimi rękawami, a jego włosy, ciemne jak jej i długie do ramion, były przyklepane od poduszki.

— Nie mogłeś znaleźć grzebienia? — burknął z dezaprobatą David.

— Nie. Cześć, mamó.

— Cześć, skarbie. — Przywitała go uściskiem, którego nie odwzajemnił, skrępowany w obecności Debory i ojca. Kto by mu się dziwił?

Zauważył na patio Steve'a gaszącego papierosa.

— A to kto?

— Steve, mój sąsiad.

— Ta, jasne.

— Podwiózł mnie i tyle.

Ross podszedł do stołu, szurając nogami.

— Co jest na lunch?

* *

Debora i Steve przez cały posiłek dzielnie podtrzymywali konwersację. Rozmawiali o jej pracy starszej instrumentariuszki, o jej trzech siostrach, które dawno się ustatkowały, urodziły dzieci i nie mogły zrozumieć, dlaczego ona nie zrobiła tego samego, i o tym, jakim błogosławieństwem są sklepy internetowe. O ile Jenny wiedziała, Steve nie miał komputera, ale nikt by się nie zorientował. Ona i David próbowali wtrącać lekkie, niekontrowersyjne uwagi, a Ross głównie milczał, nadąsany na końcu stołu. Po drodze Jenny martwiła się, że syn może źle przyjąć obecność Steve'a — od rozvodu nie miała faceta — ale wydawał się za bardzo pochłonięty sobą, żeby go to w ogóle obeszło.

Zanim Debora podała bezy z truskawkami i śmietaną, David zdążył wypić kilka kieliszków wina i był gotów zmierzyć się z tematem, który ich tu zgromadził. Nigdy nie był dyplomata, więc zabrał się do rzeczy bez ostrzeżenia.

— No więc, Ross, nie powiem, że bym był pod wrażeniem twoich tak

zwanych nauczycieli. Jeśli miałem jeszcze jakieś wątpliwości, że powinienem chodzić do ogólniaka gdzie indziej, to ta wywiadówka je rozwiązała.

— Jeszcze nie zdecydowaliśmy, gdzie będzie chodził — powiedziała Jenny.

— A jeśli mnie jest dobrze tam, gdzie jestem? — spytał Ross.

David nalał sobie kolejny kieliszek białego wina.

— Problem w tym, że jeśli chcesz iść na medycynę, to już dzisiaj powinienem mieć same piątki.

— Nigdy nie mówiłem, że chcę iść na medycynę.

— Powiedziałeś mi...

— To ty mi powiedziałeś, że tego chcesz.

Jenny położyła synowi dłoń na ramieniu.

— Nie musi o tym decydować w tej chwili, prawda? Na razie rozmawiamy o tym, czy jest we właściwej szkole. Powinien chodzić tam, gdzie czuje się szczęśliwy.

— Chcę zostać tam, gdzie jestem — oznajmił Ross.

David westchnął.

— To jest ryzstok, synu. Nie mają dla ciebie żadnych propozycji. Traktują cię tak samo jak dzieci z komunalnych osiedli. Jeśli dostaniesz pracę jako kierownik sklepu, uznają to za sukces.

— Czy możemy się nie unosić? — poprosiła Jenny.

— Mówimy o przyszłości naszego syna. W edukacji nie dostaje się drugiej szansy. To jest decyzja, która będzie miała wpływ na całe jego dalsze życie.

— Myślisz, że tego nie wiem? Nie jestem głupia.

— Nie powiedziałem, że jesteś.

— A, to zupełnie co innego.

— Ktoś ma ochotę na bezy z truskawkami? — spytała Debora.

Steve podsunął jej swój talerzyk.

— Ja poproszę.

— Ross?

Ross pokręcił głową.

— Tego też już nie chcę. — Odsunął talerz.

— Może zostawimy tę rozmowę na później? — powiedziała Jenny. — Chyba nikt z nas nie chce, żeby doszło do kłótni.

— A po co? Mnie i tak nikt nie słucha.

— To nieprawda, Ross — zaprotestował David. — Na litość boską, jesteśmy twoimi rodzicami. Jeśli nie podejmiemy teraz najlepszej decyzji, będziesz miał nam to za złe do końca życia.

— Ta, ty najlepiej wiesz, co jest dobre dla wszystkich. — Ross wstał z krzesła i ruszył do drzwi na taras.

— Ross? Gdzie idziesz?

— Nigdzie.

Wyszedł na patio i ruszył do ogrodu szukać schronienia na kawałku trawnika za krzakami, gdzie nie było go widać.

David, który wpatrywał się w stół, usiłując powstrzymać wybuch, zaczął podnosić się z krzesła.

— Nie mogę tolerować takiego zachowania.

— Zostaw go. Proszę. Daj mu chwilę.

— Chcesz, żeby mu to uszło na sucho? Jaki to będzie miało efekt wychowawczy?

Debora i Steve wymienili spojrzenia.

— Może najpierw zjesz bezę? Jemu zaraz przejdzie.

David burknął coś i usiadł z powrotem.

— Dlaczego, do licha, nie pozwoliłaś mi od razu posłać go do Radley...

Jenny upuściła łyżeczkę i spojrzała na niego ze złością. Steve błyskawicznie położył dłoń na jej kolanie. Odepchnęła ją.

— Dlaczego? Bo pewnie skrzywiliby go jeszcze skuteczniej niż my. — Wstała od stołu i poszła za Rossem.

Znalazła go na ławce w „sekretniej” części ogrodu, przy której uparła się, kiedy urządzali go niedługo po kupnie domu. Marzyły jej się romantyczne chwile we dwoje w tym ustroniu, osłoniętym przed nianią i sąsiadami żywopłotem z iglaków i wysoką ścianą z bambusa. Siedziała tu z Davidem może raz. To miejsce służyło głównie do wypadania z domu i dąsania się.

— Zmieszczę się obok ciebie na tej ławce?

Ross wzruszył ramionami i przesunął się odrobinę, robiąc jej miejsce. Usiadła koło niego. Przez chwilę żadne się nie odzywało. Wiedziała, jak on się czuje; krytykanctwo Davida było miażdżące. Jako żona znosiła je fatalnie; dla syna musiało być jeszcze gorsze.

— Przepraszam, że te rozmowy zawsze kończą się awanturą. Nie chciałam... Ale znasz tatę. Nie zdaje sobie sprawy, jaki bywa szorstki.

Ross odłupał paznokciami drzazgę z ławki.

— Nie musisz go usprawiedliwiać.

— Po prostu martwi się o ciebie.

— Nic mi nie jest.

Jenny przyjrzała się jego twarzy. Zmienił się przez sześć miesięcy, od kiedy wyniosła się z domu. Nie można już było nazwać go chłopcem. Był młodym mężczyzną, wysokim i atletycznie zbudowanym jak jego ojciec. Kiedyś będzie prawdziwym ciachem, ale najpierw czekało go kilka bolesnych lat zdobywania pewności siebie.

— Jeszcze nie rozmawiałam o tym z tatą, ale pomyślałam sobie, że może chciałbyś zamieszkać ze mną, kiedy już będziesz w ogólniaku.

— I chodzić tam do szkoły? Zapomnij.

— Nie, w Bristolu. Podrzuciłabym cię w drodze do pracy. Zresztą niedługo będziesz mógł sam jeździć samochodem.

Spojrzał na nią nieufnie.

— Kupiłabyś mi samochód?

— Nic wystrzałowego, ale owszem, czemu nie. I mógłbyś zapraszać kolegów na noc... — Boże, przekupywała go, ale nie mogła się powstrzymać. To działało. Po raz pierwszy od miesięcy słuchał jej uważnie. — Spotykasz się jeszcze z Giną?

— Lisą.

— Przepraszam...

— Nie szkodzi. — Dalej skubał ławkę. Obserwowała, jak analizuje ofertę, waży niewygody mieszkania w dziczy kontra możliwość ucieczki od ojca. — To znaczy mogłaby przyjeżdżać na weekendy i tak dalej?

— Ona czy ktokolwiek, byle nie szaleli za bardzo.

Wyglądało na to, że wygrywa. Ross kiwnął głową.

— Zastanowię się.

— A co będzie ze szkołą? Tata chce, żebyś poszedł na rozmowę do Clifton.

— Nigdzie się nie przenoszę. A poza tym dlaczego mieliby mnie tam chcieć?

— Ojciec tam chodził.

Ross zaczął kopać trawę czubkiem buta.

— Też mi reklama.

— Uważa, że tam otrzymasz najlepszą edukację.

— Nie chcę żyć jak on. On w ogóle nie ma życia.

Zadzwoniła komórka Jenny. Wyjęła ją z kieszeni džinsów i spojrzała na wyświetlacz. Alison.

— Poczekaj chwilę. To z pracy. — Odebrała połączenie. — Dzień dobry, Alison.

— Przepraszam, że niepokoję, pani Cooper, ale właśnie dzwonił profesor Lloyd. Przeprowadził autopsję Katy Taylor i chce z panią rozmawiać.

— Nie może zadzwonić?

— Pytał, czy mogłaby pani do niego przyjechać. Chyba chce pani coś pokazać.

— Teraz?

— Tak powiedział.

— Okej. Proszę mu przekazać, że jadę z Bristolu. Zajmie mi to jakąś godzinę.

Ross wstał z ławki.

— Zadzwonię do pani, jak będę w drodze. — Rozłączyła się. — Ross, już skończyłam. Porozmawiajmy.

— Musisz pracować.

Ruszył z powrotem do domu.

* *

Lunch okazał się kompletną klapą. Nie podjęli żadnych decyzji w sprawie przyszłości Rossa i rozstali się w kiepskiej atmosferze. Ross nie chciał wyjść z pokoju, żeby się pożegnać, i została zjedzona tylko jedna beza Debory. Jenny była pewna, że gdyby nie Steve, wszystko skończyłoby się obrzydliwą sceną. Zawsze nienawidziła tego domu i szpanerskiej kuchni, ale widok innej, młodszej kobiety, która krzątała się po niej jak u siebie, budził w niej irracjonalną złość. Debora nosiła jej fartuch, gotowała w jej garnkach. A teraz ta posłuszna kura domowa zostanie posłana do Rossa, żeby porozmawiać z nim jako głos rozsądku.

Steve zdołał przetrwać tę próbę o jednym kieliszku wina, a teraz po rycersku wiozł Jenny do Newport. Siedziała, gapiąc się na autostradę w ponurym milczeniu.

— Chyba rozumiem, dlaczego się rozstaliście.

Jenny patrzyła na krowy stojące na polu i zastanawiała się, czy łatwo im się przyzwyczaić do samochodów.

— No czemu?

— Za każdym razem, kiedy nalewał wino, potem zatykał butelkę korkiem.

— Nie zauważyłam.

— Tak do tego przywykłaś, że już tego nie widzisz. A gdy sprząтали ze stołu, kazał jej splukać talerze, zanim wstawiła je do zmywarki. Nie musiał nawet nic mówić, wystarczyło, że na nią spojrział.

— I splukała?

— Tak. Bez szemrania.

— To maniak kontroli.

— Pewnie nie chciałabyś, żeby cię kroił postrzelony chirurg.

— Ktoś musi go doceniać.

Steve zastanawiał się chwilę, w końcu powiedział:

— Jak to jest uprawiać seks z takim facetem?

— Nie powinieneś zadawać takich pytań. Zła karma.

Rozdział 10

Steve nie skorzystał z propozycji, by pójść z Jenny do kostnicy szpitala Newport General, imponującej wiktoriańskiej budowli na wzgórzu z widokiem na miasto. Zostawiła go w samochodzie z papierosem i Hendriksem w odtwarzaczu, obiecując, że to nie potrwa długo. Powiedział, żeby się nie przejmowała, bo jemu nigdzie się nie spieszy.

Kostnica znajdowała się w tradycyjnym miejscu — w piwnicy, za nieoznakowanymi drzwiami, do których musiała zadzwonić, żeby wpuszczono ją do środka. Słyszała, że chociaż wykradanie ciał należy do rzadkości, okradanie ich z biżuterii, a zwłaszcza obrączek, jest dość powszechne. Krążyły opowieści o palcach obcinanych ogrodowym sekatorem.

Tak jak w Vale, mieli tu problem ze składowaniem zwłok. Znaki wskazujące drogę do prosektorium doprowadziły ją do obskurnego podziemnego korytarza. Jedna ściana pokryta była rurami i kablami, a pod drugą stał rząd wózków, ze znajomymi plastikowymi płachtami. Jej kroki, rozlegające się echem w korytarzu, były jedynym dźwiękiem.

Usłyszała odgłos otwieranych drzwi i profesor Lloyd, energiczny mężczyzna po sześćdziesiątce, wypadł ze swojego gabinetu. Miał szopę potarganych włosów i wąskie okulary do czytania, nasadzone na haczykowaty nos.

— Pani Cooper?

— Tak.

— Cieszę się, że pani przyjechała. To bardzo interesujące, doprawdy, bardzo interesujące. Zechce pani zobaczyć?

— Eee...

— Chyba nie jest pani obrzydliwa? — Roześmiał się. — Proszę chwilę zaczekać.

Wbiegł do gabinetu i po chwili wyszedł, niosąc dwa czyste komplety odzieży chirurgicznej i lateksowe rękawiczki. Wetknął jeden komplet Jenny.

— Czy doktor Peterson naprawdę tak mało napisał w swoim raporcie?

Jenny zaczęła wciągać bluzę i spodnie.

— Tak. A dlaczego pan pyta?

— Zobacz pani. Ale muszę przyznać, że jestem zaskoczony. Zawsze uważałem, że jest bardzo dokładny.

Błyskawicznie się ubrał, włożył rękawiczki i kombinezon i ruszył korytarzem.

— Denatka jest tutaj.

Pchnął ciężkie drzwi do prosektorium. Jenny wzięła głęboki oddech i weszła za profesorem do środka.

* *

Zwłoki były w stanie tak posuniętego rozkładu, że nie przypominały już człowieka. Jeśli nie liczyć wszechobecnego odoru, były bardziej podobne do mumii w muzealnej gablocie niż do świeżego ciała. Leżały odkryte na stole. Skóra, częściowo czarna, a częściowo ciemnozielona, leżała na szkielecie jak stopiony wosk, bo mięśnie i podskórna tkanka tłuszczowa już się rozłożyły. Miękkie tkanki piersi i ud zapadły się całkowicie i przegniły aż do kości. Dłonie zachowały kształt, ale skóra popękała, zaczęła oddzielać się od nadgarstków i zsuwać z palców.

Najgorzej jednak wyglądała twarz. Jasne włosy zaczynały odłazić od czoła, po oczach zostały dwie makabryczne puste jamy, a wargi zgniły, odsłaniając równe białe zęby, które wydawały się szczerzyć w upiornym uśmiechu.

Profesor Lloyd poprawił okulary i jakby nie czując smrodu, pochylił się nad twarzą Katy.

— Żałuję, że nie obejrzałem jej wcześniej. Ale nieważne, mam przynajmniej częściowy obraz.

Jenny oddychała przez usta.

— Co pan znalazł? — spytała.

— Umieścmy to wszystko w kontekście. Wiemy, że przyczyną śmierci było przedawkowanie heroiny, ale o ile się nie mylę, tak naprawdę próbujemy ustalić, co zaszło, zanim heroina trafiła do jej krwiobiegu.

Jenny kiwnęła głową; wołałaby, żeby profesor się pospieszył.

Patolog sięgnął po instrument, który wyglądał jak dentystyczny haczyk, i użył go jako wskaźnika.

— Pierwsze, co zauważyłem, to ukruszony przedni ząb. — Postukał w lewą górną jędynkę.

Jenny wzięła się w garść i spojrzała. Rzeczywiście, od lewego rogu odłupał się może dwumilimetrowy kawałek.

— Krawędzie odpryśnięcia są ostre, co sugeruje bardzo świeży uraz. Oczywiście mogło go spowodować cokolwiek, ale... — Ze stalowego blatu koło zlewu wziął szpitalną nerkę i podsunął jej pod nos. — Oto odłamek. Wie pani, gdzie go znalazłem?

— Nie mam pojęcia.

— Na jej ustach, między trzonowcami a policzkiem. Normalna ludzka reakcja to wypluć każde obce ciało, ale on tam był. To sugeruje, że została uderzona i to ze sporą siłą.

— Kiedy?

— Niedługo przed śmiercią. A skoro odłamek pozostał w ustach, jest bardzo prawdopodobne, że kiedy to się stało, była nieprzytomna albo że sam cios bądź ciosy pozbawiły ją przytomności.

— Dlaczego doktor Peterson tego nie zauważył?

— Na jego obronę powiem, że podczas rutynowej autopsji nie zwraca się zbyt dużej uwagi na zęby, czasami w ogóle się ich nie ogląda. Nikomu z nas nie zbywa na czasie. — Ostrożnie odstawił nerkę na blat. — Mamy więc możliwy cios. Teraz potrzebujemy dowodów, które to potwierdzą. Nawet w obecnym stanie to ciało ujawniło nie jedną, ale dwie dalsze wskazówki. — Wskazał prawy bark, który, jak zauważyła Jenny, przechodząc na drugą stronę stołu, został rozcięty, by odsłonić staw. — Szukałem śladów walki i znalazłem je. Musiałem się dobrze naszukać — dziobnął prowizorycznym wskaźnikiem środkową część stawu — ale zauważyłem, że dwa więzadła panewkowo-ramienne zostały oderwane od kości.

Jenny popatrzyła na jakieś włókniste strzępy tkanki, zapewne wspomniane więzadła.

— To wskazuje — wyjaśnił Lloyd — że ramię zostało wykręcone z dużą

siłą, jak wtedy, kiedy rękę pociąga się za plecy i do góry. No i jeszcze włosy. — Odłożył wskaźnik, delikatnie ujął w dłonie czaszkę i przechylił ją na prawo. — Widzi pani? — Wskazał palcem łyse miejsce na głowie. — Brakuje kępki włosów. Pani asystentka mówi, że policja nie znalazła jej na miejscu.

— Nie. Nigdzie tego nie odnotowano.

— To nie od razu rzuca się w oczy, ale kiedy spojrzeć na kontekst, wszystko składa się w pewną całość. Napastnik wykręcił jej rękę i pociągnął za włosy tak mocno, że wyrwał kępkę. Jeśli włosów nie znaleziono na miejscu, to mogło się wydarzyć gdzie indziej.

— A uderzenie w twarz?

— Prawdopodobnie zostało zadane tam, gdzie umarła, ale wszystko mogło się wydarzyć jednocześnie. Tego nie sposób stwierdzić.

— Przed zastrzykiem? — zapytała Jenny.

— Tak. — Profesor wyprostował się i spojrział na nią z powagą. — Ostatnia rzecz: nasi laboranci byli tak uprzejmi, że dziś rano przebadali próbkę włosów. Otrzymali bardzo interesujące wyniki. Jak pani wie, włos dokumentuje dwa do trzech miesięcy chemicznej historii organizmu. Okazało się, że Katy regularnie zażywała marihuanę i kokainę niemal przez cały ten okres, ale jedyny ślad po heroinie to ten ostatni. Dawki nie da się określić dokładnie, na pewno jednak wynosiła około dwóch tysięcy miligramów.

— To znaczy?

— Dość, żeby zabić niedużego konia.

Jenny zapomniała o zapachu. Patrzyła na dowody morderstwa.

— Da się w jakiś sposób stwierdzić, czy była napastowana seksualnie?

Profesor Lloyd uśmiechnął się z żalem i pokręcił głową.

— Niestety, pewne tajemnice zmarły zabiera ze sobą do grobu.

— Jak umarła?

— Najprawdopodobniej walcząc z bardzo brutalnym i zdeterminowanym napastnikiem. Z kimś uzbrojonym w potężną dawkę heroiny, kto starannie zaplanował swoje działanie.

Jenny spojrzała na ciało i przypomniała sobie zdjęcie uśmiechniętej Katy na kominku Andy'ego i Claire Taylorów. Co takiego jest w młodych pięknych

dziewczynach, że mężczyźni je zabijają?

— Czy zdoła pan przygotować raport do jutra i zeznawać na mojej rozprawie w poniedziałek rano?

— Oczywiście.

* *

Steve'owi powiedziała tylko, że zajmuje się niewyjaśnionym zgonem piętnastolatki. Nie kupował gazet i nie oglądał w domu telewizji, więc można było bezpiecznie założyć, że nie słyszał o tej sprawie. W przeciwieństwie do większości prawników ona poważnie traktowała obowiązek zachowania tajemnicy zawodowej. Jako koroner czuła się jeszcze bardziej zobligowana. Doświadczenie nauczyło ją, że zawodowych tajemnic nie wolno powierzać nikomu, nawet najbliższemu. David też, mimo wszystkich swoich wad, nie paplał o pacjentach.

Steve prowadził w milczeniu, nie przerywając jej rozmyślań o seksie, śmierci i o tym, co oznaczało znalezienie się w samym środku koszmarnego morderstwa. A przecież chciała mieć niestresujące życie. Nowa praca i nowy dom miały jej to zapewnić, tymczasem w ciągu zaledwie tygodnia wpadła w jakiś chaos i ogarniał ją coraz większy lęk. Ten sam głęboko zakorzeniony lęk, który czuła kilka miesięcy przed załamaniem. Przypominało to niepokój, jaki wsącza się w mózg człowieka przed burzą — przytłacza cię, jeszcze zanim zacznie grzmieć. Ten niepokój przebijał się przez wszystkie warstwy; nie ma takiego stanu szczęścia, radości, upojenia alkoholowego czy farmakologicznego otępienia, który pozwoliłby przed nim uciec. Ciągnie jak kamień u szyi.

Steve skręcił z dwupasmówki i dalej jechał wiejskimi drogami. Minął dolinę Usk, kierując się do przełęczy, która oddzielała ją od doliny Wye. Wokół rozciągały się niemal bezludne zielone pola i łąki przetykane młodnikami. Krajobraz nie zmienił się tu od stu lat. Steve opuścił szybę i wdychał powietrze pachnące dziką pietruszką i dojrzałą trawą.

— Chyba nie mógłbym bez tego żyć — powiedział. — Kiedy mieszkałem w Bristolu, właśnie tego nie cierpiałem najbardziej, zapachu.

— Wiem, co masz na myśli — odparła Jenny. Ona też otworzyła okno i zamknąwszy oczy, wystawiła twarz na wiatr.

— Masz ochotę na spacer? Jest tu jedno miejsce, które chciałbym ci pokazać.

— W tych pantoflach? Żartujesz.

— Wrzuciłem na tył dwie pary porządnych butów.

— Tak? Kiedy?

— Kiedy wyjeżdżaliśmy.

— Nie znasz mojego rozmiaru.

— Ocenilem na oko. Nosisz szóstkę jak moja była. — Oparł łokieć w otwartym oknie, pogodzony z całym światem. — W czym problem? Masz coś lepszego do roboty?

Zaparkowali u stóp wzgórza, niedaleko osady o nazwie Llangovan. Steve sięgnął na tylne siedzenie, gdzie postawił torbę z dwiema parami skórzanych trzewików.

— Zostawiła je celowo. Powiedziała, że przypominałyby jej tylko, że taplała się w błocie jak wieśniaczka.

Jenny zdjęła pantofle i wsunęła bose stopy w sztywną skórę.

— To była tylko wymówka — stwierdziła.

— Co masz na myśli?

— Żadna kobieta nie chce być zapomniana.

Poprowadził ją ścieżką na granicy pastwiska i dalej brzegiem lasu porastającego szczyt wzgórza. Po drodze pokazywał charakterystyczne miejsca i mówił o drzewach: dęby i buki zostały zasadzone obok siebie, bo szerokie korony buków zabierają światło dębom, zmuszając je do tworzenia długich, prostych pni, bez bocznych gałęzi, które psułyby słoje. Kiedyś większa część doliny Wye była obsadzona lasami. Dawały one drewno na okręty i na węgiel drzewny używany w hutach, które w czasach wiktoriańskich znajdowały się wzdłuż rzeki. Huty zamknięto, ale lasy przetrwały. Natura na powrót zagarnęła przemysłowy krajobraz; dla Steve'a było to symbolem nadziei.

Dotarłszy na szczyt wzgórza, usiedli na trawie, by podziwiać panoramę

doliny i mające w oddali góry Brecon Beacons. Na niebie kłaczki czystej bieli przeplatały się z kłębam cumulusów i szarymi chmurami ciężkimi od deszczu. Ich cienie płynęły leniwie nad polami, przesłaniając słońce. Od czasu do czasu jakiś promień przebijał się przez grubsze warstwy i wyczarowywał świetlistą kolumnę sięgającą ziemi. Steve powiedział, że takie smugi światła nazywa się „łaską bożą” i nie bez powodu: nic stworzonego przez człowieka nie może dorównać urodą temu zjawisku. Może dlatego dał sobie spokój z architekturą. Jego budowle tylko psułyby coś, czego nie da się już poprawić.

— Romantyk z ciebie — zauważyła Jenny.

Wyciągnął się wygodnie na trawie i spojrzał w niebo spod zmrużonych powiek.

— Ktoś musi nim być.

— Czy naprawdę można być szczęśliwym bez pieniędzy?

— Tak i nie.

— Więc dlaczego nie wrócisz na studia i nie zrobisz dyplomu? Mógłbyś projektować ekologiczne budynki. Ostatnio są bardzo modne. Byłbyś bogaty.

— Myślę o tym. — Przekręcił się na brzuch, oparł na łokciu i popatrzył na nią. — A właściwie ty sprawiłaś, że zacząłem o tym myśleć.

Jenny, lekko zmieszana, zapytała:

— A co ja takiego zrobiłam?

— Nic szczególnego. Po prostu przypomniałaś mi, że poza moją chałupą istnieje świat.

Wyrwała źdźbło trawy, coraz bardziej skrępowana pod jego spojrzeniem. Spodziewała się, że on jej dotknie, a nie miała pojęcia, jak na to zareagować.

Steve usiadł i podparł się za plecami.

— Trudno ci się odprężyć, co? Nie możesz się po prostu cieszyć widokiem?

— Mam sporo na głowie.

Zerknął na nią z lekkim uśmiechem, po czym osłonił oczy dłonią i znów spojrzał na dolinę.

— No to oszczędzę ci chociaż jednego zmartwienia. Nie próbuję się z

tobą przespać. Pewnie bym ci nie odmówił, ale myślę, że świetnie się dogadamy i bez tego.

— Bezpośredniość godna podziwu — powiedziała Jenny, czerwieniąc się. Boże, ależ to drętwo zabrzmiało.

— Wiedziałem, że to docenisz. — Uśmiechnął się, wstał i otrzepał z trawy. — Pewnie chcesz już wracać.

Wyciągnął rękę. Wahała się chwilę, ale w końcu chwyciła jego dłoń i pozwoliła pomóc sobie wstać.

* *

Wieczorem usiadła przy laptopie. Apteka internetowa, którą wybrała, miała siedzibę w Irlandii. Zapłaciła ekstra, żeby pigułki wysłano kurierem jeszcze w weekend. Ustaliła, że odbierze paczkę z oddziału firmy w Avonmouth o ósmej rano w poniedziałek, żeby nie musieć podawać adresu i nie ryzykować, że zostanie bez leku do wtorku. Podpisała zamówienie nieczytelnym bazgrołem. Jedynym śladem, który mógł ją powiązać z tym nie do końca legalnym zakupem, były wyciągi z karty kredytowej, ale firma deklarowała się, że w tytule przelewu wpisuje „Prezenty online”. Zamówiła dziesięć buteleczek, obiecując sobie, że więcej nie będzie potrzebować.

Rozdział 11

Atmosfera w świetlicy była nerwowa, niemal wroga: impreza na dwa temazepamy. Szeregi dziennikarzy urosły — zajmowali już dwa rzędy krzeseł — a przed budynkiem stało kilka wozów transmisyjnych z talerzami anten. Do Taylorów dołączyła grupka ponurych przyjaciół i krewnych, a Hartley i Goodison zawalili swój stół teczkami i raportami prawniczymi. Granthama nigdzie nie było widać, za to doktor Peterson stawiał się na wezwanie i siedział obok młodej kobiety z notesem na kolanach, zapewne swojej prawniczki. Alison poinformowała nadinspektora Swaintona, że dzisiejsze posiedzenie może go zainteresować, usłyszała jednak szorstką odpowiedź: jest zbyt

zajęty, żeby się zjawić, podobnie jak jego ludzie.

Profesor Lloyd, w trzyczęściowym garniturze i źle zawiązanej muszce, dumnie zajął miejsce dla świadków, ciesząc się ze swoich pięciu minut w świetle jupiterów. Założył okulary, by odczytać z karteczki przysięgę, i wyrecytował jej słowa niemal z namaszczeniem.

W niedzielę rano przesłał Jenny mailem staranny, wyczerpujący raport. Widziały go tylko ona i Alison. Postanowiła puścić kopie w obieg dopiero po przesłuchaniu profesora, chciała bowiem zobaczyć reakcję Petersona i w miarę możliwości zaskoczyć Hartleya. Przedpołudnie zamierzała poświęcić na omówienie wniosków Lloyda i wysłuchanie tłumaczeń Petersona, dlaczego nie zauważył tego, co profesor znalazł z taką łatwością. Następnym etapem będzie szukanie ewentualnych sprawców. Kolejne wezwanie już jechało do Justina Bennetta i starszej opiekunki odpowiedzialnej za dziewczęta osadzone w Portshead Farm. Jenny chciała ustalić, jakim cudem Katy Taylor miała dostęp do marihuany i kokainy podczas pobytu w zakładzie.

Zanim zaczęła przesłuchanie, wyjaśniła przysięgłym, że ekshumacja, o której zapewne czytali w gazetach, była niezbędna, umożliwiła bowiem zbadanie ciała Katy Taylor przez niezależnego patologa, doświadczonego specjalistę od wykrywania dowodów zbrodni, który często jest proszony o konsultacje w takich sprawach. Słuchali jej z poważnymi minami. Swobodna atmosfera z czwartku zniknęła bez śladu. Jenny zrozumiała, że tych ośmioro obywateli odczuło w całej pełni ciężar odpowiedzialności, jaka na nich spadła.

Zwróciła się do Lloyda.

— Profesorze, jest pan patologiem działającym z upoważnienia Ministerstwa Spraw Wewnętrznych na terenie miasta Newport w hrabstwie Gwent?

— Tak.

— Czy w sobotę dwudziestego trzeciego czerwca przeprowadził pan badanie pośmiertne ciała Katy Taylor?

— Tak.

— I napisał pan raport zawierający pańskie spostrzeżenia i wnioski?

— Tak.

Popatrzyła na Petersona. Siedział nieruchomo, ale oczy miał szeroko otwarte, wystraszone, jak człowiek, który wie, że jego reputacja wisi na włosku. Od wejścia na salę chyba ani razu nie spojrzał w jej stronę. Z pewnością nie żywił już dla niej tak ciepłych uczuć jak na początku.

— Zanim przejdziemy do szczegółów, profesoro, proszę przeczytać sędziom przysięgłym podsumowanie raportu.

— Oczywiście. — Alison podeszła do niego i podała mu kopię. Lloyd odchrząknął, wziął oddech i zaczął czytać: — Choć zgadzam się z wnioskami mojego kolegi, doktora Petersona ze szpitala Vale, że bezpośrednią przyczyną śmierci było przedawkowanie diamorfiny (heroiny), w toku badania znalazłem istotny i przekonujący dowód użycia brutalnej przemocy wobec denatki...

Wśród publiczności rozległ się dziwny odgłos, coś między krzykiem a jękiem. Jenny spojrzała w tę stronę i zobaczyła, że Andy Taylor ściska dłoń Claire. Doktor Peterson nerwowo skubał mankiet. Jego prawniczka pospiesznie notowała każde słowo.

— Dowód ów składa się z trzech części — ciągnął profesor. — Po pierwsze, więzadła panewkowo-ramienne prawego barku były oderwane od kości, co wskazuje, że prawa ręka została wykręcona ze znaczną siłą za plecy denatki. Musiało to być niezwykle bolesne i trudno znaleźć niewinne wyjaśnienie dla takiego urazu. Po drugie, kępka włosów, mniej więcej dwupółcentymetrowej średnicy, została wyrwana ze skóry głowy w części potylicznej, po lewej stronie. — Wskazał miejsce między swoim karkiem a lewym uchem. — Można z dużym prawdopodobieństwem założyć, że nastąpiło to w wyniku szamotaniny. Zwracam uwagę na fakt, że wyrwanych włosów nie znaleziono przy ciele.

Jenny dostrzegła na twarzy Petersona wyraz tłumionej desperacji. Ciekawe, czy po prostu to przegapił, czy też rozmyślnie przymknął oko na dowody morderstwa.

— Po trzecie, lewy przedni siekacz denatki został ukruszony. Krawędzie były ostre, co sugeruje świeży uraz. Sam odłamek znalazłem między policzkiem a dziąsłem denatki. To, moim zdaniem wskazuje, że otrzymała

silny cios w twarz. Fakt, że nie połknęła lub nie wypluła odłamka, świadczy, że była nieprzytomna lub pozbawiona czucia albo przed ciosem, albo w wyniku ciosu.

Claire Taylor płakała. Jakaś kobieta, być może siostra, podała chusteczki wzdłuż rzędu krzesel. Twarze rodziców i krewnych były maskami rozpacz, zdumienia i oburzenia. Doktor Peterson wbił wzrok w podłogę.

W posępnej ciszy, zakłócanej tylko szlochami Claire, Jennyypytywała profesora Lloyd'a o dalsze szczegóły. Wyjaśnił, że dawka heroiny była tak potężna, że gdyby Katy próbowała wstrzyknąć ją sobie sama, umarłaby lub straciła przytomność, zanim opróżniłaby strzykawkę do połowy. Był pewien, że zastrzyk wykonał ktoś inny, a może nawet dwie osoby: jedna wykręcała jej rękę i trzymała za włosy, druga wbijała igłę.

— A co, pańskim zdaniem, wynika ze zdjęć zrobionych przez policję na miejscu znalezienia ciała? — spytała Jenny.

— Denatka musiała zostać posadzona w tej pozycji. To niemożliwe, żeby sama wstrzyknęła sobie tyle heroiny, po czym odłożyła strzykawkę na ziemię. Spodziewałbym się znaleźć ją z igłą w żyłę, a strzykawkę opróżnioną do połowy.

— Czy jeszcze coś zwróciło pana uwagę?

— Jej ubranie wygląda zadziwiająco schludnie, biorąc pod uwagę użycie przemocy. Uważam, że atak został przeprowadzony bardzo szybko. I był starannie zaplanowany.

— Pańskim zdaniem było to morderstwo z premedytacją?

— Zdobycie i przygotowanie takiej ilości heroiny wymaga trochę zachodu. Można więc założyć, że mamy tu do czynienia z premedytacją.

Jenny zapytała o wyniki analizy włosów. Potwierdzały bez cienia wątpliwości, że Katy zażyła tylko tę jedną dawkę heroiny w ciągu trzech miesięcy przed śmiercią. Profesor zgodził się z Petersonem, że nie żyła od mniej więcej sześciu dni, zanim ją znaleziono, a więc prawdopodobnie została posadzona pod krzakiem tuż po śmierci.

Oznaczało to, że zmarła we wtorek dwudziestego czwartego kwietnia, dwa dni po ucieczce z domu i zaledwie sześć dni po wyjściu z Portshead

Farm. Teraz trzeba ustalić, gdzie i z kim Katy była w niedzielę dwudziestego drugiego i w poniedziałek dwudziestego trzeciego kwietnia. Te dwie doby były kluczowe dla sprawy.

Na koniec Jenny zapytała profesora Lloyda, jak to możliwe, że on i doktor Peterson doszli do tak różnych wniosków. Zastanawiał się chwilę i w końcu stwierdził:

— Początkowo byłem gotów uznać to za zwykłe niedopatrzenie. Standardowe badanie krwi, jakie przeprowadził doktor Peterson, jest mniej precyzyjne niż moje testy, nie mógł więc stwierdzić, jaka dawka heroiny znalazła się w organizmie denatki. Rozumiem, że doktor jest bardzo zapracowany i codziennie dokonuje kilku autopsji, ale skoro w grę wchodziła choćby nikła możliwość zabójstwa, kompetentny patolog powinien był przeprowadzić o wiele dokładniejsze badanie.

— Jest pan zaskoczony, że nie zauważył ukruszonego zęba?

— Umiarkowanie.

— A wyrwanych włosów?

— To bardziej zrozumiałe przeoczenie.

Jenny wiedziała, co to oznacza. Choć jego opinia była stonowana, tak naprawdę sugerował, że Peterson był w najlepszym razie nieuważny, a w najgorszym — zamieszany w ukrywanie dowodów.

— Dziękuję, panie profesorze. Ale proszę nie opuszczać miejsca dla świadków, bo pan Hartley może chcieć zadać panu jakieś pytania.

Hartley, który notował ostatnie uwagi Lloyda, spojrział na kartkę, jakby chciał się upewnić co do jakichś oczywistych wniosków, i wreszcie wstał.

— Profesorze — zaczął — czy przeprowadził pan pełne badania kryminalistyczne na wniosek koroner Cooper?

— Tak.

— Czyli szukał pan dowodów potwierdzających użycie przemocy wobec Katy Taylor i spodziewał się pan je znaleźć.

— Zgadzam się tylko z pierwszą częścią pańskiej wypowiedzi.

Hartley się uśmiechnął.

— O ile dobrze zrozumiałem, stwierdził pan, iż jest bardzo

prawdopodobne, że śmierć Katy nastąpiła w wyniku działania osób trzecich.

— Owszem.

— Dziękuję, panie profesorze. — Hartley zwrócił się do Jenny: — Pani koroner, zapewne nie muszę pani przypominać o paragrafie dwudziestym szóstym, punkcie pierwszym *Zasad postępowania koronera* z 1984 roku.

Wciąż niepewna co do szczegółowych przepisów, Jenny otworzyła Jervisa. Miała złe przeczucia.

Hartley jej pomógł.

— Stwierdza się tam, że policja ma prawo wnioskować do koronera o odroczenie rozprawy, jeśli zajdzie możliwość oskarżenia kogoś o zabójstwo lub morderstwo, a w razie zgłoszenia takiego wniosku koroner musi odroczyć rozprawę na okres dwudziestu ośmiu dni. Jako reprezentant nadinspektora wnioskuję niniejszym o odroczenie, ze skutkiem natychmiastowym.

Jenny spojrzała na stosowny przepis i upewniła się, że brzmi on tak, jak jej się wydawało.

— Ten przepis stosuje się tylko w przypadku, kiedy policja zamierza oskarżyć konkretną osobę, aby zapobiec prowadzeniu dwóch postępowań sądowych w tym samym czasie — odparła. — Jako że nie ma podejrzanego, który mógłby zostać oskarżony o zabójstwo lub morderstwo Katy Taylor, mogę kontynuować przewód.

— Zostałem poinformowany, że w związku z pojawieniem się nowych dowodów policja chce wznowić śledztwo. W takich okolicznościach koroner zwyczajowo odracza rozprawę i czeka na wynik dochodzenia.

— Panie Hartley...

— Jeśli pozwoli mi pani skończyć...

Jenny pozwoliła mu mówić dalej.

— Odroczenie rozprawy nie tylko zapobiegnie utrudnianiu śledztwa przez media, które są zainteresowane sprawą, ale i pozwoli wykorzystać ewentualne dowody zdobyte przez policję. Moją argumentację popierają liczne źródła — wskazał stosik skserowanych dokumentów — lecz najważniejszy jest interes publiczny. A chyba zgodzi się pani, że wznowienie śledztwa przez policję jak najbardziej mu służy.

— Odraczam rozprawę, żeby zastanowić się nad pańskimi argumentami, panie Hartley.

Jenny wstała i z Jervisem pod pachą wycofała się do kantorka. Jeszcze raz otworzyła *Zasady postępowania koronera*. Hartley miał rację. Policja ma prawo wnioskować o odroczenie, jeśli ktoś — i ta osoba nie musi być konkretnie wskazana — może zostać oskarżony o morderstwo. Gdyby się nie zgodziła, policja będzie mogła poprosić o interwencję szefa prokuratury krajowej. Wtedy też mogła odrzucić wniosek, ale w takim wypadku ryzykowała wywołanie poważnego incydentu dyplomatycznego, a to było niewskazane po zaledwie tygodniu od objęcia stanowiska.

Zasady i procedura miały jasny cel: chodziło o to, żeby policja badała przestępstwa, a koroner przyczyny śmierci. Jeśli w toku koronerskiego dochodzenia pojawiły się dowody na przestępstwo, duch tego przepisu — nawet jeśli nie jego dosłowna interpretacja — wymagał, by usunęła się na bok i pozwoliła działać policji. Przewód koronerski zostanie wznowiony niezależnie od tego, czy policja stwierdzi działanie przestępcze i oskarży kogoś konkretnego, czy też uzna, że do przestępstwa nie doszło.

Ale co robić w sytuacji, kiedy koroner nie ufa policji? Jeśli nie wykonali swojej pracy rzetelnie — czy to z niewinnych powodów, czy wskutek celowego zaniechania — koroner był jedynym ratunkiem. Nikt inny nie miał kompetencji do szukania prawdy.

Rozległo się pukanie i do kantorka weszła Alison.

— Dobrze się pani czuje? Kiedy Hartley poprosił o odroczenie, miała pani minę, jakby pani zobaczyła ducha.

— Wiedziałam, że on coś planuje. Nie bez powodu przytargał te wszystkie książki.

— Ale ma rację, prawda? Nie może pani kontynuować, jeśli policja wznowi śledztwo.

— Mogłabym, ale to by mi nie przysporzyło zwolenników w Ministerstwie Sprawiedliwości. — Westchnęła. — Jak pani sądzi, co tu jest grane?

— Narobiła im pani wstydu. Nikt tego nie lubi.

— A co z pani teorią, że nadinspektor Swainton był naciskany?

— Nie wiem... chyba po prostu poniosły mnie emocje. Dobrze znam chłopaków z wydziału śledczego. Nie wyobrażam sobie, żeby któryś z nich odpuścił sobie taką sprawę, zwłaszcza po drugiej autopsji. Trzeba ustalić, co Katy robiła przez dwa dni przed śmiercią, i będą się starali to zrobić.

— Naprawdę wierzy pani, że można im zaufać mimo tego, co się stało z Harrym Marshalllem?

Alison spojrzała na drzwi, upewniając się, że są szczelnie zamknięte.

— Ja to widzę tak. Może im pani odmówić, ale oprócz wniosków profesora Lloyd'a nie ma pani żadnego punktu zaczepienia. Wprawdzie przysięgli mogą wydać orzeczenie o zabójstwie, ale co to da? I tak trzeba będzie znaleźć sprawcę.

— Co pani proponuje?

— Niech się pani zgodzi na odroczenie i wykorzystaj ten czas, żeby powęszyć, zebrać więcej zeznań. Tego nie mogą pani zabronić.

— A jeśli w tym czasie prawda zostanie pogrzebana jeszcze głębiej?

— W wydziale śledczym jest dwóch starych przyjaciół Harry'ego. Porozmawiam z nimi i dowiem się, czy coś słyszeli.

Jenny rozważyła propozycję. Oprócz bardzo prawdopodobnego zniweczenia własnej kariery, odrzucenie wniosku o odroczenie nie przyniosłoby żadnych szybkich efektów. Chciała poznać prawdę, a prawdopodobieństwo usłyszenia jej w sądzie w ciągu najbliższych dwóch dni było niewielkie. Jeżeli policja rzeczywiście kogoś kryje, szansa, że ona samodzielnie dokopie się do wszystkich faktów, była wręcz zerowa.

— No dobrze, damy im to odroczenie — zdecydowała.

Wróciła na salę. Hartley patrzył na nią wyczekująco, uzbrojony w baterię źródeł, gdyby decyzja nie była po jego myśli.

— Rozważyłam pański wniosek złożony w imieniu nadinspektora i jestem gotowa odroczyć rozprawę na czternaście dni — oznajmiła Jenny.

Zadowolony Hartley wstał z uśmiechem.

— Dziękuję, pani koroner.

— Ale przed odroczeniem chciałabym jeszcze raz przesłuchać doktora Petersona. Zechce pan zająć miejsce dla świadków? — Nie dała Hartleyowi

czasu na sprzeciw. Mecenas wymienił spojrzenie z Goodisonem, który wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że nie ma się czego bać.

— Nie widzę żadnych przeszkód — rzekł Hartley, jakby mógł jej tego zabronić.

Jenny miała ochotę go zgasić, ale się powstrzymała. Od tej pory ta gra była jednym wielkim blefem. Musiała wyglądać na nieszkodliwą.

Prawniczka Petersona pochyliła się i szepnęła mu jakieś wskazówki. Usiadł na miejscu dla świadków i wbił spojrzenie w Jenny.

— Doktorze Peterson, słyszał pan zeznania profesora Lloyd. Potrafi pan wyjaśnić, dlaczego nie zauważył pan tych trzech czynników, które doprowadziły profesora do jego wniosków?

Spokojnym, równym głosem, z dobrze odmierzoną dawką skruchy, Peterson powiedział:

— Profesor Lloyd słusznie zauważył, że mam ogromnie dużo pracy. Od czasu do czasu umykają mi szczegóły, które nie powinny umknąć. Policja poinformowała mnie, że Katy Taylor najprawdopodobniej zmarła w wyniku przedawkowania, i moje badanie to potwierdziło. Nie sugerowano mi, że padła ofiarą przemocy, więc nie przeprowadziłem tak szczegółowych oględzin jak profesor Lloyd. Na przykład dysekcja stawu barkowego nie jest powszechną praktyką podczas autopsji. — Spojrzał na profesora, który siedział w pierwszym rzędzie. — Jestem wdzięczny koledze, że podzielił się swoimi odkryciami, i pani koroner za wnioskowanie o powtórny autopsję. A ze względu na Katy Taylor i jej rodzinę mam nadzieję, że policyjne śledztwo okaże się skuteczne. Moje najszczerze kondolencje.

* *

Wróciwszy do kantorka, Jenny spakowała książki i dokumenty do aktówki. Czuła się rozczarowana. Po wszystkich tych nerwach i oczekiwaniu zdołała wytrwać w sądzie ledwie półtora dnia. Współczuła Taylorom. Najpierw szok na wieść o ekshumacji, potem informacja, że ich córka prawdopodobnie zginęła gwałtowną śmiercią, a potem odroczenie.

Teraz, kiedy jej oburzenie na cyniczną pułapkę Hartleya zaczęło

przygasać, doszła do wniosku, że podjęła słuszną decyzję. Zyskała chwilę oddechu — mogła przez ten czas przesłuchiwać świadków we własnym tempie i jeszcze raz zastanowić się, jakie powody mógł mieć Marshall, aby nie otworzyć przewodu. Może zanadto się pospieszyła, podejrzewając spisek, może zbyt łatwo dała się porwać emocjom, jakie budziła tragiczna śmierć nastolatki. Zapinając aktówkę, postanowiła, że podejdzie do tego śledztwa tak chłodno i profesjonalnie, jak tylko zdoła. Była koronerem — bezstronnym, trzeźwym badaczem prawdy.

Kiedy wkładała płaszcz przeciwdeszczowy — całe szczęście, że go wzięła, bo w szyby bębniły krople gęstego deszczu — usłyszała za plecami pukanie do drzwi.

— Proszę, Alison. — Wyjrzała za okno, dostrzegłszy błyskawicę w oddali.
— Wszystko już uporządkowane?

Odpowiedział jej obcy głos:

— To nie Alison. To ja, Tara Collins.

Jenny odwróciła się i zobaczyła kobietę przed czterdziestką, niską, o poważnych bystrych oczach i krótkich ciemnych włosach. Miała na sobie elegancki, ale niezbyt drogi garnitur. Jenny skojarzyła, że widziała ją w sali i wzięła za prawniczkę — dziennikarze wyróżniali się niechlujnym strojem i częstym ziewaniem.

— Ma pani chwilę?

— Nie mogę mówić o sprawie...

— Nie chodzi o sprawę, przynajmniej nie bezpośrednio. Pani asystentka powiedziała, że mogę teraz z panią porozmawiać.

Jenny była ostrożna.

— Nie mam wiele czasu...

Tara weszła do kantorka i zamknęła za sobą drzwi.

— Kiedy dzwoniłam do pani w sobotę, siedziałam w domu i pisałam artykuł o ekshumacji Katy i o rozprawie. Dziesięć minut po naszej rozmowie zjawiała się policja i aresztowała mnie pod zarzutem oszustwa kredytowego. To jakaś bzdura, zostałam wrobiona. Spędziłam weekend w areszcie. Wypuścili mnie dzisiaj o szóstej rano. Jutro z samego rana mam rozprawę.

Podobno zdefraudowałam dwadzieścia pięć tysięcy dolarów na szkodę Western Union.

— Mają dowody?

— Twierdzą, że mój laptop został użyty do przesłania pieniędzy do kogoś w Nowym Jorku, o kim nigdy nie słyszałam. Pieniądze zostały podjęte na podstawie danych z kradzionej karty kredytowej, które rzekomo podałam na stronie internetowej Western Union. Najlepsze jest to, że władze USA mogą wnioskować o moją ekstradycję. Ktokolwiek to urządził, naprawdę włożył w to sporo wysiłku.

— Kto panią oskarżył?

— Anonimowy informator, tylko tyle mi powiedzieli. I zabrali mi komputer. Jest w nim wszystko, moje notatki ze śledztwa, transkrypcje wywiadów. Wszystko.

Jenny poczuła, że zaczyna drętwieć.

— Czy ma pani jakiś powód sądzić, że to ma związek ze sprawą Katy?

— Wykonałam kilka telefonów, próbując ustalić powiązania między Katy i Dannym. Dowiedziałam się, że w grudniu chodzili razem na zajęcia antynarkotykowe prowadzone przez zespół kuratorski.

— Skąd pani to wie?

— Od niejakiej Hayley Johnson, przyjaciółki Katy. Prowadzi podobny tryb życia, ale jest trochę starsza. Ma szesnaście lat.

— To może być interesujący świadek.

— Spróbuję ją znaleźć... Trochę trudno ją namierzyć, jest strasznie ruchliwa. — Tara przeciągnęła dłonią po gęstych włosach i westchnęła. — Chcę, żeby pani wiedziała, że nie mam zwyczaju popadać w paranoję. Ale jeśli pani uważa mnie za wariatkę, proszę mi powiedzieć od razu, to podam więcej szczegółów.

Jenny pokręciła głową.

— Wierzę pani. Ma pani dobrego adwokata? Powinno dać się prześledzić historię tych transakcji.

— Zajmę się tym, proszę się nie martwić.

— Więc co mogę dla pani zrobić, pani Collins?

— Proszę sobie nie odpuszczać, dopóki nie znajdzie pani odpowiedzi.

Rozdział 12

Zginęło dwoje nastolatków, ich śmierć była powiązana, a ktoś bardzo zdeterminowany i dobrze zorganizowany próbował utracić śledztwo — do tego sprowadzały się sugestie Tary Collins. Jenny usiłowała jakoś to wszystko poukładać. Akurat w chwili, kiedy zaczynała panować nad własną paranoją, wizyta dziennikarki znów wytrąciła ją z równowagi. Nie mówiąc Alison, o czym rozmawiała z Tarą, wysłała ją po nowe meble do biura. Chciała zostać sama, żeby to przemyśleć.

Po powrocie na Jamaica Street zamknęła zewnętrzne drzwi między recepcją a holem, zasunęła żaluzje w oknie swojego gabinetu i usiadła przy sztucznym świetle z notesem i długopisem. Powinna się zająć codzienną porcją zgłoszeń, ale uznała, że mogą poczekać. Wiedziała, że dopóki nie ułoży planu, jej niepokój będzie rósł, aż wreszcie przestanie być zdolna do normalnego funkcjonowania. Zaczęła notować swoje przemyślenia.

Badanie profesora Lloyda dowiodło, że Katy została obezwładniona, uderzona w twarz i zabita przy użyciu ogromnej dawki heroiny. Mogło się to zdarzyć w miejscu, gdzie znaleziono jej ciało, ale było bardziej prawdopodobne, że do zbrodni doszło gdzie indziej, a potem zwłoki dziewczyny zostały starannie upozowane w gęstych zaroślach. Napastnik czy napastnicy dobrze znali okolicę — na pewno nie było to przypadkowe miejsce — i niewykluczone, że Katy zamordował człowiek, który korzystał z usług prostytutek. Ale dlaczego miałyby używać siły, skoro dobrowolnie zgodziła się na seks? Tak czy inaczej, zginęła prawdopodobnie we wtorek dwudziestego czwartego kwietnia, a z domu uciekła cztery dni po opuszczeniu Portshead Farm. Policja skupi się teraz na ustaleniu, co Katy robiła w tym czasie. Dzięki swoim kolegom Alison uzyska dostęp do tych informacji i będzie mogła trzymać rękę na pulsie. Jeśli pojawią się dowody, których policja z jakichś przyczyn nie ujawni lub nie zbada, Jenny sama podejmie trop.

Nie ściągając na siebie uwagi, dyskretnie opracuje własną linię śledztwa.

Zamierzała spytać Taylorów, czy domyślają się, gdzie Katy mogła się podziewać przez te dwa dni. Może wiedzą więcej, niż przyznawali? Może z jakichś powodów postanowili zachować pewne informacje dla siebie, ale teraz, kiedy wyszło na jaw, w jaki sposób zginęła ich córka, zechcą ujawnić wszystko, co wiedzą? Zamierzała także porozmawiać ponownie z Justinem Bennettem, ze starszą opiekunką z Portshead Farm i z Hayley Johnson, nieuchwytną przyjaciółką Katy.

Na razie szło nieźle. Ma świadków do przesłuchania, dowody do zebrania. Konkretne, namacalne działania, których należy się spodziewać po kompetentnym koronerze.

Przewróciła kartkę i zapisała nazwiska osób, które budziły najwięcej wątpliwości i pytań: Danny Wills. Doktor Peterson. Harry Marshall.

Miała pełne prawo badać powiązania między Dannym i Katy. Znali się, a skoro dowody wskazywały, iż Katy brała narkotyki w trakcie pobytu w Portshead Farm, logiczny był wniosek, że ich znajomość miała związek z narkotykami. Może byli zadłużeni u tego samego diler? Odbieranie narkotykowych długów z użyciem przemocy czy nawet morderstwa było coraz bardziej powszechne. Hayley Johnson mogła pomóc uzyskać wgląd w nastoletni półświatek. Jenny wiedziała, że ten świat przypomina złożonością labirynt, rządzi się prawami kryminalnej opery mydlanej i tylko ktoś wewnątrz orientuje się w tej splątanej sieci zależności, sojuszników i wrogów.

Doktor Peterson pozostawał zagadką. Nawet biorąc pod uwagę, że spisał swoje spostrzeżenia, dopiero kiedy go do tego zmusiła, raport był podejrzenie krótki. Peterson bardzo zręcznie chwalił w sądzie profesora Lloyda — nawet ją prawie przekonał, że popełnił tylko niewinny błąd — ale nie sprawiał wrażenia niedbałego. Poznała wielu leni, którzy tylko zabijają czas do emerytury, lecz żaden z nich nie był w dobrej kondycji tuż przed pięćdziesiątką. Peterson mógł być zmęczony rozlazłością państwowej służby zdrowia, ale wciąż miał bystre spojrzenie człowieka otwartego na wyzwania. Przypadek Katy musiał wzbudzić jego zainteresowanie. Na pewno dostrzegł oznaki przemocy, musiał więc mieć bardzo przekonujący powód, żeby o nich

nie wspomnieć. Koło jego nazwiska Jenny narysowała duży znak zapytania.

Z Harrym Marshalllem był podobny problem. Dopuścił się rażącego naruszenia przepisów, podpisując akt zgonu Katy, a zaledwie kilka tygodni wcześniej odgrażał się, że wstrząśnie w posadach systemem więziennictwa dla młodocianych. Narysowała linię łączącą jego nazwisko z Petersonem. Byli bliskimi kolegami, działali na zasadach wzajemnego zaufania. Harry wierzył Petersonowi na słowo i ich staroświecki system sprawdzał się przez lata. Prawdopodobnie Peterson albo był jakoś zamieszany w to, co się stało, albo przynajmniej coś podejrzewał, ale istniały niewielkie szanse, że zacznie mówić. Miał przed sobą jeszcze długie lata kariery i zapewne rodzinę, którą musiał utrzymywać, więc zrobi wszystko, co w jego mocy, by osłaniać własny tyłek.

Harry też utrzymywał rodzinę, miał dla kogo żyć. Nie było powodu podejrzewać, że jego nagła śmierć była czymś innym niż tragicznym przypadkiem, ale przecież nawet zawały nie są tak do końca przypadkowe. Zwykle można znaleźć coś, co wywołało w zmarłym poczucie smutku czy beznadziei; wystarczy spojrzeć, ilu ludzi umiera w pierwszych tygodniach emerytury.

Jenny odłożyła długopis i napiła się herbaty, już prawie zimnej, bo stała nietknięta na biurku, odkąd zaczęła pisać. Papiery Harry'ego wciąż leżały na podłodze i może w nich kryła się jakaś wskazówka.

Odsunęła notes i przełożyła dokumenty na biurko. Teczki z rachunkami nie zamierzała nawet otwierać. Odłożyła ją z powrotem na podłogę i zaczęła przeglądać kolekcję gazetowych wycinków Harry'ego. Były tam artykuły o wypadkach przemysłowych i komunikacyjnych, o nieudanych operacjach szpitalnych z tragicznym skutkiem, o kilku zgonach więziennych, o brutalnym pobiciu na śmierć młodego czarnego mężczyzny przez policjantów i o rozmaitych spektakularnych samobójstwach. Najnowsze wycinki dotyczyły śmierci Danny'ego Willsa. We wszystkich został ukazany jako niebezpieczny młody kryminalista, którego śmierci należało się spodziewać, a nawet się z niej cieszyć. Autor jednego z artykułów, najwyraźniej chcąc oczernić Simone Wills, wspominał, że nie podała w urzędzie nazwisk ojców trójki swoich

dzieci, i cytował jej znajomą, która twierdziła, że wszystkie te dzieciaki przyszły na świat naćpane, a tatusiowie pewnie byli dilerami Simone.

Jenny zwróciła uwagę, że wśród wycinków nie ma ani jednego artykułu o Katy Taylor. A przecież znalezienie jej ciała było szeroko komentowane przez media. Czyżby porażka w batalii z systemem penitencjarnym zniechęciła Marshalla do zbierania materiałów prasowych dokumentujących jego karierę? A może po prostu nie zdążył uzupełnić swojej kolekcji?

* *

Alison wróciła z wyprawy na zakupy z wiadomością, że zamówiła dwa biurka i dyrektorskie fotele, tak eleganckie, że reszty wystroju w ogóle nie będzie przy nich widać. Po drodze wykonała kilka telefonów i umówiła dekoratorów, żeby przyszli zrobić orientacyjną wycenę — z ich usług korzystała, urządzając własny dom, więc wiedziała, że nie zedrą z nich skóry.

Jenny słuchała tego potoku informacji jednym uchem. Wystrój biura był w tej chwili ostatnią rzeczą, która ją obchodziła. Kiedy Alison skończyła, powiedziała:

— Chciałabym, żeby pani spróbowała zdobyć kartotekę medyczną Harry'ego Marshalla.

— Po co? — zdumiała się asystentka.

— Nie jestem pewna.

— Przecież pani nie ma takich uprawnień. Nie bada pani jego śmierci.

— Nie, ale badam śmierć Katy i muszę zrozumieć motywy, jakie nim kierowały, kiedy podpisywał jej akt zgonu.

— Nie zrobiłby niczego złego z rozmysłem, pani Cooper. To był przyzwoity człowiek.

— Rozumiem pani uczucia — odparła Jenny — i obiecuję, że załatwię to możliwie taktownie.

— Co mam powiedzieć lekarzowi?

— Dam pani list z prośbą, żeby wydał historię choroby pana Marshalla. Ma prawny obowiązek spełnić moją prośbę. Gdyby był jakikolwiek problem, proszę do mnie zadzwonić, to sama z nim porozmawiam.

Alison oniemiała na chwilę.

— A co z dekoratorami? — wykrztusiła wreszcie.

— Spotkamy się z nimi kiedy indziej.

* *

Spokojna dzięki trzeciej pigułce tego dnia, przedzierała się przez klaustrofobiczny korek do domu Taylorów. Trzy razy dzwoniła do drzwi i już chciała zrezygnować, kiedy otworzyła jej Claire. Była rozczochrana, jakby właśnie wstała z łóżka, i nawet owinięta w swój dyżurny kardigan drżała z zimna. Twarz miała coraz chudsza, jakby w ogóle nie jadła.

— Przepraszam, że panią nachodzę, pani Taylor, ale uważam, że powinnam państwu wyjaśnić sytuację. Czy mąż jest w domu?

Claire pokręciła głową, wsuwając ręce do kieszeni swetra.

— Mogę przyjść, kiedy będzie.

Claire zastanawiała się chwilę, wreszcie cofnęła się od drzwi, wpuszczając nieproszonego gościa.

Jenny poszła za nią krótkim korytarzem do kuchni. W zlewie stały brudne naczynia ze śniadania. Panował zaduch, bo wszystkie okna były szczelnie zamknięte. Claire wskazała Jenny krzesło przy małym stole, a sama stanęła w kącie przy kuchence, tak daleko od gościa, jak się tylko dało.

— Rozumie pani, że odroczyłam rozprawę, aby dać policji czas na wznowienie śledztwa — zaczęła Jenny.

Claire skinęła głową.

— Obawiam się, że ciało Katy będzie musiało zostać w kostnicy, na wypadek gdyby patolodzy chcieli przeprowadzić dalsze badania.

Kolejne skinienie. Każda sekunda spędzona w towarzystwie Jenny była dla Claire istną męką.

— Będę też prowadzić własne dochodzenie. Interesuje mnie, z kim Katy mogła być w niedzielę i poniedziałek przed śmiercią.

Claire wzruszyła ramionami.

— Nigdy nam nie mówiła, dokąd chodzi. Mogła być wszędzie.

— Czy kojarzy pani nazwisko Hayley Johnson?

Jenny widziała, że Claire kojarzy i że to skojarzenia nie są dobre.

— Chyba kiedyś słyszałam, jak Katy rozmawiała z nią przez telefon. To pewnie jedna z jej naćpanych koleżanek.

— Wie pani, gdzie ją mogę znaleźć?

— Andy już pani mówił, gdzie się kręcą te dzieciaki. W parku, koło klombu. Ale ostrzegam, jeśli się pani tam wybiera, ryzykuje pani życie.

— Czy to tam chodziła Katy?

— Czasami... Ale spotykali się tam głównie starsi. Dziewczyny z własnymi mieszkaniami i tak dalej. Katy nie mogła się doczekać, kiedy będzie miała własne mieszkanie.

Jenny uśmiechnęła się zadowolona, że Claire zaczyna się choć trochę otwierać.

— Czy Katy miała komórkę?

— Kiedyś tak, ale dostaliśmy rachunek na trzysta funtów i Andy zabrał jej telefon. Mogła kupić sobie nowy za własne pieniądze, ale pewnie wszystkie szły na narkotyki.

— A pamięta pani, co się działo w niedzielę? Kiedy ostatni raz widziała pani córkę?

Claire wyrzała przez okno; jej mowa ciała znów stała się defensywna. Minęło kilka chwil, zanim odpowiedziała.

— W sobotę wieczorem wściekała się na areszt domowy, ale zdołaliśmy ją zatrzymać. Gdy koło jedenastej poszliśmy z Andym spać, ona już była w łóżku. Wtedy widzieliśmy ją ostatni raz. Następnego ranka wstałam o wpół do szóstej i Katy nie było.

— Gdy ta sobotnia kłótnia była gwałtowna?

— Nie bardziej niż zwykle.

— Czy Katy zabrała coś ze sobą? Torbę, ubrania?

Claire pokręciła głową.

— O ile wiem, nie. Tylko to, w czym ją znaleźli. Mogła jeszcze mieć kurtkę.

— Co się działo z Katy, kiedy nie brała narkotyków?

— Robiła się bardzo drażliwa. Biła, drapała, przeklinała... wie pani.

— Tak się zachowywała w sobotę?

— Nie. Trochę krzyczała, ale w sumie była dość spokojna. No i została w domu... Myśleliśmy, że będzie przestrzegać aresztu.

— Zauważyła w niej pani jakąś zmianę, kiedy wróciła z Portshead?

— Tak, była spokojniejsza. Znacznie spokojniejsza. Właśnie dlatego... — urwała i wytarła oczy rękawem — oboje myśleliśmy, że wreszcie są jakieś efekty.

— Przepraszam, że pytam o to wszystko, ale to dla mnie naprawdę bardzo ważne informacje...

Claire skinęła głową i sięgnęła po rolkę kuchennych ręczników.

— Czy w niedzielę poszłicie jej szukać? — ciągnęła Jenny.

— Przeszliśmy się tylko wokół klombu... Widzi pani, byliśmy kompletnie bezradni. Przecież nie można używać siły fizycznej wobec własnego dziecka. Andy parę razy próbował, ale wtedy ona dzwoniła do telefonu zaufania dla bitych dzieci albo na policję. Mieliśmy tu policję, opiekę społeczną i wszyscy traktowali nas, jakbyśmy to my byli winni... Nieraz miałam ochotę wepchnąć ją do samochodu i wywieźć do Szkocji czy gdziekolwiek, gdzie moglibyśmy ją wyprostować, ale człowiek się boi. Boi się własnego dziecka...

— Mogłabym zajrzeć do jej pokoju? — poprosiła Jenny.

Claire wzruszyła ramionami i wskazała drogę:

— Na górze, drzwi naprzeciwko schodów.

Jenny zostawiła ją w kuchni i weszła po wąskich schodach na piętro. Było tu czworo drzwi; jedno, uchylone, prowadziły do małżeńskiej sypialni z zaciągniętymi zasłonami i rozgrzebanym łóżkiem. Otworzyła drzwi naprzeciwko schodów i weszła do pokoju Katy. Panował w nim idealny porządek, ale nie tylko to ją zaskoczyło. Powiodła wzrokiem po kolekcji plakatów na ścianach, spojrzała na proste drewniane biurko, telewizor, wieżę i półki z książkami. Tak mógł wyglądać pokój klasowej prymuski. Nie dostrzegła tu niczego, co krzyczałoby: margines. Nie było czuć dymu papierosowego, nie było bazgrołów na ścianach, czasopisma na biurku były stosunkowo niewinne, ubrania w szafie były równo powieszane, a bielizna ułożona w równe kupki. Jenny pochyliła się, żeby zajrzeć pod łóżko. Żadnych

śmieci. Pokój zupełnie nie przypominał sypialni nastoletniej ćpunkki i prostytutki.

Claire weszła po schodach i stanęła na podeście.

— Nie ma pani nic przeciwko, że zaczekam na korytarzu? — spytała niepewnie.

— Ależ skąd. — Jenny rozejrzała się jeszcze raz i wyszła z pokoju. — Tam jest bardzo czysto, pani Taylor.

— Katy zawsze dbała o porządek... Po części wciąż była naszą małą córeczką, ale chyba sama nie wiedziała, kim jest. Narkotyki, przyjaciele, którym chciała imponować, nie mam pojęcia, co w nią wstąpiło.

— Nie sprzątała pani w sypialni córki od tamtej pory?

— Nie. To ona posprzątała, zanim wyszła. Tak wszystko zostawiła.

— Czy to było normalne?

— Utrzymywała porządek, od kiedy wróciła w środę z Portshead. Jakby chciała pokazać, że się stara.

— Czy w tym czasie brała narkotyki?

— O ile wiem, nie. A zwykle wystarczyło mi jedno spojrzenie, żeby poznać. Ale pewnie w sobotę wieczorem dopadł ją głód... Nie widzę innego wyjaśnienia.

To się układało w sensowną całość. Katy pochodziła z porządnego domu. Wiedziała, co to jest rodzina i jak żyją normalni ludzie. Chociaż sprzedawała się za narkotyki, sześć tygodni w Portshead Farm musiało być dla niej szokiem. Po wyjściu stamtąd starała się dobrze zachowywać, ale czwartego dnia bez działki jej głód stał się nieznośny. Jenny wyobrażała sobie, jak w niedzielę nad ranem Katy sprząta w swoim pokoju, rozpaczliwie pragnąc wynagrodzić wszystko rodzicom, i przez cały czas walczy z neodpartą chęcią, żeby się naćpać.

— Czy córka wspominała kiedykolwiek o jakimś Dannym Willsie, chłopcu mniej więcej rok młodszym od niej?

— O tym Dannym Willsie, który powiesił się w Portshead?

— Tak.

— Znała go. Chodzili do tej samej podstawówki, Oakdene w Broadlands.

On już wtedy chuliganił.

— Utrzymywała z nim kontakt?

— Raczej nie. Ale gdy wróciła z Portshead, powiedziała nam, że widziała go w stołówce, zanim umarł. Ponoć wyglądał okropnie, jakby się bił. Tam ciągle były jakieś bójki.

— Mówiła jeszcze coś?

— Nie... A czemu pani pyta?

— Moje biuro zajmowało się sprawą Willsa — wyjaśniła Jenny.

Claire spojrzała na nią nieufnie.

— Katy sprawiała problemy, ale proszę jej z nim nie porównywać. Ten chłopak był opryskiem już jako ośmiolatek. Ona miała normalny dom i kochających rodziców.

Jenny zrozumiała, że trąciła bolesną strunę.

— To oczywiste. Widzę, jak bardzo ją kochaliście. I dowiem się, kto zabił Katy. Obiecuję to pani, pani Taylor.

* *

Deszcz znów zaczął padać, więc park — o ile można nazwać parkiem pół hektara zaniedbanego miejskiego zieleńca — był prawie pusty. Jenny postawiła kołnierz płaszcza i poszła szukać zbłąkanych nastolatków. Nigdzie nie było ich widać. Znalazła za to niedopałki, puszki po piwie i butelki po gazowanych napojach, a przy ławkach w kącie najdalszym od bramy kilka zużytych prezerwatyw. Było to przygnębiające, ale zaledwie parę oczek gorsze niż w czasach jej młodości. Piła wtedy na potęgę, paliła jointy, ilekroć ktoś ją częstował, i pewnie spróbowałaby kokainy, gdyby odpowiedni chłopak podsunął jej kreskę pod nos. Był także seks, choć w trochę lepszych warunkach i z przekonaniem, że stanowi dowód dozgonnej miłości.

Brnąc po mokrej trawie, zauważyła dwie nastolatki, które weszły do parku, zapaliły papierosy i ruszyły nonszalancko w stronę ławek. Obie były ubrane w coś na kształt szkolnych mundurków; jedna przyciskała do ucha komórkę.

Jenny zwróciła się tej bez telefonu, ciemnowłosej Mulatki o ładnej

twarzy.

— Znałaś może Katy Taylor?

— Kogo?

— Katy Taylor. Umarła miesiąc temu. Podobno kręciła się tutaj.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Nie znam żadnej pieprzonej Katy Taylor — burknęła.

— To może Hayley Johnson?

Druga dziewczyna odsunęła komórkę od ucha i zwróciła się do koleżanki:

— Czego ona chce?

— Próbuję znaleźć ludzi, którzy znali Katy Taylor — wyjaśniła Jenny. — Jestem koronerem. Badam okoliczności jej śmierci.

— My nic nie wiemy — powiedziała dziewczyna z telefonem i poszła dalej. Urodziwa Mulatka ruszyła za nią. Przechodząc obok Jenny, trąciła ją ramieniem.

Jenny wyjęła z kieszeni kostiumu wizytówkę i zawołała:

— Posłuchajcie, na tym można nieźle zarobić. Sto funtów dla osoby, która mi powie, gdzie była Katy w niedzielę dwudziestego drugiego albo w poniedziałek dwudziestego trzeciego kwietnia. Chcę też porozmawiać z Hayley Johnson. Jeśli ją zobaczycie, dajcie jej mój numer.

Dziewczyny zawróciły.

— Katy została zamordowana — powiedziała Jenny — a wy możecie mi pomóc w znalezieniu jej zabójcy.

Koleżanki wymieniły spojrzenia; miny trochę im zrzedły.

— Weźcie wizytówkę. Pomyślcie nad tym.

Dziewczyna z komórką sięgnęła po wizytówkę, po czym kiwnęła na przyjaciółkę i obie poszły do rzędu ławek. Jenny miała nadzieję, że dziś w parku będzie się plotkować o zabójcy Katy. Dzieciaki lubią pieniądze, więc ktoś na pewno zadzwoni.

* *

Dochodziła ósma wieczorem, a ona wciąż siedziała w biurze. Odwaliła

dzisiejsze zgłoszenia — powoli uodpamiając się na koszmarne szczegóły — i rozważała otwarcie teczki z rachunkami, żeby chociaż zorientować się, co ją czeka. Już nawet położyła teczkę na biurku, kiedy usłyszała, że zewnętrzne drzwi otwierają się i Alison woła:

— Halo? Pani Cooper?

— Tutaj.

Asystentka stanęła w drzwiach gabinetu z dużą brązową kopertą w dłoniach.

— Przychodnia wysłała dane medyczne do głównego archiwum w szpitalu. Miałyśmy szczęście, że udało się je zdobyć. Dziewczynie zajęło to całe wieki, bo były już spakowane do niszcarki. — Podała kopertę szefowej.

Jenny otworzyła ją i wyjęła rozpadającą się tekturową teczkę. Nazwisko i data urodzenia Marshalla wypisane były na okładce staroświecką kursywą, jakiej nie widuje się już od paru dekad. Była też wyblakła pieczętka z datą: 15 X 1951.

— Pierwsze dane pochodzą z szóstego miesiąca jego życia — powiedziała Alison.

Jenny kartkowała kruche stronice, uśmiechając się nad starannymi, zwięzłymi wpisami lekarza rodzinnego Marshallów. „Kaszel umiarkowany. Uspokoilem matkę (zdenerwowaną), że to nic poważnego”. „Skarży się na bóle brzucha — tylko w dni szkolne!”

— Ostatnie zapisy dotyczą głównie problemów z ciśnieniem. Brał statyny na obniżenie cholesterolu.

Jenny odwróciła partię zakurzonych stron i znalazła ostatnie wpisy. Harry chodził do lekarza mniej więcej co sześć tygodni, żeby mierzyć poziom cholesterolu. Tendencja była raczej niżkowa, a badanie wykonane miesiąc przed śmiercią dało godny podziwu wynik cztery przecinek pięć, o dwa punkty niżej niż można się było spodziewać po ofierze zawału. Ostatni wpis nosił datę dwudziestego siódmego kwietnia, czyli niecały tydzień przed śmiercią Marshalla i dwa dni przed posiedzeniem w sprawie Danny’ego Willsa. Lekarz napisał: „Objawy depresji, uczucie przytłoczenia, bezsenność, chroń, zm., niepokoi się, czy podoła obowiązkom. Zaleciłem dłuższy urlop —

zgodził się; 4 x 50 mg amitryptyliny przez dwa tygodnie, potem kontrola”.

— Co to jest chroń, zm.? — spytała Alison.

— Chroniczne zmęczenie. To są klasyczne objawy depresji. Lekarz przepisał uspokajający antydepresant, dosyć dużą dawkę.

— Tak myślałam.

— Rozmawiała pani o tym z panią Marshall?

— Nie. A powinnam była?

Jenny wsunęła kartki do koperty.

— Więc może ja porozmawiam.

— Ale po co?

— Po pierwsze, dobrze byłoby wiedzieć, ile tabletek zostało mu z recepty.

— Nie. Nie wolno pani.

Jenny spojrzała na asystentkę, lekko zdziwiona nutą niepokoju w jej głosie.

— Może najpierw porozmawiam z jego lekarzem — poprosiła Alison. — Nie ma sensu niepokoić pani Marshall i dziewczynek.

— Przykro mi, ale pani chyba nie rozumie. Zamierzam się dowiedzieć, co się stało z Harrym Marshalllem, i jeśli to będą istotne informacje, zostaną upublicznione. Nie zamierzam chronić niczyjej reputacji, jeśli to ma stać na drodze sprawiedliwości.

Alison wbiła w nią oskarżycielskie spojrzenie.

— Któregoś dnia może pani potrzebować przyjaciół, pani Cooper. A prawdziwi przyjaciele są nimi nawet po śmierci. — Odwróciła się do drzwi. — Mogę już iść do domu?

* *

Telefon zadzwonił parę minut przed północą, wrywając Jenny z pierwszej niespokojnej drzemki. Niespodziewane telefony prawie zawsze wywoływały w niej lęk, że coś się stało Rossowi. Podczas dzisiejszej wieczornej rozmowy ledwie coś burknął i czuła się przez to fatalnie.

Schodząc na dół, trzymała się poręczy, bo była półprzytomna po połowie

butelki wina i pigułce nasennej. Chwiejnym krokiem dotarła do gabinetu i niemal na ślepo odnalazła słuchawkę.

— Halo?

— Pani Cooper, tu Alison. Nie wiem, czy powinnam pani przeszkadzać...

— O co chodzi?

— Prawie cały wieczór spędziłam na rozmowie z panią Marshall. Wciąż jest bardzo przygnębiona, ale jakoś udało mi się wspomnieć o tabletkach. Nie wiedziała o nich. Sprawdziłam, że nie powinno się ich mieszać z alkoholem, a Harry co wieczór pił dzin z tonikiem. Sądzymy, że mógł w ogóle nie wykupić recepty.

— Nie znalazła żadnych leków w jego rzeczach?

— Tylko statyny, trzymał je w kuchennej szufladzie.

— Wspomniała pani o jego nocnym telefonie tuż przed śmiercią?

— Wolałam o tym nie mówić.

— Jeszcze coś?

— Właściwie nie. Ona też zauważyła, że był jakiś nieswój, ale rzadko rozmawiali o jego pracy. Mówi, że to ją przygnębiało.

Nic dziwnego, że Harry tak lubił dzin. Cały dzień sam na sam ze zmarłymi, a wieczorem nikogo, komu można by się zwierzyć.

— Okej. Dziękuję.

— Więc co pani myśli? — w głosie Alison brzmiała nadzieja, że Jenny powie, że to już koniec, bo śmierć Harry'ego, choć niespodziewana, była całkowicie naturalna.

— Zastanowię się nad tym — odparła Jenny. — Dobranoc, Alison.

Odłożyła słuchawkę i opadła na krzesło przy biurku. Przymulona przez alkoholowo-chemiczną mgłę, próbowała sobie uzmysłowić, co oznaczają te informacje. Albo Harry wypił tyle dzinu do antydepresantów, że niechcący zafundował sobie zawał, albo połknął wszystkie tabletki, spuścił opakowania w toalecie, zadzwonił do Alison, żeby się pożegnać — może nawet wyznać jej miłość — ale w ostatniej chwili stracił odwagę. Gdy pigułki zaczęły rozpuszczać się w żołądku, wszedł na górę, przebrał się w piżamę, życzył żonie dobrej nocy i położył się spokojnie, żeby umrzeć.

Rozdział 13

Po siedmiu godzinach snu Jenny postanowiła stawić czoło światu o jednej tabletkę, którą podzieliła na połówki. Jedna do śniadania, druga na lunch. Przemknęło jej przez myśl, żeby nie brać ze sobą więcej, ale uznała, że jeszcze nie jest gotowa odciąć tej liny ratunkowej. Schowała buteleczkę w zamykanej na suwak kieszonce na dnie torebki, żeby trzeba się było trochę postarać, aby ją wyjąć.

Najpierw pojechała do siedziby zespołu kuratorskiego do spraw nieletnich przestępców, mieszczącej się w ponurym budynku z lat siedemdziesiątych, ledwie kilkaset metrów od osiedla Broadlands. Dotarła tam o dziewiątej, ale nikt nie otwierał, chociaż próbowała różnych dzwonek na domofonie. W obskurnej kawiarni naprzeciwko wypłała dwie filiżanki letniej kawy. Było już dobrze po wpół do dziesiątej, gdy wreszcie zobaczyła Justina, który otworzył kluczem drzwi budynku.

Długo mu zeszło, zanim zareagował na dzwonek. A właściwie cztery dzwonki.

— Kto tam?

— Jenny Cooper, koroner dystryktu Severn Vale. Chciałabym zadać panu jeszcze kilka pytań, panie Bennett.

— Oczywiście... tylko że zaraz mam spotkanie z klientem.

— Klient na pewno może poczekać.

— Nie możemy się umówić na bardziej dogodną porę?

Jenny straciła cierpliwość.

— Prowadzę poważne dochodzenie, panie Bennett. Ma pan prawny obowiązek współpracować. Proszę mnie wpuścić.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym rozległo się bzyczenie zamka.

Gabinet Justina wyglądał tak, jak się spodziewała: ciasny, zabałaganiony, w samym końcu korytarza na ostatnim piętrze. Bennett w dzinsach i koszulce z Lii Kim, siedział za biurkiem i próbował udawać zajętego, zgarniając na kupę papiery zaplamione kawą.

— Co mogę dla pani zrobić?

— Próbuję ustalić, gdzie i z kim była Katy Taylor w niedzielę i poniedziałek przed śmiercią.

— Nie mam pojęcia. Po jej wyjściu z Portshead spotkaliśmy się tylko raz, w środę... No i minęliśmy się na korytarzu w piątek.

— Kiedy szła na terapię uzależnień?

— Tak.

— W tym budynku?

— Tak. Mamy na górze salę spotkań.

Jenny wyjęła z aktówki notes i oparła na kolanie. Zauważyła, że Justin spogląda na nią nieufnie.

— Zeznał pan, że rozmawialiście wtedy o warunkach zwolnienia. Pytał ją pan o pobyt w Portshead?

— Pewnie zapytałem, jak sobie radziła. Nie pamiętam dokładnie.

— Powiedziała panu, że przez cały czas pobytu brała marihuanę i kokę? Wygląda na to, że są tam powszechnie dostępne.

— Nie. Nie wspomniała o tym. — Założył ręce, ale po chwili znów je rozplótł, nie mogąc znaleźć pozy, w której czułby się pewnie.

— Była tu przed świętami, prawda? Na zajęciach antynarkotykowych. Dostała wtedy nadzór kuratorski za posiadanie haszyszu z zamiarem sprzedaży.

— Chyba tak.

— Miał pan z nią wtedy do czynienia?

— Nie bezpośrednio. Jej nazwisko padło na zebraniu zespołu, to wszystko.

— Czy dyskutowano o fakcie, że może się prostytuować?

— Zdaje się.

Jenny zanotowała odpowiedź i uniosła wzrok.

— Mogę zobaczyć akta Katy? Chciałabym je zabrać.

— Teraz?

— Skoro nie żyje, chyba nie są już panu potrzebne.

— Muszę zapytać przełożonych. Mój szef niedługo będzie.

— Ja stoję wyżej od pańskich przełożonych, panie Bennett. Poproszę

akta.

Justin wstał niepewnie i podszedł do szafki. Jenny nie spuszczała go z oka, pilnując, by nie próbował ukryć jakichś dokumentów. Odszukał cienką plastikową teczkę i podał jej nad biurkiem. Jenny zajrzała do środka. Teczka zawierała nie więcej niż dwadzieścia kartek, w większości formularze z okienkami do zakreślania. Wyjątek stanowił raport napisany przed wyrokiem Katy w lutym. Przeczytała go, ale nie dowiedziała się niczego nowego.

— Nie dodaje pan żadnych uwag od siebie? — spytała Bennetta.

— Raczej nie.

— Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

— Zwykle się tego nie robi.

Jenny przejrzała formularze. Zorientowała się, że służyły one potwierdzeniu, że kryteria zostały spełnione, wyznaczone spotkania odbyte, a sugerowane działania podjęte. Młodociany przestępca często był w nich określany jako „klient”. Tu i ówdzie widniały jakieś odręczne notatki, ale generalnie starano się, żeby wszystko pozostało możliwie bezosobowe. Te bezduszne, biurokratyczne świstki wskazywały wyraźnie, że placówka chroni przede wszystkim własnych pracowników, zamiast dbać o potrzeby swoich podopiecznych. W tak zwanym kontrakcie z zespołem kuratorskim Katy zobowiązywała się przestrzegać aresztu domowego, chodzić do szkoły, punktualnie zjawiać się na spotkaniach i uczęszczać na terapię uzależnień. Była tam też klauzula o zrozumieniu obowiązków wobec społeczeństwa, o szacunku dla innych i o przestrzeganiu prawa. Piękne słowa, tyle że puste.

Jenny włożyła papiery do teczki.

— Ma pan jakieś pojęcie, z kim Katy się zadawała po wyjściu z Portshead?

— Nie.

— Nie rozmawiał pan z nią o tym? Musi pan dobrze znać miejscowe stosunki.

— Jak wyjaśniałem w sądzie, moim zadaniem jest zdobycie zaufania młodego człowieka, a nie stawianie się na pozycji autorytetu.

— W jaki sposób pan zdobywa to zaufanie?

To pytanie zbiło Justina z pantafelku.

— Staram się, eee... żeby zobaczyli we mnie kogoś, z kim mogą szczerze porozmawiać.

— Ale nie zadaje pan pytań.

— Budowanie zaufania to proces. Musi trochę trwać.

Jenny miała ochotę powiedzieć: więc trwał, a tymczasem Katy siedziała na ulicy i dała się zabić. Świetny proces.

— Rozumiem, panie Bennett. Ale proszę mi powiedzieć, z kim, pańskim zdaniem, trzymała się Katy Taylor.

— Niestety nie wiem.

Jenny zwyczajnie mu nie wierzyła. Nawet jako prawniczka odsunięta o parę szczebli od poziomu ulicy wiedziała, kto jest kim i jaką ma reputację. A Bennett znał dzielnicę na wylot, przez całe dni nie robił nic innego, tylko poznawał młodych przestępców.

Przyspiliła go spojrzeniem.

— W życiu nie słyszałam większych bzdur. Dlaczego pan kłamie, Justin?

Jego policzki zapłonęły, jabłko Adama poruszyło się gwałtownie.

— Nie kłamie. Naprawdę nie wiem, z kim się przyjaźniła... Nie była wobec mnie zbyt otwarta.

— Naprawdę? — Nie spuszczała go z oka. — Znała Danny'ego Willsa, zgadza się? Kiedyś chodzili do jednej szkoły, w grudniu chodzili na te same zajęcia antynarkotykowe, a potem spotkali się w Portshead. Danny zmarł, kiedy Katy była w zakładzie.

— Nie wspominała o nim.

— Danny też był pańskim „klientem”, zgadza się?

— No... tak.

— Nie przyszło panu do głowy powiedzieć: To straszne, że Danny nie żyje? Spytać, czy go nie widziała w Portshead, czy nie jest jej smutno?

— Nie rozmawialiśmy o nim.

Jenny pozwoliła Bennettowi pocić się przez chwilę. Nie wiedziała, co o nim myśleć. Jest kłamcą czy tylko biurokrata, doskonale wyćwiczonym w

sztuce chronienia własnego tyłka?

— O której spotkał się pan z Katy w środę?

— Jakoś po południu. Zdaje się, że o piątej.

— To wiele wyjaśnia — odparła, pozwalając mu samodzielnie rozszyfrować znaczenie tej uwagi. Zamknęła notes i otworzyła aktówkę. — Wezmę też teczkę Danny'ego.

* *

Czytała akta, siedząc w samochodzie zaparkowanym przed biurem bukmacherskim, gdzie starsi biali mężczyźni i bezrobotni młodzi Hindusi stapiali się w przedziwną społeczność. Sterczeli razem na chodniku przed budynkiem, paląc papierosy i znajdując mnóstwo powodów do śmiechu. W tezcze Danny'ego Willsa nie było nic śmiesznego. Była grubsza niż teczka Katy, ale równie bezosobowa. Nie zawierała dosłownie nic, co mówiłoby, kim był Danny — z wyjątkiem listy przestępstw i wykroczeń. Suche formularze nie zawierały żadnej rubryki dotyczącej kondycji psychicznej chłopaka, który dorastał bez ojca, pozbawiony poczucia bezpieczeństwa. Justin Bennett i jego szefowie mogli się cieszyć, że w rubryce „Recydywa” nie przybędzie więcej ptaszków. Nie było okienka, w którym zaznaczało się śmierć, jeśli więc okażą się sprytni, Danny może nawet trafić do rocznych statystyk jako sukces.

Najbardziej denerwował ją w tych formularzach brak informacji o zainteresowaniach, przyjaciółach, zdolnościach. Odnosiła wrażenie, że jedynym urzędnikiem państwowym, który naprawdę starał się zrozumieć Danny'ego, był Harry Marshall ze swoim raportem sprzed otwarcia przewodu. To, czego dowiedziała się dziś rano, obudziło w niej gniew. Sięgnęła do kieszeni po połówkę tabletki, którą zachowała na później, popiła ją łykiem dietetycznej coli i wkrótce poczuła się lepiej — ale niewiele lepiej.

Gdy patrzyła na mężczyzn przed biurem bukmacherskim — szczęśliwy margines, przyjaciele od dymka — uderzyła ją myśl, że jeszcze szybciej muszą się zawiązywać przyjaźnie w zakładach zamkniętych. Prerażone dziecko — takie jak Katy czy Danny — na pewno przyciągnęłaby znajoma twarz w stołówce. Musieli rozmawiać.

Otworzyła notes na stronie z zarysem chronologicznym, który zaczęła tworzyć, i podkreśliła znaczące daty:

„14 kwietnia — śmierć Danny’ego.

17 kwietnia — zwolnienie Katy z Portshead.

22 kwietnia — ucieczka Katy z domu.

27 kwietnia — ostatnia wizyta Marshalla u lekarza i otrzymanie recepty na antydepresanty.

30 kwietnia — znalezienie ciała Katy, otwarcie przewodu ws. Danny’ego.

1 maja — ustalenie przyczyny zgonu Katy: samobójstwo.

2 maja — podpisanie aktu zgonu Katy przez Marshalla.

3 maja — śmierć Marshalla”.

Patrzyła na tę listę, próbując wpasować Marshalla w równanie. Simone Wills powiedziała, że jego zachowanie zmieniło się trzy dni przed rozprawą, czyli w dniu, kiedy był u lekarza. Alison twierdziła, że był nieswój już jakiś czas wcześniej — zapewne objawy depresji nasilały się i słabły, ale czy jakieś konkretne wydarzenie skłoniło go do decyzji, żeby zaopatrzyć się w pigułki? Na pewno nie śmierć Katy Taylor, bo Marshall nie mógł znać jej nazwiska aż do trzydziestego kwietnia, kiedy znaleziono ciało.

Spróbowała prawniczej sztuczki spojrzenia na sprawę pod każdym kątem, zwanej metodą „a jeśli”. Możliwości było kilka: A jeśli między dwudziestym drugim a dwudziestym siódmym kwietnia Marshall dowiedział się o powiązaniach Danny’ego z Katy? A jeśli wiedział albo podejrzewał, że Katy nie żyje? A jeśli skojarzył jakieś fakty i było to coś, z czym nie potrafił sobie poradzić? To by wyjaśniało, dlaczego odfajkował rozprawę Danny’ego i nie otworzył przewodu w sprawie Katy. Pozostawała jeszcze Tara Collins. Nie przestała grzebać w sprawie tej dwójki i została wrobiona w kryminalne zarzuty. Musi być jakiś wspólny mianownik.

* *

Simone Wills stała w drzwiach z dwuletnim chłopczykiem na rękach i jego trzyletnią siostrą u boku. Była rozczochrana, w rozciągniętej bluzce i spodniach od dresu, w których chyba spała. Całej trójce przydałaby się

kąpiel.

— Poświęci mi pani chwilkę, pani Wills?

Simone westchnęła i odsunęła córkę, która ciągnęła ją za spodnie.

— Jeśli pani nie przeszkadza bałagan...

— Pięć minut i ma mnie pani z głowy.

Simone skinęła głową. Jenny ruszyła za nią do salonu, w którym rzeczywiście nikt od dawna nie sprzątał. Na podłodze walały się zabawki i dziecięce ubrania, a stolik był pełen brudnych naczyń i torebek po chipsach. Simone wsadziła syna do kojca i zrobiła miejsce na kanapie. Chłopczyk zaczął płakać i trząść drewnianymi szczelblami, tymczasem siostrzyczka dźgała go od tyłu plastikowym mieczem.

— Niech pani nie zwraca na nich uwagi. I tak wrzeszczą, ile wlezie, cokolwiek by człowiek zrobił.

— Ma pani z nimi mnóstwo roboty.

— Ano mam. — Wyjęła z kieszeni paczkę tanich papierosów. — A do tego jestem sama. Ali się wyniósł. — Wyjęła papierosa i zapaliła.

— Och. Przykro mi.

— A mnie nie. Był beznadziejny. Tam, skąd pochodzi, jeśli dzieciaki hałasują, to się je tłucze. Powiedziałam mu, że jeżeli spróbuje tego z moimi, każę go aresztować za maltretowanie dzieci. Nazwał mnie białą dziwką. — Zaciągnęła się głęboko. Kiedy go wydmuchała, dym był niemal przejrzysty, przefiltrowany przez płuca. — To Egipcjanin. Więcej się z takim nie umówię. Wolałabym Jamajczyka, oni są fajni.

Jenny kiwnęła głową ze zrozumieniem. Zauważyła na telewizorze nowe głośniki Alego.

— Zapomniał je zabrać — wyjaśniła Simone z uśmiechem. — I dobrze, bo były za moje pieniądze.

— Obiecałam pani — zaczęła Jenny — że przeczytam akta Danny'ego. Przeczytałam i mam kilka pytań. Czy syn wspominał kiedyś o niejkiej Katy Taylor? Była w Portshead w tym samym czasie co on. Zmarła tydzień po wyjściu.

Simone spoważniała.

— Znałam Kary. Chodzili razem do podstawówki, ale potem jej rodzice się przeprowadzili. Nie wiem, po co, skoro i tak zeszła na psy.

— Miała problemy — przyznała Jenny ostrożnie. — Co pani o niej wie?

— Danny nigdy o niej nie wspominał, ale widziałam ją parę razy na osiedlu.

— Z kim?

— Nie pamiętam. Była tu cała banda dziewczyn. Kto by tam za nimi nadażył.

— Hayley Johnson?

Simone pokręciła głową.

— Tej nie znam.

— Kiedy ostatni raz widziała pani Katy?

— Zanim ją zamknęli. W styczniu, a może w lutym?

To nie było wiele, ale zawsze coś. Katy ciągnęło na stare śmieci, pewnie trzymała się z koleżankami z podstawówki. Przyjaciele Alison z policji mogą ustalić ich nazwiska.

— Chciałam też spytać o pana Marshalla. Mówiła pani, że zmienił się przed rozprawą, przestał się z panią kontaktować.

Simone zaciągnęła się papierosem, po czym odparła:

— Tak było. — Dzieci wrzeszczały coraz głośniejsze, domagając się uwagi, Simone krzyknęła na dwulatka: — Zamknij się, Sam!

Nie posłuchał. Wciągnął do kojca palce siostry i próbował je ugryźć.

Jenny poczekała na przerwę we wrzaskach.

— Kiedy rozmawialiście ostatni raz?

— Boże, co za hałas. — Simone zatkała uszy rękami, próbując się skupić. — Przez telefon... w piątek.

— Pamięta pani, o czym?

— Nasza opiekunka środowiskowa, Ruth Turner, chciała porozmawiać z Marshalllem. Próbowała się z nim skontaktować, ale nie oddzwonił.

— Czym ona się zajmuje?

— Zagląda do dzieci i takie tam. Nie miała wiele do czynienia z Dannym, bo zajmowała się głównie młodszymi, ale to ona uznała, że powinien zbadać

go psychiatra.

— Kiedy?

— Zanim poszedł do Portshead.

— Co powiedział Marshall?

— Że do niej zadzwoni. Ale nie zadzwonił. — Znalazła na podłodze pustą puszkę po coli i użyła jej jako popielniczki.

— Ma pani numer Ruth Turner?

— Gdzieś mam...

— Nie trzeba, znajdę ją. Pracuje w centrum pomocy rodzinie, tak?

— Tak. Sam, jak się, kurna, nie zamkniesz, to zawołam Alego.

Chłopczyk przestał wrzeszczeć i puścił palce siostry.

Jenny wstała z kanapy. Wykładzina kleiła jej się do podeszew.

— Dzięki, Simone. Nie będę ci dłużej przeszkadzać.

— Jest jedna rzecz, o której zapomniałam powiedzieć ostatnim razem — rzuciła za nią Simone. — To było przed rozprawą.

Jenny przystanęła w drzwiach.

— Co się wtedy stało?

— Wie pani, że pismaki grzebały w mojej przeszłości. Dowiedzieli się też, że ci dwoje zaraz po urodzeniu byli w domu dziecka.

— Może od któregoś z pani sąsiadów?

— Może. Ale dzień przed rozprawą, w niedzielę, przyszły tu gliny i wyróciły wszystko do góry nogami. Powiedzieli, że ktoś widział Scotta, mojego młodszego syna, jak diluje.

— Znaleźli coś?

— Skąd. On nie jest taki jak jego brat. Chodzi do szkoły i w ogóle. Dzieciak był bardzo przerażony. Męczyli go na komisariacie przez trzy godziny.

— Miała pani szczęście, że Ali nie trzymał zapasów w domu.

— Trzymał. Niech pani zgadnie, kto musiał przez pół dnia nosić pięćdziesiąt gramów w cipce? Jamajczyk połknąłby towar i nikt by po nim nie poznał. Te chłopaki nawet z nalotu potrafią zrobić imprezę.

Jenny się uśmiechnęła.

- Mówiła pani chyba, że ojciec Danny'ego pochodzi z Trynidadu?
- Trynidadczycy są inni. To łajdaki.

* *

Jenny chyba z dziesięć razy próbowała się połączyć z Ruth Turner przez centralę magistratu. Wreszcie zirytowana kobieta odebrała komórkę.

- Słucham?
- Czy pani Ruth Turner? — spytał Jenny.
- Tak. Kto mówi?
- Jenny Cooper. Koroner dystryktu Severn Vale.
- Kto?

Jenny powtórzyła głośniej.

- Ach tak. — Kobieta uspokoiła się. — Co mogę dla pani zrobić?
 - Chciałabym z panią porozmawiać. Jeszcze dziś przed południem, jeśli to możliwe.
 - Dopiero wyszłam z biura i właśnie jadę na spotkanie.
 - Możemy spotkać się po drodze. To naprawdę pilne.
- Ruth Turner zastanawiała się chwilę, w końcu powiedziała:
- Za pół godziny będę jechać przez Clifton. Zna pani kawiarnię U Dina?
 - Znajdę.

* *

Opiekunka środowiskowa przyjechała do małej włoskiej kawiarenki prawie po godzinie; przez ten czas Jenny musiała opędzać się od Dina, który uparcie podtykał jej menu, posyłając znad wąsów spojrzenia mówiące, że mógłby zafundować jej na lunch coś specjalnego. Dwa razy zbyła go grzecznie, w końcu musiała odmówić bardziej stanowczo. Dino, niezrażony powiedział:

- Jak pani woli, ja tylko próbuję prowadzić interes.

Czterdzieści dwa lata to interesujący wiek. Kiedy ubierzesz się odpowiednio, wciąż możesz być fantazją młodego mężczyzny, ale stare brzuchate zgredy też próbują się przystawiać. Po raz pierwszy od weekendu

pomyślała o Stevie. Miło było mieć przy sobie kogoś solidnego u Davida. „Solidny” — to słowo pierwsze przyszło jej do głowy, ale nie było trafne. Steve wypisał się z życia i marnował zdolności na koszenie ogrodów. To nie było solidne. Ale miło było wiedzieć, że podoba się młodszemu, przystojnemu facetowi. Zastanawiała się, co by się stało, gdyby wtedy, leżąc na trawie, wyciągnął rękę i dotknął jej.

— Pani Cooper?

Jenny, wyrwana z marzeń, które rozwijały się w całkiem przyjemnym kierunku, zobaczyła kobietę mniej więcej w swoim wieku, z nadwagą i wyglądem mamuśki. Rozczochrane włosy ufarbowane na kasztan, zero makijażu.

— Dzień dobry. — Jenny wskazała krzesło naprzeciw siebie.

Ruth zawołała do Dina za barem:

— Słaba latte, Dino.

Kiwnął głową, nie odwzajemniając uśmiechu. Ruth powiesiła dużą torbę na oparciu krzesła i klapnęła na nie z dramatycznym westchnieniem.

Jenny nie chciała wysłuchiwać opowieści o jej pracowitym poranku, więc od razu przeszła do rzeczy:

— Badam sprawę śmierci Danny’ego Willsa. Pani jest opiekunką środowiskową tej rodziny, zgadza się?

— Tak. Myślałam, że dochodzenie już dawno zamknięto.

— Formalnie nie. Mój poprzednik nie czuł się najlepiej, kiedy je prowadził. Muszę się upewnić, że wziął pod uwagę wszystko, co powinien.

— Niestety nie odpowiedział na moje telefony. Chciałam z nim porozmawiać.

— Właśnie o to chcę panią zapytać. Co się stało?

— Zajmowałam się tą rodziną dopiero od paru miesięcy, ale Simone powiedziała mi o Dannym i o jego procesie. Biorąc pod uwagę, jak fatalnie to znosił, uznałam, że powinien zbadać go psychiatra, zanim sąd w ogóle pomyśli o umieszczeniu chłopaka w zakładzie zamkniętym. — Znów westchnęła. — Nie wiem, czy pani się orientuje, jak długo trzeba czekać na takie konsultacje...

— Siedziałam w prawie rodzinnym przez piętnaście lat. Byłam szefową zespołu prawnego North Somerset.

— Więc pani wie. — Wyraźnie jej ulżyło. — Złożyłam wniosek do jednego z moich kolegów i zadzwoniłam do faceta z zespołu kuratorskiego, jak mu tam...?

— Justin Bennett.

— Tak. — Posłała Jenny spojrzenie mówiące: ten dupek. — Powiedział, że zobaczy, co się da zrobić, ale efekt był żaden. Minęły dwa tygodnie i ani się obejrzałam, jak Simone dzwoniła do mnie w panice, że Danny'ego właśnie posłali za kratki i że ona się boi, że sobie coś zrobi.

Kawę przyniosła pulchna młoda kelnerka. Dino był zajęty witaniem dwóch młodych kobiet i wybieraniem dla nich stolika. Ruth wypła duży łyk i grzbietem dłoni otarła piankę z warg.

— Tamtego dnia byłam koszmarnie zajęta, miałam na głowie rozprawę o odebranie praw rodzicielskich, ale kilka razy dzwoniłam na oddział przyjęć w Portshead i w końcu ktoś odebrał. Chyba jakaś pielęgniarka.

— W aktach jest nazwisko siostry Lindy Raven.

— Tak, chyba ona. Powiedziała, że procedura przyjęć obejmuje ocenę stanu psychicznego. Gdy spytałam, czy dokonuje jej psychiatra, odparła, że nie, ale że procedura jest „absolutnie właściwa”. Tylko tyle od niej wyciągnęłam — przerwała z taką miną, jakby czuła się winna swojej roli w tym wszystkim. — Niestety nie miałam czasu tego przypilnować. Wie pani, jak to jest, kiedy człowiek siedzi w sądzie... Kiedy usłyszałam, że Danny się powiesił, znów zadzwoniłam do Portshead, ale nikt nie chciał ze mną rozmawiać. W końcu dotarłam do lokalnej kasy chorych i dowiedziałam się, że aktualnie w Portshead Farm nie zapewniają opieki psychiatrycznej z powodu nieporozumień co do umów. Z tego, co zrozumiałam, kasa chorych i firma zarządzająca zakładem nie mogły się dogadać, ile psychiatra ma dostawać za dyżur pod telefonem.

— Więc co się dzieje z osadzonym, który ma problemy psychiczne?

— Dobre pytanie. Cały ich personel medyczny to ludzie z prywatnej firmy. Moim zdaniem każde przyjmowane dziecko powinno być badane przez

psychiatrę, ale to nie jest wymagane.

— Danny został na kilka dni umieszczony w celi obserwacyjnej i ubrany w coś, co mój poprzednik określił jako końską derkę.

— Obawiam się, że to jest ich pomysł na opiekę psychiatryczną. Chciałam, żeby ta kwestia została zbadana na rozprawie. Chciałam powiedzieć panu Marshallowi, że gdyby na miejscu był psychiatra, może zauważyłby oznaki depresji i coś poradził, przynajmniej przepisał mu leki.

— Nie pomyślała pani, żeby mu o tym napisać? — spytała Jenny.

— Wie pani jak to jest, człowiek próbuje załatwić sto spraw naraz. — Zadzwoiła komórka Ruth. Wyjęła ją z torebki i zaczęła rozmawiać z kimś o dziecku, które, jak podejrzewał lekarz, zostało umyślnie poparzone przez matkę.

Jenny dopiła swoją podwójną ristretto. Starła się nie osądzać opiekunki zbyt surowo. Ona przynajmniej usiłowała coś wskórać. Nie załamała się, nie próbowała się chować.

Słyszając, że Ruth jest coraz bardziej zajęta rozmową, oddarła róg kartki z notesu i napisała: „Czy mogłaby pani to wszystko spisać i przysłać do mojego biura?” Podsunęła kobiecie karteczkę razem ze swoją wizytówką. Ruth uniosła kciuk. Jenny zostawiła na stoliku pięcioletni banknot i wyszła, korzystając z okazji, że Dino jest zajęty przyjmowaniem zamówienia. Gdy przechodziła, puścił do niej oczko.

— Obłeśny typ — mruknęła na tyle głośno, żeby usłyszał.

* *

Alison walczyła z rachunkami — jej biurko było zasłane paragonami, które starała się uporządkować według dat. Ledwie Jenny przekroczyła próg, podniosła plik zgłoszeń i powiedziała:

— Dzisiaj siedem.

Żonglując aktówką, torebką i kanapką na wynos, Jenny przejrzała zgłoszenia z nocy i wczorajsze raporty z autopsji.

— Przynajmniej doktor Peterson wziął się w garść. Przysyła raporty w ciągu dwudziestu czterech godzin.

— To zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Nie potrwa długo. — Alison wysypała z koperty kolejną porcję paragonów, aby pokazać Jenny, jak ciężka czeka ją praca.

— Jestem wdzięczna, że pani się do tego zabrała.

— Ktoś musiał.

Jenny uśmiechnęła się kwaśno i ruszyła do gabinetu.

— Pani Cooper, nie chce pani wiedzieć, jak idzie policji?

Jenny odwróciła się w drzwiach, ledwie trzymając papierzyska wyślizgujące się jej z rąk.

— Słyszała pani coś?

— Chłopcy z obyczajówki przejęli nagrania z kamer. Na jednym widać, jak dziewczyna podobna do Katy kręci się w poniedziałek rano po Broadlands. Nagranie jest niewyraźne, więc wysłali je do laboratorium.

— Sama czy z kimś?

— Wiem tylko tyle, a nawet tego nie powinnam wiedzieć.

— Bardzo to doceniam. Naprawdę.

Alison kiwnęła sztywno głową i wróciła do rachunków. Jenny, wchodząc do gabinetu, pomyślała, że pracuje z tą kobietą już prawie dziesięć dni, a wie o niej tylko tyle: że jest mężatką i że kochała się w Harrym Marshallu. Powinna była ją spytać o wiele rzeczy, lecz Alison nigdy nie dała jej szansy. Wyglądało to wręcz na rozmyślnie, przewrotne działanie, jakby Alison wstydziła się tego, co Jenny już o niej wie, ale koniecznie chciała pokazać, że wciąż cierpi.

* *

Łyknęła pigułkę i jedząc kanapkę, przejrzała poranne wydanie „Posta”. Znalazła krótką notkę o rozprawie Tary Collins. Podano w niej tylko, że została wypuszczona za kaucją, postawiono jej zarzut oszustwa kredytowego i stawi się w sądzie ponownie za dwa tygodnie. Nie wspomniano, że jest reporterką gazety ani że obstaje przy swojej niewinności. Nawet po pigułce tekst zdenerwował Jenny. Nie myślała o Tarze przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny, ale tu miała wszystko czarno na białym: dziennikarce groziło

pięć lat więzienia. I za co — za badanie podejrzanych zgonów?

Odłożyła gazetę i włączyła laptop. Po spotkaniu z Ruth wreszcie miała podstawę, by wprowadzić w ruch proceduralne tryby i wnioskować o nowe dochodzenie w sprawie śmierci Danny'ego Willsa. Zgodnie z paragrafem trzynastym ustawy o urzędzie koronera Sąd Najwyższy mógł unieważnić werdykt i wznowić dochodzenie, jeśli pierwsze było nierzetelne albo jeśli wyszły na jaw nowe fakty lub dowody. Nierzetelność poprzedniego przewodu była oczywista: Marshall nie powołał świadka, który posiadał istotne informacje na temat braku opieki psychiatrycznej zarówno przed wyrokiem, jak i po nim. Po drodze jednak należało uzyskać zgodę prokuratora generalnego na wniesienie sprawy przed Sąd Najwyższy, a potem przekonać sędziów, że werdykt byłby inny, gdyby dochodzenie zostało przeprowadzone we właściwy sposób.

Po tym biurokratycznym labiryncie trzeba było poruszać się bardzo ostrożnie. Prokurator generalny jest politykiem, który reprezentuje interes publiczny, czyli de facto interes rządu. Wniosek zalatujący osobistymi emocjami albo grożący ośmieszeniem urzędu państwowego nie przeszedłby nawet przez sekretarza niższego szczebla, który otworzy kopertę. Pismo Jenny musiało być suche i konkretne: opiekunka środowiskowa rodziny próbowała uzyskać zgodę na badanie psychiatryczne niezrównoważonego nastolatka i nie udało jej się to. Chłopiec został posłany do zakładu, gdzie umieszczono go na obserwacji, bojąc się samobójstwa, ale w dalszym ciągu nie zapewniono mu psychiatry. Gdyby te fakty przedstawiono w sądzie, bardzo prawdopodobne byłoby orzeczenie śmierci z powodu rażącego zaniedbania.

Napisała wniosek i przeczytała kilka razy, próbując sobie wyobrazić, na jakiej podstawie prokurator generalny — przedstawiciel administracji, która teoretycznie dobro dzieci stawiała na pierwszym miejscu — mógłby go odrzucić. Nie mógł. Fakty były oczywiste; wniosek musiało zostać uwzględniony.

Wydrukowała go na urzędowym papierze, podpisała się i poleciła Alison natychmiast wysłać faks.

* *

Trawnik znów upstrzyły stokrotki, a między ziołami zaczęły się pojawiać chwasty. Było już po ósmej, więc Jenny ledwie miała siłę otworzyć butelkę wina, a co dopiero mówić o pracach ogrodniczych. Myślała, że Steve zajmie się ogrodem; w końcu byli umówieni na dziś. Miała nawet cichą nadzieję, że go jeszcze zastanie — że będzie siedział na kamieniu nad potokiem i przywitają z uśmiechem.

Napełniła kieliszek po same brzegi, musiała więc wysiorbać solidny łyk, zanim wzięła go do ręki. Jeszcze dwa łyki i kieliszek był prawie pusty. I co z tego? Przecież nikt nie patrzy. Znów nalała do pełna, postanawiając, że drugi kieliszek wystarczy na dłużej. Chianti jest takie dobre. Dlaczego się nim nie cieszyć?

Po drugiej dolewce znalazła się w prywatnym raju. Liście na jesionie połyskiwały złotem, niebo miało kolor Morza Śródziemnego. Po co komu towarzystwo, skoro w samotności można się czuć tak świetnie?

Druga butelka była z zakrętką, zwykły francuski sikacz. Ale niezły. Jenny, zrelaksowana, nabrała ochoty na papierosa. Przypomniała sobie, że trzyma paczkę na czarnej godzinę w kuchennej szufladzie. Przypaliła papierosa od elektrycznego piecyka i wróciła do ogrodu z kieliszkiem w dłoni. Siedzieć o zachodzie słońca we własnym ogrodzie, z bosymi stopami na mokrej od rosy trawie i słuchać szemrania potoku — czy może być coś lepszego? Do diabła ze Steve'em. Jeśli zachce jej się faceta, stać ją na coś lepszego.

* *

Obudziła się w półmroku. Drżała z zimna, a głowa dosłownie jej pękała. Rozejrzała się, dezorientowana, i stwierdziła, że wciąż siedzi przy heblowanym stole na trawniku w towarzystwie dwóch pustych butelek. Weszła do środka. Jej telefon mrugał na kuchennym blacie. Podniosła ją i spojrzała na wyświetlacz. „Nieodebrane połączenie, Ross, 20.25”. Cholera. Która jest godzina? Popatrzyła na zegar — za dziesięć czwarta.

Kiedy przyłożyła głowę do poduszki, zaczęły śpiewać ptaki. Tysiące małych drani.

Rozdział 14

Dotarła do pracy o dziesiątej, wzmocniona aspiryną, temazepamem i kofeiną. Na szczęście Alison nie zobaczyła jej w tym stanie — akurat gdzieś wyszła. Jenny byłaby na siebie zła, gdyby miała siłę się złościć, ale potężny kac kompletnie ją obezwładnił. Wiedziała z gorzkiego doświadczenia, że potrwa cały dzień i pewnie jeszcze jutro. Za bardzo ją mdliło, żeby mogła jeść, a płuca miała obolałe od dziesięciu fajek, które wypaliła. Ostatnio była w takim stanie rankiem po wyprowadzce od Davida.

Na biurku znalazła raport przysłany mailem przez Ruth Turner, schludną kupkę paragonów spiętych klipsem do papieru i zestawienie, do którego Alison zamierzała je wpisać. Koło paragonów leżała długa lista pytań, na które należało odpowiedzieć, i formularz, który po wypełnieniu należało przekazać rewidentowi z magistratu. Jenny odsunęła rachunki na bok i zabrała się do świeżej porcji zgłoszeń, którą wzięła z biurka Alison. Przeczytała raport z autopsji dziewięćdziesięcioletki, która zadławiła się protezą, i trzydziestopięcioletniego robotnika rolnego, który wpadł do gnojownika, uderzył się w głowę i utonął.

Właśnie tego jej było trzeba — topielca w szambie.

Próbowwała się skupić, ale czytając raporty doktora Petersona, czuła zapach jego prosektorium. Z trudem powstrzymała mdłości i poszła do kuchenki zaparzyć sobie kawy. Gdy opierając się ciężko o blat, obliczała, ile jeszcze aspiryny może bezpiecznie zażyć, przyszła Alison, wyraźnie zaaferowana.

— Nagranie wróciło z laboratorium. Uważają, że widać na nim Katy, jak w niedzielę o jedenastej wieczorem wsiada do vauxhalla vectry.

Jenny zmusiła się do okazania pozorów entuzjazmu.

— Nie są pewni?

— Nagranie jest niewyraźne. Czarno-białe. Z kamery przemysłowej

przed apartamentowcem.

— Jest szansa, żebyśmy na to spojrzwały?

— Jeszcze go nie upublicznili. Nie mamy prawa o tym wiedzieć. Może pani zadzwonić do Swaintona i spytać, jak idzie śledztwo.

— Pomyślę nad tym. Nie chcę, żeby się najeżył jeszcze bardziej.

Alison wyraźnie ulżyło.

— Czuję, że do czegoś dojdą.

Jenny wsypała do filiżanki drugą łyżeczkę kawy rozpuszczalnej.

— Przynajmniej Grantham przestał nam bruździć. Nie wiem, o co mu właściwie chodziło.

— O panią. Lubi być najważniejszy.

— Mówi pani tak, jakby coś słyszała.

Alison bez słowa sięgnęła po filiżankę. Ewidentnie nie dawała się podpuścić.

— O co chodzi? — spytała Jenny.

— O nic szczególnego... Ale to nie wygląda dla niego dobrze. Wszyscy wiedzą, że Grantham był blisko z Harrym. Jeśli więc Harry popełnił jakieś uchybienie w sprawie Katy, to się odbije na nim.

— Trudno. — Jenny wzięła swoją kawę i ruszyła do gabinetu.

— Odebrała pani wiadomość z biura prokuratora generalnego?

— Nie.

— Zostawiłam ją przy rachunkach. Chcą porozmawiać o pani wniosku. Umówiłam ich na dwunastą.

* *

Kiedy za pięć dwunasta zjawił się Adam Crossley, Jenny nie czuła się ani trochę lepiej. Wszystkie płyny, które w siebie wlała, tylko pogorszyły sprawę, jakby spuchł jej od nich mózg. Crossley, mężczyzna pod czterdziestkę w typie byłego wojskowego, był wypoczęty po podróży pierwszą klasą na koszt podatników. Przywiózł ze sobą koleżankę, Kathy Findlay, atrakcyjną młodą blondynkę, która siedziała w kącie, notując każde słowo. Podczas obowiązkowej pogawędki zapoznawczej wyjaśnił, że jest adwokatem

procesowym, którego biuro prokuratora generalnego zatrudniło na dwuletni kontrakt, aby pomógł przeprowadzić w tym urzędzie radykalną reformę. Jego menedżerski bełkot o „redukcji personelu” i „koncentracji na celach” sprowadzał się do tego, że biuro zostało wzięte za twarz przez polityków. Kogo obchodzi prawo? — mógł powiedzieć po prostu. Od tej pory polityka będzie na pierwszym miejscu.

Kiedy tylko przedstawił się jako „advokat procesowy”, Jenny wiedziała, z kim ma do czynienia. Nie dość bystry, żeby zrobić karierę w kancelarii prawniczej, prawdopodobnie zarabiał marne grosze, broniąc z urzędu, a jego jedyną perspektywą — gdyby miał szczęście — było odsłużenie ostatnich lat w ławie sędziowskiej. Podrzędny kauzyperda spragniony władzy.

Gdy uprzejmości mieli już z głowy, oznajmił:

— Czytałem pani wniosek, Jenny. Porusza pani kilka bardzo interesujących kwestii. — Niewiele czasu potrzebował, by zacząć zwracać się do niej po imieniu.

— Dlatego go napisałam. — Kac sprawiał, że była drażliwa.

— Ma pani kopię zeznania pani Turner?

Podala mu kartkę. Gdy Crossley czytał, Kathy Findlay stuknęła długopisem o notes i rozglądała się po gabinecie z wyrazem lekkiego obrzydzenia na twarzy.

— Bardzo interesujące — ocenił Crossley. — Mogę to zatrzymać?

— Oczywiście.

Schował kartkę do teczki z aktami.

— Rozumie pani, rzecz jasna, że otworzenie nowego przewodu to dość drastyczny krok. Prokurator musi być pewien, że szansa uzyskania innego werdyktu jest bardzo duża.

— Zamknięty zakład poprawczy przyjął chłopca, który według opiekunki środowiskowej powinien zostać zbadany przez psychiatrę. Nie zrobili tego. Nie mieli nawet dostępu do psychiatrii z powodu formalnych nieporozumień z kasą chorych. Mnie to wygląda na rażące zaniedbanie obowiązku opieki.

— Ale skąd pewność, że zbadanie przez psychiatrę coś by zmieniło? Chłopak i tak mógł się zabić.

— Psychiatra mógł go umieścić w szpitalu albo przepisać mu leki.

— Mnóstwo ludzi z prawidłowo postawioną diagnozą popełnia samobójstwo.

Jenny straciła cierpliwość.

— Mówimy tu o zakładzie zamkniętym dla dzieci, który nie zapewnia opieki psychiatrycznej. Czy to pana nie niepokoi?

— To z pewnością godne pożałowania, ale nie jestem do końca przekonany...

— Może przysięgli sądu koronerskiego byliby przekonani.

Crossley rozparł się w fotelu i splótł dłonie. Przestał się uśmiechać, zmarszczył brwi.

— Właśnie tego się obawiałem, Jenny. Że zaangażowała się pani w tę sprawę osobiście. Zwłaszcza że zajmowała się pani wcześniej prawem rodzinnym.

Miała ochotę przeskoczyć przez biurko i rozkwasić mu nos.

— A ja się obawiam, panie Crossley, że ktoś się boi, że narobię zamieszania, demaskując wady prywatnych więzień, które rząd promuje z takim zapałem.

— Przykro mi, ale zdradza pani wszelkie oznaki stronniczości.

— Koroner nie jest bezstronnym sędzią jak ci, do których pan przywykł w sądach koronnych. Jego podstawowym obowiązkiem jest ustalenie przyczyny śmierci. Mój poprzednik nie powołał ważnych świadków. Jeśli nie pozwolicie mi wnioskować do Sądu Najwyższego o zgodę na wznowienie tego dochodzenia, naprawdę narobię wam wstydu. Postaram się o rewizję wyroku i wszystkie gazety będą się rozpisywać, że próbowaliście stanąć mi na drodze.

— Przypisuje pani biuru prokuratora generalnego bardzo niskie motywy, Jenny. To trąci paranoją.

— Więc proszę mnie przekonać, że się mylę.

— Przyznaję, że w świetle zeznania pani Turner moglibyśmy się przychylić do wniosku, ale proszę pamiętać, że takie dochodzenie musi spełniać najwyższe standardy. Będzie pani pod lupą Ministerstwa

Sprawiedliwości.

— Powinni wziąć pod lupę raczej swoje więzienia.

— Ta sprawa budzi w pani sporo emocji, prawda?

— Danny Wills był dzieckiem cierpiącym na depresję. Czy moje emocje pana dziwią?

Crossley zignorował pytanie.

— Jeśli zamierza pani wznowić ten przewód, powinna go pani poprowadzić w przyzwoitych warunkach. Proszę zadzwonić do ministerstwa, to znajdą pani odpowiednią salę sądową. Nie możemy wyjść przed opinią publiczną na jakiś trzeciorzędny resort. — Wstał. — Mam nadzieję, że się rozumiemy.

Jenny nie odpowiedziała.

Alison odprowadziła gości do drzwi i poleciła im włoską restaurację, gdzie na pewno dostaną stolik. Przez uchylone drzwi Jenny słyszała, jak słodkim głosem życzy Crossleyowi przyjemnej podróży do Londynu. Robiła wszystko, by naprawić szkody.

Zjawiała się kilka minut później z plikiem maili i spojrzeniem, które Jenny już rozpoznawała — udawała zatroskaną, choć tak naprawdę chciała wyrazić swoje zdanie.

— Mam nadzieję, że uwzględnili wniosek.

— Nie mieli wyboru. Gdyby odmówili, zwróciłabym się bezpośrednio do Sądu Najwyższego z wnioskiem o rewizję wyroku.

Znów to spojrzenie.

— Wygląda pani na zmęczoną. Wszystko w porządku?

— Jeśli ma pani coś do powiedzenia, to słucham.

— Rozmawiała pani z nimi dość agresywnie.

— To on był agresywny. Ja byłam tylko szczerą.

— Wie pani, że nie dadzą pani drugiej szansy.

— Jeśli mam ryzykować, to trudno o lepszą sprawę, czyż nie?

Alison pozostawiła to bez komentarza. Powiedziała tylko:

— Nowe meble powinny przyjechać po południu. To nam poprawi humory.

* *

Telefon zadzwonił, kiedy tragarze wnosili biurko do gabinetu. Jenny, wciśnięta między regały, patrzyła z rozpaczą, jak depczą teczki i objijają ściany. Porwała telefon, zanim jeden z tragarzy potknął się o kabel.

— Koroner Jenny Cooper.

— Pani Cooper, mówi Isabelle Thomas, wicedyrektorka szkoły Rossa.

— Och, dzień dobry.

— Mieliśmy pewną nieprzyjemną sytuację. Ross nie czuje się najlepiej. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi.

— Co się stało?

— Nie bardzo wiemy. Jeden z nauczycieli znalazł go podczas lunchu. Jest odurzony.

— Pijany?

— Nie. Myślę, że to narkotyki. Jak pani wie, w takich sytuacjach zawiadamiamy policję...

— Proszę tego nie robić. To zupełnie niepodobne do Rossa.

— Przykro mi, ale odnoszę wrażenie, że to trwa od jakiegoś czasu.

— Więc dlaczego nikt o tym nie wspominał.

— To tylko wrażenie... Tak czy inaczej, Ross jest u mnie w gabinecie.

Próbowałam skontaktować się z pani mężem...

— Nie trzeba. Zaraz będę.

Rozdział 15

Przed wejściem do budynku łyknęła kolejne dwa temazepamy. Szkoły, z tą ich atmosferą instytucji penitencjarnej, zawsze ją przerażały. Jej kroki rozlegały się echem w obskurnych korytarzach. Powietrze ciężkie i duszne, załatywało chlorem i lasagne, które pewnie serwowano na lunch. Mijała klasy, jedne grzeczne, inne rozhukane — w tych nauczyciele błagali dzieci o spokój. Wszystko to budziło w Jenny wspomnienia własnych szkolnych czasów. Chodziła do podstawówki dla dziewczynek z dobrych domów. Było

tam jak w więzieniu: ciągle nerwy, ciągle oczekiwanie na ostrą wymówkę albo bolesną drwinę. Miała nadzieję, że Ross nie doświadczył takiej traumy, ale tutaj również wyczuwała napięcie. Inne, lecz nie mniej obezwładniające.

Isabelle Thomas, nieatrakcyjna kobieta po trzydziestce, stała na korytarzu przed swoim gabinetem i rozmawiała przez komórkę. Kiedy Jenny podeszła, rozłączyła się i znacząco zerknęła na zegarek, jakby chciała spytać: dlaczego tak długo?

— Ross jest w środku, ale zanim wejdziemy, chciałam zamienić z panią słówko. — Podeszły kilka metrów korytarzem, poza zasięg słuchu. — On nic nie mówi, ale jestem właściwie pewna, że palił trawkę. Miał w kieszeni bibułki i tytoń, a jedna z woźnych znalazła kilka niedopałków.

Jenny odetchnęła z ulgą.

— Całe szczęście, że nic gorszego.

— Nauczyciele Rossa zauważyli, że ostatnio był trochę rozkojarzony. Ma też sporo nieobecności, aż pięć dni w ciągu ostatnich trzech tygodni.

— Naprawdę? Nie miałam pojęcia.

— Więc nie zostawał w domu?

— Chyba nie... Widzi pani, od jakiegoś czasu Ross mieszka z ojcem.

— No tak. Państwo rozeszli się w tym roku, zgadza się? To często bardzo trudny moment dla nastolatka.

— Poradzimy sobie. Jestem pewna, że to przejściowe.

— Sugeruję, żeby pani poszukała dla syna profesjonalnej pomocy. Takie wybryki zwykle kończą się natychmiastowym wydaleniem ze szkoły.

— Nie możecie. Nie wiemy nawet, co się stało...

— Musiałam powiedzieć o wszystkim dyrektorce. Ona podejmie ostateczną decyzję, ale w przypadku Rossa może da się przekonać.

— Jaka jest jego obecna sytuacja?

— Został zawieszony do odwołania.

— A co z egzaminami?

— Może je zdawać, byle tylko nie pozostawał na terenie szkoły.

— To chyba lekka przesada...

— Przykro mi, że to akurat pani syn, pani Cooper, ale regulamin

obowiązuje wszystkich uczniów. — Spojrzała na Jenny z fałszywym współczuciem. — Powinna pani z nim porozmawiać.

* *

Kiedy Jenny usiadła za kierownicą, Ross leżał na rozłożonym fotelu pasażera z przymkniętymi oczami. Wyglądał, jakby zupełnie go nie ruszyły wydarzenia dzisiejszego popołudnia. Wciąż był na haju.

— Dokąd chcesz jechać? Do domu czy do mnie?

— Gdziekolwiek. Ty decyduj — wymamrotał leniwie.

Jenny rozważyła opcje. Cokolwiek wybierze, dzień zakończy się ostrą konfrontacją z Davidem. Jeśli odwiezie Rossa do domu, będzie mógł dojść do siebie we własnym łóżku, ale David zarzuci jej, że chciała pozbyć się problemu. Skoro i tak musi dojść do awantury, wolała być na własnym terenie i nie mieć publiczności w osobie Debory.

Kiedy jechała autostradą w stronę Severn Bridge, zadzwoniła do Alison i powiedziała, że dziś nie wróci już do biura, bo Ross się rozchorował. Asystentka, zadowolona, że okazała się niezbędna, obiecała zostać na posterunku i przefaksować jej do domu wszelkie ważne papiery.

Zanim dotarli do Chepstow, Ross już spał. Gdy podjechali pod Melin Bach, Jenny próbowała go obudzić, ale nawet nie drgnął. Zaparkowała więc za domem i zostawiła syna w aucie. Usiadła przy stole w ogrodzie i próbowała pracować, równocześnie pilnując go.

Dochodziła szósta, kiedy wreszcie się ocknął i wygramolił z samochodu. Jenny, która właśnie wyszła z kuchni z piątą filiżanką kawy, zobaczyła, że Ross opiera się o maskę wciąż oszołomiony, najwyraźniej nie mając pojęcia, gdzie jest.

— Jak się czujesz? — spytała.

Podrapał się w głowę.

— Fatalnie.

— Chodź tu i usiądź. Przyniosę ci kawy.

Klapnął przy stole, trąc oczy i unikając jej spojrzenia. Jenny wróciła do kuchni, zaparzyła dzbanek kawy i nałożyła herbatniki na talerz. Wiedziała, że

jeśli Ross upalił się skunem, będzie głodny jak wilk.

Pozwoliła mu siedzieć w spokoju, a sama zajęła się wrywaniem chwastów spomiędzy ziół i obcinaniem zwiędłych róż. Chciała, żeby wiedział, że ona go nie osądza, że nie jest ogrem jak jego ojciec. Nie odzywali się przez dobrych dziesięć minut, ale czuła, że Ross powoli dźwiga się z tego z dołu, w którym się obudził. Nigdy by się do tego nie przyznała, ale rozumiała jego nastrój lepiej niż on sam. Tak jak ona, był wrażliwy i wycofany. Wiedziała, że jeśli poczuje się atakowany, odpowie atakiem i powie rzeczy, których będzie żałował. Jeżeli poczuje się zaakceptowany, otworzy się przed nią.

Pierwszy przerwał milczenie, mamrocząc:

— Przepraszam.

Jenny wyprostowała się znad grządki i odwróciła z uśmiechem.

— W porządku. — Podeszła do stołu, wycierając ubrudzone ziemią ręce o dzinsy, w które się przebrała, kiedy spał. — Lepiej się czujesz?

Kiwnął głową ze znużoną miną.

— Co myślisz o moim nowym domu?

Rozejrzał się dookoła, mrużąc oczy w jasnym świetle wczesnego wieczoru.

— Jest inny.

— Podoba ci się?

— Tak. Fajnie tu.

Znów siedzieli chwilę w milczeniu. Jenny dotknęła jego dłoni.

— Na pewno nic ci nie jest?

— Spoko. — Cofnął rękę. — Rozmawiałaś z tatą?

— Nagrałam mu się na pocztę głosową.

— Wie?

— Pani Thomas dodzwoniła się do jego sekretarki. Powiedziałam ojcu, że jesteś ze mną i że zadzwonimy później.

— Cholera... Jestem zawieszony?

— Dopóki dyrektorka nie zdecyduje, co zrobić. Ale egzaminy możesz zdawać. Pani Thomas myśli, że uda się przekonać dyrektorkę, żeby cię

zostawiła, jeśli zechcesz.

— Nie wiem, czego chcę.

Jenny westchnęła.

— Nie będę ci robić wykładu o narkotykach, skoro sama przez całe lata brałam legalne psychotropy, ale czy mógłbyś mi powiedzieć, co jest grane?

Czekała chwilę, a Ross gapił się w pustą filiżankę po kawie.

— Wypaliłem trochę trawki i tyle — rzekł wreszcie.

— Skąd ją wzięłeś?

Wzruszył ramionami.

— Od kumpla. Czy to ważne?

— Był jakiś szczególny powód?

Zastanawiał się chwilę i pokręcił przecząco głową.

— Czy to miało coś wspólnego z weekendem? Naprawdę mi przykro z powodu tej awantury.

— Nie wiem... Nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Po prostu miałem ochotę.

Wierzyła mu. Ale widziała też, że Ross chciał uciec od tego piekła, od ojca, który ciągle naciskał, żeby był kimś, kim nie chciał być.

— Nie musisz robić tego, co ci mówi tata. Jemu było łatwo, bo zawsze chciał być lekarzem. Niektórzy ludzie potrzebują więcej czasu na decyzję.

Ross bawił się w milczeniu okruszkami na talerzu.

— Jeśli o mnie chodzi, możesz sam zdecydować, kim chcesz być. I nie musisz się spieszyć.

— Nie muszę?

— W rozsądnych granicach. — Spróbowała uśmiechu, ale nie odwzajemnił go. — Słuchaj, ja mówiłam poważnie o twoim zamieszkaniu tutaj. Byłoby fajnie, gdybyś przyjechał w wakacje. Mógłbyś przemyśleć wszystko bez poganiania.

— Nie przepadasz za Deborą, co?

— To nie ma nic wspólnego z nią. Do tej pory nie miałam prawdziwego domu.

— Tata też nie był zachwycony tym gościem, którego przywiozłaś.

— Steve to tylko kolega. Dbam o mój ogród.

Ross spojrział na trawę po kostki.

— Tak.

— Naprawdę.

— Nie obchodzi mnie to. Przynajmniej nie jest o połowę młodszy od ciebie.

— Gdybym chciała się z kimkolwiek związać, uwierz mi, dowiedziałbyś się pierwszy.

— No więc jeśli będziesz chciała, postaraj się, żebym nie widział pewnych rzeczy. To obrzydliwe patrzeć, jak pięćdziesięcioletni dziad obmacuje...

— Okej, rozumiem. — Próbowала wymazać ten obrazek z myśli. — Wiem, że to pokręcona historia z ojcem i ze mną, ale chyba rozumiesz, że zawsze chciałam być z tobą?

Ross wbił spojrzenie w stół. Wyczuwała falę emocji, która go zalała.

— No.

Zapadło milczenie. Jenny ogarnęło poczucie winy, że jej odbiło akurat w takim momencie. Jeszcze dwa lata i Ross byłby na studiach, gotowy radzić sobie sam.

— Więc jak, zamieszkas u mnie po egzaminach? — spytała po chwili.

— Jeśli chcesz.

— I obiecujesz, że nie będziesz więcej palił tego świństwa?

— Myślałem, że nie będziesz mi prawić kazań.

— Kiepska byłaby ze mnie matka, gdybym się nie martwiła.

— Trochę na to późno. Niewiele już ze mnie będzie, co?

Spojrziała na niego, usiłując ocenić, czy mówi szczerze, czy tylko się popisuje, i zastanawiając się, co mogłaby zrobić, żeby kiedyś było lepiej.

Oboje odwrócili się na dźwięk potężnego silnika na drodze. Bmw Davida stanęło obok golfa Jenny. Ross wzdrygnął się, kiedy ojciec wyskoczył z auta i huknął drzwiami.

— Spokojnie. Ja się nim zajmę — powiedziała Jenny.

David ruszył energicznym krokiem po trawie, wciąż w spodniach od garnituru, koszuli i krawacie. Jenny wstała, by stawić mu czoło — nadszedł

moment, którego bała się przez całe popołudnie. Przygotowała kilka zgrabnych zagajeń, żeby go spacyfikować, ale żadnego nie mogła sobie przypomnieć.

— Nie wściekaj się, David, właśnie rozmawiamy...

Zatrzymał się koło stołu. Po jego twarzy przemknęła cała gama emocji, aż w końcu zdecydował się na wymuszony spokój.

— Nie zamierzam się wściekać. Jeśli trzeba o czymś porozmawiać, zawsze uważam, że lepiej zrobić to na spokojnie. — Obejrzał Rossa, oceniając go jak pacjenta. — Pewnie się marnie czujemy, co?

— Nie jest z nim najgorzej.

David wskazał krzesło.

— Mogę?

— Jasne.

Usiadł obok Rossa, naprzeciw Jenny. Dobrotliwy uśmiech, który przykleił do twarzy, wróżył najgorsze.

— Bardzo tu ładnie. A z pewnością spokojnie.

Jenny pożałowała, że wypila tyle kawy. Jej nerwy były w strzępach.

— Właśnie proponowałam Rossowi, żeby pomieszkał tu w wakacje.

— Czemu nie? Może dobrze by ci zrobiło, gdybyś wyrwał się z miasta.

Ross uparcie gapił się w stół.

David spojrzął na niego i dostrzegł znajome objawy.

— Nie wyjaśnimy tej sprawy, dopóki z nami nie porozmawiasz, kolego.

— Myślę, że powinniśmy mu dać trochę czasu — wtrąciła Jenny.

Ross zerwał się z krzesła.

— Dlaczego zawsze rozmawiacie o mnie w ten sposób? Nie jestem, kurwa, dzieckiem. — Wściekły wszedł do samochodu Davida i zatrasnął drzwi.

— Właśnie tego mi było potrzeba — burknął David. — Sześć godzin w sali operacyjnej, a na deser telefon, że mój syn jest ćpunem.

— Wypalił trochę trawki, to jeszcze nie koniec świata.

— Ale być może koniec jego edukacji.

— Nie dramatyzuj.

— Więc co proponujesz? Mamy nic nie robić? Nie jest jedynym dzieckiem na świecie, które ma rozwiedzionych rodziców.

— Jest wrażliwy.

— Co ty powiesz.

— Może by tu został na parę dni?

— Kiedy ty będziesz w pracy?

— Ty też jesteś w pracy.

— Debora może wziąć urlop. To rozsądna dziewczyna, z głową na karku. Jenny, urażona, wypaliła:

— Mam nadzieję. Bo jeśli syn jest podobny do ojca...

— Nie bądź dziecinna, do cholery.

* *

Jenny stała nad potokiem i patrzyła, jak samochód Davida zjeżdża ze wzgórza. Czuła furię byłego męża w każdym głośniejszym ryku silnika. Ross siedzi na tylnym siedzeniu, odrętwiały, wpatrzony w okno. Czuje się jak w pułapce, ale jest zbyt wystraszony, żeby postawić się ojcu; woli upalić się do nieprzytomności. Ona czuła się dokładnie tak samo, kiedy zaczęła przegrywać z depresją. David traktował ją jak wstydlivy problem. Kiedy się załamywała albo próbowała opisywać ten lęk, biorący się znikąd, widział w niej zespół objawów, które należy stłumić. Ani razu nie spytał o to, co myśli albo czy nie gnębią jej przeżycia z przeszłości. Postrzegał życie jako zestaw linii prostych. Wszelkie skrzywienia należało likwidować.

Wiatr był wyjątkowo chłodny jak na tę porę roku, powietrze pachniało mokrą ziemią. To jeszcze pogłębiało jej poczucie beznadziei. Poniosła porażkę jako matka i jako człowiek; była tak pochłonięta własnymi problemami, że nie potrafiła zatroszczyć się o syna. Ilekroć ośmielała się spojrzeć w głąb tego, co kryło się w jej duszy, miała wrażenie, że to zło — że jakiś byt, który potrafiła przyrównać tylko do raka, przejął nad nią władzę. Dziś wieczorem czuła to wyraźnie. Nawet drzewa wydawały się złowrogie. Jej umysł ciągle odtwarzał obrazy z nawracającego koszmaru: stoi w kącie znajomego i jednocześnie dziwnego pokoju w domu swojego dzieciństwa,

a w ścianie otwiera się szczelina, za którą rozciąga się przerażająca, tajemnicza przestrzeń, grożąca, że ją wessie...

Weszła do kuchni, próbując wrócić do rzeczywistości, nie potrafiła jednak się uwolnić od przeczucia naciągającego nieszczęścia. Sięgnęła po butelkę wina, ale, wciąż skacowana, odstawiła ją z powrotem. Próbowała coś ugotować, lecz miała nieprzyjemne wrażenie, że ktoś obserwuje ją zza odsłoniętego okna. Odgłos skrzypiącej deski na górze był duchem starej kobiety, który mieszkał tutaj i przesuwa jej rzeczy. Chciała łyknąć pigułkę, ale wyobraziła sobie, że straci przytomność i obudzi się w środku nocy, z duchem starej kobiety stojącym nad nią.

Kurczowo chwyciła się kuchennego blatu. Łomot jej własnego serca stał się szmerem kroków w sypialni na górze. Duch zbliżył się do schodów i zaczął schodzić, a raczej zeskakiwać ze stopnia na stopień. Odwróciła się do drzwi i wbiła wzrok w skobelek, czekając, aż zacznie się podnosić. Usłyszała skrzypnięcie w salonie. Przerażona złapała kluczyki do samochodu i uciekła przez kuchenne drzwi.

* *

Mimo nadchodzącego lata było za chłodno na siedzenie na dworze, więc weranda przed Apple Tree była pusta. Jenny podeszła do drzwi pubu i zajrzała przez szybę. Ludzi było mniej niż ostatnio, tylko grupka mężczyzn przy barze i kilka par przy stolikach. Steve siedział na stołku barowym; Annie podchodziła do niego w wolnych chwilach, żeby porozmawiać. Jenny tkwiła przy drzwiach, nie mając odwagi ani na wejście do środka, ani na samotny powrót do domu. Raz po raz zerknęła przez szybę i czekała, aż Annie wyjdzie na zaplecze. Trwało to całe wieki. Kiedy w końcu barmanka zniknęła w kuchni, Jenny stanęła w progu, przyciągnęła wzrokiem Steve'a i znów wyszła. Czekając na niego na werandzie, czuła się idiotycznie.

Wkrótce się pojawił. Wyciągnął tytoń i bibułki z kieszeni dżinsowej kurtki i zajął się skręcaniem papierosa. Jenny milczała, bo teraz, kiedy Steve już tu był, zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć.

— Jak leci? — zagał.

— Przepraszam, że ci przeszkodziłam.

— I tak chciałem zapalić. — Zwinął skręta jedną ręką i polizał. — To podobno wolny kraj. Ale spróbuj się zachowywać, jakby naprawdę taki był, a wsadzą cię, zanim się obejrzysz. — Zapalił zapałkę, osłaniając ją dłonią.

— Jack Nicholson, *Easy Rider* — rozpoznała cytat.

Steve się uśmiechnął.

— Niezła jesteś. — Oparł się o drewnianą poręcz i zaciągnął słodko pachnącym dymem. — To dobry film, ale Peter Fonda zawsze wyglądał, jakby woził ze sobą fryzjera. Każdy, kto miał na głowie kask motocyklowy, wie, co on robi z fryzurą.

— Nigdy o tym nie pomyślałam. Uważałam, że po prostu fajnie wygląda.

— Nie był najgorszy. Ale Nicholson to dopiero był numer. Zapijaczony prawnik w przepeczonym garniturze budzi się w celi, wychodzi dzięki łapówce i wyrusza z hipisami na motorach... A potem ginie, skopany na śmierć przez wsioków.

— Człowiek, który odważył się być inny.

— Niebezpiecznie być innym.

Jenny spojrzała na jego zabłocone spodnie, spraną zieloną koszulę, włosy opadające na oczy i minę, która mówiła, że nie będzie zadawał żadnych pytań, że wszystko zależy od niej.

— Wystraszyłam się i wyszłam z domu — zaczęła.

— Aha.

Westchnęła. Wolałaby o tym nie mówić.

— Ross upalił się w szkole. Musiałam go odebrać i przywiozłam tutaj. David po niego przyjechał, możesz sobie wyobrazić... Potem byłam sama w kuchni i zaczęło mi się wydawać, że na górze jest duch. To idiotyczne...

— Jaki duch?

— Tej staruszki, która tam mieszkała.

— Joan Preece? Ona nie była typem złośliwej zjawy.

— Wiem, że to wszystko jest w mojej głowie...

Zaciągnął się skrętem; ognik popęzł w kierunku jego palców.

— Miałaś ciężki dzień. Każdy byłby zdenerwowany.

— Nie powinnam zawracać ci głowy. Pójdę już. — Ruszyła do schodków prowadzących na chodnik.

Była już na dole, kiedy zawołał:

— Czekaaj — i zszedł za nią.

Gdy się odwróciła, odgarnął z jej twarzy włosy i spytał:

— Chcesz, żebym z tobą pojechał i sprawdził, czy wszystko w porządku?

— Już i tak narobiłam ci dość kłopotu.

— I wyciągnęłaś mnie z baru tylko po to, żeby mi to powiedzieć?

Jenny zerknęła na drzwi pubu.

— Teraz już sobie poradzę.

— Na pewno? — Rzucił niedopałek, podszedł bliżej i otoczył ją ramionami. — Nie wydaje mi się.

Oparła głowę o jego pierś i poczuła jego dłoń głaszczącą ją po włosach.

— Sama nie wiem, jak się czuję.

— I tak za dużo wypilem, żeby prowadzić. Od ciebie będę miał bliżej do domu.

* *

To się stało bez jednego słowa. Gdy szli do drzwi, Jenny wzięła Steve'a za rękę i oboje już wiedzieli, co będzie dalej.

Potem długo leżeli w ciemności. W końcu Steve zapytał:

— Czy ten duch już sobie poszedł?

— Chyba tak — odparła.

— To dobrze. — Wstał z łóżka i wciągnął džinsy; widziała jego silne plecy połyskujące w świetle księżyca. — Muszę się zbierać. Jeśli nie nakarmię psa, to zacznie mi zjadać kurczaki.

— Chcesz, żebym cię odwiozła?

— Przejdę się. Przez las to tylko półtora kilometra. Lubię słuchać sów.

Włożył koszulę, pochylił się i pocałował ją w usta.

— Jesteś piękną kobietą, Jenny, tylko o tym nie wiesz — powiedział, zanim wyszedł.

Słuchała jego kroków, gdy ruszył pod górę, i myślała o tym, co

powiedział. Choroba wyssała z niej całą radość. Pamiętała to uczucie, tak jak więzień może pamiętać wolność — jako coś minionego, nieosiągalnego. Teraz pragnęła ją odzyskać. Chciała się wydostać z celi, którą stał się jej własny umysł.

Ona przynajmniej jest żywa i może zatracić się w seksie. Nie była jak Danny Wills, martwy, z pętlą na szyi. Wyobraziła go sobie — i Katy, i Marshalla. Oni byli martwi, lecz jej serce wciąż biło. Przyłożyła dłoń do piersi i poczuła w sobie życie.

Podziękowała Bogu w krótkiej modlitwie i zapadła w niespokojny sen.

Rozdział 16

Na stole w kuchni leżał list: „To nie jest odpowiedź na Twoje problemy, ale może krok we właściwym kierunku. Ty decydujesz. Steve”. Czytała go przy porannej kawie, próbując odgadnąć, co oznacza. W końcu uznała, że pewnie Steve jest równie zagubiony jak ona, tylko bardziej przyzwyczajony do takich sytuacji. I na tyle sprytny, by nie zostawać na noc i nie narażać się na niezręczną rozmowę po przebudzeniu.

„Ty decydujesz”. To, że zrzucił odpowiedzialność na nią, wskazywało, że jemu wystarcza luźny układ — dzieciaki nazywały to teraz „pogotowiem seksualnym”. Ale przecież mówił o karmie, chciał jej pomóc, wierząc, że to przeznaczenie rzuciło ją na jego drogę. Jenny nie wierzyła w karmę; według niej życiem rządził raczej przypadek niż prawo przyczyny i skutku. Wierzyła za to w dobro i zło oraz w duchy, które pojawiały się i znikaly — może z jakiegoś powodu, a może bez.

Złożyła list i schowała do torebki, zbyt przesądna, aby go wyrzucić. Uznała, że ma dość na głowie i bez wplątywania się w związek. Ale facet do łóżka to niegłupi pomysł. Udany seks odpręży i pozwala oderwać się od problemów. Gdyby mogła wybierać czas i miejsce, byłby to całkiem niezły układ. Więc czemu nie pobawić się tym chwilę i zobaczyć, co z tego wyniknie?

Z tą myślą wsiadła do samochodu. Była już prawie przy moście, kiedy

zorientowała się, że nie wzięła pigułki. Kurczę. Ta noc naprawdę działa cuda.

David zadzwonił, kiedy zatrzymała się na światłach w centrum miasta. O dziwo, słysząc jego głos, po raz pierwszy od dawna nie miała problemów z oddychaniem. Choć musiała przyznać, że po raz pierwszy od dawna brzmiał on niemal rozsądnie.

— Dzięki, że zabrałaś Rossa ze szkoły — powiedział David. — Właśnie rozmawiałem z dyrektorką. Formalnie jest zawieszony, ale są egzaminy, więc to właściwie żadna różnica. Jeśli ją przekonamy, że to się nie powtórzy, nie wyrzuci go.

— To już coś. Jak on się czuje?

— W porządku. Wieczorem długo rozmawialiśmy... Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo zdołował go nasz rozwód. To chyba naturalne, że dzieci czują się w jakiś sposób odpowiedzialne za problemy rodziców.

— Co powiedział?

— Że to go kompletnie załamało i odebrało pewność siebie.

— Musimy mu pomóc.

— Oczywiście — zgodził się David. — Powiedziałem mu, żeby jakoś przetrwał najbliższe tygodnie, a potem siądziemy we trójkę i naradzimy się, co dalej.

Nuta pokory w jego głosie zdumiała Jenny. Nie pamiętała, kiedy słyszała ją ostatni raz.

— Gdzie on teraz jest?

— Uczy się. Obiecał, że będzie dzisiaj kuł cały dzień. Posłuchaj, muszę kończyć. Za dziesięć minut muszę być na sali operacyjnej. Cześć, Jenny.

* *

Wciskając czerwony guzik na telefonie, poczuła ukłucie zazdrości. Do niej Ross ledwie się odezwał, a potem przez cały wieczór wywnętrzał się przed Davidem. Czemu jej nie powiedział o swojej niepewności? Czy dlatego, że ją uważał za główną przyczynę? Oczywiście, że tak. To ona rozbiła dom, to ona wrzeszczała i rzucała zastawą. Miała ochotę się rozpłakać, ale właśnie

taka reakcja odrzuciłaby Rossa. Musi być silna i w pełni odzyskać kontrolę nad sobą — dla niego.

Postanowiła, że od tej pory jej jedynym celem będzie wziąć się w garść.

* *

Dotarła do biura przed Alison. Nowe meble zostały ustawione na miejscach, a wszystko było starannie posprzątane. Teraz biuro wyglądało o niebo lepiej. Włączyła stary komputer Alison i przeczytała maile. Adam Crossley zawiadamił, że prokurator generalny poprze jej wniosek o wznowienie przewodu w sprawie śmierci Danny'ego Willsa. Jednocześnie informował, że rozprawa powinna się odbyć w jednej z sal bristolskiego sądu rejonowego. List kończył się zawołaną groźbą: „Ufam, że dochodzenie będzie prowadzone rozsądnie i rzetelnie. Będziemy je śledzić z zainteresowaniem”.

Jenny napisała wniosek do Sądu Najwyższego o uchylenie orzeczenia w sprawie śmierci Danny'ego Willsa i zezwolenie na otwarcie nowego przewodu, po czym zadzwoniła do siedziby sądu w Londynie i tak długo wierciła dziurę w brzuchu urzędnikowi w kancelarii, aż obiecał rozpatrzenie wniosku za dwa dni. Przy poparciu prokuratora generalnego była to w zasadzie formalność. Upoważniony przez nią adwokat pójdzie do gabinetu sędziego, który przeczyta wniosek i wyda orzeczenie.

Wręczyła Alison wszystkie wymagane dokumenty i poleciła niezwłocznie wysłać je kurierem do Londynu. Chciała otworzyć przewód już w poniedziałek rano, żeby wziąć wszystkich z zaskoczenia. Wkrótce otrzymała telefon z sądu rejonowego, który, na prośbę biura prokuratora generalnego, postanowił udostępnić salę sądową. Najwyraźniej uznali, że skoro nie mogą jej powstrzymać, to przynajmniej będą ją mieli na oku. W ostatnich latach koronerzy narobili sporo kłopotów: dochodzenie w sprawie księżnej Diany ciągnęło się przez dziesięć lat i wykończyło pięciu koronerów; a gdy koroner Oxfordshire ośmielił się badać śmierć brytyjskich żołnierzy w Iraku, ich ciała w tajemniczy sposób wylądowały w dystryktach kolegów, którzy byli bardziej skłonni zaakceptować wyjaśnienia armii. Jenny nie zamierzała dać się zmusić

do ukrywania niewygodnej prawdy. Chciała ją obnażyć, ale zachowując godność. Obiecała sobie, że jeśli rzucą się na nią media, zaprezentuje się jako osoba zdeterminowana i rzeczowa i nie zdradzi żadnych emocji oprócz troski o dobro sprawy.

Zapytała Alison, czy ma jakieś nowe informacje o policyjnym śledztwie.

— Ciągłe szukają tego samochodu. Rejestracja mogła być fałszywa, więc będą musieli sprawdzić wszystkie vectry w Bristolu z ciemną karoserią. To może potrwać wiele dni.

— Znaleźli kogoś ze znajomych Katy?

— Nic o tym nie wiem. Grupy młodzieży są najtrudniejsze do rozpracowania.

— Muszą być jakieś prostytutki pracujące w tej okolicy.

— Będą się starać, ale na to bym nie liczyła. Musiałyby zginać co najmniej trzy dziewczyny, żeby ich koleżanki zaczęły mówić. Przeważnie się cieszą, że ubywa im konkurencji.

— Naprawdę?

— Gdyby pani pojeździła parę miesięcy w patrolach, przekonałaby się pani, jak tanie jest ludzkie życie.

Jenny wróciła do gabinetu ze zgłoszeniami z nocy, ale nie mogła się skupić. Jej myśli wciąż błądziły wokół dzieciaków na ulicy, które musiały znać i Katy, i Danny'ego. Ktoś musiał wiedzieć, czy był między nimi jakiś związek. Czy Marshall trafił na tak grubą sprawę, że stracił przez nią życie? Rozpatrzyła kilka makabrycznych scenariuszy, ale żaden nie pasował. Jeśli u źródła tego wszystkiego leżała zbrodnia, to dlaczego Marshall się wycofał?

Znała tylko nazwisko dziewczyny, o której wspomniała Tara Collins: Hayley Johnson. Od ich rozmowy po rozprawie dziennikarka się nie odezwała. Jenny mogła powiedzieć o Hayley policji, wciąż jednak im nie ufała. Nie do końca ufała też Tarze — ta kobieta może naprawdę być oszustką kredytową i nie wahała się grozić ujawnieniem jej problemów psychicznych — ale zdawała sobie sprawę, że aby porozmawiać z Hayley Johnson, musi zdecydować się na współpracę albo z Collins, albo z policją.

Postanowiła zadzwonić na numer komórkowy, który zostawiła jej

dziennikarka. Dopiero po siedmiu czy ośmiu dzwonek odezwał się ostrożny głos:

— Halo?

— Tara?

— Tak.

— Mówi Jenny Cooper. Co u pani słyhać?

— Nic dobrego... — głos jej drżał, straciła całą pewność siebie.

— Chodzi o zarzuty?

— I o pobicie. Zostałam wczoraj napadnięta.

— Przez kogo?

— Nie wiem, nie widziałam. Zaatakowali od tyłu, po ciemku, i walnęli mnie w głowę, tuż przed moim domem. Chyba było ich dwóch.

— Byli jacyś świadkowie?

— Nie. Nikt, kto by chciał cokolwiek powiedzieć.

Jenny milczała chwilę, rozważając to, co usłyszała. Wołała na razie zachować dystans, w razie gdyby Tara ją podpuszczała.

— Czy domyśla się pani, o co im chodziło?

— Miałam torebkę, ale jej nie wzięli. Więc pewnie o to, że próbowałam namierzyć źródło tych komputerowych transakcji. Ktoś podszył się pod mój adres IP.

— Ukradł pani tożsamość?

— Tak, internetową. Ukradli pieniądze, a potem podrzucili dowody na mój komputer. Wiem, że tak było, ale udowodnienie tego będzie trudne.

— Jak pani myśli, kto za tym stoi?

— No cóż, oskarżono mnie, kiedy zaczęłam zadawać pytania o Katy Taylor. Ktoś nie chce, żebym się dowiedziała, co jest grane.

— Myśli pani, że bezpieczne jest rozmawiać o tym przez telefon?

— Wątpię.

— Więc może powinniśmy się spotkać?

* *

Wjechała na parking supermarketu w Bradley Stoke, przedmieściu na

południowo-wschodnim krańcu Bristolu. Po pięciu minutach minął ją biały fiat panda z Tarą za kierownicą. Dziennikarka zauważyła Jenny, zaparkowała naprzeciwko i podeszła, kuśtykając. Lewa połowa jej twarzy była spuchnięta. Jenny pochyliła się i otworzyła drzwi pasażera.

Tara wsiadła z pewnym wysiłkiem.

— Zrobiłam sobie coś w biodro, kiedy upadłam.

— Pani twarz też nie wygląda najlepiej.

— Tak, przez parę tygodni nie mam szans na podryw. — Posłała Jenny bolesny półuśmiech.

Jenny zastanawiała się, czy Tara woli mężczyzn, czy kobiety. Instynkt podpowiadał jej, że to drugie. Nie miała w sobie ani odrobiny kobiecości i wyczuwało się w niej ten dystans typowy dla lesbijek — emocjonalnie zawsze na odległość.

— Szkoda, że pani nie powiedziała, nie ciągnęłabym tu pani.

— Cieszę się, że wyszłam z domu. Odkąd usłyszałam zarzuty, jestem na płatnym urlopie — odparła Tara.

— I tak wygląda w praktyce domniemanie niewinności.

— Kto wymyślił ten mit? Karty kredytowe też mi zablokowali. Policja musiała zawiadomić bank. Dranie. — Przeczesała wzrokiem parking i raz po raz zerknęła w lusterka, wyraźnie podenerwowana. — Czego nie mogła pani powiedzieć przez telefon?

— Chciałam zapytać o tę dziewczynę, Hayley Johnson. O ile wiem, policja jeszcze do niej nie dotarła.

— Spotkałam ją tylko raz. Polowała na klientów w Broadlands.

— Co jeszcze pani o niej wie?

— Szesnaście lat. Mulatka. Zdaje się, że mówiła, że pochodzi z Plymouth.

— I znała Katy?

— Podobno parę razy widziała, jak Katy wsiadała i wysiadała z samochodów. Rozmawiały ze sobą, nic znaczącego.

— Kiedy ją pani odnalazła?

— Jakieś dziesięć dni temu, ale twierdziła, że nie widziała Katy po jej

wyjściu z Portshead.

— Wierzy jej pani?

— Nie wiem. Była jakaś nerwowa, chyba nie uwierzyła, że nie jestem z policji.

— Jak ją pani namierzyła?

— Po prostu jeżdżąc po ulicach. Lubię poznawać teren.

— Chciałabym z nią porozmawiać. Może mi powie, czy Katy miała stałych klientów i jakimi samochodami jeżdżą.

— Szuka pani konkretnego samochodu?

— Może.

Tara spojrzała na Jenny z wyrzutem, dając do zrozumienia, że powinna jej okazać większe zaufanie.

— O ile wiem — powiedziała Jenny — policja szuka vauxhalla vectry, czarnego albo granatowego.

Tara milczała chwilę, jakby chciała uświadomić Jenny, że to ona do niej przyszła.

— Niełatwo było znaleźć Hayley — rzekła wreszcie. — Próbowałam zdobyć jej zaufanie.

— Myśli pani, że da radę znaleźć ją ponownie?

— To zależy. — Spojrzała na Jenny badawczo. — Co pani robi w sprawie Danny'ego Willsa?

— Jak mogę zaufać kobiecie, która groziła ujawnieniem moich danych medycznych?

Tara odwróciła wzrok, uznając swoją winę.

— Wtedy nie sądziłam, że panią polubię.

Jenny postanowiła zignorować oczywisty podtekst.

— Wracam do tej sprawy — odparła. — Jeśli się uda, w poniedziałek rano na nowo otwieram przewód.

Tara była zaskoczona.

— Źle panią oceniłam — przyznała.

* *

Kancelaria Sądu Najwyższego zapewniła nie tylko szybkie rozpatrzenie wniosku, ale i przeprowadzenie procedury w bristolskiej delegaturze sądu w piątek o dziewiątej trzydzieści, pół godziny przed zwykłą porą urzędowania. Jenny spodziewała się armii prawników reprezentujących koronę i UKAM; tymczasem z UKAM nie zjawił się nikt, a korona przysłała tylko najtańszego adwokacine niższego szczebla. Jej zespół składał się z młodego urzędnika ze skromnej kancelarii prawnej, którą wynajęła, i z bardzo przejętej i równie młodej adwokat, wyglądającej, jakby całą noc wkuwała przepisy prawa koronerskiego. Na widowni siedział jeden reporter.

Sędzia Aden Chilton, nadęty snob, z którym ścierała się wiele razy podczas rozpraw o prawa do opieki, ledwie na nią spojrział. Powiedział, że czytał wniosek koronera i zamierza się do niego przychylić, jeśli korona nie ma obiekcji. Przedstawiciel korony pokręcił głową, mruknął: „Nie, Wysoki Sądzie”, i było po sprawie. Jenny popatrzyła na reportera i zobaczyła, że ziewa po raz enty, nawet nie fatygując się, żeby cokolwiek zanotować.

Wyszła z sali i pożegnała się ze swoimi zdumionymi adwokatami, rozczarowana i pełna podejrzeń. System, który potrafił całymi miesiącami trzymać w niepewności rodziny czekające na rozprawę o przyznanie opieki, jakimś cudem spełnił jej prośbę w niespełna siedemdziesiąt dwie godziny. Wszystko to wydawało się zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

* *

Dla przyzwoitości poleciła Alison z półgodzinnym wyprzedzeniem zawiadomić personel Portshead Farm o jej wizycie, a także wysłać faksem kopię orzeczenia Sądu Najwyższego do sekretariatu dyrektorki. Koronerzy bardzo rzadko oglądali miejsce śmierci, a jeszcze rzadziej zjawiali się gdziekolwiek bez umawiania terminu — ale działała w granicach swoich uprawnień. Jako koroner prowadzący dochodzenie mogła żądać — w razie potrzeby nawet z pomocą policji — pełnej współpracy wszystkich potencjalnych świadków i miała nieograniczony dostęp do wszystkich

dowodów związanych ze sprawą. Ostatnie dwa wieczory ślęczała nad książkami, aż zyskała całkowitą pewność co do swoich praw: Portshead Farm nie miało innego wyjścia, jak otworzyć przed nią drzwi.

Jechała do zakładu w gęstej zimnej mżawce — pogoda praktycznie nie zmieniała się od miesiąca. Gdy dotarła na miejsce, przy solidnej żelaznej bramie pilnowanej przez obiektyw kamer na wysokich masztach nie było żywej duszy. Zza zewnętrznego betonowego muru widać było tylko dachy budynków. Mały kawałek miejskiego piekła na angielskiej wsi, pomyślała.

Wcisnęła dzwonek, ale nie doczekała się odpowiedzi. Dopiero po czwartej próbie usłyszała w domofonie męski głos żądający podania nazwiska i celu wizyty.

— Jenny Cooper, koroner dystryktu Severn Vale. Przyszłam zobaczyć się z panią dyrektorką.

Cisza. Po kilku chwilach głos znów się odezwał:

— Na liście odwiedzających nie ma pani nazwiska. Musi pani zadzwonić do sekretariatu i się umówić.

— Jestem przedstawicielem wymiaru sprawiedliwości i przychodzę tu z urzędu. Dyrektorka została powiadomiona o mojej wizycie.

— Nie wejdzie pani nieumówiona. — Klik. Połączenie zostało przerwane.

Jenny naciskała dzwonek przez całe pięć sekund, zanim głos rozległ się ponownie.

— Słyszała pani, jaka jest procedura — oznajmił mężczyzna.

Siląc się na spokój, Jenny powiedziała:

— Proszę posłuchać, kimkolwiek pan jest. Niech pan zadzwoni do gabinetu dyrektorki i zawiadomi ją, że przyszła koroner Cooper. Albo za dwie minuty znajdę się po drugiej stronie tej bramy, albo będzie pan jadł lunch w areszcie.

Pauza. I kolejne kliknięcie.

Jenny czekała pod bramą, czując, jak łyknięta wcześniej pigułka przestaje działać. A nie mogła zażyć drugiej tutaj, pod okiem kamer. Po pięciu minutach brama się otworzyła. Stała w niej mniej więcej czterdziestoletnia kobieta ubrana w czarny dobrze skrojony kostium.

Przywitała Jenny sztywnym:

— Dzień dobry, pani Cooper. Elaine Lewis. W czym mogę pomóc? — Akcent zza Atlantyku wyjaśniał jej staranną fryzurę i dość ostry makijaż. Amerykanka. Najwyraźniej nie miała zamiaru wpuszczać Jenny do środka.

— Mam nadzieję, że odebrała pani telefon mojej asystentki i kopię orzeczenia sądu wydanego dziś rano?

— Dosłownie przed chwilą. Byłam na zebraniu.

— Przyszłam obejrzyć miejsce śmierci. — Jenny weszła za bramę. — Proszę z łaski swojej polecić komuś, żeby mnie oprowadził.

— Cały personel jest zajęty. Mamy tu mnóstwo pracy.

— Więc może pani sama się pofatyguje? Na potrzeby dochodzenia muszę szczegółowo poznać wszystkie procedury, jakim był poddany Danny Wills.

— Te informacje już zostały przekazane.

— Prowadzę nowe dochodzenie, pani Lewis. I zaczyna się ono tu, w tej chwili.

— Obawiam się, że nie podoba mi się pani ton — powiedziała Elaine Lewis.

— Nie musi. Ma pani prawny obowiązek dostarczyć wszystkie dowody, o jakie poproszę, a także umożliwić mi pełną inspekcję terenu zakładu.

— To dla mnie nowość. Muszę porozmawiać z naszymi prawnikami.

— Wolałabym się rozejrzeć bez konieczności wzywania policyjnej eskorty, ale jeśli pani chce to załatwić w ten sposób, wybór należy do pani.

— Jenny uśmiechnęła się dobrotliwie.

Elaine Lewis rzuciła lodowato:

— Sprawdzę, czy moja sekretarka jest wolna.

Odwróciła się i ruszyła szybkim krokiem, dając ręką sygnał do jednej z kamer. Jenny szła za nią we własnym tempie, słysząc za plecami szcęk zamykanej bramy.

Elaine przeciągnęła kartę magnetyczną przez czytnik i weszły do oddziału przyjęć, piętrowego budynku z cegły. Na lewo znajdowały się solidne stalowe drzwi z okienkiem obserwacyjnym i tabliczką „Przyjęcia

osadzonych”. Jenny dostrzegła przez okienko chłopaka, sądząc z wyglądu, najwyżej trzynastoletniego.

— Proszę poczekać tutaj. Zaraz ktoś do pani zejdzie — powiedziała Elaine Lewis i wyszła przez drzwi z czytnikami prowadzące do korytarza po prawej. Widniały na nich tabliczki z napisami „Administracja”, „Ochrona” i „Dyrektor”.

Jenny pozostała uwięziona w pustym holu. Przed nią znajdowały się drzwi prowadzące na prostokątny dziedziniec, wokół którego wznosiła się reszta budynków zakładu, ale i te otwierały się na magnetyczny identyfikator.

Nie cierpiała zamkniętej przestrzeni i wkrótce poczuła pierwsze oznaki klaustrofobii. Powiodła wzrokiem po ścianach i sufitach, szukając kamer. Dostrzegła tylko jedną, nad drzwiami na dziedziniec. Odwróciła się plecami do niej, sięgnęła do torebki i wśród garści drobnych w zasuwanej kieszonce znalazła temazepam. Zakaszłała, uniosła dłoń do ust i połknęła tabletkę.

Niepokój zelżał już w chwili, gdy poczuła ją na języku. Po kolejnych paru chwilach jej serce zaczęło zwalniać. Stanęła na wprost stalowych drzwi i zerknęła przez okratowane okienko. Zobaczyła trzech chłopców oraz pielęgniarkę i pielęgniarza, oboje w typowych dla więzień starannie zapiętych bluzach, których nie dało się łatwo chwycić. Dwaj chłopcy o azjatyckich rysach, w wieku czternastu czy piętnastu lat, siedzieli na plastikowych krzesłach i wygłupiali się, a młodszy, biały, był akurat badany. Pielęgniarz zaglądał mu do uszu, a pielęgniarka zadawała pytania, które czytała z formularza. Wyglądała na zniecierpliwioną odpowiedziami, bo on jakby nie rozumiał, co do niego mówi. Niezadowolony, że ktoś dłużej mu w uchu, chłopak szarpnął głowę w bok; pielęgniarz chwycił ją mięsistą łapą i unieruchomił.

Drzwi do korytarza administracji otworzyły się i wyszła z nich otyła młoda kobieta o znudzonej twarzy. Powiedziała, że ma na imię Sue i że pani Lewis kazała jej oprowadzić gościa.

Za kogo oni się uważają? — pomyślała Jenny.

— Jestem koronerem i przeprowadzam oficjalną inspekcję — wyjaśniła

kobiecie. — Muszę mieć pełny dostęp do całego terenu zakładu. Zaczniemy od męskiego oddziału mieszkalnego.

Sue spojrzała na nią kamiennym wzrokiem i ciężko ruszyła do drzwi prowadzących na dziedziniec.

Oddział mieszkalny był długim parterowym budynkiem z czterdziestoma pokojami wielkości pudełka zapalek, po dwadzieścia po każdej stronie korytarza. Na jednym końcu znajdowały się zatęchły pokój socjalny personelu i świetlica z telewizorem, a na drugim — toalety i wspólne prysznice. W każdym pokoiku było łóżko, stalowa szafka, stalowy sedes, plastikowe krzesło i stolik. Wszystkie meble, z wyjątkiem krzesła, zostały przymocowane do podłogi. Okna cel były zamknięte na stałe i okratowane. Jakikolwiek rzeczy osobiste — na przykład plakaty czy radio — znajdowały się tylko w nielicznych „pokojach”. Sue, której komunikowanie się sprawiało wyraźny kłopot, powiedziała, że to ma związek z systemem przywilejów. Aby dostać radio, trzeba było dotrzeć do złotego, czyli najwyższego poziomu.

Trwały jeszcze lekcje, więc w budynku nie było nikogo z wyjątkiem dwóch polskich sprzątaczek. Jenny spojrzała na sufit i zobaczyła czarne kopułki kamer monitoringu. Sue wyjaśniła, że monitory znajdują się w pokoju w korytarzu administracji, obok gabinetu dyrektorki. Nie potrafiła powiedzieć, ile osób miało dyżur tamtej nocy, kiedy umarł Danny.

Jenny zajrzała przez szybę ze zbrojonego szkła do pokoju, w którym go znaleziono. Miał wymiary trzy na dwa metry. Na lewo od drzwi stało łóżko i szafa; między jej bokiem a oknem pozostawało najwyżej trzydzieści centymetrów wolnej przestrzeni. Sedes znajdował się w kącie po prawej; siedząc na nim, patrzyło się na drzwi. Gdyby nawet ciało Danny'ego wisiało z lewej strony kraty, częściowo zasłonięte szafą, trzeba by być ślepym, żeby nie zauważyć go z korytarza.

Przeszły na oddział żeński. Rozkład pomieszczeń był identyczny; tylko kabiny w toalecie zaopatrzone w drzwi na tyle wysokie, by zapewnić odrobinę intymności, a prysznice miały ścianki działowe. W Portshead nie istniało coś takiego jak prywatność, nie było tu żadnego miejsca, w którym dziecko mogłoby się schować czy choćby pomarzyć.

Znów przecięły dziedziniec i dotarły do oddziału szkolnego. Około osiemdziesięciu osadzonych podzielono na cztery klasy. Jenny zajrzała przez okienka w drzwiach: dzieciaki ubrane w identyczne granatowe kombinezony i czarne tenisówki niechętnie reagowały na polecenia nauczycieli. Wręcz czuło się ich energię, buntowniczą i wrogą.

Sue opierała się z założonymi rękami o futrynę, gdy Jenny oglądała stołówkę. Składane stoły i ławy wbudowano w jedną ze ścian, bo pomieszczenie służyło także jako sala gimnastyczna. Przez okienko kuchni widać było dwie kobiety. Rozmawiały ze sobą w jakimś wschodnioeuropejskim języku, podgrzewając mrożone posiłki, które podawano na czerwonych wytłaczanych tackach: duże zagłębienie na danie główne i małe na deser. Kubki i sztućce były wykonane z tego samego plastiku.

Jenny zauważyła, jak spod kuchennego zlewu wynurza się mężczyzna z kluczem francuskim w dłoni. Był ostrzyżony najeża i miał okrągłą, pełną twarz. Przypomniała sobie o konserwatorze, który znalazł ciało Danny'ego.

Podeszła do okienka.

— Pan Smirski? — spytała.

Mężczyzna się rozejrzał. W końcu dostrzegł Jenny, która posłała mu rozbijający uśmiech.

— Nie, przykro mi — mówił z twardym akcentem, chyba polskim.

— A czy może mi pan powiedzieć, gdzie go znajdę?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— Wrócił do Polski.

— Kiedy?

Spojrzał na nią nieufnie.

— Jestem koronerem — wyjaśniła Jenny. — Muszę mu zadać kilka pytań na temat chłopca, który zginął tutaj parę tygodni temu.

Mężczyzna powiedział coś po polsku do kucharek, które nagle zaczęły dyskutować z ożywieniem. Jenny usłyszała kroki Sue. Zapewne sekretarka postanowiła sprawdzić, co to za zamieszanie.

— Wiem, że pracował tutaj jeszcze miesiąc temu — zwróciła się do

kobiet.

Jedna z nich chyba przekonała drugą, bo zamieniła kilka słów z mężczyzną, który następnie powiedział Jenny, że Smirski wyjechał jakieś trzy tygodnie temu.

— A czy wiecie, dlaczego?

Mężczyzna przetłumaczył, ale kobiety pokręciły głowami. On chyba też nie wiedział, bo rzekł tylko:

— Polacy przyjeżdżają i odjeżdżają. Tak to już jest.

Sue stanęła u boku Jenny.

— Wszystko w porządku?

— Chciałabym odebrać zeznania od waszego personelu. Muszę porozmawiać z Janem Smirskim, był tu w kwietniu konserwatorem.

— Personel techniczny jest zatrudniany przez firmę zewnętrzną. Musi pani zwrócić się do nich.

— Tak zrobię.

Ostatnim przystankiem był oddział medyczny. Pielęgniarka siedząca za biurkiem w recepcji czytała jakieś kolorowe czasopismo. Kiedy Sue zadzwoniła do drzwi, wcisnęła guzik zamka, by je wpuścić. Była wyraźnie zirytowana, że oderwano ją od plotek o gwiazdach. Zanim Sue zdążyła cokolwiek powiedzieć, Jenny przedstawiła się i zapytała, czy rozmawia z siostrą Lindą Raven, która badała Danny'ego Willsa po przyjęciu.

Pielęgniarka, choć dobiegała czterdziestki, byłaby całkiem ładna, gdyby nie zimne szare oczy i usta zaciśnięte w wąską kreskę. Powiedziała, że tak, to ona badała Willsa, po czym sięgnęła pod biurko i wyjęła teczkę Danny'ego. Jenny niespiesznie zapoznała się z zawartością, nie przejmując się, że siostra Raven i Sue czekają w milczeniu. Dokładnie przeczytała kartę prowadzoną podczas pobytu Danny'ego w celi obserwacyjnej. Wpisy, dokonywane co pół godziny, były krótkie. Typowy brzmiał: „Osadzony siedzi na pryczy. Zareagował na pozdrowienie”. Chciała zadać pielęgniarce mnóstwo pytań, ale postanowiła poczekać z tym do rozprawy. Niech siostra Raven trochę się pomęczy w niepewności.

Zamknęła teczkę i wetknęła ją pod pachę.

— Chciałabym zobaczyć celę, w której był przetrzymywany Danny — powiedziała.

Siostra Raven spojrzała na Sue, która tylko uniosła brwi. Co mogła zrobić? Pielęgniarka wzięła swój identyfikator i przeciągnęła przez czytnik, otwierając stalowe drzwi, prowadzące do korytarza bez okien. Po prawej stronie był rząd sześciu cel, każda z okienkiem obserwacyjnym i tabliczką, na której mazakiem wpisywało się nazwisko lokatora. Było tu gorąco, śmierdziało środkiem dezynfekcyjnym i niemytymi ciałami. Pielęgniarz, którego Jenny widziała wcześniej, siedział w oszklonej dyżurce w głębi korytarza i gapił się w mały telewizor.

— Ile osób tu przebywa? — spytała Jenny.

— W tej chwili tylko jedna.

Jenny ruszyła wzdłuż rzędu cel. Trzy pierwsze były puste. W czwartej zobaczyła czarnego chłopca ubranego w papierową koszulę sięgającą do kolan. Był bosy, a koszula nie miała rękawów. Na podłodze, obok sedesu, stała metalowa tacka z nietkniętym jedzeniem. Chłopak miał wzrost dorosłego mężczyzny, ale rysy wciąż dziecięce i gładką cerę. Leżał na pryczy nieruchomy jak posąg, z rękami złożonymi na brzuchu, gapiąc się w sufit spod przymkniętych powiek. Na tabliczce widniało nazwisko: „Leonard Medway”.

— Czy został zbadany przez psychiatrę? — spytała Jenny.

— Tak — odparła siostra Raven. — Mamy już porozumienie w sprawie kontraktów. Chłopak dostaje leki przeciwdepresyjne.

— Co jest z nim nie tak?

— Próbował popełnić samobójstwo w policyjnym areszcie.

— Za co tu trafił?

— Ma na koncie około dwudziestu pięciu kradzieży i pobicie funkcjonariusza policji.

— Czemu nie jest w kaftanie, jaki miał Danny Wills?

— Zakładamy je tylko tym, którzy próbują sobie zrobić krzywdę. Leonard nie sprawia kłopotów.

Chłopak podciągnął koszulę i zaczął się masturbować. Jenny odwróciła

wzrok. Sue i siostra Raven obserwowały go chwilę.

— Chyba nie jest w aż takiej depresji — powiedziała Sue.

Rozdział 17

Jenny opuściła Portshead Farm z uczuciem frustracji, która w drodze do miasta powoli przemieniała się we wściekłość. Klęła na samochody zmieniające pasy i trąbiła na kierowców zwalniających przed światłami. Miała gdzieś, czy ją słyszą albo widzą jej gesty w lusterku. Pieprzyć ich. Pieprzyć wszystkich.

Ulżyło jej, gdy wreszcie dała upust złości. Przez całą „wycieczkę” po zakładzie miała ochotę walnąć tę tłustą, tępą Sue i wykrzyzczyć jej w twarz: „Czy nie widzisz, że trzymacie tu dzieciaki, które miały pecha, bo urodziły je matki takie jak Simone Wills? I co z nimi robicie? Upokarzacie je, zmieniając w zgorzkniałych, pełnych agresji młodych ludzi, którzy chcą tylko wyżyć się na kimkolwiek”. Widok tego dupka z ochrony, nadętej Elaine Lewis i pielęgniarki, która sprostytuowała swój zawód, by zostać klawiszem, przywołał wspomnienia całych lat bezsilnej furii. Przed jej oczyma przewijały się dziesiątki dawno zapomnianych twarzy: leniwych pracowników socjalnych, którzy zostawiali dzieci na całą noc w areszcie; pracowników domów opieki, którzy odwracali wzrok, kiedy ich koledzy maltretowali nastolatków; sędziów, którzy nie odważyli się skrytykować systemu, nawet jeśli jego błędy prowadziły do przemocy i śmierci. Parkując, stuknęła samochód z tyłu i usłyszała, że coś pękło, ale miała to w nosie. Gdyby teraz ktoś wszedł jej w drogę, pewnie dostałby w nos.

Wpadła z hukiem do biura i natychmiast zaczęła wydawać polecenia Alison. Przewód zostanie otwarty w poniedziałek, Simone Wills musi być poinformowana natychmiast. Elaine Lewis, siostra Raven, Darren Hogg (operator kamer monitoringu) i opiekunowie z męskiego oddziału mają dostać wezwania na rozprawę. Elaine Lewis musi dostarczyć informacje o miejscu pobytu Jana Smirskiego oraz dane osadzonych zajmujących pokoje sąsiadujące z pokojem Danny’ego. Firma serwisująca kamery monitoringu

ma przedstawić w sądzie, kiedy dokładnie zgłoszono usterkę kamer na męskim oddziale.

Gdy skończyła, poszła do gabinetu i zajęła się stertą papierów, które zebrały się na jej biurku. Przedzierała się przez każde zgłoszenie i raport z autopsji jak lodołamacz idący pełną parą. Przez całe dwie godziny była niezwyciężona. Nic nie mogło stanąć jej na drodze.

Po południu Alison zapukała do drzwi i przekazała kilka wiadomości. Jenny, wciąż nabuzowana adrenaliną, słuchała niecierpliwie, jakby asystentka marnowała jej czas. Alison znosiła to cierpliwie, nie chcąc jeszcze bardziej drażnić szefowej. Gdy drobiazgi były już z głowy, powiedziała, że z Portshead przyszły dwie wiadomości: dobra i zła. Dobra była taka, że podali adres piętnastoletniego włamywacza Terry'ego Ryana, który zajmował pokój obok Danny'ego. Alison już rozmawiała z jego matką, a ta zapewniła, że Terry przyjdzie w poniedziałek na rozprawę. Zła wiadomość była taka, że firma zatrudniająca Jana Smirskiego nie wiedziała, gdzie się podział. Przed trzema tygodniami złożył wypowiedzenie, twierdząc, że ma ważne sprawy rodzinne w kraju. Nie zostawił adresu. Alison próbowała go namierzyć, ale w Polsce było mnóstwo Janów Smirskich, a tych kilku, do których się dodzwoniła, nie mówiło po angielsku. Jenny kazała jej postarać się bardziej: ma zdobyć od pracodawcy numer jego konta bankowego, zrobić wszystko, co zrobiłby policjant chcący kogoś odnaleźć. Alison kiwnęła głową, trochę urażona. Powiedziała, że dostała też mail od Granthama, który grozi, że odetnie im fundusze, jeśli biuro nie dostarczy rachunków w ciągu siedmiu dni.

— Dlaczego, do cholery, nie mamy księgowego? — warknęła Jenny.

— Bo Grantham za to nie płaci.

— Więc proszę do niego zadzwonić i powiedzieć, że właśnie zatrudniamy księgowego i że ma dać na to pieniądze.

— Wolałabym, żeby pani sama wykonała ten telefon.

— To nie jest prośba, Alison, tylko polecenie służbowe.

— I wolałabym, żeby pani nie zwracała się do mnie tym tonem.

— Jakim tonem?

— Jakbym była służącą. Kiedy pan Marshall prowadził to biuro, nigdy nie

traktował mnie w ten sposób.

Jenny wzięła głęboki wdech.

— Ja pani nie traktuję w żaden sposób, Alison. Ja tylko proszę o wykonanie jednego telefonu. Nie obchodzi mnie, jakie są pani układy z Granthamem. Ta sprawa dotyczy funkcjonowania biura, więc jeśli Grantham weźmie to do siebie, będzie to jego problem, nie pani.

Mina Alison mówiła wyraźnie, że zaraz powie coś, co ciążyło jej od dawna.

— Nie chodzi o niego, pani Cooper. Chodzi o panią. Od samego początku jest pani nieuprzejma, czasami wręcz opryskliwa. Jest pani bardzo konfliktowa, a moim zdaniem ta cecha nie pomaga w pracy.

— Skoro już rozmawiamy szczerze — odparowała Jenny — pani wydaje mi się oporna, z góry źle nastawiona do wszelkich nowych pomysłów i do mnie jako nowego szefa.

— Nieszczególnie się pani starała, żeby to było przyjemne doświadczenie.

— Może dlatego, że pracuję tu już dwa tygodnie i przez ten czas nie robię nic oprócz odgarniania tej kupy gnoju, którą zostawił mi Marshall.

— To pani wybór, pani Cooper.

Jenny straciła panowanie nad sobą.

— Czyżby? Więc według pani powinnam tak to zostawić? Udawać, że Marshall wykonał dobrą robotę? Nie obchodzi mnie, co pani do niego czuła. Był nierzetelny, na litość boską.

— Niech pani już łyknie tę cholerną pigułkę — mruknęła Alison i chwyciła za klamkę.

— Co pani powiedziała?

Alison obróciła się na pięcie.

— To oczywiste, że pani sobie nie radzi. Wszyscy wiedzą, że odeszła pani z poprzedniej pracy, bo pani odbiło. — Wyszła, trzaskając głośno drzwiami.

— Proszę tu wrócić i przeprosić albo jest pani zwolniona! — zawołała Jenny.

Alison nie wróciła. Jenny słyszała, jak asystentka zabiera swoje rzeczy, a potem wychodzi na korytarz.

I co z tego? Poradzę sobie bez niej, pomyślała. Miała już dość ludzi, którzy ciągle mówią, czego jej nie wolno.

* *

Dochodziła północ. Jenny spędziła cały wieczór, ślęcząc nad aktami Danny'ego Willsa, układając pytania na rozprawę i szukając luk, których Elaine Lewis nie będzie w stanie wypełnić. Nie miała cienia wątpliwości, że przewód skończy się orzeczeniem śmierci z powodu rażącego zaniedbania i niedostatecznej opieki. Takie orzeczenie postawi dyrektorkę zakładu i jej personel pod pręgierzem opinii publicznej. Ktoś zacznie zadawać pytania w parlamencie, padną zarzuty kryminalne. Natomiast jej nazwisko stanie się synonimem nieustraszonej walki o prawdę i sprawiedliwość. To nieważne, że syn ją odrzucił, a pierwszy mężczyzna, z jakim przespała się od dwóch lat, nawet się do niej nie odezwał. Nic nie zdoła nią zachwiać.

Nalała sobie pół szklaneczki wódki z lodem i wypła przy biurku, logując się na konto pocztowe. Od taniej linii lotniczej dostała odpowiedź z informacją, że Jan Smirski kupił bilet w jedną stronę do Poznania na trzydziestego maja, nie udało się jednak ustalić adresu. Pan Mason z Sectec Ltd potwierdził, że zjawi się w sądzie w poniedziałek, Ruth Turner także obiecała przyjść. Jenny sprawdziła swoje prawne możliwości sprowadzania świadków z zagranicy. Procedura była skomplikowana i wymagała złożenia wniosku poprzez sąd cywilny, którego uprawnienia, w przeciwieństwie do koronerskich, obejmowały całą Unię Europejską. Uzyskanie zeznań od Smirskiego mogło trwać całe tygodnie, postanowiła więc zacząć bez niego. Gdyby dowody okazały się nie dość mocne, zawsze mogła odroczyć sprawę i go odszukać.

Pracowała z furją, przerywając tylko po to, żeby dolać sobie wódki. Gdy po drugiej alkohol wreszcie wygrał z bitewnym ferworem, powlokła się na górę do łóżka.

* *

Znów miała sen o szczelinie w ścianie swojego dziecięcego pokoju. Tym razem był bardziej szczegółowy: w szczelinie majaczyła jakaś postać. Jenny nie widziała jej dokładnie, ale bała się, że to mężczyzna o groteskowo wykrzywionej twarzy, który lada chwila zawoła ją w ciemność, a potem zamknie za nią ścianę i nikt się nigdy nie dowie, dokąd poszła. Spojrzała w stronę drzwi, za którymi było bezpieczeństwo — rodzice — i znowu na ścianę. Widziała, jak postać zbliża się do szczeliny, słyszała szuranie jej stóp między krokwiemi. Próbowwała uciec, ale jej nogi były jak wrośnięte w podłogę.

Obudziła się złana potem, Po paru minutach zdołała opanować panikę. Ponownie zapadła w sen, jeszcze bardziej koszmarny od poprzedniego. Musiała przekazać Davidowi straszną wiadomość, że Ross nie żyje. Przepęłniała ją rozpacz tak ogromna, że wręcz niewyobrażalna, ale to było nic w porównaniu ze strachem przed rozmową z mężem. Wciąż unikała tematu, wymyślała coraz mniej prawdopodobne bajeczki, dlaczego ich syn nie wrócił do domu. Kiedy wreszcie zebrała się na odwagę, David zamienił się w jej przyjaciółkę ze studiów, Cathy, która wciąż miała dwadzieścia jeden lat, blond włosy i była prześliczna. Jenny, uradowana tym spotkaniem, już miała powiedzieć przyjaciółce, jak pięknie wygląda, ale nagle uświadomiła sobie, że Cathy od dawna nie żyje. Popęłniła samobójstwo, rzucając się pod pociąg. „Przecież ty nie żyjesz” — powiedziała, Cathy patrzyła na nią ze zdumieniem i powtarzała: „Co ty mówisz? Co ty mówisz?”

Rano Jenny była przygnębiona i otępiała. Wzięła prysznic, zjadła śniadanie i wypila cztery filiżanki kawy, nadal jednak czuła się, jakby jej mózg zardzewiał. Wyszła do ogrodu, ale widok zasnutego ołowianymi chmurami nieba tylko pogłębiał ponury nastrój. Ciągle myślała o Cathy i o jej ponurych nastrojach, które brała za napięcie przedmiesiączkowe.

Doktor Travis tłumaczył jej kiedyś, że przerażające obrazy produkowane przez mózg same w sobie nic nie znaczą, ale są sygnałem ostrzegawczym przed przeciążeniem umysłu. Próbowwała uspokoić się myślą, że chociaż żyje w stresie, teraz jest o wiele silniejsza. Pogodziła się z rozpadem małżeństwa,

zmieniła swoje życie i wreszcie wie, dokąd zmierza. To, co czuje, to tylko wstrząsy wtórne. Powinna rzucić się w to głową naprzód, zaangażować bez reszty w dochodzenie i wynurzyć triumfalnie po drugiej stronie.

Wróciła do kuchni, połknęła temazepam i zaparzyła sobie ziołową herbatę. Kiedy o trzeciej po południu wreszcie oderwała się od pracy, duchów już nie było.

* *

Alison w ciemnym kostiumie, białej bluzce i ze zgrabną aktówką pod pachą czekała na Jenny przed salą, którą zabukowało dla nich ministerstwo.

— Nie odzywała się pani, więc uznałam, że powinnam przyjść i zapytać, czy moja obecność na rozprawie jest pożądana.

— Powinniśmy przedyskutować parę spraw, nie sądzi pani?

— Teraz?

— To nie jest odpowiedni moment. Spotkamy się w biurze po dzisiejszym posiedzeniu.

— Jak pani sobie życzy. Będę pani potrzebna na rozprawie?

Jenny widziała, że Alison z trudem zachowuje spokój.

— Gdzie pani słyszała te plotki o mnie? — spytała.

— W bristolskim biurze koronera wiedzieli o pani wszystko, jeszcze zanim się pani zjawiała. Pan Hamer, zastępca dyrektora, powiedział mi, że wzięła pani urlop zdrowotny po rozwodzie.

— A Grantham?

— Z tego, co wiem, był naciskany, żeby przyjąć pani kandydaturę.

— Przez kogo?

— Ma pani opinię dobrej prawniczki, a ministerstwo chce więcej kobiet koronerów.

— Rozumiem.

Wreszcie się wyjaśniło, dlaczego otrzymała to stanowisko. Jej szefowie z północnego Somerset pogadali, z kim trzeba, żeby zainstalować ją na pewnej posadzie. Zagrali kartą parytetu płci, więc Grantham i jego koledzy z magistratu musieli się zgodzić. To nie miało nic wspólnego z jej atutami — to

była nagroda za długą, źle płatną służbę państwowego adwokata. Nikt nie powiedział jej ani słowa, ale zarówno lokalne władze, jak i ministerstwo na pewno spodziewali się, że nowa koroner zrozumie swoją sytuację i nie będzie się wychylać. A gdyby nie tańczyła, jak oni zagrają, zawsze mogą odpalić bombę jej psychiatrycznej historii i po prostu ją usunąć. Krótko mówiąc — sądzą, że mają ją na smyczy.

— Czy mam przygotować salę, pani Cooper? — spytała Alison.

— Tak — odparła Jenny.

Alison ruszyła do drzwi. Zanim weszła do sali, powiedziała:

— W sprawie Katy Taylor nie pojawiło się nic nowego. W ten weekend było morderstwo i kilka gwałtów, więc śledczy mają mnóstwo roboty.

* *

Sala była nieduża, ale nowocześnie wyposażona. Jenny usiadła w wielkim obrotowym fotelu na dość wysokim podwyższeniu. Nie czuła się przez to ważniejsza — raczej bardziej odpowiedzialna jako przedstawicielka władzy. W wiejskiej świetlicy panowała swojska atmosfera; tutaj siedziała pod królewskim herbem, otoczona wszelkimi insygniami urzędu.

Spojrzała na wypełnione po brzegi ławki dla publiczności. Miejsca w pierwszym rzędzie zajęły Simone Wills i kilka jej przyjaciółek w strojach odsłaniających sporo tatuowanego ciała. Za nimi siedziała Tara Collins i reporterzy, którzy nie zmieścili się na osobnej ławce dla przedstawicieli mediów. Dziennikarzy było ponad dwudziestu. Jenny dostrzegła też kobietę w średnim wieku i odrobinę młodszego od niej, dość atrakcyjnego mężczyznę — oboje w ciemnych, oficjalnych strojach. Domyśliła się, że to urzędnicy z ministerstwa, których przysłano, by ocenili jej rzetelność i bezstronność. W ławie adwokackiej jako przedstawiciel UKAM Secure Solutions siedział jej stary znajomy mecenas Hartley, najwidoczniej stały uczestnik bristolskich rozpraw. Tym razem jego mocodawcą był młody rudzielec, ledwo widoczny zza sterty segregatorów z nazwą znanej londyńskiej kancelarii. Za nimi siedziało kilku krawacıarzy z UKAM, korporacyjnych urzędasów w prążkowanych koszulach i z opalenizną z pól golfowych. Rodzinę Willsów

reprezentował wystraszony dwudziestoparoletni aplikant Stephen Cummings, który zjawił się tu pro bono. Wśród ośmiorga przysięgłych sędziów było kilka kompletnych dziwadeł. Jenny podejrzewała, że lepszych zgarnęli cwani woźni sądowi z innych sal.

Pewna swoich nerwów dzięki trzydziestu miligramom temazepamu otworzyła przewód. Przedstawiła okoliczności śmierci Danny'ego Willsa. Wyjaśniła przysięgłym, że z powodu kremacji jego ciało nie mogło być ponownie zbadane przez patologa, będą więc musieli się opierać na raporcie doktora Petersona, który stwierdził, że chłopiec zmarł wskutek zaduszenia, powieszony na pętli z prześcieradła na kracie okna w swojej celi. Ich zadaniem jest wysłuchanie zeznań świadków i ustalenie na tej podstawie przyczyny śmierci Danny'ego. Mając do wyboru następujące możliwości: wypadek (czyli niezamierzone zdarzenie ze śmiertelnym skutkiem); nieumyślne spowodowanie śmierci (świadomie podjęte ryzyko, które doprowadziło do zgonu); zabójstwo; brak rozstrzygnięcia (kiedy dowody nie są wystarczające, by doprowadzić do jednoznacznej konkluzji); i rażące zaniedbanie (czyli brak zapewnienia podopiecznemu środków niezbędnych do przeżycia, w tym opieki medycznej).

Na pierwszego świadka Jenny powołała matkę Danny'ego. Simone mówiła niemal szeptem. Cały czas na granicy łez, musiała często przerywać, żeby się opanować. Jenny prowadziła ją za rączkę i zachęcała łagodnie, żeby zwracała się bezpośrednio do przysięgłych. Simone opowiadała o dorastaniu syna, o problemach, jakie miał z jej kolejnymi partnerami, i o tym, jak mimo jej wysiłków zszedł na złą drogę, co w końcu doprowadziło do tragedii. Kiedy mówiła o swoich rozpaczliwych telefonach do biura dyrektorki Portshead Farm, przysięgli byli wyraźnie poruszeni. Gdy stwierdziła, że „po prostu wiedziała”, że z jej synem dzieje się coś niedobrego, jedna z kobiet zaczęła ukradkiem ocierać łzy, a kiedy opisała, jak zobaczyła w drzwiach dwoje policjantów, którzy przyszedli jej przekazać tę straszną wiadomość, płakały już trzy z czterech pań na ławie przysięgłych.

Hartley nie miał pytań, ale złożył Simone swoje najgłębsze kondolencje z taką szczerością, że najbardziej płaczliwa przysięgła zaszlochała na głos.

Ruth Turner, po szalonym rajdzie przez miasto z porannego spotkania, zjawiała się w samą porę, by jako druga zająć miejsce dla świadków. Bez upiększeń, ale ze współczuciem opowiedziała o dysfunkcyjnej rodzinie Willsów. Odmalowała Simone jako ofiarę — młodą kobietę, która próbowała zapewnić bezpieczny dom swoim dzieciom, ale była wystawiana do wiatru przez nieodpowiedzialnych mężczyzn. Opisała jej rozpacz, kiedy sąd dla nieletnich chciał skierować Danny'ego do poprawczaka. Wyjaśniła, że bezskutecznie próbowała wymóc na zespole kuratorskim, by załatwiono mu konsultację psychiatryczną, zanim sąd ogłosi wyrok. Kiedy opowiedziała o swojej rozmowie telefonicznej z siostrą Raven, podczas której dowiedziała się, że Portshead nie dysponuje psychiatrą nawet do oceny dziecka z potencjalnymi skłonnościami samobójczymi, przysięgli zrobili oburzone miny.

Jenny urabiała ich dalej.

— Jest pani pewna, że siostra Raven powiedziała, iż nie ma żadnej możliwości ściągnięcia do Danny'ego psychiatry?

— Powiedziała, że miejscowa kasa chorych odmówiła zapewnienia takiej usługi.

— Ale nic nie stało na przeszkodzie, żeby zarządcy Portshead Farm opłacili lekarza z własnej kieszeni?

— Oczywiście że nie.

— Mimo to Danny Wills, chociaż umieszczono go na trzy dni w celi obserwacyjnej, nie został zbadany przez psychiatrę?

— Zgadza się.

— Co by się stało w państwowym domu dziecka, gdyby któryś z podopiecznych był podejrzewany o myśli samobójcze?

— Zapewniono by mu badanie psychiatryczne tak szybko, jak to tylko możliwe.

— A gdyby tego nie zrobiono?

— Byłoby to rażące zaniedbanie.

— Czy zakład Portshead Farm jest zobligowany do zapewnienia opieki psychiatrycznej?

— To jeden z warunków ich kontraktu z Radą do spraw Przestępczości

Nieletnich. Nie muszą poddawać takiemu badaniu każdego osadzonego, ale jeśli pojawia się problem, mają obowiązek ściągnąć psychiatrę.

Hartley zapytał, czy Danny miał już wcześniej jakieś zaburzenia psychiczne. Ruth odparła, że nie.

— Czemu więc zadzwoniła pani do siostry Raven i nalegała na badanie psychiatryczne?

— Zaniepokoiło mnie to, co mówiła o Danny'm jego matka.

— Czy pani Wills ma kwalifikacje medyczne?

— Nie.

— A może zabrała syna do lekarza pierwszego kontaktu i wyraziła zaniepokojenie jego stanem psychicznym?

— Nie. Ma sześcioro dzieci.

— Ale najstarsze właśnie miało trafić do zakładu zamkniętego. Nie sądzi pani, że gdyby naprawdę się martwiła o Danny'ego, potraktowałaby go priorytetowo?

— Miałyśmy nadzieję, że zespół kuratorski załatwi mu konsultację.

— To by sugerowało — odparł Hartley — że zależało pani raczej na uchronieniu Danny'ego przed zakładem zamkniętym niż na zadbaniu o jego zdrowie psychiczne.

— Może rzeczywiście powinnam była ją namówić, żeby zabrała syna do lekarza — przyznała Ruth.

— Ale pani tego nie zrobiła. A po jednym telefonie do siostry Raven nie nalegała pani więcej. Odpuściła pani, czy tak?

Ruth milczała dłuższą chwilę. W końcu powiedziała:

— Żałuję, że nie działałam bardziej stanowczo, ale z formalnego punktu widzenia Danny przestał być moim podopiecznym, od kiedy znalazł się w zakładzie.

— Tak troszczyła się pani o jego kruche zdrowie psychiczne, że umyła pani ręce?

— Nie. Zrobiłam, co było w mojej mocy, w miarę swoich możliwości czasowych.

Hartley skinął głową.

— Myślę, że każdy z nas może to powiedzieć o sobie.

Gdy zgaszona Ruth Turner opuściła miejsce dla świadków, Jenny poczuła się, jakby patrzyła w otchłań. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że zeznanie opiekunki może zostać wykorzystane do umocnienia pozycji UKAM, tymczasem właśnie tak się stało. Hartley zarzucił Ruth sentymentalny oportunizm, wykazał, że biadoliła na temat psychiatri, chociaż tak naprawdę nie wierzyła, że Danny jest chory. Jego argumentacja dotarła do przysięgłych: kiedy usłyszeli, że Simone nie zabrała Danny'ego do lekarza, zaczęli zerkać na nią oskarżycielsko. Płaczliwa kobieta marszczyła brwi z dezaprobatą, a jej mina mówiła: co z ciebie za matka?

Jenny napiła się wody i kazała zaprzysiąc siostrę Lindę Raven, przekonana, że choć Hartley robi, co może, nie zdoła podważyć tego, co działo się na oddziale mieszkalnym. Nie było żadnego usprawiedliwienia dla faktu, że znaleźli ciało Danny'ego dopiero rano.

Linda Raven odczytała przysięgę z tą samą beznamiętną miną, którą Jenny widziała na oddziale przyjęć. Odpowiadała na pytania z kamienną twarzą, bez śladu poczucia winy. Potwierdziła, że jest przełożoną personelu medycznego, odpowiedzialną za ocenę stanu zdrowia przyjmowanych osadzonych. Pełni tę funkcję od trzech lat, czyli od otwarcia zakładu, a wcześniej przepracowała trzynaście lat w państwowej służbie zdrowia, z czego ostatnie cztery jako oddziałowa w szpitalu Vale, na oddziale urazowym. Na pytanie, dlaczego odeszła ze szpitala, odparła, że skusiły ją wysoka pensja i kierownicze stanowisko.

— Czy może pani opisać, jak wyglądało badanie Danny'ego Willsa? — spytała Jenny.

— Posługujemy się standardowym kwestionariuszem, zaaprobowanym przez Ministerstwo Zdrowia i departament więziennictwa. Pytamy o ogólny stan zdrowia, o ewentualne objawy fizyczne lub psychiczne i o alergie. Sprawdzamy także dane z państwowej służby zdrowia. Jeśli nie mamy do nich dostępu przez Internet, dzwoniemy do odpowiedniej przychodni i rozmawiamy z pielęgniarką albo lekarzem.

— Czy ocena stanu psychicznego jest częścią tej procedury?

— Nie. Jeśli stwierdzamy u kogoś jakieś problemy medyczne, bada go lekarz. Dwa razy w tygodniu mamy dyżury lekarskie w zakładzie, a także umowy na dyżury pod telefonem.

— Ale w tamtym czasie nie było umowy dotyczącej opieki psychiatrycznej.

— Firma, dla której pracuję, ma umowę z państwową służbą zdrowia na wiele usług. W tamtym czasie miejscowa kasa chorych cofnęła finansowanie usług psychiatrów poza wybranymi przychodniami. Zaczęły się negocjacje, które trwały kilka tygodni i podczas których odmówiono zapewnienia etatu. Gdybyśmy nawet poprosili o psychiatrę, nie dostalibyśmy go. — Odpowiedź siostry Raven była dobrze przygotowana i padły w niej sformułowania, których raczej sama nie wymyśliła.

— A czy pani osobiście uznała za wskazane, żeby Danny'ego obejrzał psychiatra?

— Nie. Nie zauważyłam, żeby miał jakieś konkretne problemy. To wszystko jest w jego teczce. Nawet decyzja o umieszczeniu go na obserwacji była dyskusyjna.

— Co panią skłoniło do podjęcia tej decyzji?

— Wszystkich osadzonych, którzy mieli wcześniej kontakt z narkotykami, poddajemy rewizji osobistej, żeby sprawdzić, czy niczego nie mają przy sobie. Kiedy mój kolega próbował zbadać Danny'ego, chłopiec stawiał opór i był agresywny.

— A konkretnie?

— Mam dokładnie powtórzyć słowa, których użył?

— Tak, poproszę.

— Kiedy pielęgniarz Hamilton ostrzegł, że może przeprowadzić rewizję z użyciem siły, Danny powiedział: „Możesz mnie, kurwa, zabić. Prędeziej sam się, kurwa, zabiję, niż pozwolę ci się dotknąć, pedale”. Te słowa należało uznać za groźbę pod własnym adresem. Procedura nakazywała zatrzymać chłopca na trzydobowej obserwacji.

— Czy został w końcu przeszukany?

— Tak.

— Czy użyto siły?

— Dwóch opiekunów przytrzymało go, żeby pielęgniarz Hamilton mógł przeprowadzić rewizję.

— Czy rewizja obejmowała badanie per rectum?

— Tak.

— Jak zareagował na nie Danny?

— Gdy skończyliśmy rewizję, został zamknięty w celi obserwacyjnej, gdzie krzyczał i przeklinał przez kilka godzin, aż w końcu się uspokoił. — Siostra Raven zwróciła się do przysięgłych: — Chcę podkreślić, że po rewizji nie groził więcej, że się zabije.

— Ale jego pierwszą groźbę potraktowaliście na tyle poważnie, żeby go ubrać w watowany kaftan bez rękawów, który ma zapobiegać samouszkodzeniu ciała.

— Był agresywny. To standardowe działanie.

Jenny nie uzyskała od pielęgniarki nic więcej. Z jej zeznań jasno wynikało, że Danny trafił na obserwację wyłącznie dlatego, że zareagował gwałtownie na rewizję osobistą przeprowadzoną przez mężczyznę, i chociaż w kwestionariuszu zakreślono okienko „groźby samobójcze”, tak naprawdę nie było żadnego ryzyka. Przesłuchując siostrę Raven, Hartley podkreślił ten fakt, każąc jej potwierdzić, że nic innego w zachowaniu Danny’ego nie wskazywało na tendencje samobójcze.

Kiedy skończył, Jenny zadała ostatnie pytanie:

— Czy gdyby w tym czasie był dostępny psychiatra, poprosiłaby go pani o zbadanie Danny’ego?

— Wątpię. Po pierwszych kilku godzinach zaczął współpracować. Widać to w dzienniku obserwacji.

— Ale dostała pani telefon od Ruth Turner, opiekunki środowiskowej, która próbowała uzyskać dla niego konsultację psychiatryczną.

— Większość osadzonych ma problemy psychiczne. To dlatego popełniają przestępstwa. Moglibyśmy dać zajęcia dziesięciu psychiatrom. A z mojego doświadczenia wynika, że samobójcy zwykle zachowują swoje plany w tajemnicy.

Sędziowie pokiwali ze zrozumieniem głowami. Na galerii dla publiczności jakaś kobieta w koszulce z błyszczącym napisem „Gwiazda Porno” pocieszała Simone Wills.

Jenny podziękowała siostrze Raven i pozwoliła jej usiąść. Czuła, że grunt coraz bardziej usuwa jej się spod nóg. Po ostatniej odpowiedzi pielęgniarki przypomniała sobie, jak zachowywała się jej przyjaciółka Cathy. Po tygodniowym pijaństwie, podczas którego rzekomo przespała się z dziesięcioma facetami, spędziła kilka dni na dobrowolnej pokucie, wyciszona i pełna skruchy. A potem rzuciła się pod pociąg.

Ogłosiła przerwę na lunch i przeszła do pokoiku na tyłach sali, nazwanego szumnie gabinetem sędziego. Nie pisała się na zdawkowe rozmowy w sądowej stołówce, do której miała przepustkę na czas przewodu. Wolała już zjeść herbatniki, których paczka leżała na przewoźnym barku razem z kilkoma szaszetkami kawy i małym elektrycznym czajnikiem.

Przez całe przedpołudnie do niczego nie doszła. Jakaż była naiwna, sądząc, że będzie inaczej. Harry Marshall działał w tym fachu od lat i nie zdołał nadgryźć UKAM. Pewnie osiem tygodni temu siedział w podobnym pokoju i doszedł do tego samego przygnębiającego wniosku: system został urządzony tak, żeby wszyscy uniknęli odpowiedzialności. Dlatego w ogóle działa. A że umrze dziecko czy dwoje? Kogo to obchodziło, skoro większość przeżywa.

Alison, wciąż lodowata, przyniosła wiadomość od Hartleya. Ważne sprawy służbowe uniemożliwiły Elaine Lewis przyjscie do sądu, prosi więc o zwolnienie i przełożenie przesłuchania na jutro rano. Jenny odparła, że wolałaby zostać zawiadomiona wcześniej, ale w duchu cieszyła się, że nie będzie musiała stawiać czoła dyrektorce tego popołudnia. Już czuła się wykończona.

— Ta pielęgniarka była bardzo pewna siebie — powiedziała Alison. — Myślę, że nad nią pracowali.

— Też tak sędzę.

— Może sposób załatwienia tej sprawy przez pana Marshalla nie wydaje się już pani taki dziwny? — Spojrzała na Jenny znacząco i wyszła z pokoju.

* *

Popołudniowe posiedzenie zaczęło się od przesłuchania Vince'a Masona, kierownika operacyjnego Sectec Ltd. Potwierdzając swoje słowa wydrukami z dziennika działu obsługi klienta, zeznał, że jego firma została zawiadomiona o usterce w Portshead Farm dopiero rankiem czternastego kwietnia, kilka godzin po znalezieniu ciała Danny'ego. Ich kontrakt z UKAM, jak wyjaśnił, obejmuje regularne kontrole systemu co trzy miesiące. Inżynierowie z Sectec Ltd byli w zakładzie dwa tygodnie wcześniej i stwierdzili, że wszystko jest w porządku. Poza tym umowa gwarantowała naprawę bądź wymianę sprzętu w ciągu czterdziestu ośmiu godzin od zgłoszenia usterki, nie wyobrażał więc sobie, aby kamera, której usterkę zgłoszono, mogła być niesprawna przez tydzień.

Hartley, niespeszony pewnością Masona, spytał go, czy to możliwe, żeby zgłoszenie z Portshead Farm zostało przegapione albo zwyczajnie zlekceważone przez personel. Ten odparł, że nie, bo w dzienniku nie ma żadnego zgłoszenia sprzed czternastego kwietnia.

— Klienci zgłaszają usterki również drogą mailową, zgadza się? — dążył Hartley.

— Niektórzy tak.

Hartley podniósł ze stolika dwie kartki i poprosił, żeby Alison jedną podała Masonowi, a drugą pani koroner.

— Czy potwierdza pan, że są to maile ze zgłoszeniem usterki kamery w głównym korytarzu męskiego oddziału mieszkalnego? — zapytał po chwili.

— Tak — odparł Mason.

— Czy zostały wysłane na adres pańskiej firmy?

— Na to wygląda.

— Proszę z łaski swojej odczytać przysięgłym daty wysłania.

Zbity z tropu Mason przyjrzał się dokumentom.

— Tu są daty dziewiąty i czternasty kwietnia, ale trudno mi w to uwierzyć, bo tych zgłoszeń nie ma w naszym dzienniku.

— Twierdzi pan, że wasz dział obsługi klienta nie dostał tych maili?

— Wydaje mi się, że nie.

Hartley zwrócił się do Jenny.

— Pani koroner, czy świadek może zostać zwolniony na chwilę, żeby to ustalić? Może kilka telefonów pozwoli wyjaśnić sytuację.

Jenny zauważyła, że Tara Collins patrzy na nią znacząco; obie wiedziały, co teraz nastąpi.

— Panie Mason, proszę sprawdzić, czy te maile zostały odebrane — powiedziała.

Nie zdziwiła się, kiedy po kilku minutach Mason wrócił na miejsce dla świadków ze zdumioną miną i z informacją, że maile jednak są w ich systemie. Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego nie zostały odnotowane w dzienniku i dlaczego nikt na nie nie zareagował. Nigdy wcześniej się to nie zdarzyło.

— Czy to możliwe, że przysły później z wcześniejszymi datami? — spytała Jenny.

— Nie mam pojęcia. Nie jestem ekspertem od komputerów.

Hartley zareagował natychmiast.

— Nie wiem, co pani sugeruje, pani koroner, ale daty nadesłania maili już dawno zostały uznane w sądach kryminalnych za wiarygodne dowody.

— Ja tu decyduję o wiarygodności dowodów, panie mecenasie. Na razie niczego nie przesądzam. — Kątem oka Jenny zobaczyła, że Tara Collins się uśmiecha.

* *

Darren Hogg wyglądał, jakby całe życie spędził w ciemnym pokoju otoczony monitorami. Miał cerę miłośnika fast foodów, pełną blizn po trądziku, i prezentował swój uniform z dumą, jaką widuje się u młodych policjantów. Urodzony podglądacz o niezdrowych fantazjach, pomyślała Jenny.

— Pełnił pan służbę w pokoju monitoringu czternastego kwietnia nad ranem?

— Tak.

— Jaką część oddziału męskiego pan widział?

— Tylko wejście, pani koroner. Kamera w głównym korytarzu nawaląła od jakiegoś tygodnia.

— Co zostało zrobione w tej sprawie?

— Wysłałem mail do serwisu, a wcześniej zrobił to też mój kolega.

— Jest pan pewien, że pan go wysłał?

— Tak, pani koroner.

— Dlaczego nie zgłosił pan usterki telefonicznie?

— Nie wolno nam używać linii zewnętrznej, chodzi o koszty.

— Czy zgłosił pan awarię dyrektorze?

Zawahał się chwilę.

— Nie, ale chyba kolega zgłosił. On w tamtym tygodniu miał dzienną zmianę.

— Więc nie jest pan pewien?

— Nie.

— Zgodzi się pan, że brak kamery w tym miejscu to nie był zadowalający stan rzeczy?

— Oczywiście. Ale z kamerami ciągle są problemy.

— Jest pan pewien, że nie ma nagrania z tego korytarza z wczesnych godzin rannych czternastego kwietnia?

— Całkowicie.

— Proszę, żeby przed odpowiedzią na następne pytanie dobrze się pan zastanowił, panie Hogg... Czy kiedykolwiek proszono pana o jakiegokolwiek manipulacje przy nagraniach, które mogłyby mieć znaczenie dla tego dochodzenia?

Zastanowił się chwilę i pokręcił głową.

— Nie.

Jenny spojrzała na przysięgłych. Dwóch mężczyzn miało sceptyczne miny.

— Co by pan widział, gdyby kamera działała?

— Niewiele. Tylko opiekuna robiącego nocne obchody.

— Jak często?

— Co pół godziny.

— Opiekun przechodzi przez cały korytarz, zaglądając do każdego okienka, co trzydzieści minut?

— Tak.

— A czy opiekunom zdarza się czasem zdrzemnąć w pokoju socjalnym i opuścić kontrolę?

— Ja czegoś takiego nie widziałem.

— Nigdy?

— Nie.

Dwaj sceptyczni sędziowie uśmiechnęli się. Pozostali wymienili spojrzenia. Wyczuli, że Hogg jest typem człowieka, który sprzedałby własną matkę za możliwość noszenia munduru.

— Jakoś w to nie wierzę, panie Hogg — powiedziała Jenny. — Naprawdę nigdy nie widział pan, żeby opiekun opuścił obchód?

— Nie, pani koroner.

Usłyszała, jak jeden z sędziów mówi:

— Tak, jasne.

* *

Ostatnim świadkiem tego dnia był Kevin Stewart, który miał nocny dyżur w męskim oddziale mieszkalnym. Jasnowłosa, kościsty czterdziestoparolatek z silnym akcentem z Glasgow wyglądał, jakby pożyczył koszulę i marynarkę od starszego brata. Gdy odczytywał przysięgę, Jenny postanowiła, że tego faceta musi przyspilić. Sięgnęła po szklankę z wodą, ale cofnęła dłoń, zauważywszy, że drży. Stewart odłożył kartkę z przysięgą i odwrócił się przodem do niej. Z trudem przełknęła ślinę.

Gładko przebrnęli przez wstępne formalności. Stewart pracował w domach poprawczych i zamkniętych zakładach dla młodzieży od ponad dwudziestu lat, z czego ostatnie dwa spędził w Portshead Farm. Nigdy nie było na niego żadnych skarg. Zwykle pracował na dziennej zmianie, ale z powodu choroby kilku opiekunów w tygodniu, kiedy zmarł Danny, przydzielono mu nocne dyżury. Wiedział, że Danny po przyjęciu przebywał na obserwacji i że potem wychodził z pokoju tylko na posiłki. Stwierdził, że wiele

dzieciaków tak się zachowuje, zwłaszcza te, które trafiają do zakładu po raz pierwszy. Personel pozwalał im się aklimatyzować przez jakiś tydzień; to zwykle wystarczało, żeby nawet najcięższy przypadek znudził się siedzeniem w pokoju.

— Czy pan rozmawiał z Dannym Willsem? — spytała Jenny.

— Dwa razy, kiedy miałem dyżur od dziesiątej. Przychodziłem parę minut wcześniej, żeby pomóc zagonić maruderów do pokoi.

— Czy widział pan go wieczorem trzynastego?

— Tak. Był w swoim pokoju i zgłosił, że jego toaleta jest zapchana. Sprawdziłem. Opróżniła się, ale powoli, wystarczająco dla płynów, ale nie dość dla substancji stałych, rozumie pani. Powiedziałem mu, że zgłoszę to konserwatorowi.

— Na oddziale były tej nocy trzy wolne pokoje. Dlaczego go pan nie przeniósł?

— Bo to nie była awaria, która nie mogłaby poczekać do rana. Uznałem, że sprawa jest niewarta papierkowej roboty.

— Kiedy zawiadomił pan konserwatora?

— Zaraz po zgaszeniu świateł. Zostawiłem mu wiadomość na poczcie głosowej.

— Czy ktokolwiek z personelu rozmawiał z panem o Dannym?

— Dave Whiteside z wieczornej zmiany. Wspomniał, że Danny zaczyna się integrować, że przyszedł wieczorem do świetlicy. To jest w jego teczce, w części „Uwagi”.

Jenny sięgnęła po swoją kopię *Dokumentacji postępów osadzonego*. Wynikało z niej, że Danny spędził dzień w pokoju, wyszedł do stołówki na kolację, a „wieczorem integrował się w świetlicy”. Notatka podpisana była: „D. Whiteside”.

— O której zgasił pan światło? — spytała Jenny.

— O dziesiątej upewniłem się, że wszyscy są w łóżkach, i zgasilem światło głównym wyłącznikiem.

— Czy wtedy w pokojach robi się całkiem ciemno?

— Nie. Na suficie są nocne lampki, żebyśmy widzieli, co się dzieje w

środku.

— Ile osób było tej nocy na dyżurze w męskim oddziale?

— Tylko ja, od dziesiątej aż do pobudki o siódmej. Gdy mamy trudny skład, dyżurujemy we dwóch, ale ci chłopcy byli spokojni. Na żeńskim oddziale zwykle są dwie osoby, bo dziewczyny bardziej szaleją w nocy.

— Co pan robił przez tych dziesięć godzin, panie Stewart?

— Co pół godziny robiłem obchód i ogólnie miałem oko na wszystko.

— Były jakieś problemy?

— Nie. To była spokojna noc.

— Według patologa Danny zmarł między godziną drugą a trzecią nad ranem.

— Tak, wiem o tym.

— Jak to możliwe, że podczas dziewięciu obchodów między trzecią a siódmą nie zauważył pan jego ciała wiszącego pod oknem?

— Wyjaśniałem to przy pierwszym dochodzeniu, pani koroner. Przez okienko łóżko wyglądało tak, jakby ktoś na nim leżał. Potem okazało się, że Danny wpełznął pod koc trochę ubrań. A nie mogłem go widzieć wiszącego, bo zasłaniała go szafa.

— W piątek oglądałam jego pokój, panie Stewart. Szafa jest przymocowana do ściany. Nie odstaje na tyle, by zasłonić ciało, nawet bardzo drobne.

— Nie powiedzieli pani? Kazaliśmy przyśrubować szafy dopiero po tym wypadku. Danny był bystry, odsunął szafę na tyle, żeby go zasłaniała. Już nieraz przekonałem się, że jak ktoś się uprze, żeby to zrobić, coś w niego wstępuje. Dzieciak, który nie potrafi zawiązać sznurówek, plecie liny i wiąże marynarskie węzły.

* *

Kolejna pigułka trochę przytępiła niepokój, który ją zżerał. Idąc przez centrum miasta do biura, musiała zatrzymać się co parę kroków, żeby zaczerpnąć powietrza. Przeponę miała tak skurczoną, że każdy oddech był ogromnym wysiłkiem. Jej system nerwowy zacinał się, jakby ktoś na ułamek

sekundy wyłączał zasilanie. Miała wtedy wrażenie, że leci w dół.

Następne pół tabletki rozluźniło jej żebra i pozwoliło oddychać swobodniej. Usiadła na brzegu biurka i zamknęła oczy, próbując się odprężyć, poczuć, jak ciężą jej kończyny.

Dzisiejsza rozprawa poszła fatalnie. Próby dowiedzenia, że Danny miał skłonności samobójcze, zostały zdyskredytowane przez Hartleya, który zdołał przekonać przysięgłych, że Simone i Ruth Turner chciały po prostu uchronić chłopca przed zasłużoną karą. Siostra Raven wyszła na zaangażowanego i kompetentnego fachowca, który działał z przesadną ostrożnością, zatrzymując Danny'ego w celi obserwacyjnej. UKAM jakimś cudem podrzuciło maile do komputerów Semtec, a Kevin Stewart wytrącił jej z ręki jedyny argument, który mógł zostawić otwarte, drzwi do orzeczenia zaniedbania. Ostatnią nadzieją Jenny był szesnastoletni Terry Ryan, chłopiec z sąsiedniej celi, ale do tej pory nie zdołała go namierzyć, więc nie miała pojęcia, co powie.

Najbardziej irytował ją fakt, że wierzyła w sukces. Jak mogła być tak naiwna? Czyżby gdzieś po drodze straciła kontrakt z rzeczywistością i teraz błąka się po świecie stworzonym przez własny umysł?

Usłyszała zgrzyt klucza w zewnętrznych drzwiach. Alison weszła do recepcji i zatrzymała się. Stała tak ponad minutę, aż w końcu podeszła do drzwi gabinetu i zapukała.

— Proszę — powiedziała Jenny.

Alison weszła z taką miną, jakby właśnie usłyszała tragiczną wiadomość. Widać było, że płakała. Przez dłuższą chwilę tylko patrzyła na Jenny, nie wiedząc, jak zacząć. Wreszcie powiedziała:

— Muszę się do czegoś przyznać, pani Cooper. Zrobiłam coś, czego nie powinnam była zrobić. Pozwoliłam, żeby uczucia decydowały za mnie. — Otworzyła aktówkę i wyjęła plik kartek. — Znalazłam to po śmierci pana Marshalla. Były w tej samej szufladzie co teczka Katy Taylor. — Podała dokument Jenny.

Był to plik zbindowanych kartek z pieczętką „poufne” na okładce. Tytuł brzmiał: *Oferta przetargowa na zamknięty zakład wychowawczy dla miasta*

Bristol i regionu południowo-zachodniego. Poniżej widniało logo UKAM Secure Solutions. Dokument miał ponad sto dwadzieścia stron i zawierał szczegółowe plany więzienia dla młodocianych na pięćset miejsc. Miałyby stanąć na należącej do miasta dziesięciohektarowej działce na północny wschód od Bristolu, na miejscu starej wytwórni papierosów. Jenny znalazła podsumowanie i odczytała koszt inwestycji: osiem milionów funtów. Koszt prowadzenia zakładu przez pierwszych pięć lat wynosił trzydzieści milionów rocznie. Na ostatniej stronie widniała data: osiemnasty stycznia. Zamknęła okładkę, położyła dokument na biurku i zwróciła się do asystentki:

— Dlaczego pani nie pokazała mi tego wcześniej?

— Bałam się, że Harry był zamieszany w jakąś aferę korupcyjną. Wiecznie się skarżył, że mało zarabia.

— Skąd wziął ten dokument?

— Nie mam pojęcia. Miał być tajny, znany wyłącznie oferentowi i radzie do spraw przestępczości nieletnich. Widocznie wyciekł.

— I nigdy pani o nim nie wspomniał?

Alison pokręciła głową.

— Napisałam wymówienie. — Sięgnęła do aktówki i wyjęła niewielką kopertę.

— Dlaczego?

— Zginął chłopiec, a ja ukryłam dowód w sprawie. Jak pani mogłaby mi teraz ufać? Sama sobie nie ufam.

— Ale przecież pani mi to dała, tak?

Alison spojrzała na Jenny z niedowierzaniem.

— Pani nie chce, żebym odeszła?

— Zawrzyjmy umowę. Pani nie wyda moich sekretów, ja nie wydam pani tajemnic, a jeśli chodzi o sekrety innych, wszystkie chwytamy są dozwolone.

* *

Wracając do domu, po raz kolejny analizowała wydarzenia dnia. Starannie przygotowani świadkowie i brudne sztuczki UKAM zniweczyły wszelkie próby obarczenia ich winą. Nie zdawała sobie sprawy, jak daleko

może się posunąć agresywna firma, żeby bronić własnego tyłka. Orzeczenie zaniedbania nie skończyłoby się tylko przesuwaniem mebli, jak w państwowym więziennictwie — mogło zagrozić interesom wartym dziesiątki milionów funtów.

Oferta przetargowa leżała na siedzeniu pasażera jak tykająca bomba. Marshall przeczytał ją i uświadomił sobie, że życie czternastoletniego przestępcy było dla UKAM niczym w porównaniu ze stawką, jaka wchodziła w grę. Wściekł się, zamierzał wstrząsnąć tą twierdzą aż do fundamentów, ale to jego fundamenty się zatrzęsły. Między otrzymaniem oferty a rozprawą zaszło coś, co go zniszczyło. Alison bała się, że został przekupiony, ale Jenny w to nie wierzyła — UKAM nie ryzykowałoby, że Marshall pójdzie na policję. Byli sprytniejsi. Cokolwiek wymyślili, został zmiażdżony. Simone Wills obsmarowano w gazetach, jej dom wywrócono do góry nogami na podstawie złośliwego donosu, a Tara Collins, która próbowała połączyć śmierć Danny'ego i Katy, została fałszywie oskarżona i mogła nawet trafić do amerykańskiego więzienia.

Jenny zastanawiała się, co szykują na nią. Ujawnienie nielegalnej transakcji przez Internet albo historii jej choroby psychicznej? A może groźby pod adresem syna?

Ściskając kierownicę spoconymi dłońmi, jechała przez Severn Bridge, wciśnięta między centralną barierkę a rząd wściekłych tirów. Jej serce łomotało, objawy paniki narastały. Czuła, że się rozpada.

* *

Podwinęła nogawki starych dżinsów i boso weszła do potoku. Nie zważała na ostre kamienie pod stopami ani lodowatą wodę. Patrzyła na falujące liście jesionów i pytała Boga, w którego zawsze próbowała wierzyć, jak to jest, że ktoś, kto powinien się czuć wolny, może być uwięziony w samym sobie. Bóg, jak zwykle, nie odpowiedział.

Stała tak, trzęsąc się z zimna, ale wolała to niż drżeć ze strachu. Dopiero kiedy jej zęby szczękały tak mocno, że nie była w stanie ich zewrzeć, wróciła na brzeg. Usiadła przy stole w ogrodzie, ledwo mogąc utrzymać

długopis w zgrabiałej dłoni, zaczęła robić notatki. Przerwała, gdy zapadł zmierzch i zrobiło się za ciemno, by pisać.

Rozdział 18

Obudziła się z dziwnym uczuciem oderwania, jakby nie przynależała do własnego ciała. Twarz, która spoglądała na nią z lustra w łazience, wydawała się obca. Musiała mocno zacisnąć palce na krawędzi umywalki, żeby cokolwiek poczuć. Doktor Travis podał jej kiedyś nazwę tego objawu, ale wolała ją zapomnieć.

Dopiero gdy się ubrała i zjadła śniadanie, palce powoli odzyskały czucie, za to niepostrzeżenie zakradły się niechciane paranoiczne myśli. Bała się choćby dotknąć nóż do chleba; przyłapała się na tym, że stara się nie stawać na szczelinach między płytami podłogi. Tłumaczyła sobie, że już to przerabiała, że to tylko objawy stresu, które przezwycięży, jeśli zmusi się do funkcjonowania przez kilka najbliższych dni. Jednak w głębi duszy czuła, że tym razem idzie na dno.

Odzyskała kontrolę w jedyny skuteczny sposób — planując dzienne dawki leku. Jedna pigułka teraz, druga przed samą rozprawą i kolejna przed popołudniowym posiedzeniem. Na nieprzewidziane wypadki zastosowała sztuczkę z miętówkami. W drodze do miasta wykonała kilka ćwiczeń, których nauczył ją doktor Travis, i zdołała odpędzić najbardziej nieproszone myśli. Przypomniała sobie, jak doktor mówił, że w takich chwilach najważniejsza jest kontrola nad emocjami: nie wolno się rozgniewać, dać się wyprowadzić z równowagi. Jeśli uda jej się zachować spokój, może jakoś przetrwa ten dzień, a każdy kolejny będzie łatwiejszy. Wiedziała to. Zdobyła już kiedyś ten szczyt.

* *

Wchodząc przez drzwi dla sędziego i siadając na tronie sprawiedliwości, znów czuła się niemal sobą. Odpowiednia dawka temazepamu, dwadzieścia

minut ćwiczeń relaksacyjnych i zero kofeiny w organizmie. Była spokojna. Radziła sobie. Nie dało się tego powiedzieć o Simone Wills, która rzucała gniewnie spojrzenia opalonym krawaciarzom z UKAM, wyraźnie zadowolonym z przerwy w biurowej rutynie. Tara Collins, siedząca obok, próbowała uspokajać ją i pocieszać. Przyjaciółki Simone nie pojawiły się, było też mniej reporterów, natomiast dwójka urzędników w garniturach tkwiła na swoich miejscach z tyłu, z przygotowanymi notesami i długopisami. Hartley, rozparty na krześle, żartował ze swoim mocodawcą. Widać było, że czuje się pewnie i spodziewa się, że dzień minie bez najmniejszych potknięć.

Elaine Lewis była uosobieniem spokoju. Wolno podeszła do miejsca dla świadków, usadowiła się wygodnie, odczytała przysięgę i zrobiła pauzę, zanim potwierdziła swoje nazwisko i funkcję. Jej każde słowo i gest były obliczone na pokazanie, że to ona rozdaje tu karty. Simone Wills rzucała dyrektorze mordercze spojrzenia, ale ona była ponad to. Jenny poczuła ukłucie zazdrości.

— Pani Lewis, czy jako dyrektor Portshead Farm ponosi pani odpowiedzialność za wszystkie decyzje personelu?

Elaine odczekała sekundę i odpowiedziała:

— Oczywiście.

— Prześledźmy zatem drogę Danny'ego przez pani zakład i decyzje, które zostały podjęte w jego sprawie. Zanim zjawił się w placówce, do pani biura dzwoniły zarówno jego matka, jak i opiekunka środowiskowa, które ostrzegały, że może być niestabilny psychicznie.

— Stosujemy rygorystyczne procedury oceny nowo przybyłych, pozwalające wykryć wszelkiego rodzaju odchylenia od normy. W przypadku Danny'ego również tak było — mówiła miękkim głosem, a imię Danny wypowiadała tak, jakby to był jej własny siostrzeniec.

— Kto odebrał telefony od pani Wills i opiekunki środowiskowej?

— Telefony do mnie odbiera moja sekretarka. Nie mam bezpośredniej linii.

— Czy sekretarka powiedziała pani o tych telefonach?

— Jestem zawiadamiana o wszystkich ważnych telefonach. Te od pani

Wills i pani Turner nie były niczym niezwykłym. Oczywiście staramy się komunikować z rodzinami osadzonych, ale Portshead Farm to instytucja penitencjarna.

— Czy to oznacza, że z zasady nie odpowiadacie na telefony zaniepokojonych rodziców czy pracowników instytucji opiekuńczych?

— Owszem, odpowiadanie na każdy taki telefon byłoby niewykonalne.

— Czy w jakikolwiek sposób zareagowała pani na informacje przekazane przez panią Wills i panią Turner? Skontaktowała się pani z personelem medycznym?

— Nie. Mam pełne zaufanie do naszego personelu medycznego, a ta sprawa potwierdziła, że słusznie.

— Więc zlekceważyła pani te telefony?

— Nie użyłabym takiego sformułowania. Rzecz w tym, że w chwili, kiedy osadzony trafia do Portshead Farm, to my stajemy się za niego odpowiedzialni. Działamy *in loco parentis* i traktujemy ten obowiązek z największą powagą.

Jenny przerwała, żeby zrobić notatkę — z rozmysłem dyktowała tempo. Po dłuższej chwili, nie podnosząc oczu znad notesu, spyła:

— Jaki efekt, pani zdaniem, może mieć ubranie niezrównoważonego psychicznie czternastolatka w kaftan przypominający końską derkę i zamknięcie go na trzy dni w celi?

— Nie jestem lekarzem, więc trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. Niemniej jest to zatwierdzona procedura, stosowana, by zapobiec samookaleczeniu przez dziecko.

— Innymi słowy, chodzi w niej o to, żeby dziecko nie mogło sobie zrobić krzywdy fizycznej. Nie uwzględnia jego stanu psychicznego, czy tak?

— Musimy dbać przede wszystkim o fizyczny dobrostan każdego osadzonego.

— Danny został umieszczony na obserwacji, bo uznano, iż zachodzi ryzyko, że zrobi sobie krzywdę. To wskazuje na zaburzenia psychiczne, a jednak nie został zbadany przez psychiatrę. Psychiatra nie był osiągalny.

— Widziała pani protokoły procedur, do których przestrzegania obligują

nas przepisy. Wypełniliśmy je. W idealnym świecie Danny zostałby zbadany przez psychiatrę, ale zaistniały okoliczności niezależne od nas, które to chwilowo uniemożliwiły.

— Mogliście opłacić lekarza.

— Gdyby to zostało uznane za konieczne, zrobilibyśmy to. Ale Danny nie miał wcześniej zaburzeń psychicznych, a podczas obserwacji zachowywał się bez zarzutu. Nie należał do osadzonych, do których wzywalibyśmy psychiatrę.

— Czy pani osobiście nie żałuje, że nie został zbadany?

— Cały system więziennictwa dla młodocianych i dorosłych jest niedoskonały. W Portshead Farm robimy, co w naszej mocy, ale jesteśmy ograniczeni budżetem, jaki zapewnia nam rząd. Wszystkie aspekty naszych procedur są ściśle kontrolowane i weryfikowane.

Wyćwiczone odpowiedzi Elaine Lewis działały Jenny na nerwy, ale postanowiła, że zachowa spokój i pozwoli, żeby ta złotousta biurokratka sama się pogrążyła.

— Pani Lewis, jak pani wyjaśni fakt, że kamera na męskim oddziale była zepsuta przez tydzień?

— To nie powinno było się zdarzyć. Podjęliśmy kroki, by w przyszłości wszystkie usterki były usuwane w ciągu dwudziestu czterech godzin.

— Nie uważa pani za dziwny zbieg okoliczności, że zepsuta była akurat ta kamera, która mogła potwierdzić, czy pan Stewart kontrolował pokoje co pół godziny?

— Nie, nie uważam. A Kevin Stewart jest jednym z najbardziej doświadczonych i godnych zaufania członków naszego personelu.

Jenny spojrzała na przysięgłych. Mieli kamienne twarze. Mimo perfekcyjnego występu jakoś nie polubili Elaine Lewis.

— Nie wydaje się pani dziwne, że jeden z najbardziej doświadczonych pracowników nie zauważył ciała wiszącego na oknie, i to nie raz, a dziewięć razy?

— Wystarcza mi jego wyjaśnienie, że ciało nie było widoczne i dał się oszukać, że Danny leży w łóżku. Oczywiście moglibyśmy zainstalować

kamery w celach, ale chyba nikt by tego nie chciał.

— I nie uważa pani, że wasze procedury choćby w najmniejszym stopniu przyczyniły się do śmierci Danny'ego?

— Nie.

— Nie bierze pani za to żadnej odpowiedzialności?

— Nie.

Na galerii dla publiczności rozległy się gniewne pomruki; ponad inne wybił się głos Simone Wills, mówiący: „podła suka”, i Tary Collins, która próbowała ją uciszyć. Urzędnicy siedzący z tyłu wymienili spojrzenia, zdziwieni, że Jenny nie interweniuje. Na szczęście Simone uspokoiła się i usiadła, przeklinając szeptem.

Jenny spojrzała na miętówki leżące na biurku. Nie, poradzi sobie bez tego. Spomiędzy dwóch teczek wyjęła ofertę przetargową, tak by Elaine Lewis nie widziała, co to jest.

— Portshead Farm, podobnie jak wiele innych zakładów penitencjarnych, jest własnością prywatnej firmy, która czerpie zyski z ich prowadzenia, czy tak?

— Zgadza się. — W głosie dyrektorki po raz pierwszy zabrzmiała nuta niepewności.

Hartley zrobił się czujny, a urzędnicy na galerii podnieśli oczy znad notatek.

— Gdyby te zakłady nie spełniały wymaganych standardów, firmie groziłaby utrata kontraktu — ciągnęła Jenny.

— Zgadza się. Dlatego nie możemy sobie pozwolić na błędy.

— Czy pani wie, że podczas pobytu w Portshead Farm osadzeni regularnie zażywają narkotyki?

Elaine Lewis zerknęła na Hartleya. Najwyraźniej nie była przygotowana na to pytanie.

— Każde więzienie i zakład wychowawczy ma problem z narkotykami. To nieuniknione, chyba że zakażemy wszelkich kontaktów z odwiedzającymi.

— Podam konkretny przykład, pani Lewis. W tym samym czasie co Danny przebywał w zakładzie przebywała niejaka Katy Taylor, która zmarła

krótco po wyjściu. Analiza jej włosów przeprowadzona w ramach autopsji wykazała, że podczas pobytu w Portshead Farm Katy regularnie paliła marihuanę i crack.

— Jeśli to prawda, to rzeczywiście godne ubolewania.

— Prawie codziennie przez sześć tygodni. To bardzo dużo narkotyków.

Hartley wstał.

— Pani koroner, nie śmiem dyktować przebiegu przesłuchania, ale czy narkotyki zażywane rzekomo przez pannę Taylor mają jakikolwiek związek z tą sprawą?

— Jeśli osadzeni regularnie zażywają narkotyki — odparła Jenny — to ów fakt podważa twierdzenie, że Portshead Farm jest prowadzona bez zarzutu.

— Jedna osadzona — sprecyzował Hartley.

— Tego nie wiemy, prawda, pani Lewis? — Jenny zwróciła się do świadka.

— Prowadzimy regularne testy na obecność narkotyków — powiedział dyrektorka. — Próbujemy radzić sobie z tym problemem tak samo jak państwowe więzienia.

Jenny skinęła na Hartleya, żeby usiadł. Gdy to zrobił, kontynuowała przesłuchanie.

— Danny zażywał wcześniej narkotyki. Czy robił to także w Portshead?

— Nie potrafię powiedzieć.

— Więc to jest możliwe?

— Tak. To problem, którego nie da się zwalczyć bez uciekania się do drakońskich metod.

Jenny otworzyła ofertę na zaznaczonej stronie i powiedziała:

— Odczytam pani fragment pewnego dokumentu. „Zostanie wdrożony najnowocześniejszy system nadzoru i monitoringu, pozwalający całkowicie wyeliminować problem narkotyków, a wzorowany na systemie, który okazał się skuteczny w Portshead Farm”. Czy poznaje pani te słowa?

Elaine Lewis spojrzała na przedstawicieli UKAM, którzy pochyłali się nad stołem i szeptali coś gorączkowo do Hartleya.

— Pytałam, czy poznaje pani te słowa, pani Lewis — powtórzyła Jenny.

Dyrektorka zwlekała z odpowiedzią, najwyraźniej czekając, aż Hartley przyjdzie jej na ratunek.

— Pochodzą z oferty przetargowej złożonej przez pani pracodawców, którzy starają się uzyskać kontrakt...

Hartley zerwał się z miejsca.

— Pani koroner, moi klienci informują mnie, że cytuje pani fragmenty poufnego dokumentu, który zawiera wrażliwe dane handlowe i nie ma żadnego związku z istotą tej sprawy.

— Właśnie próbowałam wyjaśnić, z czego cytuję, panie Hartley...

— Pani koroner, bardzo proszę o rozmowę w cztery oczy w kwestii prawnej.

Jenny poczuła przyływ adrenaliny. Załatwi tego gnoja.

— Nie. Proszę usiąść. Chcę usłyszeć odpowiedź świadka.

Urzednicy z tyłu sali dyskutowali z ożywieniem. Kobieta skinęła głową koledze i wybiegła na korytarz, wyciągając telefon.

— Muszę stanowczo zaprotestować — gorączkował się Hartley. — To jest w najwyższym stopniu niewłaściwe. W kompetencji koronera leży wyłącznie ustalenie, gdzie, jak i kiedy nastąpił zgon.

— I właśnie to usiłuję ustalić, panie mecenasie, a pan nie ma prawa dyktować mi, jakie pytania mam zadawać.

— Chyba pani rozumie, pani koroner, że to może mieć poważne konsekwencje prawne. Złamanie tajemnicy handlowej...

— Nie dopuszczę — przerwała mu Jenny — żeby tajemnica handlowa uniemożliwiła dokładne zbadanie okoliczności śmierci tego chłopca. — Zwróciła się do świadka. — Odmowa odpowiedzi na pytanie jest obrazą sądu. Czy pani to rozumie?

— Tak.

— Pani Lewis, czy poznaje pani te słowa?

Dyrektorka znów spojrzała na Hartleya, który gorączkowo kartkował kodeks. Kiwnął głową.

— Tak. Poznają.

— Pani zakładu nie można uznać za wolny od narkotyków, prawda?

— To zależy od punktu widzenia.

— Pani firma, UKAM Secure Solutions, ubiega się o wielomilionowy kontrakt na budowę w naszym mieście zamkniętego zakładu wychowawczego na pięćset miejsc. To nie jest tajemnica, poufne są tylko kwoty wymienione w ofercie.

Elaine Lewis odzyskała panowanie nad sobą.

— Tak, to prawda. To duży kontrakt rządowy.

— A reputacja pani firmy, jako instytucji ponoszącej odpowiedzialność za życie dzieci, jest kluczowym czynnikiem do zdobycia tego kontraktu, czy tak?

— Tak, i co do tego elementu naszej oferty jestem absolutnie spokojna.

Jenny spojrzała na przysięgłych. Ich miny wyraźnie wskazywały, że nie spodobała im się ani sama pani Elaine Lewis, ani jej zręczne uniki. Zadowolona z osiągniętego wyniku oznajmiła, że nie ma więcej pytań. Hartley powiedział to samo.

Jenny zwolniła Elaine Lewis i poprosiła o wezwanie kolejnego świadka. Gdy Alison szła do drzwi, urzędnik z ministerstwa przesunął się na koniec ławki i podał jej swoją wizytówkę. Alison obejrzała się na Jenny, która skinieniem głowy poleciła jej iść po świadka. Urzędnik chyba sądził, że Jenny będzie wiedzieć, z kim ma do czynienia, bo spojrzał na nią surowo. Zignorowała go.

Terry Ryan był chudym szesnastolatkiem w dżinsach z niskim krokiem i w koszulce bez rękawów ze zdjęciem Ice'a-T. Miał włosy na kłacie i chciał je pokazać całemu światu. Prowadząc go na miejsce dla świadków, Alison podała Jenny wizytówkę urzędnika. Simon Moreton, służba koronerska, Ministerstwo Sprawiedliwości. Na odwrocie napisał: „Czy zechciałaby Pani odroczyć rozprawę i porozmawiać o ofercie? Pilne”. Jenny zerknęła na Moretona. Patrzył na nią wyczekująco. Odłożyła wizytówkę i zajęła się świadkiem.

Terry'emu najwyraźniej podobało się, że jest w centrum zainteresowania, zwłaszcza że to nie jego sądzono. Powiedział, że kiedy

Danny wprowadził się do sąsiedniej celi, jemu zostały jeszcze dwa tygodnie z czteromiesięcznej odsiadki za włamanie.

— Kiedy widziałeś go po raz pierwszy? — spytała Jenny.

— Chyba w sobotę. Jak wróciliśmy z sali gimnastycznej, to już był w pokoju. Wieczorem się nie pokazał, dopiero ostatniego dnia przyszedł pooglądać telewizję.

— Był na oddziale od soboty do następnego piątku. Czy rozmawiałeś z nim przez ten czas?

— Trochę. W łazience i na korytarzu.

— Jaki był?

— Cichy. Mało się odzywał. Nie chciał chodzić na lekcje, przychodził tylko do stołówki.

— Dlaczego nie chciał chodzić na lekcje?

— Pewnie miał z tym jakiś problem.

— Pytałeś go o to?

— Nie.

— A rozmawiałeś z nim w stołówce?

— Raz czy dwa. Pytałem, za co go przymkli, i takie tam.

— I jaki ci się wydawał?

— Wkurzony. Każdy taki jest za pierwszym razem.

— Miał jakieś obrażenia? Wyglądał, jakby się bił?

— Nie zauważyłem.

— Nie wydawał się przygnębiony?

Terry pokręcił głową.

— To nie był mięczak. Jak ktoś mu coś powiedział, to patrzył takim wzrokiem, że lepiej było odpuścić.

— Rozmawiał w stołówce jeszcze z kimś?

Terry wzruszył ramionami.

— Może z jakimiś dwiema dziewczynami. Nie bardzo się integrował, wie pani.

— Z którymi dziewczynami?

— Nie wiem.

— Skoro widziałeś, jak rozmawiał z dziewczynami, to chyba pamiętasz, z którymi?

— Nie pamiętam. Nie zwracałem na niego uwagi.

— Czy kiedykolwiek mówił ci, jak się czuje?

Terry się uśmiechnął.

— Tak, jasne.

— Więc co robił wieczorami?

— Siedział w pokoju. Czytał książkę czy coś takiego.

— Powiedział ci, że był na obserwacji?

— Nie. Nie wiedziałem o tym, dopóki nie zaczęła się ta chryja, wie pani.

Nigdy nic nie mówił. Z nikim się nie trzymał.

— Oprócz tych dziewczyn, z którymi rozmawiał.

— Może i tak.

Jenny spojrzała na Simone Wills. Wydawała się dumna, że jej syn był uważany za twardziela, że nie chodził na lekcje.

— Czy możesz mi opowiedzieć o wieczorze przed śmiercią Danny'ego? W jakim był nastroju?

— Po kolacji przyszedł do świetlicy. Widziałem, jak siedzi z tyłu i ogląda telewizję.

— Rozmawiał z kimś?

— Nie. Oglądaliśmy taki program o młodych talentach, śmialiśmy się, punktowaliśmy laski, i takie tam.

— Czy Danny też się śmiał?

— Pewnie tak.

— I co było potem?

— Koniec telewizji o wpół do dziesiątej, mycie i do łóżka.

— Miałeś jakiś kontakt z Dannym przez te pół godziny?

— Nie.

— A co się działo, kiedy zgaszono światło?

— Nie wiem. Poszedłem spać.

— Słyszałeś coś z celi Danny'ego?

Terry milczał chwilę, wreszcie pokręcił głową.

— Nie jestem pewny...

— Czego?

— Raz mi się zdawało, że słyszałem, jak ktoś tam wchodził, jakieś zamykanie drzwi, może głosy.

Jenny poczuła ucisk w żołądku. Głosy.

— O której to było?

— Nie wiem, chyba późno... Zresztą może to mi się tylko przyśniło.

— Jakie głosy słyszałeś?

— Nie pamiętam dokładnie... jakby ktoś coś wołał i jakby coś spadło... A potem zrobiło się cicho.

— Mówiłeś, że słyszałeś więcej niż jeden głos.

— Tak, wiem... ale nie jestem pewny... chyba musiałem słyszeć, jak to zrobił. Było późno, tylko tyle wiem.

— Jesteś pewien, że słyszałeś więcej niż jeden głos?

— Nie.

— Więc dlaczego tak powiedziałeś?

— Nie wiem.

Jenny nie wierzyła Terry'emu, ale dalsze ciągnięcie go za język wyglądałoby rozpaczliwie. Zagrała ostatnią kartą.

— Czy na oddziale męskim było dużo narkotyków?

— Trochę było.

— Skąd się brały?

— Różne rzeczy się przemyca. — Wyprostował się buntowniczo. — Ale niech pani nie myśli, że będę kablował. Już wolę tam wrócić.

— Orientujesz się, czy Danny coś brał?

Terry pokiwał głową, pocierając policzek, jakby to była myśl, która nie przyszła mu wcześniej do głowy.

— Wie pani, może w ten ostatni wieczór faktycznie coś brał. Był taki dziwnie wyluzowany, rozumie pani. Tak, może i brał.

Tylko tyle zdołała wyciągnąć od Terry'ego. Jeśli nawet wiedział coś więcej, nie miał zamiaru tego zdradzić. Wydanie dilerów w Portshhead kosztowałoby go życie. Jenny miała wystarczające pojęcie o młodzieżowym

światku narkotykowym, by zdawać sobie sprawę, że chłopak naprawdę wolałby wrócić za kraty, niż zacząć donosić. Prawo ulicy, wzmacniane groźbą zemsty, miało o wiele większą moc niż jakiegokolwiek policyjne zakazy czy nakazy.

Hartley zadał kilka zręcznych pytań, neutralizujących ewentualne szkody dla wizerunku klienta. Terry powtórzył, że nie jest pewien, ile słyszał głosów, i czy w ogóle mu się to nie przyśniło. Przyznał też, że tak naprawdę nie ma pojęcia, czy Danny tamtego wieczoru brał narkotyki, i że właściwie nie przyszło mu to do głowy, dopóki nie usłyszał pytania.

Hartley skończył i uśmiechnął się do swoich klientów, dając im znak, że porządek został przywrócony. Wiedział, że mimo negatywnej reakcji na Elaine Lewis przysięgli nie mają żadnych podstaw, by orzec coś innego niż samobójstwo.

* *

Jenny ogłosiła przerwę na lunch i poszła do pokoju sędziowskiego. Wyjęła tabletkę, którą miała wziąć dopiero za godzinę, łyknęła ją i klapnęła na krzesło przy biurku. Musiała podjąć decyzję: czy brnąć dalej i zacząć podsumowywać dochodzenie, czy odroczyć rozprawę i kupić sobie jeszcze parę dni na szukanie dowodów. Może udałoby się odnaleźć dziewczyny, z którymi Danny rozmawiał w stołówce, ustalić, czy jedną z nich była Katy. „Głosy” — to słowo ciągle rozbrzmiewało w jej głowie. Jeśli rzeczywiście był jeszcze czyjś głos, to czyj? Miała za mało informacji, żeby to ustalić. Decydując się na odroczenie, musiałaby mieć dobry pretekst, bo jeśli na tym etapie przewodu powie, że zamierza kontynuować śledztwo, wyjdzie na tendencyjną. Jeśli jednak od razu przejdzie do podsumowania, przysięgli orzekną samobójstwo, a UKAM się wywinie.

Usłyszała pukanie. Zanim zdążyła powiedzieć „proszę”, do pokoju wszedł urzędnik z ministerstwa.

— Simon Moreton — przedstawił się. — Nadzoruję koronerów z ramienia Ministerstwa Sprawiedliwości.

— Widziałam pańską wizytówkę. — Wskazała mu fotel. — Czy zawsze

wchodzi pan bez pozwolenia?

Nie usiadł i zignorował jej pytanie.

— Nie da się tego powiedzieć taktownie, więc nie będę próbował. Biuro prokuratora generalnego ostrzegало panią, że należy prowadzić tę sprawę z wyczuciem i na chłodno. Pani zachowanie mocno nas niepokoi.

— Doprawdy? A co konkretnie?

— Ta oferta przetargowa to dokument ogromnie wrażliwy nie tylko z punktu widzenia handlowego, ale również politycznego. Zawiera informacje, których nie można omawiać publicznie, i pani nie ma prawa tego robić. Nie wiem, skąd pani ma ten dokument, ale muszę panią prosić, żeby mi go pani niezwłocznie oddała.

— Sądziłam, że koroner jest niezależny od rządu, panie Moreton. Czyżbym się myliła?

— Upublicznienie tego dokumentu może narazić na szwank nasz program budowy więzień. Wie pani, że społeczeństwo, podjudzane przez media, nie popiera idei prywatnych zakładów karnych. A poza tym ta oferta nie ma żadnego związku ze śmiercią Danny'ego Willsa.

— Myślę, że tylko ja, jako koroner, mam prawo to ocenić.

— Czy muszę mówić jaśniej, pani Cooper? Jeśli nie przestanie pani odchodzić od kwestii dotyczących miejsca, czasu i przyczyny śmierci Danny'ego Willsa, wykaże pani, iż nie nadaje się do pełnienia tej funkcji. Szczerze mówiąc, już samo pani powołanie było dyskusyjne, zwłaszcza biorąc pod uwagę pani problemy zdrowotne. Przemilczenie ich w aplikacji to uchybienie na tyle poważne, by usunąć panią z urzędu bez prawa do emerytury i zamknąć pani wszelkie perspektywy zatrudnienia w zawodzie prawnika czy jakimkolwiek innym. Nikt nie zechce kłamczuchy z fatalnymi referencjami.

Brzegi jej pola widzenia zaczęły ciemnieć. Nie mogła wydobyć głosu. Moreton podniósł dokument z biurka.

— Oczywiście nie mogę go zabrać bez pani zgody...

Spojrzała na dokument, potem na niego. Czekał, a kiedy nie odpowiadała, kiwnął głową, odwrócił się i wyszedł.

Jenny z trudem dźwignęła się z krzesła, chwyciła kurczowo brzegu biurka i padła na podłogę.

— Jak długo trwał atak?

— Około dwudziestu minut... Miałam tak silną palpację, że nie byłam w stanie podnieść się z podłogi. Moja asystentka mnie znalazła.

— Co z rozprawą?

— Została odroczonej do poniedziałku. Oficjalnie z powodu zatrucia pokarmowego.

Doktor Allen popatrzył na Jenny ze szczerym współczuciem. Jechał osiemdziesiąt kilometrów z przychodni w Cardiff, żeby spotkać się z nią po godzinach w gabinecie w Chepstow. Na szczęście była już w stanie chodzić i mówić, nawet sama przyjechała z Bristolu, ale nie mogła dłużej twierdzić, że ma problem pod kontrolą. Przeżyła pierwszy od miesiący pełnoobjawowy atak paniki, równie silny jak wtedy, kiedy była w najgorszym stadium choroby.

— Mówi pani, że ostatnio ma dużo stresów?

— Tak.

— Ostrzegałem panią...

— Wiem. Ale nie mogę teraz przerwać. Jestem w trakcie dwóch ważnych dochodzeń.

Uśmiechnął się wyrozumiale.

— Na pewno pani wie, że zaburzenia lękowe, na które pani cierpi, mają trzy główne przyczyny. Czasami pojawiają się, kiedy ktoś jest po prostu przeciążony, i znikają w miarę zmniejszania tego obciążenia. Czasami wywołuje je stres pourazowy, a czasami nie ma żadnej wyraźnej przyczyny. Dokładnie przejrzałem notatki doktora Trávisa i podzielał jego opinię, że bezpośrednie powody pani ataków to ogólny brak satysfakcji z życia i stres, ale u ich źródeł leży jakaś zupełnie inna przyczyna. Roczna przerwa we wspomnieniach z dzieciństwa...

Jego słowa obudziły to koszmarne poczucie nieuchronnej tragedii. Próbowała je odpędzić, ale bez skutku. Doktor Allen zauważył jej reakcję.

— Jeśli w tym czasie przeżyła pani jakąś traumę, mogła ona wzmocnić

naturalną reakcję walki i ucieczki i w sytuacjach, w których zdrowy człowiek odczuwa umiarkowany dyskomfort, panią dopada paraliżujący strach.

— Przerabiałam już to wszystko z doktorem Travisem. Nie pamiętam, ile razy próbował hipnozy regresywnej.

— Jenny, wiem, jak się pani czuje, ale czasami właśnie w tych najgorszych chwilach jest się najbliżej źródła zaburzeń. Jeśli zdoła pani dotrzeć do tego źródła, będzie pani mogła sobie z tym poradzić... Chciałbym spróbować z panią regresji właśnie teraz. Co pani ma do stracenia?

Nie miała siły z nim walczyć. Położyła się na kozetce i posłusznie wykonywała ćwiczenia relaksacyjne, aż poczuła się, jakby tonęła w podłodze.

— Dobrze — powiedział Allen. — A teraz proszę przywołać ten strach, który panią ogarnia.

To nie było trudne.

— Niech pani zatrzyma to uczucie i cofnie się do wieku czterech lat. Jest pani małą dziewczynką... Proszę mi powiedzieć, jaki obraz staje pani przed oczami.

Zawsze ten sam.

— Jestem w moim pokoju. Ściany są żółte, na podłodze leży błękitny dywanik. Siedzę na nim i bawię się lalką Cindy... Ma proste włosy do ramion i minispódniczkę w czarno-białą kratkę.

— Jest pani szczęśliwa?

— Tak. Bardzo.

— Co jeszcze dzieje się wokół pani?

— Jest zima. Na dworze chyba pada śnieg, ale w moim pokoju jest ciepło. Przytulnie.

— I co dalej?

— Nie wiem... Może jakieś podniesione głosy na dole. Moi rodzice bardzo często się kłócili. — Zawsze docierała tylko do tego momentu. Pamiętała lalkę, dywanik, gulgot kaloryfera, swoje białe skarpetki do kostek i zapach gotowanego jedzenia docierający z dołu, ale nigdy tego, co się stało potem. Jeśli próbowała na siłę, po prostu traciła kontakt, wybudzała się.

— Słyszysz pani głosy? — spytał doktor Allen.

— Tak. Moja mama krzyczy coś z kuchni, ojciec odpowiada z drugiego końca korytarza... Zdaje się, że jest w salonie, słyszę telewizor i... — Zadrżała; krótki, gwałtowny skurcz wstrząsnął całym jej ciałem. — Hałas... Jakby łomotanie.

— Do drzwi?

— Chyba tak.

— Frontowych?

— Być może...

— Czy możemy tam wrócić?

Pokręciła głową.

— Zupełnie jakby opadała kurtyna, nie mogę się przez nią przebić.

— Słyszała pani to łomotanie kiedykolwiek przedtem?

— Nie.

Doktor Allen uśmiechnął się, zachwycony.

— Widzi pani, doszliśmy do czegoś. — Zaczął robić notatki. — Może pani rodzice mogliby pomóc. Żyją?

— Ojciec tak, ale jest w domu opieki. Ma alzheimera. Ostatnio niewiele można się od niego dowiedzieć.

— Rodzeństwo?

— Jestem jedynaczką.

— Pani rodzice nigdy nie mówili o żadnym incydencie?

— Rozeszli się, kiedy miałam siedem lat. Mama drugi raz wyszła za mąż.

Potem rzadko widywałam ojca.

— Dlaczego się rozwiedli?

— Po prostu nie pasowali do siebie. Ojciec twardo stąpał po ziemi, prowadził warsztat. Matka wiecznie narzekała, że jej życie jest takie szare. Uciekła z agentem ubezpieczeniowym. Jakby już nie miała z kim.

— Przynajmniej zrobiliśmy jakieś postępy. Jeśli będziemy pracować dalej, nie zdziwiłbym się, gdyby pani otworzyła się w ciągu najbliższych tygodni.

— A co mam robić przez ten czas?

— Najlepiej byłoby wziąć urlop.

— Nie mogę...

— Więc przepiszę pani antydepresanty i beta-blokery, żeby zapobiec kolejnym atakom. Ale musi mi pani obiecać, że nie będzie pani ich mieszać z innymi lekami. Nie może pani łykać żadnych środków uspokajających i nie ma mowy o alkoholu.

— A będę w stanie pracować?

— Na jakieś osiemdziesiąt pięć procent.

Jenny się zastanowiła.

— Wystarczy.

* *

Pierwszą porcję leków zażyła w samochodzie przed całodobową apteką na High Street w Chepstow. Popiła je lucozadą, jedynym napojem, jaki mieli w sprzedaży. Od śniadania nic nie jadła, więc zadziałały błyskawicznie. Niepokój minął, przepona rozluźniła się, a bicie serca przestało być wyczuwalne. To było dziwaczne uczucie — trochę jak po drinku, ale bardziej subtelne, bez uniesienia; raczej nieobecność niż obecność.

Doktor Allen powiedział, że może prowadzić samochód, ale musi uważać. Jeśli tylko poczuje nadchodzący atak, ma się zatrzymać. Najwyraźniej postanowił jej zaufać — w ramach niepisanej umowy, jaką zawarli. On trochę odpuści, a ona w zamian pozwoli mu grzebać w swojej przeszłości w poszukiwaniu traumy.

Na razie jednak nie chciała myśleć o przeszłości. Miała trzy wolne dni robocze i weekend na szukanie dowodów. Musi dobrze wykorzystać ten czas.

Rozdział 19

Do domu dotarła parę minut po siódmej. Znalazła dwie wiadomości na automatycznej sekretarce. Pierwsza był od Alison. Asystentka pytała, czy Jenny dobrze się czuje, i zapewniła, że chętnie zajmie się rutynowymi sprawami przez najbliższe dni. W razie potrzeby może przesłać mailem

wszystko, co wyda jej się wątpliwe. Rozprawę odroczone do poniedziałku, wszyscy zostali powiadomieni o zmianie terminu. Jenny nie musi więc się martwić o nic z wyjątkiem własnego zdrowia.

Drugą wiadomość zostawiła Tara Collins. Dowiedziała się, że Jenny jest chora, i ma nadzieję, że to nic poważnego. Słuchając jej pytań w sądzie, zrozumiała, że chce znaleźć związek między Dannym a Katy. Rozesłała wici na ulicy, że szuka Hayley Johnson. Informator zostawił jej wiadomość, że Hayley przez ostatnich kilka nocy kręciła się po Broadlands. Czy Jenny nadal chce ją odszukać?

Jenny zadzwoniła pod domowy numer Tary i została przekierowana na jej komórkę. Dziennikarka siedziała chyba w jakimś barze, w tle było słycać głosy i muzykę.

— Mówi Jenny Cooper, właśnie odsłuchałam pani wiadomość...

— Jak się pani czuje? Pani asystentka mówiła, że pani jest chora.

— To nic poważnego.

— Gra pani na czas? — spytała Tara z ulgą w głosie.

— Coś w tym rodzaju.

— Tak sądziłam. Te dranie myślały, że mają wszystko zapięte na ostatni guzik. Nie zdziwiłabym się, gdyby dotarli nawet do Terry'ego Ryana. Taki dzieciak zrobi wszystko dla paru gramów lodu.

— Lodu?

— Krystalicznej metamfetaminy, takiej do palenia.

— Jestem nie na czasie.

— Wie pani, jak to jest z modą. Nowe adidas robią się obciachowe, zanim się je doniesie do domu. — Tara była wyjątkowo rozmowna, jakby wypła parę głębszych.

— Chciałabym porozmawiać z Hayley Johnson. Myśli pani, że ją dzisiaj znajdę?

— Jest jeszcze trochę za wcześnie. Pewnie wyjdzie na ulicę koło jedenastej.

— Ma pani jakiś pomysł, gdzie powinnam zacząć?

— Mogę pojechać z panią — zaproponował Tara. — Powinna mnie

poznać.

— Okej. Gdzie się spotkamy?

— Proszę po mnie przyjechać do domu. Alexander Road 15 B w Bradley Stoke.

— To do zobaczenia o jedenastej.

— Cześć, Jenny. Cze-eść. — Z całą pewnością była nieźle trącona.

* *

Jenny odłożyła słuchawkę i natychmiast zaczęło ją nosić. Prawie cztery godziny do przetrwania. Zrobiła sobie kanapkę i ziołową herbatę i usiadła przy biurku, by popracować nad chronologią wydarzeń. Miała nadzieję, że pomoże jej to uporządkować myśli. Marshall otworzył przewód w sprawie śmierci Danny'ego w poniedziałek trzydziestego kwietnia. Według Simone Wills jego nastawienie zmieniło się w poprzedni czwartek lub piątek. Katy uciekła z domu w niedzielę, a umarła w poniedziałek albo we wtorek. Jeśli istniał jakiś związek między tymi wydarzeniami, to kluczem był ostatni tydzień kwietnia.

Zadzwoiła do Alison i poprosiła o numer pani Marshall. Alison, wyraźnie zaniepokojona, spytała Jenny, jak się czuje. Jenny odpowiedziała, że już jej lepiej i chce zapytać panią Marshall, czy mąż wspominał jej coś o sprawach Danny'ego albo Katy.

— Harry nigdy nie rozmawiał z żoną o pracy — zapewniła Alison. — Dla niej to było po prostu makabryczne.

— Przecież nikomu nie zaszkodzi, jeśli spytam.

— Ale nie powie pani nic, co by mogło ją zdenerwować? Ona i córki wciąż są w szoku.

— A niby co jej mam powiedzieć, że pani i Harry mieliście romans?

— Błagam. Mój mąż jest w drugim pokoju.

— Alison, chyba pamięta pani o naszej umowie.

— Tak. Po prostu nie chcę, żeby coś rzuciło cię na jego pamięć. To był taki dobry człowiek.

Zupełnie jakby próbowała przekonać samą siebie, pomyślała Jenny.

* *

Mary Marshall, niska siwowłosa kobieta, wyglądała na dyrektorkę podstawówki albo bibliotekarkę. Jeśli kiedykolwiek grzeszyła, to na pewno nie próżnością. Uchyliła zamknięte na łańcuch drzwi wygodnego domu przy Stoke Bishop. U jej stóp ujadł terier. Gdy się upewniła, że na progu nie stoi zamaskowany zbir, wygoniła psa do kuchni i wróciła, by wpuścić Jenny.

— Przepraszam za Sandy'ego. Odkąd zabrakło Harry'ego, wiecznie jest na posterunku.

— I dobrze się spisuje.

Mary uśmiechnęła się i poprowadziła Jenny korytarzem. Minęły otwarte drzwi salonu, w którym dwie nastolatki oglądały jakiś program przyrodniczy. Dom był nieskazitelnie czysty, ale wyposażenia nie zmieniano od lat osiemdziesiątych. Na ścianie u stóp schodów wisiał lichey obraz przedstawiający drzewo o rozłożystych konarach. Na dole płótna widniał napis: „Królestwo Niebieskie jest jak małe ziarnko, które człowiek zasadził w swym ogrodzie”.

Jenny podziękowała za herbatę czy „coś mocniejszego”, więc Mary wprowadziła ją do niewielkiego pokoju — jak powiedziała, „gabinetu Harry'ego” — zamknęła za sobą drzwi i przekręciła klucz w zamku. Czegokolwiek miała dotyczyć rozmowa, nie chciała, żeby usłyszały ją dziewczynki. Jenny pomyślała, że to dom, w którym dzieci na zawsze pozostają dziećmi. Usiadła w jednym z dwóch foteli, które wyglądały, jakby ich obicia uszyto na kursie wieczorowym. Mary zajęła drugi i złożony dłoń na kolanach, spytała, w czym może pomóc.

— Pewnie czytała pani w gazetach, że wznowiłam ostatnie dochodzenie, które prowadził pani mąż — zaczęła Jenny.

— Tak, czytałam — potwierdziła Mary.

W jej głosie zabrzmiał wyrzut, jakby uznała to za osobistą zniewagę.

— Przeglądając notatki pani męża, odniosłam wrażenie, że początkowo bardzo się przejmował tą sprawą, ale potem jakby stracił do niej serce.

— Wiem, że ta sprawa bardzo go poruszyła. Zawsze tak było, gdy miał

do czynienia z więziennymi zgonami. Przed powołaniem na stanowisko koronera był członkiem Amnesty International.

— Czy rozmawiał z panią o tej sprawie?

— Tylko ogólnie. Starał się nie przynosić pracy do domu. Został koronerem właśnie dlatego, żeby wieczory i weekendy móc poświęcać rodzinie.

Jenny czuła, że ten szlaban na rozmowy o pracy nie był do końca dobrowolny. Pani Marshall sprawiała wrażenie osoby, z którą lepiej nie dyskutować.

— W ostatnich dniach przed śmiercią pani mąż zajmował się sprawą piętnastolatki, niejakiej Katy Taylor. Czy wspominał o tym?

Mary zeszywniała. Musiała czytać o tej sprawie w gazetach i wiedziała, że Harry'emu zarzucano nierzetelność.

— Nie, nie wspominał. I jestem pewna, że po prostu chciał oszczędzić rodzinę. Czasami trzymanie się przepisów nie ma wiele wspólnego ze współczuciem. Przekona się pani o tym, kiedy nabierze pani doświadczenia.

Jenny posłała jej neutralny uśmiech. Po latach trzymania męża na krótkiej smyczy pani Marshall dawała mu pośmiertny order: aureolę.

— Zostawił w szufladzie biurka pewien dokument. Musiał go dostać nieoficjalnie, może od informatora. To była oferta przetargowa firmy prowadzącej Portshead Farm na budowę dużego więzienia dla nieletnich — przerwała, by jak najstaranniej dobrać słowa. — Kontrakt był wart dziesiątki milionów. Gdyby pani mąż ujawnił, że firma jest w jakiś sposób odpowiedzialna za śmierć Danny'ego Willsa, mogłoby to ich zdyskredytować... Czy wspomniał pani o tym?

Mary pokręciła głową.

— Nie, nic o tym nie wiem.

— A czy nie odniosła pani wrażenia, że coś go gnębi?

— Nie bardziej niż zwykle. Wydawał się tylko trochę zmęczony, to wszystko.

— Naprawdę wolałabym nie poruszać tego tematu, pani Marshall...

— Już powiedziałam Alison, jakie jest moje zdanie. Harry nigdy nie

odebrałyby sobie życia. Tak jak ja wierzył, że samobójstwo to grzech. Każdy rodzaj samobójstwa, nawet eutanazja terminalnie chorych.

— Chciałam spytać, czy mąż nigdy wcześniej nie spotkał się z przypadkami korupcji, a jeśli tak, to jak je traktował.

Mary trochę się rozluźniła.

— Nienawidził korupcji, to oczywiste. Był człowiekiem z zasadami.

— Nie ujawnił jednak tego dokumentu. Musiał mieć naprawdę ważny powód.

— Jeśli pani sugeruje, że dał się skorumpować, to zapewniam panią, że to absolutnie niemożliwe.

— Rozumiem — odparła Jenny, chociaż był pewna, że Mary Marshall tylko udaje naiwną. Wiedziała z doświadczenia, że ci, którzy szukają ucieczki w religii, zwykle o wiele lepiej niż inni zdają sobie sprawę z przyrodzonej ułomności ludzkiej natury. Postanowiła spróbować innego podejścia, zanim się podda. — O ile wiem, pani mąż przyjaźnił się z Frankiem Granthamem?

— Nie — głos Mary ociekał pogardą.

— No cóż. Alison mówiła, że często się spotykali.

— Służbowo. Harry uważał Granthama za żalosnego głupca.

— Ale na pewno się z nim liczył. Odniosłam wrażenie, że to Grantham rządził biurem koronera.

— Harry miał żonę i cztery córki. Nie mógł sobie pozwolić na wrogów w magistracie.

— Dlaczego bał się Granthama? Przecież on nie ma żadnej prawnej władzy nad koronerem.

— Nie bał się go.

— Więc czemu pozwalał rozstawiać się po kątach?

Mary westchnęła, jakby w przypiływie bólu.

— Widzi pani, Harry udzielał się społecznie. A Frank wszędzie wtyka nos i nie waha się źle mówić o ludziach. Jeśli pani chce znać prawdę, Harry sądził, że Frank jest skorumpowany, ale był na tyle przyzwoity, żeby zachować te podejrzenia dla siebie.

— W jaki sposób skorumpowany?

— Nie wiem dokładnie, a nie cierpię plotek.

— Proszę, pani Marshall. To może być ważne.

Mary spojrzała na regał z książkami.

— Wystarczy zobaczyć, jak mieszka, żeby wiedzieć, że nie żyje tylko z pensji. Nie zarabia więcej, niż zarabiał Harry.

— Pani mąż uważał, że Grantham dostaje prowizje. Od czego, od umów sprzedaży nieruchomości?

— To były tylko przypuszczenia.

— Nie mówił o niczym konkretnym?

— Nie. Harry nie lubił strzępić języka.

Jenny zebrała się w sobie.

— Proszę wybaczyć, że o to spytam, pani Marshall, ale proszę zrozumieć, że naprawdę muszę... Czy po śmierci męża zauważyła pani coś dziwnego w jego finansach, na przykład jakieś niespodziewane premie?

— Myślę, że pani zna odpowiedź na to pytanie. — Mary posłała jej spojrzenie mówiące, że audyencja skończona. — Pora, żebym zagoniła córki do łóżek.

* *

Jenny wyszła z domu Marshallów z uczuciem, że jeśli Harry był zamieszany w coś niedozwolonego, Mary wie o tym, ale nie piśnie słowa, dopóki nie dopadnie jej starcza demencja. Postrzegła świat po swojemu, z Bogiem na czubku drzewa i wszystkimi innymi usadzonymi piętrowo, zależnie od ich cnót, skromności i aseksualności. Ona znajduje się gdzieś na dole, ledwie gałązkę czy dwie wyżej od dziewczyny, której jechała szukać.

* *

Tara wsiadła na fotel pasażera. Czuć było od niej alkohol. Dzielnie starała się udawać trzeźwą, ale zacinała się na dłuższych słowach i trzymała uchwyty nad drzwiami, ilekroć brały zakręty. Jenny powoli wyrabiała sobie pojęcie o tej kobiecie: lesba bez pary, która mieszka sama i całą energię wkłada w pracę. Było w niej też coś autodestrukcyjnego; miało się wrażenie,

że żywi się dramatyzmem sytuacji, aby zdobyć uwagę, której nikt nie poświęcał jej w związku. Nie do końca pogodzona ze swoją orientacją, pewnie często piła za dużo i chodziła się zabawić do lesbijskich barów. Niezbyt atrakcyjna, za to zbyt zasadnicza. Ktoś, kogo bierze się do łóżka na jeden raz. Jenny było jej trochę żal.

Wjechały na osiedle Broadlands tuż przed wpół do dwunastej. Grupki dzieciaków sterczały na rogach ulic i gromadziły się wokół ławek na zapuszczonym placu zabaw. Pili, palili papierosy, ale atmosfera była raczej luźna. Gdyby człowiek rozkraczył się tu samochodem, straciłby portfel, a nie życie.

Po kilku minutach Tara zauważyła dwie dziewczyny w miniówkach, stojące przy krawężniku na skraju osiedla. Kazała Jenny zwolnić, kiedy je mijały. Jenny zastanawiała się, co dziewczyny pomyślą, widząc dwie kobiety obserwujące je z samochodu.

- Może powinniśmy je zapytać, czy widziały Hayley? — zasugerowała.
- Nie. Zadzwoń do niej i ją ostrzegaj.

Jenny zwolniła na tyle, żeby Tara mogła dokładniej przyjrzeć się dziewczynom.

— Zwykle stoją na samym wylocie, żeby łapać przejeżdżające samochody — wyjaśniła dziennikarka. — Za sklepami jest rząd garaży, tam każą parkować klientom.

Zawróciły, a gdy przejeżdżały przez osiedle drugi raz, zastąpiła im drogę grupa nastolatków. Wymachując rękami i robiąc wariackie miny, próbowali je zatrzymać. Jenny znalazła dość miejsca, żeby ich minąć, ale przez chwilę miała pietra. Tara, zgrywając doświadczoną reporterkę, powiedziała:

- Tylko się bawia.

Minęły te same dwie dziewczyny — widocznie interes nie szedł najlepiej. Zatrzymały się na stacji benzynowej i kupiły sobie kawę do samochodu. Było już po północy i Tara miała ciężkie powieki. Zapętlila się w opowieści o swoim oskarżeniu, twierdząc, że nie tylko została wrobiona, ale na dodatek ktoś podsłuchiwał jej telefony i wysyłał oszczercze maile do jej szefów w gazecie. Jenny próbowała jej współczuć, lecz trudno było stwierdzić, gdzie kończy się

prawda, a zaczyna paranoja. Kiedy Tara zaczęła swoją historię po raz czwarty, Jenny włączyła radio, mówiąc, że chce posłuchać wiadomości.

— Wiesz, Jenny, jest coś, czego ci nie powiedziałam — oznajmiła dziennikarka konspiracyjnym tonem. — Skąd wzięłam twoje dane medyczne.

Jenny napiła się kawy. Czuła, że tabletki przestają działać, i Tara zaczęła ją lekko przerażać.

— Chcesz wiedzieć?

— Nieszczególnie.

— Zhakowałam je. Mam takiego szesnastoletniego szczuna, oczywiście nie podam ci żadnych danych, którego poznałam na czacie. Twierdzi, że potrafi się włamać wszędzie. Podaję mu nazwisko, a on ściąga dane bankowe i medyczne, a nawet listę przeglądanych stron internetowych. Jest niesamowity. Na dodatek uważa, że dwadzieścia funtów to mnóstwo pieniędzy. — Pokiwała głową. — Nie ma już czegoś takiego jak tajemnica. Jedyne, co stoi między prawdą a człowiekiem, który chce ją poznać, to wysiłek, jaki jest skłonny w to włożyć.

— A co ten dzieciak wie o tobie? — spytała Jenny.

Tara zerknęła na nią znad kubka z kawą.

— Czyżbyś sama była ciekawa?

— To była niewinna uwaga.

— Niewiele tego jest... — zawiesiła głos, mając nadzieję, że Jenny zacznie drążyć głębiej.

Nie zaczęła. Atmosfera w samochodzie robiła się klaustrofobiczna i Jenny obawiała się, że Tara zacznie się do niej przystawiać. Nie miała uprzedzeń, ale myślała, że kobieta mogłaby żywić do niej tego rodzaju uczucia, krępowała ją. Pora ruszać, uznała.

Po osiedlu krążyło kilka innych samochodów; we wszystkich siedzieli samotni mężczyźni. O ile się zorientowały, na ulicy były dziś tylko trzy czy cztery dziewczyny, więc samochodowe rekiny musiały czekać na swoją kolej.

Dochodziła pierwsza i Tara już przysypiała. W pewnej chwili chrapnęła głośno, broda opadła jej na pierś, a głowa kiwnęła się w bok. Cudownie, pomyślała Jenny. Cały wieczór poszedł na marne. Zawróciła i ruszyła do

wyjazdu z osiedla.

Nagle pojawił się policyjny radiowóz. Wypadł z bocznej uliczki, migając kogutem, włączył syrenę i popędził ulicą przed nimi.

Tara się obudziła.

— Co to było?

Radiowóz zahamował z piskiem opon i wpadł na krawężnik dwieście metrów przed nimi, gdzie drugi radiowóz zablokował jakiegoś sedana.

— Wygląda na to, że ktoś pójdzie do kozy — skomentowała Jenny.

Zwolniła, przejeżdżając obok. Jakiś gruby łysy facet kłócił się z posterunkowym, a druga policjantka prowadziła do radiowozu dziewczynę w dżinsowej spódniczce.

— To Hayley — powiedziała Tara.

Jenny wyjęła komórkę i zadzwoniła do Alison.

* *

Była prawie druga, kiedy Alison wyszła z komisariatu. Zastukała w okno samochodu i powiedziała, że sierżant dyżurujący w areszcie zgodził się na dziesięciminutową rozmowę z Hayley w celi. Jenny już wcześniej zdołała przekonać Tarę, że nie ma sensu, by szła z nimi, i podrzuciła ją do domu. Wysiadając z samochodu, Collins dotknęła jej kolana; Jenny wciąż czuła to miejsce.

Alison przeprowadziła ją obok grupki zmarzniętych palaczy na schodach i przez recepcję, gdzie kilka pijanych kobiet pukało w szybę dyżurki. Kiwnęła głową oficerowi dyżurnemu, który nacisnął brzeczyk i wpuścił je do komisariatu.

Areszt znajdował się w piwnicy. Lokatorzy cel powoli układali się do snu, tylko garstka zaspanych pijaczków, przykutych do żelaznych pierścieni w ścianie, czekała na zakończenie papierkowej roboty. Sierżant rzucił Alison pęk kluczy i przywitał się z Jenny grzecznie, ale z rezerwą. Nie chciał się w to mieszać. Wyświadczył tylko przysługę byłej koleżance z pracy.

* *

Hayley siedziała na pryczy, obejmując gołe kolana. Miała około osiemnastu lat i nie wyglądała na prostytutkę. Ładna, z szopą gęstych czarnych włosów i oliwkową cerą. Jenny pomyślała, że stać by ją było na coś lepszego niż krążenie po ulicach Broadlands. Dziewczyna spojrzała na nie zaspanymi oczami i opuściła nogi; spódnica ledwie zakrywała jej majtki.

— A wy tu po co? — rzuciła.

Alison dokonała prezentacji.

— Jestem Alison Trent, asystentka koronera, a to pani koroner Cooper.

— Nasze spotkanie nie ma nic wspólnego z powodem pani dzisiejszego aresztowania, pani Johnson, a ja nie mam nic wspólnego z policją — wyjaśniła Jenny. — Zajmuję się badaniem przyczyn śmierci. Prowadzę dochodzenie w sprawie niejakiej Katy Taylor. O ile wiem, pani ją znała.

Hayley przeniosła wzrok z Jenny na Alison, a potem znów spojrzała na Jenny.

— Macie jakieś fajki? — spytała.

Alison wsunęła rękę do kieszeni płaszcza i wyciągnęła zmiędloną paczkę marlboro. Wytrząsnęła papierosa, podała go Hayley i przypaliła plastikową zapalniczką. Dziewczyna zaciągnęła się głęboko.

— Widziałam ją raz czy dwa — przyznała.

— Z tego, co wiemy, łapała klientów na Broadlands — powiedziała Jenny.

— Od czasu do czasu.

— Policja ma jej zdjęcia, jak wsiada do czarnego albo granatowego vauxhalla vectry. Wtedy widziano ją ostatni raz.

Hayley pokręciła głową.

— Nie znam się na samochodach.

Jenny pytała dalej.

— Pewnie nie ma też pani głowy do dat, ale Katy wyszła z Portshead siedemnastego kwietnia. Dwudziestego pierwszego kwietnia uciekła z domu, a następnego dnia była już na ulicy. Wsiadła do tej vectry około dwudziestej

trzeciej. Zmarła, albo została zabita, niedługo potem.

Hayley wydmuchała kolejną chmurę dymu.

— Chyba ją widziałam w sobotę w nocy.

— Gdzie?

— Na ulicy. Miała areszt domowy, tak? Śmiała się z tego.

— O czym jeszcze mówiła?

Hayley zmarszczyła brwi, próbując sobie przypomnieć.

— Zdaje się, że rozmawialiśmy, skąd by tu skołować crack. Ale dla niej. Ja tego nie tykam. Jak już człowiek chce coś brać, lepiej się postarać, żeby było czyste, a nie zmieszane z jakimś gównem.

— Heroinę też brała? — spytała Alison.

— Nie. Ile ona miała, piętnaście lat? Bardziej udawała, że bierze.

— Może mówiła, że ma jakieś kłopoty? Że ktoś chce ją dopaść? — drażyla Jenny.

— Nie.

— A opowiadała o Portshead?

— Wspominała, że było strasznie nudno...

— A o chłopaku, Dannym, który siedział tam w tym samym czasie? Wspominała o nim?

— Macie jeszcze fajkę?

Alison podała jej paczkę.

— Weź wszystkie.

— Dzięki. — Hayley wyjęła papierosa i odpaliła od poprzedniego. — Mówiła, że był tam jakiś chłopak, co się powiesił. Że bił się z klawiszami i odgrażał się, że sobie zrobi nóż...

— To wszystko? Niech pani spróbuje sobie przypomnieć, to bardzo ważne.

— Myślała, że on chce dźgnąć tego klawisza, ale potem się powiesił. Żałowała go, bo chyba chodzili razem do szkoły.

— Powiedziała jak się nazywał ten klawisz? — spytała Alison.

— Nie, ale mówiła, że spróbuje z kimś o tym porozmawiać.

— Z kim? No, Hayley, postaraj się — poprosiła Jenny.

Hayley podrapała się po głowie i ziewnęła; wysiłek zaczynał ją męczyć.

— Chyba ze swoim kuratorem.

— Z Justinem Bennettem?

— Może i tak. Naprawdę nie pamiętam.

* *

To Alison zasugerowała, żeby złapać Bennetta, kiedy będzie się tego najmniej spodziewał. Wskoczyły z samochodu, gdy wychodził ze swojego mieszkania na parterze obskurnego szeregowca w Redlands.

— Dzień dobry, panie Bennett — powiedziała Jenny. — Mamy do pana parę pytań. Co pan powie na podwózkę do pracy?

Alison otworzyła tylne drzwi. Justin cofnął się krok i pokręcił głową.

— Możemy porozmawiać tutaj, jeśli pan woli — oznajmiła Jenny.

— Czego panie chcą?

— To pani Cooper zadaje tu pytania — rzuciła Alison. — I na pańskim miejscu odpowiedziałabym na nie.

Justin zgodzi się wsiąść do samochodu i porozmawiać, ale nie życzył sobie, żeby go dokądkolwiek wozić. Siedział z tyłu cały w nerwach. Jenny czuła niemal sadystyczną przyjemność, gdy obserwowała, jak się wiję. Patrząc na niego w lusterku, powiedziała:

— Po zwolnieniu z Portshead Katy Taylor rozmawiała z panem o Dannym Willsie. Zechce nam pan zrelacjonować tę rozmowę?

Justin założył ręce na brzuchu.

— Jaką rozmowę?

Głosem, jakiego Jenny jeszcze u niej nie słyszała, Alison warknęła:

— Przestań pieprzyć. Gadaj, co wiesz, albo wylądujesz w areszcie za utrudnianie śledztwa.

— Może i wspomniała o nim na spotkaniu. Przecież umarł, kiedy tam była.

— Wiemy, że powiedziała więcej — naciskała Alison.

— Próbuję sobie przypomnieć...

Alison spojrzała znacząco na Jenny.

— Powiedziała ci, że Danny miał kłopoty z jednym z klawiszy i mówił, że chce zdobyć nóż.

— Tak, może i tak.

— Który to był klawisz?

— Nie powiedziała.

— To sobie szybko przypomniawsz.

— Nie podała nazwiska.

Alison odwróciła się na fotelu.

— Mów prawdę, Bennett.

— To jest prawda.

— Więc dlaczego nie powiedziałeś o tym wcześniej? — spytała Jenny.

— Powiedziałem Marshallowi. Zadzwoiłem do niego tego samego dnia, kiedy rozmawiałem z Katy.

— Czyli?

— W piątek, dzień przed jej zniknięciem. Dwudziestego kwietnia.

— To było ponad tydzień przed rozprawą w sprawie Danny'ego — zauważyła Alison.

— A dlaczego nie powiedziałeś mnie? — spytała Jenny.

Justin potarł dłonią kark.

— Bo się bałem... Katy mi powiedziała i znaleźli ją nieżywą. Ja powiedziałem koronerowi i koroner umarł. Każdy by się bał.

Rozdział 20

Przepisane leki plus połówka temazepamu na deser dały jej zastrzyk energii. Mimo zaledwie trzech godzin snu czuła się rozluźniona i gotowa do walki.

Alison weszła do jej gabinetu z kopią uzupełniającego zeznania, które odebrała od Justina w samochodzie. Podała Jenny kartkę i spytała:

— Co pani teraz zrobi?

— Kiedy wznowimy rozprawę, powołam na świadków Bennetta i Hayley, a potem przesłucham jeszcze raz personel Portshead. Jeśli mimo to do

niczego nie dojdziemy, będę przesłuchiwać wszystkie dzieciaki, które były wtedy w zakładzie, aż dowiemy się, z którym opiekunem Danny miał problemy.

— Rozumiem, do czego pani zmierza, ale przecież samo ustalenie nazwiska nic nam nie da. Nie mamy żadnych dowodów rzeczowych na jakiegokolwiek uchybienie.

— Ja mówię o atmosferze strachu. Powiedzmy, że Danny był trudny i oporny, i próbowali siłą zmusić go do wyjścia z celi i pójścia na lekcje. Któryś z osadzonych mógł to widzieć. Danny był wrażliwym chłopcem. Jeśli złe traktowanie przez personel popchnęło go do tego kroku, chcę, żeby przysięgli to usłyszeli.

— A gdzie, pani zdaniem, jest w tym wszystkim miejsce Katy?

— Rozmawiała z Bennettem, który zadzwonił potem do Marshalla w piątek dwudziestego kwietnia. Katy zaginęła, ale Marshall dowiedział się o jej śmierci dopiero trzy dni przed rozprawą w sprawie Danny'ego. Zachował informacje od Bennetta w tajemnicy. Nie wyszły na rozprawie i nie powiedział o nich policji. W piątek dwudziestego siódmego Marshall poszedł do lekarza po receptę. Możemy założyć, że wtedy miał już tę ofertę przetargową. Musiał myśleć to samo co my. Że wokół śmierci Danny'ego jest jakiś smród, ale UKAM za dużo ryzykuje, by pozwolić, żeby cokolwiek wyszło na jaw.

Alison wyglądała na bardzo zmęczoną po zarwanej nocy.

— Jaka jest pani teoria? — spytała cicho.

— Marshall został przekonany albo zmuszony, żeby nie drażnić sprawy. Gdy po poniedziałkowym posiedzeniu wrócił wieczorem do biura, dowiedział się, że Katy Taylor znaleziono martwą. Jej autopsja odbyła się we wtorek. Choć powinien był otworzyć przewód, w środę podpisał akt zgonu. A w czwartek w nocy zmarł. Pani go znała. Co pani o tym sądzi?

Alison spojrzała na Jenny ze smutkiem w oczach.

— Cóż, bałam się, że wziął łapówkę, ale pani Marshall twierdzi, że tak nie było.

— Mógł ukryć pieniądze albo umowa była taka, że dostanie je po wszystkim.

Alison zaczęła krążyć po gabinecie.

— Nie, nie dałby się przekupić w sprawie dzieciaka, który umarł w więzieniu. Nawet przez moment by go nie kusilo.

— Jak pani myśli, na co przydałyby mu się pieniądze? — spytała Jenny.

— Na to samo co każdemu innemu.

— Proszę nie odebrać tego źle, ale czy sądzi pani, że mógł chcieć odejść od żony?

Alison zatrzymała się i odwróciła na pięcie.

— Pyta pani, czy zamierzaliśmy uciec razem? To niedorzeczne.

— Musiałam o to zapytać.

Alison, czerwona na twarzy, odparła:

— Nie było między nami seksu i nie mogło być. Kocham mojego męża, a Harry był oddany rodzinie.

— Przepraszam...

Alison gotowała się przez chwilę, ale w końcu usiadła, skrywając swoją gorycz. Wciąż była wściekła na Marshalla, miała mu za złe, że ją na to naraził.

— Więc może ktoś go zastraszył? — spekulowała Jenny. — Może ktoś groził córkom Harry'ego?

— Harry nie był tchórzem. Poszedłby na policję.

— Cokolwiek to było, zabił się przez to.

— Tego nie wiemy.

Spojrzały sobie w oczy. Alison spuściła wzrok.

— Byłoby znacznie łatwiej, gdyby zostawił list — powiedziała Jenny. — Ale może miał swoje powody, żeby tego nie robić. Schował teczkę Katy i ofertę w tej samej szufladzie. Wiedział, że pani będzie pierwszą osobą, która tam zajrzy, zgadza się?

— Tak.

— Na ile zdążyłam poznać Marshalla, to były wskazówki, że dzieje się niesprawiedliwość. Niesprawiedliwość, z którą nie potrafił żyć.

Alison, bliska łez, zapytała:

— Myśli pani, że należy w to zaangażować policję?

— Nadal im pani ufa po tym, jak załatwili sprawę Katy?

— To zbyt poważna sprawa, żeby pani sama się z nią borykała. Już i tak ma pani kłopoty z ministerstwem. I proszę pamiętać, co zrobili Tarze Collins...

— Będę z panią szczerą. Dostałam tę pracę, bo myśleli, że będą mogli mnie kontrolować. Jeśli nie doprowadzę do orzeczenia samobójstwa, moja historia choroby wypłynie w tajemniczy sposób, a za przemilczenie w aplikacji dostanę zarzut oszustwa. Mam tylko cztery dni do kolejnego posiedzenia, więc spędzę je na szukaniu bomby, którą można by podłożyć pod cały ten bajzel. Jeśli mam odejść, to z hukiem.

— Co pani planuje?

— Najpierw utnę sobie pogawędkę z doktorem Petersonem. Nie wierzę, że powiedział nam całą prawdę ani nawet pół prawdy. — Sięgnęła po aktówkę.

— Przepraszam, że ciągle do tego wracam, pani Cooper, ale miałam kolejny telefon w sprawie rachunków.

— Chrzanić rachunki.

* *

Gdy przebiła się przez popołudniowe korki i dotarła do szpitala, asystent w kostnicy powiedział jej, że doktor Peterson wyszedł wcześniej na przyjęcie urodzinowe córki. Przedzieranie się do Clifton zajęło jej kolejne czterdzieści minut. Peterson mieszkał w ładnej czteropiętrowej kamienicy, przy ulicy wlotowej z Downs. Otworzył drzwi w dżinsach, różowej koszulce polo i okularach przeciwsłonecznych nasuniętych na czoło. Z domu dobiegały radosne głosy małych dziewczynek i jakiś popowy przebój.

Spojrzał na nią ze zdumieniem, które po chwili zmieniło się w irytację.

— Czego pani chce? — warknął.

— Dziesięciu minut pańskiego czasu.

— Na litość boską, mam urodziny córki.

— Proszę mi wierzyć, że jestem zirytowana nie mniej niż pan. Możemy porozmawiać tutaj, jeśli pan chce.

— Chwileczkę. — Wściekłym krokiem przemierzył hol, zamienił parę słów z żoną, która wyjrzała z salonu na intruzkę, po czym wrócił do drzwi i zamknął je za sobą. — O co chodzi?

— O pański raport z autopsji Danny'ego Willsa.

— A konkretnie?

— Przez ostatnie dwa tygodnie czytałam sporo pańskich raportów i cieszę się, że przysyła je pan w terminie. Ale raport z sekcji Danny'ego jest jednym z najkrótszych, co wydaje mi się dziwne, biorąc pod uwagę okoliczności.

— Dla mnie sprawa była prosta. Skądinąd zdrowy chłopak się powiesił.

Trzy siedmiolatki stanęły w wykuszowym oknie salonu i zaczęły robić miny przez szybę. Jedna z nich, ubrana w kostium Barbie Księżniczki, miała buzię umazaną czekoladą. Jenny dostrzegła podobieństwo do ojca. Peterson machnął na dziewczynki, żeby zmykały, ale przyłączyły się do nich następne, wszystkie w tiarach i wymyślnych sukienkach, piszczące wniebogłosy.

— Chyba powinniśmy się przejść — zaproponowała Jenny.

Wyszli z małego zwirowanego ogródka i ruszyli w stronę Downs. Peterson nawet nie próbował ukrywać zniecierpliwienia.

— Od czasu pańskiego zeznania wysłuchałam zeznań innych świadków — zaczęła Jenny. — Wygląda na to, że Danny miewał spięcia z jednym z opiekunów w Portshead. Dosyć gwałtowne.

— Nie znalazłem żadnych innych obrażeń, jeśli o to pani pyta.

— Obawiam się, że to mało przekonujące, biorąc pod uwagę jakość pańskiego badania Katy Taylor.

— Jeśli ma pani zastrzeżenia do mojej pracy, proszę złożyć skargę. Sądzę jednak, iż fakt, że samodzielnie prowadzę jedną z najbardziej obleganych szpitalnych kostnic, będzie przemawiał na moją korzyść.

— Z pewnością, ale ja apeluję do pańskiego sumienia.

— Proszę sobie darować takie sztuczki.

Skręcili za róg, w główną ulicę biegnącą wzdłuż Downs. Peterson wyprzedził Jenny. Przyspieszyła kroku, żeby go dogonić.

— W obu sprawach ukrywano dowody, to nie ulega wątpliwości. Marshall

o tym wiedział, więc wydaje się oczywiste, że pan również.

— Taką rozmowę powinienem odbywać w obecności adwokata.

— Ja pana o nic nie oskarżam. Wręcz przeciwnie, jestem gotowa zaproponować panu układ.

— Układ? A niby jaki?

— Nie mogę ekshumować Danny'ego, bo został poddany kremacji. Tylko pan widział jego ciało. Jeżeli więc informacje o konflikcie z klawiszem się potwierdzą, mogą paść kolejne pytania, i to takie, na które nie znajdzie pan łatwej odpowiedzi, nawet biorąc pod uwagę pańską reputację.

— To naprawdę podłe wyciągać człowieka z urodzin córki, żeby mu grozić — powiedział Peterson.

— Wierzę, że jest pan uczciwy — odparła Jenny. — I że Harry Marshall też taki był. Ale wiem też, że ktoś przekonał pana, żeby nie przyglądał się pan pewnym rzeczom tak uważnie, jakby pan mógł. Teraz ma pan dwie możliwości: milczeć, licząc na to, że nie dotrę do sedna sprawy, albo powiedzieć mi, co pan wie, a wtedy zastanowimy się, jak wyciągnąć pana z tego.

Peterson zatrzymał się i wrzasnął tak głośno, że aż się cofnęła:

— Danny Wills się powiesił. Wszystkie ustalenia zawarłem w raporcie. Jeśli ci się to nie podoba, to trudno, do cholery, ale nie ma nic więcej.

— Pan jest bardzo wzburzony, doktorze.

— Odwal się. — Ruszył z powrotem drogą, którą przyszli. — I nie przychodź więcej do mojego domu, chyba że będziesz miała nakaz sądowy.

* *

Wieczór był ciepły, więc Jenny usiadła przy stole na trawniku, który zmieniał się z powrotem w łąkę. Zajęła się zaległymi rutynowymi zgłoszeniami. Kolejne szpitalne zgony: splątana staruszka przejechana przez pocztową furgonetkę i robotnik drogowy, który przebił młotem pneumatycznym kabel wysokiego napięcia. Załączono zdjęcia zmarłego budowlańca — każdy skrawek jego skóry był spalony na węgiel.

Docierała już do dna sterty, kiedy w podmuchu wiatru poczuła dym.

Uniosła głowę i zobaczyła Steve'a. Opary o węgiel domu, palił grubego skręta. Jenny niuchnęła jeszcze raz — to nie był sam tytoń, było w nim trochę trawki.

— Zajęta? — spytał Steve.

— Zależy, co ci chodzi po głowie.

Podszedł leniwym krokiem, usiadł naprzeciwko Jenny i posłał jej szelmowski uśmiech.

— Zgadnij, co znalazłem w kącie mojego ogródka?

— Właśnie czuję. A koroner Jej Królewskiej Mości nie powinien rozmawiać z kimś, kto pali to coś.

— Ja nie uznaję praw. Są tworzone przez ludzi, którzy nie ufają samym sobie i boją się wolności.

— Urodziłeś się trzydzieści lat za późno, przyjacielu.

— W czas też nie wierzę. Myślisz, że to drzewo przejmuje się, jaką mamy dekadę?

— Ile wypaliłeś?

— Dużo. To świetny towar. — Podał jej jointa przez stół.

Jenny kusilo, ale zdołała się oprzeć.

— Właśnie się zastanawiałam, gdzie się podziewasz.

— Musiałem się napalić, żeby mieć odwagę tutaj przyjść.

— Jestem aż tak przerażająca?

— Nie chodzi o ciebie, tylko o mnie. Wyszedłem z wprawy.

— Nie zauważyłam, ale może dlatego, że ja też wyszłam.

— Są na świecie gorsze grzechy. Próbowalaś tego kiedyś?

— Mój syn próbował...

— To zdrowsze niż alkohol. Żadnej chemii, żadnego kaca. Wyhodowane na żyznej walijskiej ziemi.

Jenny patrzyła, jak Steve zaciąga się z błogim wyrazem twarzy, rozluźniony i spokojny. Też chciała się tak poczuć. Zapach przywoływał wspomnienia studenckich imprez, uczucia beztroski, która graniczyła z ekstazą.

Steve znów wyciągnął jointa w jej stronę. Tym razem nie zdołała się

powstrzymać. Zaciągnęła się głęboko i przytrzymała dym w płucach, zanim go wypuściła.

— Dobrze? — spytał.

— Masz na mnie zły wpływ.

— Wypal jeszcze trochę, to przestaniesz tak mówić.

Zaciągnęła się ponownie.

— Już rozumiem, co masz na myśli.

Steve uśmiechnął się i spytał:

— Jak tam w pracy? Ciągle nie mogę sobie ciebie wyobrazić jako koronera.

— Powinieneś mnie zobaczyć, kiedy siedzę w sądzie. Sama nie mogę w to uwierzyć.

— Dowiedziałas się, co się stało tej dziewczynie?

— Nie chcę o tym teraz rozmawiać. — Pochyliła się, żeby zaciągnąć się jeszcze raz, zanim skręć się skończy.

— Poczekaj, zrobię nowego. — Steve sięgnął do kieszeni dżinsów i wyciągnął plastikowy woreczek, w którym było ze trzydzieści gramów marihuany.

Gdy zaczął zwijać skręta, Jenny dotknęła jego dłoni.

— Może zostawimy go sobie na potem? — zaproponował.

* *

Potem leżeli nadzy w jej łóżku, paląc jointy i patrząc na dym wijący się pod sufitem. Wokół żarówki krążyły dwie ćmy. Zaczęli robić zakłady, która upali się pierwsza i spadnie na podłogę. Ćmy okazały się odporne na marihuanę — wciąż krążyły, choć oni wypalili już po dwa skręty na łebka.

— Wiesz, że jesteś najciekawszym tematem plotek w dolinie — zagaił Steve.

— Naprawdę? A to dlaczego?

— Piękna samotna kobieta to doskonała pożywka dla ludzkich fantazji.

— Mam nadzieję, że są nieprzyzwoite.

— I to bardzo. Szkoda, że nie słyszałaś, co rzekomo robiłaś z Rhodrim.

— Och, błagam. Przecież jestem po czterdziestce...
— Bzykasz go jak dzika. Facet chwali się zadrapaniami.
— Tak, teraz pamiętam.
— Jestem choć w połowie tak dobry jak on?
— Wynoś się z mojego łóżka, draniu.
— Jestem za bardzo upalony.
— To masz pecha. — Przeturlała się i położyła na nim, opierając się na łokciach, z jointem w dłoni. — Będziesz musiał zostać na noc.
Położył rękę w zagłębieniu jej pleców i zaczął ją głaskać.
— Wiesz, co się dzieje, kiedy ludzie zaczynają to robić.
Wypuściła chmurę dymu, która popłynęła nad jego piersią.
— Nie wysypiają się — odparła, przywierając do niego całym ciałem.

* *

Steve brał na górze prysznic, a ona była w kuchni w samym szlafroku, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Jenny spojrzała na zegar na kuchence — było parę minut po siódmej. Przeszła przez korytarz, obwiązując się szczelniej szlafrokiem, i uchyliła drzwi.

Przysadzisty mężczyzna w średnim wieku pokazał jej policyjną odznakę.

— Dzień dobry. Sierżant śledczy Owen Williams z Chepstow. Czy pani Cooper?

— Tak. — Zobaczyła dwie policjantki w mundurach stojące za nimi i dwa radiowozy zaparkowane przy drodze. Natychmiast pomyślała o Rossie.

— Czy w pani domu przebywa może Stephen Painter?

— Tak. A o co chodzi?

— Obawiam się, że będę musiał zamienić z nim słowo i przeszukać dom — odparł sierżant. — Dostałem informację, która sugeruje, że miało tu miejsce przestępstwo.

— Od kogo?

— Obawiam się, że nie mogę tego wyjawić. Czy będzie pani łaskawa nas wpuścić?

Jenny, wciąż osłupiała, odparła:

- Jest pod prysznicem.
- Więc pójdziemy razem na górę, dobrze?

Rozdział 21

Trzymali ich oddzielnie, przeszukując dom — Jenny w kuchni, a Steve'a w salonie. Słyszała przez drzwi, jak zapewnia sierżanta, że ona nie miała pojęcia, że palił trawkę z własnej hodowli w skrętach z tytoniem. Williams odparł, że wyjaśnią wszystko na komisariacie.

Znaleźli niedopałki w koszu i torebkę Steve'a w kieszeni jego džinsów. Kiedy posterunkowe wypisywały etykiety na dowody i wypełniały formularze z przeszukania, Jenny pozwolono się ubrać i zadzwonić. Złapała Alison jeszcze w domu. W pierwszym odruchu chciała powiedzieć jej prawdę, ale w końcu skłamała, że musiała wezwać hydraulika i trochę jej zejdzie, zanim dotrze do biura.

Ona pojechała do Chepstow na tylnym siedzeniu radiowozu Williamsa, a Steve z dwiema policjantkami. Sierżant pilnował, by trzymać ich oddzielnie przed przesłuchaniem, pokazując mundurowym, jak prawdziwy śledczy traktuje podejrzanych: surowo, ale z szacunkiem. Podczas jazdy krętą drogą przez dolinę z Tintern do St Arvans Jenny była zadziwiająco spokojna. Sama nie wiedziała, czy to dzięki nowym pigułkom, czy też sytuacja była tak nierzeczywista, że nie potrafiła potraktować jej na serio. Williams słuchał jakiejś stacji radiowej nadającej po walijsku: marne popowe kawałki i śpiewne pogawędki, w których od czasu do czasu pojawiało się angielskie słowo. Na pytanie sierżanta, czy mówi po walijsku, odparła, że nie, bo jej rodzina pochodziła z Somerset po drugiej stronie ujścia, ale od kiedy się tu przeniósła, myśli, żeby się zapisać na kurs wieczorowy. Williams stwierdził, że powinna; jedyny minus jest taki, że po pewnym czasie angielski zaczyna brzmieć równie szorstko jak niemiecki, nie ma w nim żadnej muzyki. W jego ustach już samo słowo „muzyka” brzmiało melodyjnie.

Jenny, czując, że zaczynają łąpać kontakt, spytała:

- Kto panu powiedział, że Steve jest u mnie?

— Wie pani, że nie możemy zdradzać tożsamości naszych informatorów.

— To była ta dziewczyna, która pracuje w Apple Tree, prawda? Annie?

Spojrzał na nią w lusterku z porozumiewawczym uśmiechem.

— Dlaczego mam takiego pecha? — skomentowała Jenny. — Znam prawników, którzy wciągali kokę i zdradzali żony, a teraz siedzą w Sądzie Najwyższym.

— Wic polega na tym, pani Cooper, żeby nie dać się złapać — rzekł sierżant.

* *

Jenny i Steve zostali umieszczeni w sąsiednich pokojach. Williams spisywał zeznania; w każdym pokoju była też policjantka. Steve poszedł na pierwszy ogień. Jenny słyszała przez cienkie ściany tylko stłumiony pomruk rozmowy, ale domyślała się, że skoro w ogóle mówił, powtarza to, co powiedział już w domu. Kiedy przyszła jej kolej, zeznała, że nie miała pojęcia, co on pali, a że nigdy wcześniej nie wąchała marihuany, nie wiedziała, co to jest. Nawet jej do głowy nie przyszło, że ktoś może zażywać narkotyki w jej obecności, wiedząc, że jest koronerem. Williams powstrzymał się od komentarza, lecz jego spojrzenie wyraźnie mówiło, co o tym myśli.

Było już po jedenastej, kiedy wrócił do pokoju i powiedział, że obojgu zostaną postawione zarzuty. Steve z powodu ilości marihuany, jaką miał przy sobie, zostanie oskarżony o posiadanie z zamiarem dystrybucji, a Jenny o „zezwolenie na wykorzystanie posesji”. Wypuścił ich za kaucją i przekazał akta miejscowej prokuraturze. O terminie rozprawy mieli zostać powiadomieni listownie.

— Jak pan zdoła udowodnić, że wiedziałam, co on pali? — spytała Jenny.

— To już jest problem prokuratora, pani Cooper.

— Podadzą te zarzuty do wiadomości publicznej?

— Nie mam pojęcia.

Ściągnęła jego spojrzenie, kiedy układał papiery na stole, kończąc poranną zmianę.

— Czy pan naprawdę chce mi to zrobić, czy ktoś panu kazał?

— Nie rozumiem, co pani ma na myśli.

— Czytał pan gazety. Jestem w trakcie dwóch dochodzeń, które raczej nie przysparzają chwały naszej policji i służbie więziennej.

— Pierwsze słyszę. — Wpiął zeznania do teczki i zwrócił się do posterunkowej. — Proszę odprowadzić panią Cooper do wyjścia.

* *

Spotkali się na schodkach przed komisariatem. Steve uniósł rękę.

— Przepraszam...

— To może być najdroższy seks w moim życiu.

— Przynajmniej był niezły.

Spojrzała na niego z ukosa. Jakoś nie było jej do śmiechu.

— Domyślasz się, kto do nich zadzwonił?

— Pewnie Annie. Wpadłem na chwilę do pubu, zanim przyjechałem do ciebie... — Miał minę winowajcy.

— Co?

— Jeden z chłopaków, Ed, powiedział, że w zeszły weekend ktoś wypytywał o ciebie w pubie.

— Kto?

— Jakiś facet. Koło trzydziestki. Ed najpierw myślał, że to gliniarz, ale był za bardzo napakowany.

— O co pytał?

— Czy często przychodzisz, z kim się przyjaźnisz. Ed przypuszczał, że to twój były chłopak węszył.

— Powiedział mu o tobie?

— Nie, nikt o nas nie wie.

— Przecież sam twierdziłeś, że tu wszyscy wszystko wiedzą.

Ujął jej dłoń.

— Przepraszam, Jenny.

— Nie musisz tego w kółko powtarzać. To nie twoja wina.

— Co teraz zrobisz?

— Wezmę taksówkę i pojedę coś zjeść.

Znów padało, więc siedzieli przy małym stole w kuchni. Ciasne domowe wnętrze jeszcze bardziej pogłębiało poczucie nierzeczywistości; to było jak podglądanie cudzego życia. Do kanapek Jenny miała tylko ser i sałatę. Wyjaśniła, że marnie zaopatrzona lodówka to najlepszy sposób na utrzymanie linii. Jeśli chce mieć szczupłą dziewczynę, nie może oczekiwać, że będzie dobrze karmiony. Powiedziała „dziewczynę” zupełnie bezmyślnie i czekała, czy Steve zareaguje. Nie zareagował. Wyglądało na to, że czuje się całkiem dobrze, siedząc w jej kuchni i wcinając kanapkę. Może próbował się zrehabilitować za zniszczenie jej kariery?

Zapytała jeszcze raz o mężczyznę, który o nią wypytywał. Steve zapewnił, że nic więcej nie wie.

— Kto to mógł być, twoim zdaniem?

Spojrzała na niego znad filiżanki z kawą.

— Chyba mogę ci ufać?

— Co to miało znaczyć?

Odstawiła filiżankę, zła na siebie, że w niego zwątpiła. Mroczne myśli znów zaczęły przenikać przez chemiczny koktajl w jej mózgu.

— Ciebie nikt o mnie nie wypytywał?

— Nie. Czy to ma coś wspólnego z twoją pracą?

— Dlaczego tu przyszedłeś pierwszego dnia?

Spojrzał na nie szczerze zdumiony.

— Mów prawdę — poprosiła.

Minęła chwila, zanim odzyskał język w gębie.

— Okej... Tego dnia, kiedy się wprowadziłaś, zauważyłem wóz meblowy. Przejechałem obok i zobaczyłem, jak targasz plastikowy kosz na pranie pełen jakichś gratów... Pomyślałem, że jesteś ładna. To była jedna z tych chwil...

— Jakich?

— Kiedy wiesz, że coś się zmieni.

— Spodobałam ci się, jak dźwigałam kosz?

— Nawet więcej, jeśli już mam być całkiem szczerzy... — Wzruszył ramionami. — Wiedziałem, że muszę cię mieć.

— W sensie seksualnym?

— W każdym sensie.

— No i popatrz, idziemy razem do sądu.

Steve wbił wzrok w stół.

— Cholernie mi głupio... Wezmę całą winę na siebie, ty nie miałaś z tym nic wspólnego.

— Przysięgnij mi, że to nie ty mnie wrobiłeś.

— Chyba się domyślam, co się stało. Annie wiedziała, że mam trawkę, dałem jej trochę. I mogła wiedzieć, że idę do ciebie, bo po drodze minąłem kilku znajomych. Pewnie jej powiedzieli, gdzie jestem.

— Z nią też sypiasz?

— Ostatnio nie.

— Nienawidzi cię na tyle, żeby donieść na ciebie policji?

— To ona mi powiedziała o tym gościu... Dał jej pieniądze.

— Annie, nie Ed?

Steve kiwnął głową.

— I nic mi nie powiedziałeś?

— Zamierzałem... ale byłem upalony. Pomyślałem, że to nie jest zbyt ważne.

Jenny parsknęła śmiechem. Śmiała się coraz głośniej, chociaż czuła, że jest na granicy płaczu. Próbowwała powstrzymać łzy, a gdy jednak popłynęły, Steve wstał, obszedł stół i wziął ją w ramiona. Łzy wsiąkały mu w koszulę.

* *

Później, gdy już wzięła się w garść, opowiedziała mu o Dannym Willsie i Katy Taylor, o nagłej śmierci Harry'ego Marshalla i tym, co spotkało Tarę Collins. Powiedziała, że zaczęła z najlepszymi intencjami, chcąc wynagrodzić choć trochę niesprawiedliwości, z jaką miała do czynienia w sądach rodzinnych, ale teraz naprawdę się boi. Gdy zapytał, jak może pomóc, odparła, żeby się nie obwiniał za to, co się stało, bo UKAM i tak znalazłoby sposób, by dobrać się jej do skóry.

* *

Jenny poznała po minie Alison, że asystentka wie o wszystkim. Okazało się, że dziennikarze już dzwoniли w tej sprawie, a na stronie internetowej „Posta” pojawiła się informacja: „Koroner Severn Vale aresztowana za trawkę”. Simon Moreton z Ministerstwa Sprawiedliwości przysłał mail z prośbą o telefon. Urzędnik z kancelarii centrum sądowiczego dostał informację, że sala nie będzie potrzebna w poniedziałek — dzwonił spytać, czy to prawda. Wszystko działa się błyskawicznie. Na dodatek śledztwo w sprawie Katy Taylor wstrzymano na tydzień, bo funkcjonariusze zostali przesunięci do innej sprawy: nieznani sprawcy obrzucili meczet koktajlami Mołotowa.

— Gdyby ktoś teraz zaproponował mi łapówkę za wyciszenie tej sprawy, nie trzeba by wiele — powiedziała Jenny.

Alison podała jej stertę zgłoszeń z nocy.

— Chce pani na nie spojrzeć?

— A co mam innego do roboty? — Wzięła dokumenty i ruszyła do gabinetu.

— Powie mi pani, co się stało? — poprosiła Alison.

Jenny było już wszystko jedno.

— Mój nowy chłopak palił trawkę. No i tak jakoś wyszło... Jego była doniosła na policję, ale najpierw dotarł do niej ktoś z UKAM. To samotna matka, pracuje jako barmanka.

— Prowadzi pani ciekawe życie.

— Chce się pani zamienić? — mruknęła Jenny.

Alison posłała jej współczujące spojrzenie.

— Co mam mówić, jeśli ktoś będzie pytał?

— Była pani policjantką, coś pani wymyśli.

* *

Jenny wiedziała, że powinna zadzwonić do paru osób — do Simone Wills, do Andy’ego i Claire — ale co miała im powiedzieć? Czuła się jak idiotka.

Trudno wymyślić lepszą pułapkę, niż urządzić wszystko tak, by ofiara myślała, że sama jest sobie winna.

Pierwszy zadzwonił Moreton.

— Słyszałem, że wpakowała się pani w niezły pasztet, Jenny.

— Mogłabym panu wyjaśnić, w jaki sposób bogata firma prowadząca prywatne więzienia pozbyła się mojego poprzednika, a teraz próbuje zrobić to samo ze mną, ale pewnie i tak by mi pan nie uwierzył.

— Obawiam się, że mam na głowie pilniejsze sprawy, na przykład co z panią zrobić, dopóki nie zapadnie wyrok.

— To nie jestem niewinna, dopóki nie udowodni mi się winy?

— Oczywiście, ale oboje wiemy, że funkcjonariusze wymiaru sprawiedliwości nie mogą wykonywać obowiązków, kiedy ciężą na nich zarzuty kryminalne.

— Niech pan porozmawia z rodzinami Danny'ego Willsa i Katy Taylor. Oni nie będą mieli nic przeciwko, żebym dalej prowadziła dochodzenie.

— Ale ministerstwo będzie miało, Jenny, nawet w tych oświeconych czasach. Podjęto decyzję o zawieszeniu pani w obowiązkach, z prawem do pełnych poborów, aż do rozstrzygnięcia w pani sprawie.

— A co z dochodzeniami?

— Zostaną odroczone. Jeżeli zostanie pani uznana za winną, zajmie się nimi inny koroner w stosownym czasie.

— A jeśli zostanę uniewinniona?

— Mamy nadzieję, że wykorzysta pani ten czas na rozważenie innych opcji. Gdyby pani zdecydowała, że służba koronerska nie jest dla pani, na pewno pomożemy pani poszukać czegoś innego i wydamy odpowiednie referencje.

— To brzmi, jakbyście wyświadczyli mi przysługę.

— Rozumiem, że to dla pani bardzo trudny okres.

— Prawdę mówiąc teraz, kiedy już wiem, kto jest czarnym charakterem, czuję się zupełnie spokojna — odparła Jenny.

W słuchawce przez chwilę panowała cisza.

— Wysyłam pani mail z decyzją oraz jej kopię zwykłą pocztą.

Chcielibyśmy, żeby opuściła pani biuro do osiemnastej.

Zajęła się papierkową robotą; chciała zostawić czyste biurko, żeby nie dać swojemu następcy pretekstu do obmawiania jej. Za drzwiami słyszała Alison rozmawiającą ściszym głosem przez telefon — zgorszeni koledzy z innych biur koronerskich chcieli poznać brudne szczegóły. Trzeba przyznać, że asystentka była lojalna; mówiła wszystkim, że zarzuty są sfabrykowane, że przyjaciel Jenny mógł coś palić, ale ona o tym nie wiedziała. Po kilku powtórkach Jenny niemal sama w to uwierzyła.

Załatwiała kolejne zgłoszenia jak w transie. Wystawiła dziewięć aktów zgonu, ułożyła w równy stosik dokumentację pięciu przypadków wymagających wyjaśnienia — żaden z nich nie wymagał rozprawy z ławą przysięgłych — i uporządkowała akta spraw Danny'ego i Katy, zostawiając w obu teczkach krótki list z wyjaśnieniem. Nie tknęła tylko rachunków. Alison powiedziała, że ma się nie martwić, jakoś sobie z nimi poradzi.

O szóstej spakowała aktówkę i wyszła z gabinetu. Chciała się pożegnać, ale Alison już nie było; jej krzesło stało wsunięte pod biurko. Ani słowa pożegnania, żadnego liściku, tylko przytłaczająca cisza i poczucie wszechogarniającego smutku wiszące w powietrzu jak mgła.

Wyszła głównymi drzwiami, zamknęła je za sobą i wrzuciła klucz do skrzynki pocztowej.

* *

David zadzwonił, kiedy wyjeżdżała na Severn Bridge. Zestaw głośnomówiący miała podłączony do odtwarzacza, więc jego głos zaszczeakał na nią z czterech głośników naraz.

— Debora właśnie pokazała mi gazetę. Brawo. Ross jeszcze nie wrócił, ale podejrzewam, że już słyszał dobre wieści. Chyba nie jesteś jego dilerem, co?

— Nie żartuj, Davidzie.

— Ja mówię poważnie. Nic mnie nie zaskoczy w twoim wykonaniu.

— No to możesz się odprężyć, nie jestem już twoim problemem.

— Ale wciąż jesteś problemem mojego syna.

— Twojego syna?

— Najwidoczniej tylko ja jestem zdolny do udźwignięcia odpowiedzialności.

— Nie miałam nic wspólnego z tą trawką.

— Więc muszę się martwić tylko tym hipisem, który się koło ciebie kręci.

— Na pewno jest bystrzejszy niż ta dupencja z kurzym mózdzkiem, która biega jak nakręcona po twojej kuchni.

— Nie zadzwoniłem po to, żebyśmy się obrzucali obelgami. Zresztą nic, co mógłbym powiedzieć, nie mogłoby się równać z twoim zachowaniem. Chcę cię poinformować, że nie życzę sobie, żebyś się zbliżała do mojego syna, dopóki jest pod moją opieką.

— Doprawdy? Może nie zauważyłeś, ale Ross nie jest już dzieckiem. Ma szesnaście lat i może decydować za siebie.

— I zdecydował. A może jesteś za bardzo naćpana, żeby pamiętać?

Jenny spojrzała na rzekę; przez chmury na zachodzie przebiła się łaska boża.

Dawid zaczął krzyczeć:

— Pewnie za dużo wymagam, ale chyba powinienem usłyszeć chociaż słowo przeprosin!

Wcisnęła czerwony guzik, ucinając jego wrzaski, i patrzyła, jak słoneczna kolumna zwęża się i wreszcie znika.

* *

Ross nie odebrał telefonu i nie miała mu tego za złe. Nie chodziło o to, że była złą matką — starała się, jak tylko mogła, ale nie potrafiła być tak wyprana z egoizmu, jak wszyscy od niej oczekiwali. Żeby spełnić te oczekiwania, musiałaby porzucić pracę zawodową i być wyłącznie żoną Davida — dbać o dom, gotować mu posiłki, uprawiać z nim seks, kiedy tylko jemu się zachce, i znaleźć sobie jakieś sportowe hobby, które by pochwalał, na przykład tenis czy jazdę konną. Wracać do domu w bryczesach, kochać się z nim pod prysznicem, a potem stawiać mu przed nosem zdrową kolację i pomagać Rossowi w pracach domowych ze snobistycznej prywatnej szkoły.

Próbowała sobie wyobrazić, jak czułaby się w roli idealnej pani domu. Przytłoczona. Zdesperowana. Wściekła. Miała za dużo własnych uczuć, by na pierwszym miejscu stawiać cudze. Wiedziała o tym, jeszcze zanim wyszła za mąż. Powinna była wtedy zatrzymać ten pociąg i wyskoczyć, ale chciała jak najszybciej mieć z głowy miłość, małżeństwo i całą resztę, żeby móc zacząć żyć dalej. Nawet w dniu ślubu nie była tu i teraz, tylko zastanawiała się, co dalej. Ile czasu potrzeba, żeby zaszała w ciążę? Jak szybko będzie mogła wrócić do pracy?

Teraz, po siedemnastu latach, była uzależnioną od leków przegraną matką, która lada chwila straci jedyną rzecz, której nie chciała poświęcić. Powołanie na koronera w wieku czterdziestu dwóch lat stanowiło powód do dumy. Straciła męża, ale kochał się z nią inny mężczyzna i chyba mu się to podobało. Więc zostawiłaby po sobie jakieś dobre wspomnienie.

Zaparkowała w zatoczce przy lesie, około półtora kilometra przed Tintern. Na prawo była droga prowadząca do rzeki Wye. Mogłaby wejść między drzewa, a potem wczołgać się w gęstwinę ostrokrzewu i wrzośca. Albo zejść nad rzekę, poczekać na przyptyw, wziąć pigułki i łagodnie spłynąć do morza. Przy odrobinie szczęścia nigdy jej nie znajdą. Ślady stóp na błotnistym brzegu zmyje deszcz.

Trzeba było trzech temazepamów, żeby osiągnąć to otępienie, to poczucie oderwania. Oczami duszy widziała siebie jako latawiec szarpany na sznurku przez silny wiatr. Ten obraz dawał jej zaskakujące poczucie mocy — przecięcie sznurka byłoby aktem woli, konkretnym działaniem. Jej dłoń znalazła drogę do torebki i zamknęła się na buteleczce beta-blokerów. Gdy łyknie wszystkie, serce i płuca rozprężą się łagodnie i odpłyną w niebyt.

Wyjęła buteleczkę i powoli wcisnęła zakrętkę; jeszcze tylko przekręcić i zdjąć. W schowku ma butelkę coli — może najpierw rozpuścić tabletki, a potem wypić? Dzięki bąbelkom zadziałają szybciej. Nie, lepiej je łyknąć i popić. Chciała załatwić to elegancko, ale jak można być elegancką bez drinka?

Na poboczu przed nią stanęło subaru. Wsiadła z niego para turystów po trzydziestce w traperkach i pelerynach przeciwdeszczowych. Mieli młodego

labradora, ale żadnych dzieci. Mężczyzna wyglądał na dobrze zarabiającego specjalistę — może dentysta, pomyślała Jenny, widząc ich nieskazitelne uśmiechy — a kobieta bawiła się z psem; widać było, że nie ma na głowie innych obowiązków, że jest wolna. Gdy mijali Jenny, mężczyzna spojrzął jej w oczy, a gdy skręcili w leśną drogę, obejrzał się przez ramię — zupełnie jakby coś wyczuł.

Cholera. Typ ludzi, którzy zawsze się wtrąca.

Posłała kobiecie przyjazny uśmiech i przekręciła kluczyk w stacyjce. Wyjeżdżając z zatoczki, pomyślała: Nikt cię nie pogania. Dlaczego nie napić się najpierw wina.

Rozdział 22

Uparty dzwonek telefonu przebił się przez jej mroczny sen i przywrócił ją do rzeczywistości. Leżała skulona na kanapie z bolesnym skurczem w szyi. Światło sączyło się wokół zaciągniętych zasłon. Na dywanie stały dwie puste butelki po czerwonym winie, kieliszek z resztką na dnie, a obok dwa równe rzędy pigułek, puste buteleczki i nietknięta szklanka wody. Wpatrywała się w pigułki, powoli odzyskując ostrość widzenia. Jak przez mgłę pamiętała rytuał układania ich poprzedniego wieczoru — wyobrażała sobie, że jest dzieckiem liczącym cukierki, a potem wczołgała się na kanapę, żeby rozkoszować się ostatnim kieliszkiem.

Spuściła nogi na podłogę i poczuła tępy ból w piersi — jakby obudziła się po śmierci kogoś bliskiego albo po stracie kochanka. Wydarzenia poprzedniego dnia powoli układały się w całość: aresztowanie, zawieszenie, telefon Davida i pragnienie ucieczki, które ją uwiodło, zastępując gniew. Ciało miała jak z ołowiu, myśli jeszcze cięższe.

Telefon nie dawał za wygraną, ktoś uparł się ją obudzić. Powlokła się przez pokój i podniosła słuchawkę, odgarniając z twarzy rozczochrane włosy.

— Halo. — Głos miała zduszony, ochryply.

— Pani Cooper?

Odchrząknęła.

— Tak.

— Mówi Lloyd z Newport General. Dzwoniłem do pani Trent, ale nie odbiera.

Jenny spojrzała na zegarek: nie było jeszcze ósmej.

— Dzień dobry, panie profesorze.

Lloyd milczał chwilę, jakby zażenowany.

— Słyszałem, co się stało wczoraj, ale nie wiedziałem, do kogo innego mógłbym zadzwonić. Widzi pani, mam trochę nowych spostrzeżeń na temat Katy Taylor.

Jenny próbowała się skoncentrować; jej głowa pulsowała boleśnie z każdym uderzeniem serca, nieprzetrawiony alkohol wciąż krążył w żyłach.

— Zostałam zawieszona w obowiązkach — powiedziała. — Nie wiem, czy z naszej rozmowy cokolwiek wyniknie.

— A jeśli wyniknie, pani Cooper?

Słyszając to, natychmiast oprzytomniała. Jej umysł wskoczył na swoje miejsce w obolałej czaszce.

— Jest pan patologiem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, profesorze — odparła, starannie dobierając słowa. — Zna pan system lepiej niż ja.

— To prawda. Czy moglibyśmy się spotkać i porozmawiać, skoro ma pani czas?

— Po co?

— Wyjaśnię wszystko, gdy się spotykamy. Co pani na to?

* *

Wspomnienie snu o ciemnym pokoju i duchach wsączyło się w jej świadomość, gdy jechała krętą drogą do Usk, a stamtąd autostradą do Newport. Obrazy były niewyraźne — mroczne postacie nadciągające z jeszcze mroczniejszej przestrzeni — ale nie chciały zniknąć. Czuła pod palcami fakturę kierownicy, włączyła wycieraczkę, kiedy deszcz zamglił szybę, ale wciąż czuła zapach mokrej cegły i pleśniejącego tynku i mimo porannej porcji pigułek jej serce łomotało ze strachu przed niewidzialnym drapieżcą. Wejście do tajemniczego pokoju z jej koszmarów otworzyło się trochę szerzej; to, co

znajdowało się za nim, było zwodniczo bliskie, a jednak wciąż poza zasięgiem wzroku. Chciała zapuścić się w tę otchłań, zidentyfikować i schwytać potwora, ale strach wciąż był silniejszy niż potrzeba poznania.

Gdy znalazła się na bezpiecznej autostradzie, otoczona innymi samochodami, pozwoliła sobie na odtworzenie wydarzeń poprzedniego wieczoru. Jej wspomnienia były jeszcze bardziej nieuchwytnie niż sny, które przyszedł potem. Zobaczyła siebie w zatoczce: blada postać w anonimowym samochodzie, bawiąca się butelką pigułek, skuszona perspektywą ulgi, a zarazem dziwnie nieświadoma źródła bólu. Nierealność tych obrazów uświadomiła jej, w jaki sposób samobójcy przekraczają próg. Kiedy siedziała po turecku na dywaniku i liczyła beta-blokery, myśl o odejściu niosła jej ukojenie. Słowo „śmierć” ani razu nie przyszło jej do głowy, marzyła tylko o spokoju.

Dotarła na miejsce wciąż zafiksowana w stanie półsnu. Wysiadła z samochodu i ruszyła w stronę Celtic Manor, kompleksu hotelowego przy autostradzie M4 na obrzeżach Newport. Nie czuła ziemi pod nogami, a jej głos brzmiał obco, kiedy pytała recepcjonistkę, jak dojść do kawiarni Forum. Tłumaczyła sobie, że to wina kombinacji leków i potężnego kaca, ale gdy mijając radosną grupkę hotelowych gości, dostrzegła w ich uśmiechach coś złowrogiego, zrozumiała, że to coś więcej. Doktor Travis wyjaśniał jej, że psychotyk projektuje swoje zaburzone uczucia na innych i że obłąd można powstrzymać tylko przez uświadomienie sobie paranoi, zanim znikną wszelkie możliwości świadomej kontroli.

Szukając kawiarni, Jenny pogodziła się z faktem, że to końcowa faza — moment, którego zawsze się bała, ale którego spodziewała się wcześniej czy później. Ma najwyżej kilka dni, żeby zebrać się na odwagę i zanurkować w to mroczne miejsce we własnym wnętrzu. A jeśli nie zdoła... Wiedziała, co wybierze. Tępe kiwanie się w świetlicy psychiatryka albo wykrzykiwanie na rogach ulic nie było w jej stylu.

Profesor Lloyd siedział przy stoliku koło panoramicznego okna z widokiem na hotelowy basen. Uśmiechnął się, gdy podeszła, i wstał, by uścisnąć jej dłoń.

— Tak się cieszę, że pani mogła przyjechać, pani Cooper. — Wskazał jej niski wiklinowy fotel. Na stoliku czekał dzbanek herbaty i dwie filiżanki. — Wiem, że powinienem spędzać czas na siłowni obok, ale jakoś nigdy tam nie dotarłem. Często przychodzę tu w deszczowe popołudnia.

Jenny rozejrzała się po nowoczesnym wnętrzu.

— Nie dziwię się panu.

Usiadła w fotelu, który zmuszał do przybrania pozycji pólężącej. Profesor Lloyd wyciągnął się naprzeciwko niej; był rozluźniony, ale wzrok miał czujny. Jenny uśmiechnęła się, zadowolona, że przejął dowodzenie. Bez urzędowych uprawnień była tu tylko z ciekawości. Spojrzała przez szybę na basen: dwie puszyste kobiety w średnim wieku pływały dzielnie w tę i z powrotem, a smukła dziewczyna w bikini powoli wchodziła do wody, pozwalając wszystkim, by podziwiali jej nienaganną figurę.

— No więc, pani Cooper — zaczął Lloyd — czytałem wszystko o pani i słyszałem trochę plotek. Dwa kontrowersyjne dochodzenia w ciągu dwóch tygodni...

— Nie szukałam rozgłosu.

— Jestem pewien, że nie. — Pokręcił głową. — Napije się pani herbaty?

— Chętnie.

Napełnił jej filiżankę, dolał mleka, zamieszał i znieruchomiał na chwilę z mokrą łyżeczką w dłoni. Wreszcie odłożył ją na papierową serwetkę.

— Nie lubię mieć mokrego spodka, a pani?

— Nie cierpię — odparła.

Profesor przyglądał się jej, jakby szukał jakiejś wskazówki w wyrazie jej twarzy.

— Rozumiem, że oba dochodzenia zostały odroczone.

— To nie była moja decyzja.

— No tak. — Napił się herbaty i wreszcie przeszedł do sedna. — Widzi pani, moje przemyślenia na temat Katy były do pewnego stopnia sprowokowane tym, co czytałem o tej drugiej sprawie... Danny'ego Millsa?

— Willsa.

— Tak. Tego chłopca, który się powiesił, kiedy Katy była w tym samym

zakładzie. — Posłał Jenny pytające spojrzenie. — Czy ma pani podstawy sądzić, że te dwa zgony były ze sobą w jakiś sposób powiązane?

Spojrzała na niego zaintrygowana tym pytaniem.

— A dlaczego uważa pan, że mógłby istnieć jakiś związek?

Profesor złożył dłonie jak do modlitwy i oparł je o podbródek.

— Zanim przejdę dalej, pani Cooper — odparł — może zechce mi pani powiedzieć, co się pani przydarzyło, czy raczej co pani sądzi o tym, co się wydarzyło.

— Dlaczego miałabym panu ufać? Przecież może pan brać udział w tym wszystkim.

— W czym? — zdziwił się Lloyd.

— Zostałam zatrzymana właśnie dlatego, że odkryłam związek między tymi sprawami. Ktoś zawiadomił policję, że paliłam trawkę.

— Jest pani pewna, że to był donos?

— To było coś więcej niż donos. To była pułapka. Firma, która prowadzi Portshead Farm, ma dryg do takich akcji. Może i trzymają więźniów, ale z pewnością nie biorą jeńców.

Profesor uniósł dłonie wyżej, tak że zakryły mu oczy. Albo był dobrym aktorem, albo właśnie dokonywał poważnych kalkulacji. Po długiej chwili namysłu powiedział:

— Więc rozumie pani, że wszystko, co powiem, jest nieoficjalne, przynajmniej na razie. To spotkanie nigdy nie miało miejsca.

— Jak pan sobie życzy. I tak nie mogę nic zrobić. Mój następca, ktokolwiek to będzie, zakopie obie sprawy tak głęboko, że więcej nie ujrzą światła dziennego. — Wzruszyła ramionami i napiła się herbaty.

Lloyd kiwnął głową, wreszcie podjąwszy decyzję.

— To, co mam do powiedzenia, to tylko spekulacje, ale bardzo interesujące. — Spojrzał na drzwi, żeby się upewnić, że ma tylko jednego słuchacza. — Trochę poczytałem o uszkodzeniach więzadeł panewkowo-ramiennych. Takie urazy powstają zwykle przy wykręceniu ręki między łopatką, a najczęściej dzieje się to przy aresztowaniach albo w więzieniach, kiedy zostaje zastosowany chwyt obezwładniający.

— Chwył obezwładniający?

— Strażnicy więzienni i sanitariusze na oddziałach zamkniętych są uczeni technik pozwalających poskromić awanturniczych podopiecznych. Zwykle polega to na zablokowaniu łokcia, zmuszeniu delikwenta do położenia się na ziemi, klęknięciu na jego kręgosłupie i podciągnięciu ręki między łopatki. Gdy leży on twarzą do ziemi, funkcjonariusz może go przytrzymać jedną ręką, a drugą ma wolną do założenia kajdanek albo...

— Do wstrzyknięcia czegoś?

— Oczywiście.

— I uważa pan, że zabójca Katy użył takiego chwytu?

— Prawdopodobieństwo wynosi około osiemdziesięciu procent, a ząb mógł się ukruszyć, kiedy przyciśnięto jej twarz do podłogi. Fakt, że odłamek wciąż był w ustach, sugeruje, że stało się to bezpośrednio przed śmiercią, może nawet już w agonii.

— A gdyby była w samochodzie? Czy kierowca mógł zjechać z drogi i obezwładnić ją?

— Była bardzo drobna, nie widzę przeszkód.

— A ta kępka włosów wyrwanych z głowy?

Profesor uniósł wzrok do sufitu, wyobrażając sobie tę scenę.

— Podejrzewam, że napastnik nie miał miejsca, żeby klęknąć jej na plecach, więc wygiął jej rękę tak wysoko, żeby jednocześnie chwycić za włosy i zakotwiczyć chwyt. Przytrzymał ją lewą ręką, a prawą zrobił zastrzyk.

— Czyli policja powinna szukać kogoś wyszkolonego w tych technikach?

— To by było logiczne.

Jenny umilkła na chwilę, porządkując kolejne wydarzenia. Ciało Katy znaleziono trzydziestego kwietnia, w pierwszym dniu posiedzenia w sprawie Danny'ego Willsa. Doktor Peterson przeprowadził autopsję pierwszego maja, a drugiego Marshall wystawił akt zgonu bez czytania raportu na piśmie.

— Co pan wie o doktorze Petersonie?

— W jakim sensie?

— Nie wierzy pan, że nie zauważył tych uszkodzeń. A jednak pozwolił, żeby dwa dni później podpisano akt zgonu.

— Ledwie go znam, pani Cooper, nie będę więc snuł domysłów, ale nie mam podstaw uważać go za niesolidnego...

— Próbuje mi pan coś powiedzieć, więc czemu nie wprost? — spytała Jenny.

Westchnął, zaniepokojony konsekwencjami zawodowej zdrady, ale wyraz jego twarzy wskazywał, że sumienie bierze górę.

— Jak pani zapewne wie, patolodzy nagrywają swoje spostrzeżenia w trakcie badania. Może udałoby się odnaleźć taśmę z tej autopsji?

— Sądzi pan, że później ocenzurował raport?

— Myślałem raczej o Dannym Willsie. O ile pamiętam, raport doktora był niezwykle krótki, a przynajmniej tak sugerowały gazety. Kiedy nie ma szczątków fizycznych, najlepsza byłaby taśma.

Na jego czole pojawiła się głęboka zmarszczka.

— Pewnie uważa pani za niewybaczalne tchórzostwo, że nie chcę mówić o tym publicznie — rzekł. — Przepraszam, pani Cooper.

— A co, pańskim zdaniem, ja powinnam zrobić z tymi spekulacjami?

— Skoro pani zabrnęła w to już tak głęboko, zakładałem...

— Że jestem gotowa utonąć?

— Sprawia pani wrażenie bardzo odważnej — powiedział Lloyd.

— Ja nazywam to lekkomyślnością.

* *

Profesor poszedł, a Jenny została jeszcze chwilę, patrząc na pływaków. Młoda kobieta przeniosła się na leżak, ale starsze panie wciąż dzielnie orały wodę; pewnie wolały zrobić dwieście długości, niż odmówić sobie lunchu. I nic w tym dziwnego, pomyślała Jenny. W ich wieku mają niewiele przyjemności poza dobrym jedzeniem. Czym innym mogły się cieszyć?

A czym ona mogła się cieszyć? Mizerną nadzieją na oddalenie zarzutów i utrzymanie się w pracy, w której nie będzie miała ani odrobiny swobody? Twarzą do ziemi, z kolanem na grzbiecie — i to pod warunkiem że wcześniej nie zwariuje. Też mi wybór.

Gdy wreszcie wstała z fotela i ruszyła do wyjścia, twarze Danny'ego,

Katy i Marshalla pojawiły się przed jej oczami i nie chciały zniknąć. Przyszło jej do głowy, że może to nie jest wytwór jej wyobraźni, że może naprawdę tu są — prześladowające ją, udręczone dusze.

Alison osłupiała, słysząc głos Jenny w domofonie, i dopiero po chwili wpuściła ją do biura. Moreton zostawił instrukcje, wyjaśniła, że Jenny nie ma prawa przebywać na terenie budynku. Jenny odparła, że urzędnik z ministerstwa nie może jej zabronić przebywania w budynku będącym własnością magistratu.

Gdy weszła do recepcji, Alison stała przed biurkiem, na którym rozłożyła rachunki.

— Wczoraj wyszła pani bez słowa pożegnania — rzekła Jenny z wyrzutem.

— Nie wiedziałam, co powiedzieć — odparła Alison.

— Jak się okazało, „żegnam” mogłoby być przedwczesne — powiedziała Jenny.

Alison spojrzała na nią ze zdziwieniem.

— Co się stało?

— Zadzwoił do mnie profesor Lloyd. Widziałam się z nim. Uważa, że obrażenia Katy noszą wszelkie cechy zastosowania chwytu obezwładniającego. Domyślam się, że pani wie, co to takiego?

Alison kiwnęła głową.

— Dlaczego powiedział pani o tym teraz? — spytała.

— Nasza rozmowa była nieoficjalna, ale on też się zastanawiał, czy sprawy Katy i Danny'ego nie są powiązane. Śledzi dokładnie wszystko w gazetach.

— I co o tym myśli?

— Nie mówił wprost, ale sugerował, że doktor Peterson podał podejrzenie mało szczegółów w obu raportach. I że jeśli próbowano cokolwiek ukryć, on o tym wie.

— Ale pani nie może nic...

— Mogę zrobić bardzo dużo, potrzebuję jednak pomocy. Chcę przesłuchać taśmy Petersona z autopsji. Zostałam zawieszona, więc moje

możliwości są ograniczone, ale pani wciąż jest asystentką koronera i ma wszelkie uprawnienia. A że formalnie nadal ja jestem koronerem, mamy dobry argument, że wszystko, co pani zrobi na moje polecenie, będzie legalne.

— Zabroniono mi z panią rozmawiać, pani Cooper.

— Więc dlaczego mnie pani wpuściła?

Alison patrzyła na nią w milczeniu. Wreszcie usiadła na krześle stojącym koło biurka i odparła:

— Pan Moreton powiedział, że wszystkimi zgonami ma się tymczasowo zajmować biuro z Bristol Central.

— A co mówił o sprawach Danny'ego i Katy?

— Nic.

— Rozmawiała pani z Simone Wills?

— A co bym jej miała powiedzieć? — W głosie Alison brzmiała nuta desperacji; była w rozterce, rozdarta między zdrowym rozsądkiem a sumieniem.

— Ja już podjęłam decyzję — oznajmiła Jenny. — Dowiem się, jak oni umarli. Byłabym wdzięczna za pani pomoc w zajęciu nagrań Petersona, ale jeśli pani nie czuje się...

— Sama nie wiem — weszła jej w słowo zrozpaczona Alison.

— Nie chciałaby się pani dowiedzieć, co spotkało Harry'ego?

Asystentka zerknęła bezwiednie w lewo, na wyciąg z karty kredytowej leżący na stercie rachunków.

Jenny szybkim ruchem sięgnęła po kartę i odsunęła się od biurka, przewidując protest Alison.

— Błagam, pani Cooper, to nie jest nasza sprawa — powiedziała asystentka, zrywając się z krzesła.

Jenny przebiegła wzrokiem kolumny wypłat dokonanych z prywatnej karty Harry'ego.

Alison spróbowała zabrać jej wyciąg.

Jenny zrobiła unik i nagle to zobaczyła. Przedostatnia pozycja: dwudziesty szósty kwietnia, Novotel, Bristol. Alison wyrwała jej kartkę, ale

było już za późno.

Jenny spojrzała na asystentkę i dostrzegła w jej oczach bezbrzeżne cierpienie. Zrobiło jej się żal tej kobiety.

— Co on tam robił? — spytała cicho.

Alison wygładziła zmięty wyciąg, przełykając kluchę w gardle.

— Spał z kimś, jak sędzę.

— Sprawdziła to pani w hotelu?

Asystentka kiwnęła głową.

— Zameldowali się jako pan i pani Marshall... Wierzyć mi się nie chce.

Chcąc ją pocieszyć, Jenny powiedziała:

— To mogła być wina jego depresji. A skoro wy dwoje nie...

— Robił to już wcześniej — przerwała jej Alison. — Musiałam nawet kłamać, żeby go kryć. Harry o tym nie wiedział, ale żona się domyślała i próbowała go przyłapać. Gdy mówił jej, że wyjeżdża na cały dzień do Londynu i późno wróci, dzwoniła do biura, żeby sprawdzić, czy ja z nim nie jestem.

— Mary podejrzewała, że macie romans?

— Gdyby pieprzyła się z nim, zamiast z Jezusem, może siedziałby w domu. — Alison otarła łzy gniewu. — Idę sobie zrobić kawę. Pani też chce?

— Tak, poproszę.

Alison przeszła do kuchenki.

— Czy Harry wiedział, co pani do niego czuje? — spytała Jenny.

— Tak. Nawet raz mnie pocałował. Któregoś ranka dwa lata temu, ni stąd, ni zowąd. Ale on nie szukał miłości — dodała z żalem.

Jenny podeszła do biurka i spojrzała na rachunki. Domyślała się, że jej asystentka szukała wśród nich dowodów niewierności Harry'ego.

Alison stanęła w drzwiach kuchenki.

— Niestety nie wiem, kim ona była.

— A to by pomogło?

— Może odzyskałabym spokój.

Jenny podniosła plik faktur za kwiecień i przekartkowała je.

— Nie kupował jej żadnych prezentów na koszt biura?

— Niczego takiego nie znalazłam. — Alison odwróciła się i nasypała kawy rozpuszczalnej do filiżanek.

Jenny odłożyła kwietniowe rachunki i podniosła te z maja — miesiąca, z którego Harry przeżył tylko trzy dni. Faktury też były trzy: jedna z pierwszego maja, na dwieście funtów za materiały biurowe zamówione w firmie wysyłkowej, i dwie z trzeciego maja za bąbelkowe koperty i za nadanie przesyłki polecanej. Do ostatniej przypięty był odcinek kontrolny z pieczętką poczty, ale bez podpisu odbiorcy.

— Do kogo wysyłał list polecany rankiem przed śmiercią? — spytała. Alison wyszła z kuchni z kawą.

— Nie wiem. Nic mi o nim nie wspominał, chociaż zwykle to ja zajmowałam się pocztą.

— Na odcinku jest numer identyfikacyjny przesyłki. Może spróbujemy sprawdzić przez Internet?

Zanim Alison zdążyła postawić kawę na biurku, Jenny już siedziała przed monitorem i stukała w klawiaturę. Otworzyła stronę poczty i znalazła podstronę umożliwiającą śledzenie przesyłek.

— Zaraz się dowiemy, do kogo był ten list.

Wpisała trzynastocyfrowy numer identyfikacyjny i wcisnęła „enter”. Gdy pokazał się kolejny ekran, Alison odwróciła wzrok, żeby Jenny sama przeczytała nazwisko adresata.

Dopiero po dłuższej chwili, zdziwiona, że Jenny milczy, zapytała:

— No i co?

— List był wysłany do Granthama, na jego adres w magistracie. Nie został odebrany. Następnego dnia dostarczono go powtórnie i znów nikt nie odebrał. Wygląda na to, że może nadal leżeć w sortowni.

— Więc po niego pojedę — zaoferowała Alison.

— Może później. Najpierw pojedziemy do Vale, oczywiście jeśli pani się na to pisze.

Alison długo wpatrywała się w swoją filiżankę. W końcu uniosła głowę. Na jej twarzy malowała się rezygnacja.

— Ma pani rację. Chcę wiedzieć, co się stało z Harrym.

- Pewnie pani żałuje, że nie kochała się z nim tamtego ranka.
- Byłoby miło. Chociaż ten jeden raz.

Rozdział 23

Spotkały się następnego ranka w szpitalu Severn Vale. Alison wiedziała, że gabinet Kathy Greenway, sekretarki obsługującej Petersona i paru innych lekarzy, znajduje się na piątym piętrze głównego budynku. Można było się tam dostać tylko po wstukaniu kodu w panel cyfrowego zamka drzwi prowadzących z atrium do korytarza. Ustaliły, że Alison po prostu tam wejdzie i poprosi o nagrania z autopsji doktora Petersona — z czterech tygodni, począwszy od szesnastego kwietnia — jakby to była rutynowa sprawa. Jenny postanowiła trzymać się na uboczu i interweniować, dopiero gdyby sytuacja zrobiła się niezręczna. Zapytana o powody, Alison miała odpowiedzieć, że koroner Cooper kazała jej zabezpieczyć ten dowód jeszcze przed odroczeniem rozprawy, a nikt nie odwołał tego polecenia.

Jak na byłą policjantkę była mocno zdenerwowana, kiedy szły przez główny hol na piętrze. Jenny czując, że Alison wolałaby się od tego wykręcić, zapewniła ją, że jeśli będzie się trzymać oficjalnej wersji, nikt nie będzie mógł niczego jej zarzucić.

Alison pojechała na górę sama, a Jenny, ze słuchawką telefonu w uchu, poszła do kafeterii na parterze. Po minucie asystentka zadzwoniła; miała trzymać włączony telefon w kieszeni zakietu, żeby szefowa słyszała, jak sobie radzi. Jenny zamówiła filiżankę słabej kawy i usiadła przy stoliku w kącie.

W słuchawce przez chwilę panowała cisza, przerywana tylko przytłumionymi odgłosami telefonu objającego się po kieszeni. Alison miała się przedostać przez zewnętrzne drzwi podstępem: poczeka na kogoś i upuści aktówkę, a ten ktoś wstuka kod, gdy ona będzie zbierać rozsypane rzeczy.

Okazja nadarzyła się po minucie czy dwóch. Jenny usłyszała odgłos aktówki upadającej na podłogę, Alison mówiącą „o rety” i „czy byłby pan tak miły?”, męski głos oferujący pomoc i trzask zamykanych drzwi. Alison była w

środku.

Najwyraźniej Kathy Greenway dzieliła gabinet z innymi sekretarkami, słycać było bowiem kilka równoległych rozmów przez telefon i klekot kilku klawiatur. W końcu rozległ się głos Alison:

— Pani Greenway?

— Tak, a o co chodzi?

— Alison Trent, asystentka koronera. Często widziałam pani nazwisko w mailach, ale nigdy nie miałam okazji poznać pani osobiście.

— Czym mogę pani służyć? — zapytała sekretarka z lekkim niepokojem w głosie.

— Proszę się nie obawiać, przychodzę z drobną sprawą — uspokoiła ją Alison. — Pani koroner prosiła o wydanie taśm doktora Petersona z okresu od szesnastego kwietnia do siódmego maja bieżącego roku. Mogą zawierać dowody istotne dla spraw, które prowadzi. Pomyślałam, że mogą być tutaj.

— Doktor Peterson nic mi nie mówił.

— Bo to właściwie jego nie dotyczy. Oto nakaz koronerski. — Jenny usłyszała, jak Alison otwiera aktówkę i podaje sekretarce dokument, który napisała przed wyjściem z biura. — Jeśli te taśmy są w pani posiadaniu lub pod pani kontrolą, ma pani prawny obowiązek wydać mi je bezzwłocznie.

Nastąpiła chwila ciszy, gdy Kathy Greenway czytała nakaz. Wreszcie powiedziała:

— Zapytam pana Hassana, mojego kierownika zmiany. Ja nic o tym nie wiem.

— Nie ma takiej potrzeby. Nakaz dotyczy wyłącznie osoby, która jest w posiadaniu taśm.

— Mimo to muszę porozmawiać z panem Hassanem.

— Zanim pani zadzwoni, pani Greenway, chciałabym wiedzieć, czy pani ma te taśmy.

— Nie, tych akurat nie.

— W takim razie gdzie są?

— Nie wiem. Są używane wielokrotnie.

— To znaczy, że mogły wrócić do doktora Petersona?

— Niekoniecznie. Wszystkie trafiają do tego pojemnika, a potem są używane ponownie.

— Kto je zabiera?

— Lekarze, którzy chcą ich użyć.

— Czy pani robi transkrypcje wszystkich nagrań, które przysyła doktor Peterson?

— Tak.

— Więc ma je pani w swoim komputerze?

— Nie odpowiem na to pytanie. Dzwonię do pana Hassana.

Kathy podniosła słuchawkę i powiedziała szefowi zmiany, że ktoś z biura koronera pyta o raporty doktora Petersona. Jenny usłyszała, jak rozmowy w tle cichną — inne sekretarki zainteresowały się zamieszaniami. Po chwili Kathy rozłączyła się i oznajmiła, że kierownik zaraz przyjdzie i że zabronił jej udostępniać jakiegokolwiek dokumenty.

— Nakaz — odparła Alison — uwzględnia także transkrypcje nagrań. A to znaczy, że jeśli pani mi ich nie wyda, może pani dostać wezwanie do sądu.

— Ale jeśli zrobię to bez pozwolenia szefa, stracę pracę.

Zapadła cisza; Jenny niemal czuła napiętą atmosferę w pokoju sekretarek. Umówiły się, że to Alison będzie kontrolować telefon, ale postanowiła interweniować. Rozłączyła się, odczekała chwilę i oddzwoniła. Alison odebrała po pierwszym sygnale.

— Słucham.

— Wiem, że miałam tego nie robić, ale musi pani być twardsza. Kiedy przyjdzie Hassan, proszę mu powiedzieć, że albo wyda transkrypcje, albo i on, i Greenway w poniedziałek znajdą się w sądzie.

— Tak, zajmę się tym. Do widzenia — odparła Alison. Nie rozłączyła się, tylko wcisnęła kilka guzików, zapewne usuwając rozmowę przychodzącą, i schowała komórkę do kieszeni.

Po dobrych pięciu minutach, Jenny usłyszała męski głos:

— Ali Hassan. Z kim mam przyjemność?

— Alison Trent, asystentka koronera.

— To jest Alan Yates z naszego działu prawnego. On się zajmie pani

prośbą.

— Witam pani Trent — odezwał się prawnik, pewnie jeden z tych, którzy marnują życie na pomaganiu szpitalom w unikaniu odpowiedzialności za błędy lekarskie. — Czy możemy wyjść na korytarz?

— Przyszłam tutaj po dowody, których wydania zażądał koroner. Chyba pan rozumie, co to znaczy, panie Yates.

— Rozumiem, ale wolałbym omówić to z panią w cztery oczy.

Rozległy się kroki, a potem odgłos zamykanych drzwi.

Porzuciwszy pozory uprzejmości, Yates spytał:

— Co tu jest grane? Koroner została zawieszona dwa dni temu. Jej nakazy nie mają mocy prawnej, więc nasz personel nie musi pani niczego wydawać.

— Ten nakaz został wydany jeszcze przed zawieszeniem pani koroner — odparła Alison. — I z mojego punktu widzenia jest prawomocny. Jeśli nie zostanie wypełniony, będą konsekwencje.

— Poniesiemy je.

— Zdaje pan sobie sprawę, że utrudnia pan dochodzenie?

— Skończmy z tą głupią gadką. Właśnie rozmawiałem z szefem działu prawnego w magistracie i wiem, że pani w ogóle nie powinna tu być. Więc albo pani wyjdzie, albo wzywam ochronę.

— Biuro koronera nie podlega kompetencji pana Granthama.

— Czyżby? Niech pani wróci z nakazem aresztowania, to może potraktujemy panią poważnie.

Alison milczała chwilę. Potem sięgnęła do kieszeni i przerwała połączenie.

* *

Gdy weszła do kafeterii, Jenny właśnie łykała południowe pigułki, nie przejmując się już, czy ktokolwiek to zobaczy.

— Ile pani słyszała? — spytała Alison.

— Wszystko. Zdaje się, że przejrzeli pani blef.

— A co miałam robić, kłamać? Ten Yates pozmawiał z Granthamem.

Wiedział, że wysłała mnie pani na przeszpiegi. Mówi się trudno, pani Cooper, niczego od nich nie wyciągniemy.

— Nie jestem już pani szefem, może mi pani mówić po imieniu.

— Wolałabym nie.

Alison siedziała sztywno na brzegu krzesła, unikając jej spojrzenia; była zła na siebie i zawstydzona swoim niepowodzeniem.

— To chyba koniec. Do niczego tutaj nie dojdziemy.

— Na pewno nie po dobroci.

— Nie mamy żadnej mocy sprawczej, pani Cooper. Musimy poczekać, aż przywrócą panią na stanowisko.

— Doceniam pani optymizm, ale przecież obie wiemy, co się stanie z tymi transkrypcjami przez ten czas.

— Mówi pani, jakby to była moja wina. Ale co jeszcze mogłam zrobić?

— Nic — przyznała Jenny. — Ale skoro nie wpuszczają nas drzwiami, trzeba będzie wejść przez okno.

Wyjęła komórkę i odszukała w pamięci numer Tary Collins.

— Nie musi pani brać w tym udziału. Prawdę mówiąc lepiej, żeby pani w ogóle nie była w pobliżu.

— Do kogo pani dzwoni?

— Do Tary Collins. Ma przyjaciela, który jest hakerem.

— To ja chyba wrócę do biura. — Alison wstała. — Poszukam taksówki.

Gdy asystentka poszła, Jenny wybrała numer.

Tara odebrała domowy telefon po trzecim sygnale.

— Kto mówi?

— Jenny Cooper.

— Cześć. Właśnie miałam do ciebie dzwonić. Czytałam „Posta”. Powiedz mi, że cię wrobili.

— Coś w tym stylu.

— „Zezwolenie na wykorzystanie posesji”? Nie chcę się licytować, ale mogło być gorzej.

— Staram się, jak mogę.

— Dzwoniła do mnie Simone. Chciała wiedzieć, co się dzieje. Myślałam,

że ma dość ikry, żeby to przetrwać, ale teraz nie jestem już taka pewna.

— Nie wiem, czy powinniśmy rozmawiać przez telefon...

— A co mi tam. Równie dobrze mogli mi wsadzić pluskwę w tyłek.

Jenny chciała zaproponować jej spotkanie w jakimś neutralnym miejscu, ale dochodziła już pierwsza. Byłaby zdziwiona, gdyby raporty Petersona pozostały nietknięte do wieczoru.

— Mam nowe informacje. Muszę zdobyć pewne dane komputerowe z serwera Severn Vale. Transkrypcje nagrań z autopsji Petersona. Wspominałaś, że znasz jakiegoś hakera.

— Znam — odparła podekscytowana Tara.

— Myślisz, że będzie mógł pomóc? To pilne.

— Mogę do niego zadzwonić, ale jest pewien problem...

— Jaki?

— O ile pamiętam, szpital ma wewnętrzną sieć. Nie ma do niej dostępu z zewnątrz i z połączeń bezprzewodowych. Musiałyby pracować na którymś z terminali w budynku albo przynajmniej podłączyć kabel do systemu.

— Właśnie jestem w budynku. Masz jakiś pomysł?

— Rozejrzyj się. Oddzwonię za minutę. — Tara się rozłączyła.

Jenny schowała do kieszeni i poszła szukać wolnego komputera. Piętra administracji nie wchodziły w grę, co ograniczało jej pole manewru do oddziałów szpitalnych. Szła korytarzami, zaglądając do gabinetów. Minęła położnictwo i ginekologię, pediatrię i gastroenterologię, ale wszędzie miało się wrażenie, że w szpitalu jest dwa razy więcej ludzi, niż przewidywał projekt. Udając, że się zgubiła, przewędrowała przez kilka oddziałów geriatrycznych na pierwszym piętrze. Nieliczne komputery, jakie zauważyła, znajdowały się w dyżurkach pielęgniarek, ustawione tak, żeby pacjenci i odwiedzający nie mieli do nich dostępu. Uchyliła drzwi pokoju stażystów, ale i tu był tłok; młodzi lekarze stali w kolejkach, żeby dostać się do kilku starych terminali. W niedofinansowanym szpitalu trudno znaleźć wolną klawiaturę.

Wracała na dół, do recepcji, zastanawiając się, jakimi meandrami mogą biec kable szpitalnego Intranetu i czy da się do nich podpiąć, jak to robią na

filmach, kiedy Tara Collins wreszcie oddzwoniła. Powiedziała, że Tony zgodził się pomóc, ale chce stówkę, żeby ryzyko mu się opłaciło. Jenny odparła, że ją na to stać, muszą jednak działać szybko. Kiedy mogą się zjawić?

— Za pół godziny. Znalazłeś już terminal?

— Chyba żartujesz. Myślałam o podpięciu się do kabla.

— Nie ma szans. Na pewno wszystkie biegną w stropach, w zbrojonych osłonach. Szukaj dalej.

* *

Jenny stała na parkingu, kiedy Tara i Tony wysiedli z poobijanego fiata dziennikarki. Tony, chudy wyrostek w bejsbolówce, miał odblaskową kamizelkę z napisem „Informatyka” nadrukowanym z przodu i z tyłu, torbę z laptopem na ramieniu i kłęb kabli wepchnięty do kieszeni kamizelki.

— Cześć, jestem Tony — przywitał Jenny bezbarwnym głosem. — Tara powiedziała, że zgodziłaś się dać stówkę.

— Jasne. Zapłacę ci, jak tylko znajdę bankomat.

Skinął głową, zadowolony z umowy.

— I jak? — spytała Tara. — Znalazłeś terminal?

— Nie ma szans. Wszystkie są zajęte, do niektórych jest wręcz kolejka. Miałam nadzieję, że wy wpadniecie na jakiś pomysł.

— Mógłbym wejść do czyjegoś gabinetu i powiedzieć, że naprawiam usterkę.

Jenny i Tara wymieniły spojrzenia.

— Robił to już — zapewniła Tara.

— Ile czasu potrzebujesz? — spytała Jenny.

— Pewnie mają sześćdziesięciodziesięciodziesiąt liter i cyfr. Z moim oprogramowaniem to powinno zająć najwyżej pół godziny albo nawet mniej, jeśli uda mi się połączyć z jakimiś zewnętrznymi maszynami.

— Łamanie haseł wymaga mocy obliczeniowej — wyjaśniła Tara. — Chodzi o to, że jest elektroniczny słownik zawierający wszystkie permutacje, miliony możliwości. Tony należy do sieci, analizuje te dane. Zaprzęga się do pracy setki komputerów na całym świecie. Fantastyczna sprawa.

Tony, niezbyt zainteresowany, zaczął skubać pryszcz na brodzie.

Jenny mogłaby go wprowadzić do któregoś z gabinetów, które mijała, ale nie bardzo wiedziała, jak to zrobić. Było bardzo prawdopodobne, że ludzie, którzy przez cały dzień pracują na tym samym komputerze, wyczują szpiega. Pomyślała o oddziale geriatrycznym — może udałoby się odwrócić uwagę nielicznych pielęgniarek — kiedy nagle zorientowała się, że stoją trzydzieści metrów od szpitalnej kostnicy. Była tu dwa razy i za każdym razem w budynku byli tylko Peterson i dwóch techników. Wyjęła komórkę i znalazła w pamięci jego numer.

— Co ci chodzi po głowie? — spytała Tara.

— Daj mi chwilę.

Telefon Petersona zadzwonił pięć razy, a potem włączyła się automatyczna sekretarka. Jenny spojrzała na zegarek. Było parę minut po drugiej. Rozłączyła się.

— Pójdziemy do gabinetu Petersona — powiedziała. — Nie ma go tam i jest duża szansa, że resztę popołudnia spędzi w prosektorium. Wejdę tam z Tonym i będę go kryć. Jeśli ktoś zacznie zadawać pytania, powiem, że przyszłam porozmawiać z Petersonem.

— Czy nie byłoby bezpieczniej, gdyby Tony poszedł sam? — spytała Tara.

— Biorę na siebie pełną odpowiedzialność — odparła Jenny. — A poza tym też mam ochotę tam pogrzebać.

— Spoko — mruknął Tony.

* *

Tara przestawiła samochód bliżej wejścia do kostnicy, żeby móc trzymać straż. Jenny i Tony podeszli do drzwi. Wcisnęła dzwonek, ale nikt nie otworzył. Pewnie Peterson i technicy są zajęci. Odczekała chwilę i zadzwoniła znowu. I znów żadnej reakcji. Po trzeciej próbie Tony zaproponował, że spróbuje otworzyć któreś z tylnych okien. Jenny uznała, że to zbyt ryzykowne, lecz po dziesięciu minutach sterczenia pod drzwiami zmieniła zdanie. Gdy Tony przygotował cienkie plastikowe ostrze, którym, jak

twierdził, można otworzyć większość okiennych zapadek i zamków Yale, dostrzegła znajomą filipińską sprzątaczkę, pchającą po parkingu swój wózek.

Podeszła do niej i za pomocą prostej angielszczyzny oraz wymownych gestów wyjaśniła, że chce wejść do środka. Kobieta potrzebowała dłuższej chwili, żeby ją sobie przypomnieć, ale kiedy ją już rozpoznała, uśmiechnęła się przyjaźnie i ruszyła w stronę drzwi, wyciągając z kieszeni kombinezonu pęk kluczy. Otworzyła drzwi, a Jenny podziękowała jej wylewnie.

Weszła do środka i pouczyła Tony'ego, żeby trzymał się kilka kroków za nią, jakby przyszli tu oddzielnie, przynajmniej dopóki nie wejdą do gabinetu Petersona. Hol wejściowy był pusty, podobnie jak mały przedpokój i dwa biura. Jenny zauważyła na drzwiach tabliczki „Technicy” i „Recepcja”. Zajrzała przez hartowane szkło i przekonała się, że recepcja awansowała na tymczasowy magazyn pełen pudeł z dokumentami. Pokój techników wyglądał bardziej zwyczajnie — w środku był komputer, ale drzwi okazały się zamknięte na klucz. Kiwnęła na Tony'ego, żeby szedł za nią przez drzwi samozatraskowe. Ostrzegła go, że może zobaczyć trupy.

Nie zrobiło to na nim wrażenia.

— Powinnaś zobaczyć zgnilki .com.

Weszli do głównego korytarza. Pod ścianą jak zwykle stał rząd wózków z ciałami, w pewnym miejscu nawet podwójny. Pozwoliła sobie na uśmiech: to był efekt jej twardej polityki wymagania raportów w terminie. Z prosektorium dobiegało bzyczenie piłki tarczowej, a za rogiem, poza zasięgiem wzroku, słychać było klekotanie wózka i odgłos wysuwanej szuflady chłodni. Szybko przeszła do gabinetu Petersona i nacisnęła klamkę. Miała przygotowaną historyjkę, gdyby Peterson był w środku, ale go nie było. Kiwnęła na Tony'ego i wzięła głęboki oddech. Mimo dodatkowego beta-blokera jej serce łomotało jak szalone, a bluzka kleiła się do pleców.

Tony od razu zabrał się do roboty. Sprawdziwszy, czy Peterson nie zostawił przypadkiem zalogowanego komputera, zaczął przepinać kable do swojego laptopa. Podłączył modem zewnętrzny i zaczął wtykać całą kolekcję pendrive'ów do komputera i do swojej magicznej skrzynki. Przysuwając sobie krzesło, spytał:

— Słyszałaś kiedyś o Crack 5 albo o Kubie Rozpruwaczu?

— Nie. A powinnam?

— To programy do łamania haseł, rzekomo najlepsze, ale tego, który ja mam, w życiu by nie dogoniły. — Zaczął stukać w klawiaturę laptopa, wodząc wzrokiem między dwoma monitorami. — Czy wyglądam podejrzanie?

— Niestety tak, nawet w tej kamizelce.

— Więc lepiej spróbuj coś zrobić z drzwiami i otwórz okno.

Jenny, czując, że mimo farmakologicznej tamy ogarnia ją panika, próbowała uspokoić się i oddychać. Sięgnęła po drugie krzesło i zaklinowała je pod klamką. Z oknem był większy problem: miało zwyczajną zapadkę i uchylało się ledwie na kilkanaście centymetrów.

— Na dole jest zamek — powiedział Tony. — Gdzieś musi być klucz.

Jenny przeszukała parapety i półki, ale nie mogła go znaleźć.

— Wygląda na to, że mamy tylko jedno wyjście. — Powachlowała się gorsem bluzki. — Jak długo to potrwa?

— Chwilę.

Tony siedział pochylony nad laptopem, z daszkiem opuszczonym nisko na oczy. Jenny nie wiedziała, co ani jak robi, i chciała tylko, żeby zrobił to szybko, zanim puszcza jej nerwy.

Nalała sobie do szklanki wody z kranu i wygrzebała z kieszeni dwa temazepamy. Połknęła je, popiła i zajęła się przeszukiwaniem rzeczy Petersona. Chyba spędzał tu niedużo czasu. Większość książek i czasopism na półkach pokrywała gruba warstwa kurzu, a raporty w pudłach na podłodze pochodziły sprzed ponad dwóch lat — pewnie wtedy wprowadzono intranet. Mała atramentowa drukarka zapewne dawała radę tylko kilku kartkom naraz. Jenny podejrzewała, że system zaprojektowano w taki sposób, żeby wszystko było scentralizowane i by produkować jak najmniej makulatury.

Na ścianie za biurkiem wisiała korkowa tablica z typową zbieraniną biurowych okólników i brzydkim kalendarzem. Od ostatniej wizyty Jenny przybyło kilka fotek z urodzin córki. Oprócz tego jedynym osobistym akcentem była pocztówka z martwą łąsacą. Świadczyła, że Peterson ma poczucie humoru, ale emocje chyba zostawia za progiem kostnicy. Nawet

zdjęcia przypiął w dziwnym miejscu, na dole tablicy, jakby nie był pewien, czyjego dzieci powinny dzielić tę samą przestrzeń z wizerunkami zmarłych ludzi. Powtórzyła w myśli to określenie: zmarli ludzie i spojrzała na nieżywą łasicę z rewolwerem w łapce. Widocznie musiał zdobyć się na dystans do swojej profesji, bo w głębi duszy czuł, że jest coś nie tak z krojeniem ludzi.

Tony uniósł głowę znad klawiatury.

— Nad hasłem pracuje osiemdziesiąt pięć maszyn. Chciałbym mieć więcej, ale Ameryka dopiero wstaje.

— Wiesz, ile to jeszcze potrwa?

Znieruchomiał na dźwięk kroków na kafelkowej podłodze korytarza. Drzwi zaklekotały, i jeszcze raz. Jakiś głos — nie Petersona — powiedział:

— Haloo?

Jenny posłała Tony'emu przerażone spojrzenie, ale on tylko wzruszył ramionami. Podeszła na palcach do drzwi i przytrzymała krzesło, gdy mężczyzna na korytarzu po raz trzeci szarpnął za klamkę.

— Doktorze Peterson?

Nie wiedziała, kto to. Może jeden z techników? Poczuła, jak pot cieknie jej po plecach, zbiera się nad paskiem i spływa do przodu, na brzuch. Mężczyzna za drzwiami mruknął zdziwiony i poszedł na prawo, w stronę prosektorium.

— Ile jeszcze? — gorączkowała się Jenny.

— Spytaj maszynę — odparł Tony.

Rozejrzała się po pokoju i zaczęła szukać, sama nie wiedząc, czego. Przejrzała wszystkie szuflady w szafce na akta i obie szuflady w biurka, po czym zabrała się do pudeł na półce. Były w nich faktury z zakładów pogrzebowych, formularze zamówień, rachunki, umowy na serwis urządzeń technicznych i biuletyny Królewskiej Szkoły Anatomopatologii. Wiele teczek nie było podpisanych; wyglądały, jakby Peterson wetknął je tu, nie zastanawiając się, czy je potem znajdzie. Zapracowany człowiek bez sekretarki, która zajmowałaby się papierkową robotą.

Klamka znów zaklekotała. Tym razem głos był bardziej stanowczy.

— Halo? Czy ktoś tam jest?

Jenny zamarała, a teczka na końcu szeregu wybrała sobie akurat ten moment, by się przewrócić i spaść z półki na podłogę.

— Proszę otworzyć. Tu nie wolno nikomu przebywać — głos mężczyzny brzmiał stanowczo.

Jenny wbiła krzesło mocniej pod klamkę. Mężczyzna po drugiej stronie powiedział:

— Okej, wzywam ochronę. — Ruszył korytarzem do wewnętrznego telefonu, wołając po drodze do prosektorium: — W gabinecie ktoś jest.

— Nie możesz się pospieszyć?

Tony wcisnął kilka klawiszy.

— Chyba do czegoś dochodzimy.

Jenny zdjęła z półki kolejne dwie teczki i wsypała zawartość na podłogę. Znów faktury, protokoły z zebrań. Jeszcze raz sięgnęła na półkę i pod warstwą kurzu dostrzegła mały klucz. Wzięła go i podeszła do okna. Pasował do zamka; okno otworzyło się na całą szerokość.

— No! Mam go.

Jenny obróciła się na pięcie.

— Co?

Palce Tony'ego śmigały po klawiaturze.

— Anioł 2. Romantyk.

— Potrzebuję wszystkich jego dokumentów z kwietnia i maja tego roku.

Tony wcisnął jeszcze kilka klawiszy i powiódł wzrokiem po ekranie.

— Wszystko jest w jednym folderze.

Wyciągnął dwa pendrive'y z laptopa i wetknął inny.

Na korytarzu rozległy się kolejne kroki — co najmniej dwóch osób. Tym razem odezwał się głos Petersona:

— Kto tam jest? Otwierać.

— Gotowe. — Tony zaczął wyciągać kable i wpychać je do kieszeni. — Spakuj laptop.

Peterson na zmianę siłował się z klamką i łomotał w drzwi.

Jenny włożyła laptop do torby, a Tony złapał resztę kabli.

— Co teraz?

— Przez okno.

Peterson huknął z korytarza:

— Okej, wyważamy drzwi.

Jenny właśnie postawiła stopę na parapecie, gdy drzwi ze sklejki ugięły się od silnego pchnięcia. Tony podłożył jej dłoń pod pupę i pchnął ją do góry. Zeskoczyła na ziemię i pobiegła w stronę czekającego samochodu Tary. Tony deptał jej po piętach. Tara wyjechała z miejsca parkingowego i otworzyła drzwi pasażera. Jenny zanurkowała do środka. Tony rozciągnął się na tylnym siedzeniu. Tara odjechała spokojnie, bez paniki.

Jenny zerknęła w boczne lusterko i zobaczyła, jak Peterson wystawia głowę przez okno, rozgląda się w prawo i w lewo i bierze na celownik ciemnoskórego faceta, który otwierał drzwi auta. Leżący na tylnym siedzeniu Tony mruknął:

— To jednak będzie sto pięćdziesiąt.

* *

Podrzucili Jenny za róg, gdzie zostawiła samochód, i umówili się na spotkanie w McDonalddie w Patchway — to był pomysł Tony'ego. Zatrzymała się na stacji benzynowej, żeby wziąć trochę gotówki z bankomatu, i pojechała na miejsce spotkania — do restauracyjnej części gigantycznego kompleksu centrów handlowych na północno-zachodnim krańcu miasta.

Alison zadzwoniła, gdy Jenny parkowała pod wielkim żółtym M.

— Pani Cooper? — w jej głosie brzmiał niepokój.

— Jak się masz?

— Nie najlepiej. Mieliśmy gości.

— Z policji?

— Nie, z magistratu. Ktoś z działu prawnego zadzwonił i kazał mi opuścić budynek. Przysłali dwóch ludzi, żeby mnie wyprowadzili i zmienili zamki. Udało mi się wynieść kilka teczek do samochodu, ale musiałam podpisać oświadczenie, że nie mam w posiadaniu żadnych oficjalnych dokumentów. Zdaje się, że straciłam pracę.

Próbując poprawić jej humor, Jenny się pochwaliła:

— O mało nie umarłam ze strachu, ale mam raporty Petersona.

— I co w nich jest?

— Zaraz się dowiem. Jestem z Tarą i hakerem w McDonaldzie w Patchway. Może się pani przyłączy?

Alison zastanawiała się chwilę.

— No dobrze — rzekła wreszcie. — I tak już nie mam nic do stracenia.

— A co z listem do Granthama?

— Pojadę po niego po drodze.

* *

Siedzieli na plastikowych krzesłach przymocowanych do podłogi przy małym stoliku. Tony przeliczył pieniądze — całe sto pięćdziesiąt funtów — i powiedział:

— Fajnie.

Tara, która sączyła przez słomkę mlecznego shake'a, uśmiechnęła się do Jenny porozumiewawczo. Pozwalały mu wierzyć, że trafił mu się zarobek życia.

Tony otworzył laptop i wetknął do gniazdka pendrive'a z raportami Petersona. Wszystkie były przechowywane w standardowym folderze „Moje dokumenty”; najstarsze pochodziły sprzed dwóch lat. Nazwy zaczynały się od skrótu RA/, a dalej były inicjały zmarłego oraz data: dzień, miesiąc i rok. Jenny wzięła myszkę i przewinęła do kwietnia.

— Czego dokładnie szukamy? — spytała Tara.

Jenny odnalazła RA/DW z szesnastego kwietnia i otworzyła plik.

— Informacji, co zobaczył Peterson, kiedy po raz pierwszy badał ciała Katy i Danny'ego. Profesor Lloyd uważa, że nie powiedział nam całej prawdy.

Patrzyła na oryginał raportu z autopsji Danny'ego. Nie różnił się od tego w aktach Marshalla: proste stwierdzenie asfiksji w wyniku uduszenia, potwierdzające samobójstwo. Zamknęła go i szukała dalej; otworzyła plik RA/KT z datą pierwszego maja. Raport z autopsji Katy, również identyczny z kopią, którą miała w aktach: przedawkowanie heroiny.

— Do diabła. To już widziałam.

Tony pochylił się i wskazał palcem środek ekranu.

— A co znaczy RA/DW_poprawki?

Jenny spojrzała na datę: Dwudziestego trzeciego kwietnia. Otworzyła plik.

— O mój Boże...

— Co tam jest? — spytała Tara.

Jenny odwróciła laptop, tak żeby obie mogły czytać.

„Powtórne badanie D. Willsa (lat 14)

Z polecenia koronera Severn Vale powtórnie badam dziś ciało czternastolatka, którego znaleziono powieszzonego na prześcieradle w oknie celi w Zamkniętym Zakładzie Wychowawczym Portshead Farm. W raporcie z szesnastego bieżącego miesiąca określiłem przyczynę śmierci jako asfiksję w wyniku samobójstwa. Koroner poprosił o dalsze badania, mające ustalić, czy bezpośrednio przed śmiercią denat był obiektem napaści lub czy użyto wobec niego siły.

Po bliższych oględzinach torsu denata stwierdzam niewielkie zasinienia i obrzęk na klatce piersiowej, w okolicy mostka. Kolejne niewielkie sińce i zadrapania na lewym nadgarstku. W części łędźwiowej pleców denata widnieją dalsze wyraźnie odgraniczone sińce. Dysekcja tego obszaru potwierdza, że działała tu stosunkowo duża siła. Kolejne, być może nieistotne znalezisko, to niewielki skrawek skóry pozbawionej włosów, mniej więcej centymetrowej średnicy, po lewej stronie potylicznej części czaszki.

Choć obrażenia same w sobie są niezbyt istotne, mogą sugerować, że denat został powalony za pomocą chwytu obezwładniającego stosunkowo krótko przed śmiercią. Udokumentowane przypadki (np. Reay i in., O'Halloran i Lewman 1993) sugerują, że ta technika, stosowana przez kilka minut lub dłużej, może spowodować śmierć przez asfiksję. W mojej opinii z układu zasinień i obrzęków na twarzy i szyi denata wynika, iż śmierć nastąpiła wskutek powieszenia. Jednak wobec braku śladów szamotania się — zadrapań na szyi wskazujących na próby rozluźnienia stryczka itp. — jest możliwe, że denat był tylko częściowo przytomny lub całkowicie nieprzytomny, gdy doszło do asfiksji”.

Jenny wyprostowała się na krześle i spojrzała na Tarę.

— Miał identyczne obrażenia jak Katy. Szukamy tego samego mordercy.

— Jezu Chryste — szepnęła Tara.

Tony wskazał głową wejście do baru.

— Co to za babcia?

Jenny odwróciła się i zobaczyła Alison idącą do stolika. Była blada jak ściana.

— W porządku — wyjaśniła. — To moja asystentka.

* *

Alison nie chciała jej pokazać zawartości listu przy Tarze i Tonym, poszły więc do damskiej toalety. Tam odwróciła się do ściany, jakby wołała nie widzieć czegokolwiek nawet w lustrze. Jenny otworzyła bąbelkową kopertę i wyciągnęła plik zdjęć wydrukowanych w formacie A5. Niektóre miały zamazane brzegi, jak stop-klatki z filmu kiepskiej jakości. Były to ujęcia z kamery zamontowanej pod sufitem pomieszczenia, które wyglądało na zwykły pokój hotelowy, opatrzone automatycznie wstawianą datą: dwudziesty piąty kwietnia. Pierwsze zdjęcie ukazywało otyłego mężczyznę w średnim wieku, leżącego nago na łóżku. Dosiadała go, również naga, piękna młoda blondynka o krótkich włosach i smukłej talii. Dopiero kiedy Jenny dotarła do zdjęć, na których kochankowie zamienili się miejscami, zobaczyła, że piękne młode stworzenie pieprzące Harry'ego Marshalla jest mężczyzną.

Do ostatniego zdjęcia przypięty był bilecik. Marshall napisał na nim: „Drogiemu Przyjacielowi Frankowi — H”.

Rozdział 24

Jenny schowała zdjęcia do koperty. Nie miała pojęcia, co powiedzieć. Poprzestała na niezbyt zręcznym:

— Domyślam się, że pani nie wiedziała?

Alison pokręciła głową. Teraz, gdy zdjęcia były już schowane, odwróciła

się do Jenny.

— To wyjaśnia parę spraw — powiedziała Jenny.

— On miał cztery córki.

— Więc był bardzo dzielny, skoro wytrwał tak długo...

— Nie chcę o tym teraz rozmawiać. — Alison sięgnęła po kopertę.

— Może lepiej ją zatrzymam? — Zasugerowała Jenny.

— Po co?

— Bo domyślam się, co pani chce z nią zrobić. A te zdjęcia mogą się przydać.

— Nie wiem, do czego.

— To dowód w sprawie.

— Nie pozwolę, żeby ktokolwiek je zobaczył.

— Teraz nie zrobią mu już krzywdy. Harry nie żyje.

— A jego rodzina? Niby dlaczego się zabił?

— Może woleliby, żeby był żywym gejem... Przynajmniej jego córki.

Spojrzenie Alison stwardniało. Ukryła emocje pod maską kontrolowanego gniewu.

— Niech mi pani obieca, że jego rodzina nigdy się o tym nie dowie.

— Nie mogę...

Alison zrobiła krok w jej stronę.

— Proszę mi je oddać.

Jenny przycisnęła kopertę do piersi.

— Nawet pani nie wie, czego się dowiedziałam... Mamy wszystkie raporty Petersona ze szpitalnego serwera. Dwudziestego trzeciego kwietnia na polecenie Marshalla zbadał drugi raz ciało Danny'ego i znalazł obrażenia dowodzące użycia chwytu obeszwałniającego. Stwierdził, że Danny mógł być nawet podduszony, nim zawisł na stryczku. Marshall wiedział od Justina Bennetta, co mówiła Katy o kłopotach Danny'ego z jednym z opiekunów. Te zdjęcia tłumaczą, co się stało potem...

Alison cofnęła się, układając w myślach wydarzenia.

— Harry miał dwa dni, wtorek i środę, przed rozprawą w sprawie Danny'ego, i wtedy zaczął działać — ciągnęła Jenny. — Nie powiedział o

niczym policji, bo pani by o tym wiedziała. Prawdopodobnie powęszył jeszcze trochę w Portshead, próbując się dowiedzieć, kto z personelu miał kontakt z Dannym. Może nawet powiedział Elaine Lewis, co odkrył Peterson. A co ona wtedy zrobiła?

Alison spojrzała na kopertę.

— No właśnie — rzekła Jenny. — UKAM zaczęło działać na zwiększonych obrotach. Wiedzieli o upodobaniach Harry'ego, na przykład śledzili go albo sprawdzili jego internetową historię, i nagrali mu coś. Chłopak, z którym spotykał się już wcześniej, dzwoni, mówi, że mu brak gotówki, i proponuje spotkanie się w Novotelu.

Alison zadrżała.

— Następna data to piątek, dwudziestego siódmego. Tego dnia Harry poszedł do lekarza i dostał receptę. Chyba możemy założyć, że zdjęcia już do niego trafiły. W poniedziałek otworzył przewód. Peterson złożył zeznanie i nawet nie wspomniał o drugiej autopsji — przerwała, żeby złapać oddech. — Jakkolwiek to załatwimy, Alison, te zdjęcia muszą zostać użyte jako dowód.

Asystentka spojrzała jej w oczy z bólem i rezygnacją.

— Może ma pani rację, pani Cooper, ale proszę nie oczekiwać, że będę biła pani brawo. W tej chwili żałuję, że pani w ogóle tknęła tę sprawę. — Odwróciła się, żeby odejść.

— Wolałabym mieć panią u boku...

— Nie wiem, czy kiedykolwiek się zrozumiemy — odparła Alison i wyszła.

Gdy Jenny wróciła do stolika, Tara spytała:

— Co to za tajemnica?

Jenny przemknęło przez głowę, żeby jej nie mówić, ale nie potrafiła wymyślić dobrego pretekstu.

— Wygląda na to, że Marshall lubił młodych chłopców. Został nagrany ukrytą kamerą dwa dni po drugim raporcie Petersona.

— Naprawdę? Pokaż.

Jenny wskazała głową Tony'ego, który jadł hamburgera z frytkami.

— Wolałabym nie.

— Daj spokój. — rzekła Tara. — Tacy jak on widzieli w Internecie już wszystko.

Tony napił się pepsi; jemu było wszystko jedno.

— Niech chociaż skończy jeść — odparła Jenny.

Tara posłała Tony'emu spojrzenie pod tytułem „niech jej będzie”.

— Ale numer — powiedziała z uśmiechem, odwracając się do Jenny. — Mamy zatajony raport z autopsji i świńskie zdjęcia koronera. Teraz potrzeba ci tylko dobrej dziennikarki. To może być gigantyczna sprawa. Tylko od ciebie zależy, jak duża.

Jenny zastanawiała się chwilę. Opublikowanie całej historii na łamach niedzielного wydania miało swoje uroki, ale nie podzielała ufności Tary w potęgę mediów. Jeśli taki artykuł się ukáže, dziennikarze pójdą tropem zdjęć i zrobią z tego historię o koronerze (nazwą go „sędzią”), który zataił prawdę, bo został przyłapany na uprawianiu seksu z chłopakiem. O Dannym Willsie ledwie wspomną, sprawę Katy całkiem przemilczą z powodu trwającego śledztwa, a pani Marshall już nigdy nie pokaże się w mieście.

— Nie pójdę z tym do prasy — zdecydowała.

— Co?!

— Mogę dostać kopię tych danych? — spytała Jenny Tony'ego.

— Jasne. — Wetknął pendrive'a do laptopa i wcisnął kilka klawiszy.

— A jaką masz inną opcję? — gorączkowała się Tara. — Wytoczyli ci sprawę o narkotyki, jesteś zawieszona...

— Muszę to przemyśleć.

— To może przyjadę do ciebie wieczorem? Obgadamy wszystko — zaproponowała Tara. W jej głosie brzmiała desperacja. — Siedzę w tym od samego początku.

— Zadzwoń do ciebie jutro — odparła Jenny — Dzięki za pomoc.

Wzięła pendrive'a i kopertę i wyszła z baru. Za plecami słyszała głos osłupiałej Tary:

— O co ci chodzi? Nie ufasz mi? Na litość boską, to mnie grozi więzienie.

* *

Czuła ból przypominający żałobę, choć przecież nie znała Harry'ego osobiście. W poniżającym seksie jest coś bliskiego śmierci — coś, co potrafiła opisać tylko jako duchowe mdłości. Ledwie to pomyślała, ten rak zaczął się rozłazić po jej mózgu, infekując każdy zakamarek. Tara ożywiła się na wieść o zdjęciach, jakby ją to kręciło... Jenny, zniesmaczona, nagle zapragnęła uciec i znaleźć jakieś czyste, niezatrute miejsce, żeby odetchnąć.

Wjeżdżając na most, otworzyła wszystkie cztery okna. Deszcz już ustał, a późnopołudniowy wiatr był ciepły. Chciała, żeby wywiały wszystkie złe uczucia i porwał do morza, ale trzymały się mocno.

Gdy mijała tor wyścigowy w Chepstow, słońce schowało się za chmury i dolina natychmiast stała się za ciasna. Widok lasów po obu stronach drogi, gęstych i nieprzystępnych, obudził to uczucie przerażenia, które zaczynało się od małego ukłucia w splot słoneczny i powoli ogarniało klatkę piersiową, przedzierając się jak powódź przez barykadę środków uspokajających, beta-blokerów i antydepresantów. Starła się kontrolować oddech, spróbowała „moja prawa ręka jest ciężka”, ale to tylko zatrzymało ją na granicy ataku paniki. Przypomniała sobie przestrożę doktora Allena, że ma się zatrzymać, jeśli się tak poczuje, ale gdy minęła ciasny zakręt za St Arvans, uświadomiła sobie, że jedynym dostępnym miejscem jest zatoczka, w której stała wczoraj. Była kilometr przed nią i zogniskowała cały jej lęk: paniczny strach, który kiedyś próbowała opisać byłemu mężowi jako spojrzenie w nicość, w pustkę pozbawioną nadziei, radości czy jakiegokolwiek uczucia.

Wbijając paznokcie w kierownicę, spróbowała innej metody: spojrzę strachowi w oczy i pozwoli, by ta fala przelała się przez nią. No chodź, draniu, pokaż, co potrafisz. Obręcz opasująca płuca zacisnęła się, pole widzenia skurczyło się do niewyraźnego tunelu, a uszy wypełniło brzęczenie, gdy elektryczne impulsy pędziły wzdłuż jej kręgosłupa aż do czaszki. Czepiała się resztek przytomności — no już, chodź tu i weź mnie, ty podły draniu — i nagle poczuła, że leci, jakby spadała z urwiska. Zjechała na przeciwny pas. Odruchowo szarpnęła kierownicę w lewo i spojrzała w głąb tunelu, na wir

drzew. Poczwała lodowaty powiew we włosach i na plecach, gdy zbliżała się do zatoczki, walcząc z niewidzialną dłonią, która próbowała ściągnąć samochód w las. Wygrała z nią, wbiła pedał gazu w podłogę i minęła kolejny zakręt...

Udało się. Była wykończona, ale wciąż na drodze, wciąż żywa.

Ulga nie trwała długo. Gdy skręciła pod górę w stronę Melin Bach, lęk przed mrocznym lasem zmienił się w strach przed siedzeniem samotnie w domu z duchem starej kobiety. Była to dziecinna obawa jak przed ciemną piwnicą czy złowrogim nieznanym i żadne perswazje dorosłego, rozsądnego umysłu nie mogły jej rozproszyć. Stała przed domem, zbyt wystraszona, żeby wyłączyć silnik, i spojrzała w okno sypialni, w którym — była tego pewna — zobaczyła pomarszczoną, surową twarz kobiety.

Wiedziała z niezliczonych drogich godzin spędzonych na kozetce, że strachowi trzeba stawić czoło, że w jej mózgu zachodzi reakcja łańcuchowa: dawny uraz podsycany obecnym stresem doprowadza system nerwowy do neurotycznych spazmów. Gdyby zdołała się zmusić, żeby wejść do środka, mogłaby obejrzeć każdy pokój i przekonać się, że nie ma żadnego ducha. Jednak po wczorajszym wieczorze zdała sobie sprawę, że równie mocno jak ducha boi się samej siebie. Kieliszek wina na uspokojenie i znów zacznie układać rządki tabletek temazepamu.

Miała na tyle przytomności umysłu, żeby trafnie ocenić swoją sytuację: przyparta do cienkiej ściany oddzielającej życie od śmierci widziała przebłyki tego, co jest po drugiej stronie, i czuła jej magnetyczne przyciąganie.

Nie może sobie ufać, więc nie może być sama. Miała garstkę przyjaciół, którzy wiedzieli, przez co przeszła, ale nikogo, kto bez zastanowienia przybiegłby jej na ratunek. Był wprawdzie Steve, ale uczucia do niego zdążyły się spiętrzyć w skomplikowany przekładaniec. Fakt, że on widział w ich spotkaniu rękę przeznaczenia, wytrącał ją z równowagi. Ona chciała tylko seksu i pociechy, chciała, żeby był silny i nieskomplikowany. A może jednak powinna mu powiedzieć...

Sięgnęła po torebkę na fotelu pasażera i wyjęła z niej lekarstwa. Zdecydowała się na beta-bloker. Otwierając buteleczkę, zastanawiała się, dlaczego potrzebuje prochów, żeby spotkać się z chłopakiem. Odpowiedź

przyszła, gdy łykała tabletkę: bała się, że się w nim zakochuje. Kolejna osoba w jej życiu, która dozna rozczarowania.

* *

Zaparkowała na podwórku koło land-rovera. Plandeka była zdjęta z paki pełnej kostek świeżego siana. Alfie wygrzewał się w słońcu przy bramie, obserwując kwokę wodzącą świeżo wyklute kurczaczki. Poznał ją, ale ledwie uniósł łeb. W szopie stał poobijany stary fiat z podniesioną maską, a dookoła leżały narzędzia.

Pociągnęła za mosiężny dzwonek wiszący z boku uchylonych drzwi domu. W środku ktoś się poruszył. Jenny przestąpiła próg i znalazła się w kuchni: stare łupkowe płyty podłogi, szafki z jasnego dębu. Za kuchnią było przestronne pomieszczenie, jakby skrzyżowanie salonu i holu, z drewnianymi spiralnymi schodami.

— Steve? To ja, Jenny.

Z piętra dobiegł kobiecy głos protestujący szeptem, a potem zapadła cisza. Jenny spojrzała na stół i zobaczyła dwa puste kubki, pustą paczkę marlboro i samochodowe kluczyki na plastikowym breloczku.

— Pieprz się, Steve! — Jej krzyk odbił się echem od gołych ścian i popłynął na górę.

Przewróciła stół i wypadła z hukiem na dwór.

Gdy ruszała, wyrzucając żwir spod kół, dostrzegła kogoś w oknie na górze: Annie, wkurzona, wkładała biustonosz.

* *

Wbiegła do domu, wrzasnęła na ducha, żeby szedł do diabła, i odkręciła litrową butelkę włoskiego czerwonego sikacza. Pierwszy łyk pociągnęła z gwinta. I dobrze! Jeszcze kilka łyków na pusty żołądek i była gotowa do boju. Pieprzyć Steve'a, pieprzyć jego kłamstwa i jego dziewczynę bez perspektyw. Pieprzyć wszystko. Od tej pory będzie się liczyć tylko ona. Zakończy sprawy sądowe, rozniesie UKAM na strzępy i odzyska swoje życie na własnych warunkach.

Wywróciła torebkę do góry dnem, znalazła antydepresanty i beta-blokery, wysypała je do zlewu i odkręciła gorącą wodę, aż rozpuściły się na tyle, by dało się je przepchnąć przez odpływ. Nie potrzebuje pigułek — to dziadostwo innych, a nie jej własne, doprowadziło ją do tego stanu. Musi wywalczyć sobie drogę wyjścia, pokazać światu, kim jest. Zostawiła kilka temazepamów, żeby stłumić gniew i nie zabić kogoś — ale tylko dlatego. Była zbyt rozjuszona i zbyt bliska prawdy, żeby pozwolić sobą sterować. Właśnie w tym tkwił problem. Biedni słabi ludkowie są za bardzo wystraszeni, aby zobaczyć świat takim, jaki jest.

Poszła do gabinetu. Już wiedziała, co ma robić. Napisze formalny, suchy raport, w którym przedstawi ze wszystkimi brudnymi szczegółami, jak zatuszowano sprawę śmierci Danny'ego Willisa. Samobójstwo Marshalla też się w nim znajdzie, ale nie było jej go już żal. Zapłacił za to, że był słaby, a jego rodzina będzie musiała jakoś to przeżyć. Wyśle kopie do ministerstwa, do magistratu, do zarządu szpitala Severn Vale, do Simone Wills, a jedną umieści u notariusza. Jeśli nie zostanie wszczęte nowe śledztwo, które ujawni całą prawdę, osobiście pójdzie do gazet, zażąda niedzielnego dużego formatu i weźmie ich za twarz taką umową, że nie będą mogli zmienić ani słowa w jej wersji.

Przez cztery godziny nie odrywała oczu od ekranu laptopa, kasując i przerabiając raport, aż czytał się jak protokół z posiedzenia Izby Lordów. Po drodze wypłała całe wino i potrzebowała dodatkowego bodźca przed ostateczną korektą. W czeluściach kuchennej szafki znalazła pół butelki brandy, która miała służyć do gotowania. Nalała trochę do szklanki i spróbowała. Brandy była dobra, rozgrzewała gardło i żołądek. Jenny dołała do pełna i wróciła do gabinetu.

Wpatrywała się w ekran, chcąc przeczytać ostateczną wersję, ale słowa zaczęły się zlewać. Wygrzebała okulary, przed którymi zawsze się broniła, i spróbowała jeszcze raz. Lepiej, ale tylko trochę. Widocznie była zmęczona. Jedno czytanie i lulu, nastawić budzik na piątą rano i dopilnować, żeby w porze otwarcia urzędów jej raport znalazł się na wszystkich odpowiednich biurkach. A potem usiąść i czekać na telefony. Może trochę popracować w

ogrodzie dla zabicia czasu.

Właśnie wyłączała komputer, kiedy zadzwonił telefon stacjonarny. Zerknęła na zegarek: dochodziła jedenasta. Wyobraziła sobie Steve'a w budce telefonicznej, pełnego piwa i wyrzutów sumienia — pewnie będzie chciał przyjść, żeby otworzyć przed nią serce i powiedzieć, że ją kocha. Nie odebrała, a kiedy sygnał ucichł, uniosła słuchawkę, żeby sprawdzić numer. To nie był Steve, tylko komórka Rossa. Przypomniała sobie, że jest czwartek i że przegapiła ich środową wieczorną rozmowę. Jak mogła zapomnieć? Wybrała numer syna.

— Ross?

— Mama? Co u ciebie?

— Okej. A ty co porabiasz?

— W poniedziałek mam pierwszy egzamin. Z literatury angielskiej.

— No tak. Słuchaj, przepraszam za wczoraj...

— Spoko. Wiem, co się stało.

Jenny zatkało; nie wiedziała, jak się tłumaczyć, od czego zacząć.

— Zezwolenie na wykorzystanie posesji to chyba nie przestępstwo? — spytał Ross.

— Niestety tak. Ale niezbyt poważne.

— Założę się, że nawet nie wiedziałaś, co on pali.

— Nie... — Skuliła się, słysząc własne kłamstwo.

— No to chyba nic ci nie grozi. Przecież to twoje pierwsze wykroczenie.

— Roześmiał się ironicznie. — Szkoda, że nie słyszałaś taty. Myśli, że zrobiłaś ze mnie przestępcę.

— Za parę dni powiem ci, co się naprawdę stało. Pracuję nad dwiema sprawami, a pewni ludzie nie chcą, żeby prawda wyszła na jaw.

Ross milczał chwilę.

— Wszystko z tobą w porządku, mamó? Tata mówi...

— Co mówi tata?

— Nieważne.

Jenny westchnęła, ogarnięta poczuciem winy.

— Przepraszam, że cię na to narażam. Ale za parę tygodni wszystko

wróci do normy. Myśl tylko o egzaminach i nie martw się o mnie.

— Okej... A co z przyszłym semestrem? Nadal chcesz, żebym u ciebie zamieszkał?

— Oczywiście.

Znów zamilkł.

— Ross? O co chodzi?... Co mówił twój ojciec?

— Nieważne. Wiesz, jaki on jest.

— Muszę wiedzieć. Obiecuję, że się z nim nie pokłócę.

— On uważa... uważa, że nie jesteś całkiem zdrowa. Mówi, że potrzebujesz pomocy, ale jesteś za bardzo uparta, żeby jej poszukać.

— A sprecyzował, co mi dolega? — Jej słowa zabrzmiały ostrzej, niż planowała. — Przepraszam...

— W porządku, zapomnij, że to powiedziałem. Po prostu się martwiłem, i tyle.

— No to się nie martw. Nic mi nie jest.

— Naprawdę?

— Naprawdę. — Przez szparę między zasłonami zobaczyła światła samochodu zajeżdżającego pod dom. Odśloniła okno i dostrzegła sylwetkę drogiego sedana; Steve na pewno czymś takim nie jeździł. Z auta wysiadło dwóch mężczyzn.

— To będę mógł u ciebie zamieszkać po egzaminach? Mógłbym ci pomóc urządzić dom.

— Byłoby świetnie... — Usłyszała kroki na ścieżce i dwa mocne uderzenia kołatki. — Ross, mogę do ciebie oddzwonić? Ktoś przyszedł.

— O tej porze?

— To chyba w związku z moją pracą.

— Tak, jasne. Tym razem sprawdź, co pali.

— Ross... — Rozłączył się. Na dźwięk sygnału w słuchawce zachciało jej się płakać.

Kołatka zastukała jeszcze głośniejsze. Jenny aż podskoczyła. Kto, do cholery, może się dobijać o tej porze? Policja? Goniec sądowy? Wyjęła pendrive'a z laptopa i rozejrzała się, gdzie by go schować. Kolejne dwa

stuknięcia. Wyszła do holu i wetknęła pendrive'a w szparę między futryną a tynkiem; trzymała tam zapasowy klucz.

— Kto tam? — zawołała przez zamknięte drzwi.

— Proszę otworzyć, pani Cooper. — Głos był ostry jak u wojskowego.

— Proszę się przedstawić, to może się zastanowię.

Z kuchni dobiegł brzęk tłuczonej szyby. Jenny obróciła się na pięcie i zamknęła drzwi do salonu, ale klucz został po drugiej stronie zamka.

Kolejny brzęk, tym razem w gabinecie. Obejrzała się i zobaczyła dłoń w rękawiczce sięgającą do środka i otwierającą zasuwkę okna. Rzuciła się do schodów. Potknęła się na pierwszym stopniu i stłukła sobie kolano. Cholera. Gorączkowo chwyciła poręcz, gdy dwóch mężczyzn wyrosło za jej plecami. Niższy był przysadzisty, muskularny, w kurtce do pasa; miał szpakowate krótko ścięte włosy. Chwycił ją za ramię i podciągnął do góry. Poczowała ból, jakby bark wyskoczył jej ze stawu. Wyższy, z kanciastą twarzą, wbił ciężką pięść w jej brzuch. Straciła oddech i krztusząc się, opadła na kolana; niższy trzasnął ją na odlew w twarz. Jej głowa uderzyła o płyty podłogi; poczuła krew tryskającą z nosa. Leżała z podkurczonymi nogami, nie miała siły się ruszyć.

Niższy, który pływał w jej polu widzenia, pochylił się nad nią z rękami na udach.

— Jeśli chcesz żyć, Jenny, to wiesz, co robić.

Wyprostował się i kopnął ją w krocze. Ból rozdarł jej miednicę.

— Zostaw to, kurwa, w spokoju.

Ciężki but trafił Jenny w podbródek. Jej głowa odskoczyła do tyłu jak piłka i wszystko zgasło.

* *

Steve znalazł Jenny leżącą na podłodze w salonie, z poduszką pod głową. Przejeżdżał obok tuż po północy i zobaczył wybite okno, a w ogrodzie komputerowe kable i papiery. Gdy jechał z nią w karetce, trzymając za rękę, próbowała mu opowiedzieć, co się stało, chociaż ledwie mogła poruszać szczęką. Przerwał jej i poprosił, żeby się nie martwiła; policja już była w

domu i stwierdziła napad rabunkowy.

W Newport General nafaszerowali ją środkami przeciwbólowymi. Była półprzytomna, gdy kilka par rąk przekręcało ją z boku na bok na stole aparatu rentgenowskiego. Kiedy wieźli ją z powrotem korytarzem, Steve uśmiechnął się do niej i powiedział, że ma dobre wieści: żadnych złamań, tylko potłuczenia. Słyszała, jak lekarz mówi mu, że nie może zostać, bo wszyscy już śpią na oddziale, gdzie ją zabierają. Na pytanie Steve'a, czy w budynku jest jakieś miejsce, gdzie mógłby przeczekać noc, kobiecy głos odparł, że tylko poczekalnia na izbie przyjęć.

Jenny ścisnęła jego dłoń i szepnęła:

— Muszę rozmawiać z sierżantem Williamsem.

Rozdział 25

W szpitalnej łazience unosił się zapach środka dezynfekcyjnego. Jenny nie miała mydła, ale gorąca woda koła jej obolałe mięśnie. Bolało ją wszystko, czym poruszała — nogi, tułów, lewy bark i żuchwa. Prawa strona twarzy była spuchnięta jak u pobitej żony, a na kości łonowej miała bulwę wielkości połówki pomarańczy. Chciała skrzyżować dłonie na ścianie i oprzeć o nie głowę, ale nie zdołała unieść ręki. Mogła tylko stać pod strumieniem i lekko się przechylać, żeby woda opływała różne części ciała.

Było to dziwne, ale cieszył ją ten fizyczny ból — zdawał się bowiem wydobywać na powierzchnię wszystko, co czuła, niczym zbierający się wrzód. Jakikolwiek substancje wyprodukował jej organizm, by zwalczyć ból, radziły sobie również z paniką, która przygasła i ustąpiła miejsca pilniejszym problemom. Ból był nieznośny, ale psychicznie znalazła ukojenie w prostocie tych doznań.

Steve czekał przy jej łóżku, kiedy powoli przykuśtykała na oddział. Spojrzał na nią z troską i spytał:

— Jak się czujesz?

— Jakbym uciekła grabarzowi spod łopaty.

— Rozmawiałem z Williamsem. Niedługo do ciebie wpadnie.

— To dobrze. Bo inaczej ja bym się musiała do niego pofatygować. — Ostrożnie usiadła na łożku. — Nie mają tu wiele współczucia dla cierpiących. Powiedzieli, że mogę wracać do domu.

— Chyba żartujesz?

— Lepiej nie siedzieć za długo w takich miejscach, bo można coś złapać. Uwierz mi, szpitale to śmiertelne pułapki. — Sięgnęła po swoje rzeczy na szafce. — Chyba potrzebuję pomocy.

Steve wyjrzał na korytarz, szukając pielęgniarki.

— Pójdę po kogoś — zaproponował.

— Nie trzeba. Po prostu zaciągnij zasłonkę. I tak już wszystko widziałeś.

Starał się nie patrzeć, pomagając jej założyć majtki i dżinsy i zapiąć stanik. Czula, że Steve ma wyrzuty sumienia, ale uznała, że dobrze mu tak, niech się poddusi we własnym sosie. Nie zadawał żadnych pytań, ona też się nie odzywała. Dopiero rozczesując włosy zdrową ręką, spytała:

— Annie wie, że tutaj jesteś?

— To, co się stało wczoraj, to był błąd. Miała problem z samochodem. Nawet nie wiedziałem, że przyjedzie.

— To twoje życie, Steve, i możesz z nim robić, co chcesz. Tylko nie spodziewaj się, że będę czekać w kolejce.

— Jeśli chcesz wiedzieć, to ja jej nawet...

— Nie chcę wiedzieć — przerwała mu.

— Załatwię to. Powiem jej, że to koniec. Nie mogę przestać o tobie myśleć, Jenny.

— Chciałam cię wczoraj poprosić, żebyś do mnie przyjechał. — Nie mogła uwierzyć, że potrafi być tak perfidna. Co ona wyprawia? Patrzyła, jak Steve się wije, widziała żal i wstyd na jego twarzy.

— Przepraszam. — Dotknął jej dłoni. — Naprawdę mi przykro.

Odsunęła rękę.

— Zaprowadź mnie do telefonu. Muszę zadzwonić do Williamsa.

* *

Jechali taksówką do jej domu w niezręcznym milczeniu; żadne nie

wiedziało, jak zrobić następny krok, a nie było seksualnego napięcia, które przełamałoby lody. Kiedy dotarli na miejsce, Jenny spodziewała się, że Steve znajdzie jakąś wymówkę i pójdzie, ale ją zaskoczył. Pomógł jej dojść z taksówki do domu, usadził wygodnie na kanapie i przygotował jej śniadanie, gdy czekała na Williamsa. Musiała przyznać, że potrafił się znaleźć. Była dla niego nadzieja.

Napastnicy zabrali komputer i kilka pudeł dokumentów, które nie miały żadnego związku ze sprawami Danny'ego i Katy, ale nie znaleźli pendrive'a ukrytego nad futryną. Nie zabrali też zdjęć Marshalla — leżały na przednim siedzeniu golfu zaparkowanego koło domu.

Williams, który przyszedł z młodym śledczym do pomocy, przyniósł służbowy laptop i obejrzał raporty Petersona. Jenny przedstawiła policjantom swoją teorię: kiedy Harry Marshall dostał w ręce drugi raport Petersona, UKAM go załatwiło, i doktora prawdopodobnie też. Fakt, iż patolog sporządził pisemny raport z autopsji Katy dopiero kilka tygodni po fakcie, świadczył, że był w rozterce: nie chciał kłamać, ale z jakiegoś powodu musiał. Jeśli Williams jej nie wierzy, niech zwróci uwagę, że osobom, które zbliżyły się do prawdy — czyli jej i Tarze Collins — postawiono zarzuty kryminalne. Owszem, Steve palił trawkę, ale mężczyzna, którego rysopis odpowiada wyglądowi jednego z napastników, był w miejscowym pubie i zbierał informacje na jej temat.

Sierżant słuchał z niewzruszoną miną, robiąc notatki i od czasu do czasu zadając pytania. Kiedy zobaczył zdjęcia Harry'ego z kochankiem, pokręcił głową mocno zbulwersowany.

— Rozumiem, że żona pana Marshalla o nich nie wie?

— Nie.

— Zrobimy, co w naszej mocy, żeby tak zostało, zgoda?

Jenny kiwnęła głową, zarażona jego moralną pewnością.

Williams przeczytał notatki i zaczął szeptać po walijsku ze swoim młodym kolegą. Gdy zakończyli naradę, zwrócił się z powrotem do Jenny.

— To, co pani powiedziała, pani Cooper, sugeruje istnienie potężnego spisku, wielogłowej hydry, można by rzec.

— Wszystko wyrasta z jednego korzenia — odparła.

Skinął głową, przeciągając palcem po świeżo przystrzyżonych wąsach.

— Martwi mnie jednak kwestia jurysdykcji. Z jakiegoś powodu nasi angielscy koledzy nie badają śmierci panny Taylor z, że tak to określe, należyta starannością.

— Sądzę, że to przyczyna polityczna. Mówimy o milionowych kontraktach na budowę więzień.

— Niewiele ich zbudują w Walii, tego jestem pewien. — Uśmiechnął się porozumiewawczo. — Sądzę, że gdyby na razie złożyła pani zeznanie dotyczące wyłącznie włamania i pobicia z zeszłej nocy, moglibyśmy po cichu zacząć szersze śledztwo.

— Chyba nie do końca rozumiem.

Williams przechylił głowę.

— Kwestia kompetencji poszczególnych sił policyjnych może być śliska — tłumaczył cierpliwie. — Jeśli to, co pani mówi, jest prawdą, na pewno oboje nie chcielibyśmy, żeby tą sprawą zaczęła się zajmować bristolska policja. Nie mam uprzedzeń, rozumie pani, ale tym cholernym Angolom nie zaufałbym za żadne pieniądze.

— Pan chce sam dopaść UKAM.

Sierżant uśmiechnął się szeroko.

— Szczerze mówiąc, od dwóch lat okropnie się tu nudzę, pani Cooper. Przydałoby mi się trochę ruchu.

Steve, który przysłuchiwał się rozmowie, stojąc w kuchennych drzwiach, posłał Jenny znaczące spojrzenie. Oboje pomyśleli o tym samym.

— Nie zaszkodziłoby, gdybym odzyskała pracę — powiedziała.

Sierżant kiwnął głową, jakby już wcześniej na to wpadł.

— Mam nadzieję, że koledzy z prokuratury dadzą się przekonać. — Zwrócił się do Steve'a, czerwieniejąc z gniewu. — Ale jeśli jeszcze raz poczuje to świństwo na moim terenie, skopię panu tyłek.

— Będę to miał na uwadze — odparł Steve.

* *

Gdy śledczy poszli, Steve usiadł na poręczu fotela naprzeciwko Jenny. Jego ruchy były nerwowe, jakby nie wiedział, czy jest tu mile widziany. Jenny, skupiona na ostrym bólu, który przeszył jej bark, ignorowała go przez chwilę. Prawą ręką wyjęła kolejną dawkę środka przeciwbólowego z opakowania, które dali jej w szpitalu.

— Widziałaś, jak się wściekł? — zagał Steve. — I to dosłownie w pół sekundy? Widziałem coś takiego tylko u Walijszyków... i może u Włochów.

— Pewnie właśnie stąd się to bierze — odparła. — W Walii jest pełno Włochów. Przyjechali tu w XIX wieku, kiedy kraj był w rozkwicie.

— Tak? Nie wiedziałem o tym.

Patrzył, jak popija lek resztką zimnej herbaty.

Kiedy ból trochę osłabł, powiedziała:

— Nie musisz tu ze mną siedzieć. Jestem na tyle sprawna, żeby zadbać o swoje potrzeby.

— Chyba nie powinnaś być sama.

— Chcesz tu siedzieć cały dzień?

— Posłuchaj, kiedy ci mówiłem, jak było wczoraj, to była prawda...

— Gadasz jak mięczak. Dlaczego nie przyznasz, że gdy do ciebie przyszła, nie potrafiłeś jej powiedzieć „nie”?

— Ale powiem. Od tej pory koniec. I chcę, żebyś to wiedziała.

— No to wiem. — Oparła nogi na poduszce, próbując usadowić się wygodnie.

— Nie dasz mi szansy?

Rzuciła mu twarde spojrzenie.

— Na co?

— Na co zechcesz...

Wzruszyła ramionami.

— Ja niczego nie chcę. — Sama nie wiedziała, czy to prawda, ale w tym momencie brzmiało odpowiednio. — Będę z tobą szczerą. Nie chcę miłości, związku ani rozmów o przyszłości. To wszystko pieprzenie.

— Zdemolowałaś mi kuchnię, bo byłem na górze z inną kobietą.
— Jestem neurotyczką. Od dwóch lat chodzę do psychiatrii.
— Ty to potrafisz się sprzedać.
— Zrozum, Steve, że nie obchodzą mnie twoje problemy z samokontrolą czy jakiegokolwiek inne, bo mam dosyć własnych.

Skinął głową.

— Więc jak będzie? Nadal sypiamy ze sobą?

— Widziałeś, gdzie mnie kopnęli?

Wstał z fotela i podniósł jej pustą filiżankę.

— Może spróbuj się przespać, co?

* *

Obudził ją dzwonek telefonu i kroki Steve'a wchodzącego z ogrodu przez kuchnię, żeby odebrać. Dzwonił Williams i chciał z nią rozmawiać. Zesztywniała od spania w niewygodnej pozycji, więc Steve trzymał jej słuchawkę przy uchu.

— Rozmawiałem z prokuraturą — rzekł sierżant. — Zgodzili się zrewidować sytuację.

— Co to znaczy?

— Postanowili odstąpić od oskarżenia przeciwko pani, jako że nie mają szczególnie mocnych argumentów, ale spodziewają się, że pan Painter przyzna się do posiadania.

Spojrzała na Steve'a.

— Na pewno się zgodzi.

— Świetnie. Przekażę im.

— Czy może pan poprosić, żeby mi to dali na piśmie? Potrzebuje kopii dla ministerstwa. W poniedziałek rano odwieszam rozprawę.

— Oczywiście. Czy mogę jeszcze w czymś pomóc?

— Będziemy w kontakcie.

— I co? — spytał Steve, gdy skończyła.

Uśmiechnęła się i oddała mu słuchawkę.

— Masz okazję pokazać, z jakiej naprawdę jesteś gliny. Która godzina?

- Druga. Co mam zrobić?
- Powiem ci, jak mnie będziesz wioził na dworzec.
- A dokąd się wybierasz?
- Do Londynu.

* *

Z samochodu zadzwoniła do biura Simona Moretona. Odebrała jego sekretarka i powiedziała, że pan Moreton będzie na spotkaniu aż do końca dnia, więc niech spróbuje w poniedziałek. Jenny odparła, że w faksie Moretona jest pilny list i że musi porozmawiać z nim jeszcze dziś po południu; sprawa dotyczy głośnego dochodzenia, które ma zostać wznowione w poniedziałek. Kiedy sekretarka wyraziła wątpliwość, czy pan Moreton znajdzie czas na przeczytanie listu, powiedziała:

— Proszę mu przekazać, że Jenny Cooper, koroner dystryktu Severn Vale, będzie w jego gabinecie o piątej. Jestem pewna, że znajdzie chwilę.

Sekretarka przywitała Jenny w recepcji Selborne House, jednego z szeregu identycznych rządowych biurów z betonu i szkła przy Victoria Street u wylotu na Parliament Square. Zaprowadziła ją do salki konferencyjnej na piątym piętrze, nie komentując jej posiniaczonej twarzy ani niezręcznego chodu. Taki budynek z pewnością wywołałby u Jenny klaustrofobię, ale kilka temazepamów, które łyknęła w podróży, skutecznie to załatwiło. Nie czuła się tak spokojna jak po pigułkach antydepresyjnych i beta-blokerach, ale przynajmniej odczuwała jakieś emocje, które potrafiła nazwać. Gdy jechały windą, sekretarka, milcząca kobieta przed sześćdziesiątką, była wyraźnie spięta. Jenny odnosiła wrażenie, że jej przyjazd jest traktowany jak szkodliwy i groźny wybryk.

Czekała prawie dwadzieścia minut, zanim zjawił się Moreton z wydrukiem listu z newporckiej Prokuratury Okręgowej. Twarz miał zmęczoną i siną od popołudniowego zarostu — to był koniec długiego i ciężkiego tygodnia. Tak jak jego sekretarka, wydawał się zakłopotany jej wizytą. On też nie wspominał o posiniaczonej twarzy.

— Widzę, że ma pani dobre wieści, pani Cooper. — Zastanawiał się

chwile, gdzie usiąść przy długim stole konferencyjnym, aż zdecydował się na krzesło u szczytu. — Czy pani wie, co ich skłoniło do takiej decyzji?

— Widocznie uwierzyli, że mówiłam prawdę. Nie miałam pojęcia, co mój gość pali w skrętach.

Moreton uśmiechnął się, szczerze rozbawiony.

— Nawet ja wiem, jak pachnie marihuana.

— Wydaje się, że jej palenie jest ostatnio obowiązkowe na wysokich rządowych stanowiskach. Przyłapano już siedmiu członków gabinetu, o ile dobrze policzyłam.

— Politycy przychodzą i odchodzą, pani Cooper. Koroner to stały element wyposażenia.

— Koroner może być usunięty z urzędu tylko za naganne zachowanie podczas pełnienia obowiązków — odparła spokojnie. — Nie ciąży na mnie kryminalne zarzuty i nie zachowywałam się naganie, wykonując obowiązki.

— To dyskusyjna kwestia.

— Może pan mówić jaśniej?

— Zamierzała pani upublicznić ofertę zawierającą wrażliwe dane. Naraziłaby pani cały nasz program budowy więzień. W najlepszym razie oferty musiałyby zostać złożone powtórnie, a społeczeństwo poniosłoby koszty idące w miliony.

Jenny miała ochotę mu powiedzieć, co myśli o programie budowy więzień, ale się powstrzymała.

— Najmocniej przepraszam za ten błąd w ocenie sytuacji, panie Moreton. Proszę to złożyć na karb nadgorliwości na początku kadencji. Zapewniam pana, że w przyszłości nie będę popełniać takich pomyłek.

— Chciałbym przyjąć to zapewnienie, pani Cooper, ale kiedy koroner popełnia tak poważny błąd...

— Poświęciłam ponad piętnaście lat życia służbie publicznej, pracując dla lokalnych władz w niewdzięcznej dziedzinie, jaką jest prawo rodzinne, chociaż mogłabym zarobić trzy razy tyle, prowadząc prywatną praktykę. Nikt nie może mi zarzucić braku poczucia obowiązku.

— Oczywiście, że nie.

— Być może poniosły mnie emocje, ale jeśli wyniosłam z tego jakąś naukę, to taką, że sprawowanie funkcji koronera wymaga pewnego dystansu, do którego nie przywykłam. Postaram się uzyskać ten dystans. — Dostrzegła, że jego wzrok opada na jej kilkucentymetrowy dekollet. Subtelny spojrzeniem dała mu do zrozumienia, że nie ma nic przeciwko temu.

— Wszyscy wiemy... — zająknął się i poczerwieniał. — Z pani akt wynika, że miała pani pewne problemy osobiste pod koniec pracy na poprzednim stanowisku.

— Miałam niewiernego męża, który wystąpił o odebranie mi prawa do opieki nad synem. To cud, że w ogóle byłam w stanie pracować.

— Rozumiem.

— Proszę nie tylko o przywrócenie na stanowisko, ale też o pańską pomoc i zachętę w najbliższych miesiącach. Kobieta na stanowisku koronera może się czuć bardzo samotnie, nie mając koleżeńskiego wsparcia.

Moreton kiwnął powoli głową. Jenny czuła, że już wyobraża sobie wycieczki do Bristolu, lunche na koszt biura, dotykanie się nogami pod stołem.

— Co się stało z pani twarzą, jeśli mogę zapytać?

— Miałam randkę z włamywaczami. A myślałam, że na wsi jest spokojnie.

— To straszne.

— Nic mi nie złamali. Mogło być gorzej.

— Tak... — Spojrzał na zegarek. — Może miałyby pani ochotę na drinka? Mam jeszcze pół godzinki.

— Zawsze mam ochotę na drinka w miłym towarzystwie.

Zaprosił ją do winiarni na tej samej ulicy i zamówił butelkę poulilly fumee za trzydzieści funtów, którą przyniesiono w wiaderku z lodem. Poza biurem był nawet całkiem zabawny. Pokazywał jej różne koterie, z których każda zajmowała inny kąt lokalu: pracownicy służby publicznej w tanich garniturach i bez krawatów, ludzie z telewizji w modnych okularach i z kozimi bródkami, od których wymagano, żeby wyglądali na trzydzieści lat, choćby mieli sto, oraz garść polityków i ich śliskich doradców, którzy wiecznie wisieli

na telefonach i rozglądali się, czy nikt nie podsłuchuje.

Nie tego się spodziewała po wysokim państwowym urzędzie — pokazywania piersi jurnemu urzędnikowi i wodzenia go za nos — ale podziała. Moreton zadzwonił do biura lorda kanclerza i gdy nalewał ostatnie porcje szampana, dostał wiadomość, że nic nie stoi na przeszkodzie, by Jenny wróciła na stanowisko.

Patrząc na niego znad kieliszka, powiedziała:

— Nie ma pan nic przeciwko, żebym zamknęła w przyszłym tygodniu sprawę Danny'ego Willsa? Przynajmniej tyle możemy zrobić dla jego matki: wreszcie to wszystko zakończyć.

— Jestem pewien, że doskonale to załatwisz, Jenny.

Poczuła ciepło jego kolana kilka centymetrów od swojego. Przesunęła się lekko, pozwalając, by dotknęły się na moment.

— Jestem ci bardzo wdzięczna, Simon.

Rozdział 26

Telefon odebrał mąż Alison. Powiedział, że żona nie czuje się najlepiej, że w ogóle nie jest sobą. Bardzo się ucieszył, słysząc, że wszystko wraca do normy, ale wątpił, czy Alison da radę przyjść od razu do pracy; podejrzewał, że nie dojdzie do siebie jeszcze przez parę dni. Był miły i tłumaczył się za żonę, ale Jenny wyczuła w tym wszystkim nutę desperacji. Jego niepewny ton opowiadał zupełnie inną historię: Alison popadła w depresję, której nie rozumiał i przez którą nie potrafił się przebić; kiedy przychodził pod drzwi sypialni z kolejnymi teoriami, co może jej dolegać, mówiła mu po prostu, żeby dał jej spokój.

Jenny wiedziała, że bez pomocy Alison zwołanie posiedzenia sądu na poniedziałek zajmie jej cały weekend, ale wiedziała, że jeśli będzie czekać, straci element zaskoczenia i świadkowie, których chciała przesłuchać ponownie, będą mieli czas na dopracowanie swoich historyjek. Chciała, żeby przysięgli zobaczyli, jak się płaczą w zeznaniach i w końcu przyznają do winy. Chciała załatwić tę sprawę, zanim ktoś zdąży jej przeszkodzić.

Wracając pociągiem do Bristolu, próbowała dodzwonić się do kogoś z działu Granthama, żeby wpuścił ją do biura, ale odpowiadały tylko automatyczne sekretarki. W końcu dopadła w domu jednego z architektów z pracowni na górze. Zdumiona łatwością, z jaką przychodziły jej kłamstwa, wyjaśniła, że włamywacze ukradli jej torebkę z kluczami i musi się dostać do budynku, żeby zmienić zamki, zanim bandyci dobiorą się do biura. Podziała. Wpadła do architekta po klucz do frontowego wejścia, po czym wróciła do taksówki i pojechała na spotkanie ze ślusarzem wezwanym na cito. O dziesiątej wieczorem była już w biurze. Znowu tu rządziła.

Kiedy już po północy dotarła do domu z torbą pełną teczek, uświadomiła sobie, że od ponad ośmiu godzin nie łykała żadnych prochów. Myślała, że Steve będzie na nią czekał, ale został po nim tylko zapach dymu papierosowego i liścik: „Mam nadzieję, że masz dobre wiadomości. Wiesz, gdzie mnie znaleźć. S x.” Przyjrzała się temu x, szukając wskazówek, czy napisał je bezwiednie, czy naprawdę znaczyło buziaka. Uznała, że nawet jeśli zrobił to podświadomie, jest to dobry znak; czułaby się urażona, gdyby podpisał się samym S. Kusiło ją, żeby do niego pojechać, ale wyszłaby na napaloną i podbudowałaby jego ego, a przecież powinien się wstydzić. Postanowiła poczekać, aż on przyjedzie do niej, i postawić mu jeszcze jeden warunek: jeśli chce z nią sypiać, musi sobie kupić komórkę.

* *

Nagrała się Rossowi na pocztę głosową — przekazując dobre wiadomości — i właśnie jadła późne śniadanie przy stole w ogrodzie, gdy pod dom zajechał radiowóz. Z miejsca pasażera wysiadł Williams; policjantka, jedna z tych, które przeszukiwały dom, czekała za kierownicą. Sierżant przeprosił, że przeszkadza, ale chciał jej przekazać, że ma ślad prowadzący do włamywaczy: czarny mercedes 320 został sfotografowany przez radar na drodze w dolinie kilka minut po napaści. Z przodu siedziało dwóch mężczyzn, a samochód został wynajęty z wypożyczalni w Bristolu. Zapłacono za niego firmową kartą kredytową, TRK Ltd. Była to firma-krzak bez żadnej oficjalnej działalności, ale jej dyrektor okazał się dawnym pracownikiem prywatnej

firmy ochroniarskiej, będącej własnością UKAM. Dwóch ludzi Williamsa właśnie go szukało.

— Myślałam, że staranniej zatrą ślady — powiedziała Jenny.

— Pewnie liczyli na to, że pani nie narobi szumu. Dla bezpieczeństwa powinna pani spędzić kilka nocy w hotelu, przynajmniej dopóki ich nie złapiemy. I chyba dobrze by było powiedzieć synowi, żeby się pilnował.

Kiwnęła głową. Ogarnęła ją fala niepokoju, gdy zrozumiała, na co się porywa.

— Zamierzam wznowić rozprawę w poniedziałek. Wielu osobom się to nie spodoba. Chcę wezwać dyrektorkę Portshead Farm, kilka osób z personelu, Franka Granthama, doktora Petersona...

— Myślałem o tym, pani Cooper. Zastanawiałem się, czy nie zechciałyby pani zmienić lokalu.

— Sama jeszcze nie wiem, gdzie odbędzie się posiedzenie. Straciłam salę sądową, kiedy mnie zawieszono.

— Czy słusznie podejrzewam, że spodziewa się pani braku współpracy ze strony świadków?

— Co pan ma na myśli?

— Wyobraźmy sobie, że zbierze pani sąd po tej stronie ujścia, na przykład w Chepstow. Moi chłopcy mogliby dopilnować, żeby świadkowie się stawili, a gdyby któryś się ociągał, będziemy mieli okazję po niego pojechać. A kiedy w majestacie prawa znajdziemy się na terenie...

— Będziecie mogli się rozejrzeć.

— Bez robienia szumu — dodał Williams z szelmowskim uśmiechem.

* *

Spakowała do walizki ubrania na kilka dni i włożyła ją do bagażnika razem z aktami, książkami prawniczymi i zapasem pigułek. Przed wyjazdem zadzwoniła do Davida i wyjaśniła mu sytuację tak spokojnie, jak to możliwe. Odparł zimno, że nie zdawał sobie sprawy, iż praca koronera może być tak ekscytująca, dając do zrozumienia, że tylko ona, królowa dramatu, mogła zrobić z niej taki cyrk. Wytknęłyby mu to, gdyby nie wychwyciła w jego

głosie nuty zazdrości: skoro jego pokręcona była żona prowadzi tak ważne i niebezpieczne sprawy, może się zdarzyć, że go przyćmi. I kogo wtedy będzie szanował ich syn?

Steve'a nie było, kiedy zajechała do niego, więc zostawiła mu liścik: „Sukces. Pracuję przez cały weekend i zatrzymam się w mieście. Zadzwoń. J.” Zawahała się i dodała x.

Wzmocniona temazepamem uwijała się przez resztę dnia. Idąc za sugestią Williamsa, wynajęła salę parafialną przy głównej ulicy Chepstow i zapewniła sobie asystę w postaci emerytowanego woźnego sądowego Arvela Hughesa — byłego wojskowego i oddanego działacza licznych miejscowych komitetów — który miał zastąpić Alison. Resztę popołudnia spędziła w biurze, wypisując wezwania, do których musiała być dołączona odpowiednia kwota „diety” w gotówce; bez tego nie można było ściągnąć świadka do sądu. Na liście świadków na pierwszy dzień znaleźli się: Justin Bennett, Darren Hogg, Kevin Stewart, Elaine Lewis, doktor Peterson i Frank Grantham.

Jej następnym zadaniem było znalezienie gońca sądowego, który zechce pracować w sobotę wieczorem za trzycyfrową zapłatę. Namierzyła jednego w St Paul's — zgodził się załatwić sprawę za pięć stówek, fundując jej już czwartą tego dnia wycieczkę do bankomatu. Była koronerem Jej Królewskiej Mości, urzędniczką o uprawnieniach równych sędziom Sądu Najwyższego, ale tego wieczoru musiała odliczać piątki dla obleśnego grubasa, który podjechał pod jej biuro i zatrafił, zbyt leniwy, by wyleźć z samochodu. Nawet pierwsze zadania w sądzie rodzinnym, kiedy wręczała nakazy pijanym ojcom, miały w sobie więcej godności. Gdy wezwania zostały wysłane, musiała zadzwonić do wszystkich przysięgłych, by wyjaśnić im, jak dojechać do nowej sali sądowej, i zapewnić, że owszem, dostaną lunch. Ostatni telefon, który odkładała tak długo, jak się dało, był do Simone Wills.

Słuchawkę podniósł chłopiec, mniej więcej dziesięcioletni, i powiedział, że mama jest na górze. W tle było słycać młodsze dzieci przekrzykujące się z telewizorem. Jenny poprosiła go, żeby był tak miły i poszedł po mamę, bo to ważna sprawa. Chłopiec odparł, że w tej chwili nie może, bo mama jest z Kennym.

— To ja poczekam, dobrze?

Chłopiec powiedział, że dobrze, i odłożył słuchawkę na jakąś twardą powierzchnię. Krzyknął na górę, że ktoś dzwoni, ale nie dostał odpowiedzi. Przez wrzaski maluchów i hałas telewizora Jenny słyszała kobiece jęki i rytmiczne łomotanie. Postanowiła, że poczeka z tym do rana. Simone najwyraźniej miała co innego na głowie.

* *

Nigdy nie czuła się tak samotna, jak siedząc w kantorku na tyłach sali parafialnej walijskiego miasteczka, ozdobionej obrazkiem przedstawiającym Noego i jego arkę. Spędziła dwie noce poza domem, a Steve zadzwonił do niej tylko raz. Pogratulował jej odzyskania pracy i powiedział, że chętnie przyjechałby ją odwiedzić, ale zatrudnił się na parę dni przy robotach leśnych, bo potrzebuje pieniędzy. Wyczuła napięcie w jego głosie: ona ma swoją robotę, a on swoją. Alison nie zadzwoniła, nie odezwał się też Moreton. Miała tylko Williamsa, lecz i sierżant zaczynał ją lekko niepokoić; tak bardzo chciał przyskrzynić Angoli, że bała się, że narobi jej wstydu. Jednak właśnie samotność pozwoliła jej lepiej zrozumieć własne motywy. Nie chodziło już tylko o uzyskanie sprawiedliwości dla Danny'ego i Katy. Chciała być panią koroner Jenny Cooper i odnieść sukces na tym stanowisku. Być ceniona i szanowana.

Zażyła dwa temazepamy, a w kieszeni miała rulonik podrasowanych miętówek. Była niewyspana i bardzo spięta, więc leki prawie nie działały. Puls miała przyspieszony, dłonie lepkie od potu, a język wydawał się jakby za duży dla ust. Powinna była poszukać przez weekend jakiegoś lekarza i poprosić o nową receptę na pigułki, które wyrzuciła do zlewu, ale wmawiała sobie, że będzie tak nabuzowana, że nie będą jej potrzebne. W pokoju hotelowym wydawało się to sensowne, teraz jednak nie wiedziała, jak przetrwa rozprawę bez nich.

Usłyszała kroki Arvela Hughesa, zbliżające się do drzwi. Zapukał dwa razy.

— Proszę. — Głos uwiązał jej w gardle.

Siedemdziesięcioletni woźny wszedł i stanął na baczność. Był ubrany w mundur marynarkę i krawat pod sądową togą; siwe włosy przygładził brylantyną, buty miał wypucowane.

— Jesteśmy gotowi, pani koroner.

Weszła do przestronnej sali z wysokim sufitem, którą zbudowano w wiktoriańskich czasach z przeznaczeniem na szkołę i w której wciąż wyczuwało się ponurą szkolną atmosferę. Jej stół, nakryty zielonym sukniem, stał dobre cztery metry od rzędu stołów, za którymi siedziała banda agresywnych prawników. Hartley zajmował miejsce w samym środku. Z prawej, w dwóch rzędach krzeseł, siedzieli przysięgli. Galerię dla publiczności zajmowali żądni krwi dziennikarze. Simone Wills i jej dwie przyjaciółki, które Jenny pamiętała z poprzedniego posiedzenia, przycupnęły na skraju ławki i gniewnie strzelały oczami na reporterów, przez których nie miały dość miejsca. Nie było krawaciarzy z UKAM, a z wezwanych świadków dostrzegła tylko Justina Bennetta, w tłumie koło drzwi. Jenny zajęła miejsce i kilkadziesiąt par oczu zwróciło się ku niej.

Krótko, żeby ukryć drżenie głosu, podziękowała wszystkim za cierpliwość podczas odroczenia i wyraziła nadzieję, że tym razem uda się szybko zakończyć przewód. Jeśli spodziewali się, że wyjaśni, dlaczego została aresztowana za narkotyki, zawieszona i przywrócona na stanowisko, to mieli pecha. Powiedziała tylko tyle, ile było konieczne. Widziała, że Hartley chce jak najszybciej wkroczyć na scenę, ale kazała mu czekać. Zwróciła się do Arvela, który ustawił sobie biurko z magnetofonem po lewej, między nią a prawnikami.

— Panie Hughes, czy świadkowie stawili się na wezwanie?

Staruszek wstał i ukłonił się z przesadnym szacunkiem.

— Nie, pani koroner. — Zaczął czytać z kartki. — Obecny jest pan Justin Bennett. Świadkowie Elaine Lewis, doktor Nicholas Peterson, Frank Grantham, Darren Hogg i Kevin Stewart nie stawili się w sądzie.

— Dziękuję. — Jenny spojrzała na prawników. Dostrzegła dwóch pełnomocników oprócz Hartleya i czterech mocodawców. — Rozumiem, że niektórzy ze świadków są dziś reprezentowani.

Hartley, wódz tego stada, wstał.

— Pani koroner, jak pani wiadomo, reprezentuję UKAM Secure Solutions Ltd i na mocy tej samej umowy także panią Elaine Lewis...

— A pana Hogga i pana Stewarta?

— Nie, pani koroner. Nie dostałem takich upoważnień. Prawdę mówiąc, do tej chwili nie miałem pojęcia, że zostali wezwani. To posiedzenie bardzo zaskoczyło większość obecnych.

Ignorując próbę zawstydzenia jej, Jenny odparła:

— Może zechce pan poprosić swoich mocodawców, żeby ustalili, gdzie są ci świadkowie? Mam potwierdzenie od gońca sądowego, że wezwania zostały dostarczone pod ich domowe adresy w sobotę wieczorem. Jako ich pracodawcy, pańscy klienci muszą im pozwolić na stawiennictwo przed tym sądem, nawet jeśli oznacza to opuszczenie miejsca pracy.

— Zapewniam panią, że moi klienci są świadomi swoich obowiązków...

Napięcie Jenny przerodziło się w irytację.

— Więc gdzie jest pani Lewis? — wypaliła tonem dyrektorki szkoły.

— Pani Lewis jest w Waszyngtonie, w podróży służbowej, która potrwa kilka tygodni.

— Osobiście odebrała wezwanie trzydzieści sześć godzin temu. Skoro twierdzi pan, że w tym czasie wyjechała z kraju, muszę to traktować jako obrazę sądu.

— Po pierwsze, pragnę przekazać najszczerze przeprosiny mojej klientki, że nie mogła przesunąć tej podróży, a po drugie, chciałbym prosić panią koroner o wysłuchanie jej zeznań, jeśli okażą się konieczne, za pośrednictwem połączenia wideo. Do wykorzystania takich technologii zachęcał niedawno w swoich dyrektywach przewodniczący Sądu Najwyższego.

Kilku prawników uśmiechnęło się, słysząc subtelny przytyk Hartleya do prymitywnych warunków w tej prowizorycznej sali sądowej.

Jenny pohamowała wybuch.

— Dostarczy mi pan informacje na temat aktualnego miejsca pobytu Elaine Lewis, a ja złożę do Sądu Najwyższego wniosek o jej aresztowanie.

Wiedziała, że brytyjski koroner nie może wydać nakazu aresztowania, który miałby moc prawną poza granicami Zjednoczonego Królestwa, i prawnicy UKAM bez wątpienia również o tym wiedzieli. Ekstradycja Elaine Lewis wymagałaby długiej i kosztownej procedury, którą dobrze płatni prawnicy w Stanach mogli przeciągać w nieskończoność.

Hartley, pewien bezpieczeństwa swojej klientki, powiedział:

— Z chęcią przekażę te informacje pani asystentowi — i usiadł, zapomniawszy się uklonić.

Następny był fircykowaty młody adwokat w garniturze szytym na miarę. Próbując naśladować lekceważący ton Hartleya, przedstawił się jako Henry Golding, reprezentant doktora Petersona. Jego klient prosił o sprecyzowanie, w jakich dokładnie kwestiach będzie przesłuchiwany. Jako że już zeznawał, ma prawo wiedzieć, po co jest wzywany ponownie. A gdyby ta prośba wydała się kontrowersyjna, doktor Peterson prosi o odroczenie z powodu niedawnego włamania do jego komputerowej bazy danych. Nie mógłby się odwołać do żadnego z dokumentów z bazy, dopóki nie uzyska absolutnej pewności, że nie zostały naruszone.

Jenny odparła:

— Panie Golding, po pierwsze, nie podał pan żadnej akceptowanej przez prawo przyczyny, dlaczego pański klient nie stawiał się na wezwanie, a po drugie, chcę go pytać o ciało, które badał zaledwie kilka tygodni temu.

Z uśmiechem, który zapewne uważał za uroczy, Golding odpowiedział, że z całym szacunkiem, ale doktor Peterson przeprowadza do sześciu autopsji dziennie, więc trudno od niego wymagać, żeby przypomniał sobie szczegóły przypadku, który badał niemal dwa miesiące temu.

— Dziękuję, panie Golding. Przyjęłam do wiadomości pański wiosek.

Zbity z tropu jej odpowiedzią, młody adwokat przez chwilę poruszał bezgłośnie ustami i w końcu wydusił:

— A pani decyzja?

— Najpierw wysłucham pozostałych reprezentantów.

Golding usiadł z osłupiałą miną i spojrzał na Hartleya, szukając potwierdzenia, że ma prawo czuć się skołowany. Starszy prawnik posłał mu

nieszczery uśmiech zadowolony, że młodzieniec nie stanowi zagrożenia.

Trzeci pełnomocnik, Pamela Sharpe, którą Jenny jak przez mgłę pamiętała z sądu rodzinnego, wstała powoli, udając, że jest pochłonięta lekturą jakichś ważniejszych dokumentów w swojej teczce. Oderwała się od nich z wyraźną niechęcią i powiedziała, że poproszono ją o poinformowanie sądu, iż pan Grantham również prosi o bliższe informacje i odroczenie. Po pierwsze, trudno się spodziewać po wysokim urzędniku magistratu, że stawi się na wezwanie w tak krótkim terminie, a po drugie, nie posiada on żadnych dowodów, które mógłby przedstawić, jako że nigdy nie miał nic wspólnego z Dannym Willsem i jego sprawą. Usiadła, zanim Jenny zdążyła odpowiedzieć, jakby nie wyobrażała sobie, że sąd może nie uznać jej argumentów.

— Czy życzy sobie pani usłyszeć odpowiedź, pani Sharpe?

Prawniczka wstała z ociąganiem, posyłając przysięgłym spojrzenie mówiące, że lepiej, by to było warte jej fatygi.

— Zarówno pani, jak i pani klient wydajecie się mieć jednakowe podejście do autorytetu tego sądu — powiedziała Jenny. Na twarzach pozostałych prawników pojawiły się znaczące uśmiešky, dało się słyszeć nawet ciche „fiu-fiu”. — Nawet pobieżna znajomość prawa wystarczy, by wiedzieć, że tylko ja określam, czyje zeznania są niezbędne i których świadków należy powołać dla dobra postępowania, i że odmowa stawienia na prawomocne wezwanie jest przestępstwem.

— Pani koroner, zwyczajowo prosi się świadka, by dostarczył swoje zeznanie, z wyprzedzeniem.

Uparta i lekceważąca postawa Pameli Sharpe zaczęła wytrącać Jenny z równowagi. Zawsze tak było: ludzie, którzy dążyli do konfrontacji, nie okazując przy tym żadnych emocji, budzili w niej panikę.

— Pani Sharpe — powiedziała, czując, jak jej serce tłucze się o żebra — wydaję nakaz doprowadzenia pani klienta, doktora Petersona, pana Hogga i pana Stewarta.

— Z pewnością krótkie odroczenie pozwoliłoby...

— Nie.

Golding zerwał się, żeby zaprotestować.

— Pani koroner, jestem pewien, że mój klient stawi się z własnej woli bez konieczności doprowadzenia przez policję.

— Panie Golding — wybuchła Jenny — czy mam to panu przeliterować? Państwa klienci zignorowali wezwania. To przestępstwo ścigane prawem. — Zwróciła się do Hartleya. — A ucieczka poza obszar kompetencji sądu to wyjątkowo poważna sprawa. Pani Lewis może się spodziewać surowych konsekwencji.

Niewzruszony Hartley wymienił pogardliwe spojrzenie z Pamelą Sharpe, uznając ten wybuch Jenny za ich zwycięstwo. Poczekaj tylko, zdawał się mówić. Sama odwali za nas robotę.

Jenny skinęła na Arvela, który przyniósł jej na stół plik przygotowanych wcześniej nakazów. Podpisała je i poleciła woźnemu, żeby zadzwonił do sierżanta Williamsa z instrukcją natychmiastowego wykonania. Gdy Hughes poszedł do kantorka, gdzie był telefon, poprosiła na miejsce dla świadków Justina Bennetta.

Potrzebowała chwili, żeby ogarnąć zdumiewającą zmianę w jego wyglądzie. Wciąż nosił kucyk, ale dredy zniknęły, a w uchu został tylko jeden kolczyk. Był ubrany w nowiutki grafitowy garnitur, koszulę i krawat. Odczytał przysięgę cichym, uległym głosem i sprawiał wrażenie człowieka, który ze wszystkich sił chce pomóc sądowi. Jenny uspokoiła się trochę.

Trójka pełnomocników słuchała uważnie i robiła szczegółowe notatki, gdy Justin wyjaśniał, że zajmował się Dannym i wielokrotnie spotykał się z nim przed jego pobytem w Portshead Farm. Potwierdził, że był to trudny chłopak z niestabilnej rodziny, więc nie zdziwiło go, gdy jego opiekunka środowiskowa Ruth Turner zadzwoniła na dwa tygodnie przed ogłoszeniem wyroku z informacją, że Danny jest niezrównoważony psychicznie.

Jenny spytała, czy podjął jakiegokolwiek działania w związku z informacją Ruth Turner. Justin spojrział z miną winowajcy na Simone Wills i przyznał, że nie, że tylko w opinii dla sądu wspomniał, iż Danny jest wytracony z równowagi perspektywą trafienia do zakładu.

— Panie Bennett — ciągnęła Jenny — czy wiedząc wtedy to, co wie pan dziś, postąpiłby pan inaczej?

— Mogłem się starać o konsultację psychiatryczną. Nie wiem jednak, czy bym ją uzyskał. Wszystkim młodym ludziom, z którymi mam do czynienia, przydałaby się pomoc tego rodzaju pomoc. Po prostu tak już jest.

Simone zaczęła szlochać. Przyjaciółka, dziś bez koszulki z napisem „Gwiazda Porno”, otoczyła ją pulchnym ramieniem. Jenny patrzyła na matkę Danny’ego bez współczucia, myśląc o sobotnim wieczorze, kiedy hałaśliwie bzykała się z nowym chłopakiem, zostawiając bez opieki piątkę dzieci.

— Czy miał pan jakiś kontakt z Dannym, kiedy chłopiec trafił do zakładu?

Justin pokręcił głową.

— Nie.

— Ale słyszał pan o nim?

— Tak. — Prawnicy jak na komendę unieśli głowy. — Od innej mojej podopiecznej, Katy Taylor, piętnastolatki, która wyszła z Portshead Farm siedemnastego kwietnia, po odbyciu części wyroku. Spotkałem się z nią osiemnastego w moim biurze, a potem w piątek, dwudziestego kwietnia. Wtedy mówiła o Dannym.

— Co mówiła?

Justin spuścił głowę i wbił wzrok w podłogę, jego głos ledwie było słychać.

— Spytałem, czy pobyt w zakładzie ją zmienił. Odparła, że tak, ale tylko dlatego, że boi się tam wrócić. Zapytałem, dlaczego, lecz nie chciała mi powiedzieć... Staramy się nie wyciągać odpowiedzi na siłę i pozwalać, żeby wszystko przyszło w swoim czasie. To było pod koniec sesji i Katy już wychodziła. Nagle spytała mnie, czy pamiętam Danny’ego. Powiedziałem, że oczywiście. Wtedy jakoś tak ucichła na chwilę, co było dla niej raczej nietypowe, a potem powiedziała, że martwiła się o niego w Portshead. Spotkała go parę razy w stołówce, zanim się powiesił. Wyglądało na to, że nie jest z nim dobrze, był cichy i przygnębiony. Mówiła, że kiedy widziała Danny’ego ostatni raz, wieczorem przed jego śmiercią, podeszła i zapytała go, co się dzieje, a on jej powiedział, że ma kłopoty z kimś z personelu. Nie powiedział, z kim. Katy zapytała, dlaczego nic z tym nie zrobi. Danny

powiedział, że owszem, zrobi, że zdobędzie nóż, żeby się bronić... I tyle. Więcej już nie rozmawiali.

— Czy powiedziała jeszcze coś na jego temat?

— Tak, że wydało jej się dziwne, że chciał się bronić, a zaraz potem popełnił samobójstwo.

— Wspominała o jakichś własnych problemach z personelem?

— Właściwie nie, ale...

— Ale co, panie Bennett?

— Odniosłem wrażenie, że mogło coś być, ale jak mówiłem, nie naciskałem specjalnie. Spodziewałem się, że zobaczę ją za parę dni.

Jenny zwróciła się do przysięgłych.

— Pan Bennett nie spotkał się więcej z Katy Taylor, ponieważ dwa dni później zaginęła, a po kolejnych sześciu dniach znaleziono ją martwą na obrzeżach miasta. Być może czytaliście państwo o tym w prasie. Policja prowadzi śledztwo.

Przygotowała się na sprzeciw Hartleya, ale nie zareagował. Odwrócił się do swojego mocodawcy i rozmawiał z nim szeptem.

Twarze przysięgłych zrobiły się śmiertelnie poważne, jakby nad salę napłynęła czarna chmura. Simone przestała szlochać, a jej mokra od łez twarz zbladła jeszcze bardziej.

— Czy Danny i Katy dobrze się znali? — spytała Jenny.

— Nie byli blisko, ale chodzili na te same zajęcia antynarkotykowe w grudniu zeszłego roku i chyba chodzili do tej samej podstawówki.

— Jak pan zareagował na informacje Katy?

— Bardzo mnie zmartwiły. Znałem Danny'ego od dawna. Byłem wstrząśnięty, kiedy usłyszałem, że nie żyje.

— Czy powiedział pan komukolwiek o rozmowie z Katy?

— Tak. Kilka dni wcześniej dzwonił do mnie koroner Marshall i pytał, czy wiem coś, co miałoby związek ze sprawą. Zostawił mi numer, więc zadzwoniłem do niego jeszcze tego samego wieczoru i przekazałem wszystko, co usłyszałem.

— I co powiedział pan Marshall?

— Podziękował mi i stwierdził, że chciałby porozmawiać z Katy. Poradziłem mu, żeby zaczekał kilka dni, aż ja się z nią spotkam i spróbuję dowiedzieć się czegoś więcej. Wątpiłem, żeby Katy chciała się otworzyć przed obcym człowiekiem.

— Ale nie było już okazji?

— Niestety nie.

— Więc od wieczoru dwudziestego kwietnia koroner Marshall wiedział, że według Katy Taylor Danny miał kłopoty z kimś z personelu i że chciał zdobyć nóż do obrony?

— Tak.

— Dziękuję, panie Bennett. Proszę jednak nie opuszczać miejsca dla świadków, bo może jeszcze ktoś zechce zadać panu pytania.

Hartley zamienił pośpiesznie kilka słów z pozostałymi pełnomocnikami i wstał.

— O ile dobrze zrozumiałem — zaczął — Katy Taylor nie podała panu żadnych informacji o okolicznościach śmierci Danny'ego Willsa, zgadza się?

— Tak.

— Miała bogatą kartotekę policyjną i regularnie brała narkotyki, czy tak?

— Tak.

— I mimo młodego wieku była podejrzewana o prostytucję?

— Tak... — w głosie Justina zabrzmiała nuta irytacji — ale to nie definiowało jej jako człowieka.

— Oczywiście i jestem pewien, że wszystkim nam jest ogromnie przykro z powodu jej tragicznej śmierci. — Zrobił pauzę, nieprzekonująco udając współczucie. — Ale wracając do rzeczy. Zechce mi pan powiedzieć, czy Danny Wills miał już wcześniej wyroki za rozboje i pobicia?

— Tak.

— Czy można więc założyć, że gdyby miał kłopoty z którymś z opiekunów, cokolwiek to znaczy, byłby zdolny do użycia przemocy? Że zaliczał się do młodych ludzi, którzy myślą właśnie w takich kategoriach?

Jenny obserwowała Justina, który, wciąż wbijając wzrok w podłogę, mrugnął kilka razy, jakby próbował stłumić własną nagłą chęć mordy. Nagle

spojrzał ze złością na Hartleya.

— Zaliczał się do młodych ludzi, którym próbujemy pomóc, i zwykle ponosimy porażkę. Tak samo jak pan nie wiem, co się z nim stało, ale wiem, że gdyby go nie zamknęli, nie byłby dziś martwy. Więzienia nie są skuteczne. Gdyby były, i ja, i pan bylibyśmy bez pracy.

— Pańska pasja jest godna podziwu, panie Bennett. Myślę, że każdy z obecnych na tej sali podziela pański smutek z powodu straconego młodego życia. A taka śmierć jest tym bardziej przygnębiająca, jeśli zdarza się bez wyraźnego powodu.

Jenny już miała ogłosić przerwę, ale zauważyła jakieś zamieszanie z tyłu sali. Dziennikarze, którzy wreszcie znaleźli dobre miejsca, musieli odsunąć się na boki, kiedy dwóch mundurowych wprowadziło Franka Granthama i doktora Petersona. Grantham był purpurowy ze złości; Peterson miał minę człowieka idącego na szubienicę. Sierżant Williams wszedł za nimi z wyrazem satysfakcji na twarzy. Przesłuchanie Bennetta trwało niecałe czterdzieści minut, policjanci musieli więc czekać, gotowi do akcji, w pobliżu biura Granthama i kostnicy.

Williams skinął głową Arvelowi, który wstał zza biurka i oznajmił:

— Świadkowie Frank Grantham i doktor Nicholas Peterson są już obecni, pani koroner.

Na widowni rozszedł się szmer. Jenny poprosiła o spokój i wywołała Granthama. Czuła, jak rośnie jej poziom adrenaliny. Kiedy posterunkowy prowadził Granthama na miejsce dla świadków, wyjęła z paczuszki dwie miętówki, wyssała z nich połówki tabletki i popiła je łykiem wody. Odesłała policjanta, żeby Grantham nie stracił resztek godności, stając przed sądem jak kryminalista. Spojrzał na nią z nienawiścią, jaką widywała tylko w oczach Davida podczas najgorszych małżeńskich awantur. Czuła twardą kluchę w gardle, ale powiedziała sobie, że ona tu rządzi, i musi przynajmniej udawać pewną swojej władzy.

Używała tej samej sztuczki, którą posłużyła się Pamela Sharpe — parząc w notatki, spytała:

— Pan Frank Grantham, zamieszkały w Belvedere Park numer 18 w

Bristolu?

— Tak — warknął.

— Nie stawił się pan dziś rano na wezwanie. Dlaczego?

— Chyba moja pełnomocniczka to wyjaśniła.

Pamela Sharpe wstała.

— Pani koroner, jeśli mogę...

— Nie w tej chwili, pani Sharpe. Kwestią obrazy sadu zajmę się później.

— Zwróciła się do Arvela: — Proszę zaprzysiąc świadka.

Grantham spojrział na Pamelę Sharpe, ale ona tylko wzruszyła dyskretnie ramionami — jeśli nic nie wiedział, to nic nie powie i tyle.

Jenny patrzyła na jego wykrzywioną gniewem twarz, gdy recytował przysięgę. Nie cierpiała tego człowieka, ale musiała zachować spokój i trzeźwość umysłu. Chciała od niego tylko jednej informacji i wydobydzie ją, nie narażając się nawet na cień krytyki.

— Panie Grantham, jest pan szefem wydziału prawnego magistratu Severn Vale, zgadza się?

— Tak. Piastuję to stanowisko od dwunastu lat.

— I pański wydział służy radą władzom miejskim we wszelkich kwestiach prawnych, jakie ich dotyczą?

— Tak.

— Czy może pan potwierdzić, oczywiście bez zdradzania jakichkolwiek poufnych informacji, że w czasie, kiedy zginął Danny Wills, firma UKAM Secure Solutions Ltd złożyła ofertę przetargową na wielomilionowy kontrakt obejmujący budowę i prowadzenie nowego zamkniętego zakładu wychowawczego na terenie podlegającym administracyjnie władzom dystryktu Severn Vale?

Grantham spojrział na przysięgłych.

— Nie. Nie wiedziałem o tym.

— Pański wydział nie został poproszony o doradztwo w kwestiach prawnych, jakie mogły wynikać ze złożenia takiej oferty? Bo o ile wiem, proponowana lokalizacja z pewnością wzbudziłaby wiele wątpliwości.

— Nie. Nic nie wiem o takiej ofercie.

Jenny zrobiła notatkę, głównie dla uspokojenia nerwów przed kolejnym pytaniem. Kontynuowała, zmieniając taktykę.

— Poprzedni koroner, pan Marshall, był pańskim bliskim przyjacielem, czy tak?

— Zналиśmy się od lat.

— Na gruncie zawodowym czy także osobistym?

Grantham zerknął niespokojnie na Pamelę Sharpe.

— Spotykaliśmy się przy różnych okazjach, ale z formalnego punktu widzenia byłem jego pracodawcą. Mój wydział płaci pensję koronera, jak pani dobrze wie.

Reagując na zdziwione spojrzenia kilku przysięgłych, Jenny wyjaśniła:

— To historyczna anomalia, drodzy państwo. Biuro koronera jest finansowane przez magistrat, ale koroner w żaden sposób nie podlega miejscowym władzom ani nie jest ich członkiem. Odpowiada wyłącznie przed lordem kanclerzem. — Nie mogła się oprzeć, więc dodała: — Cokolwiek mówiłby pan Grantham.

Ci, którzy zrozumieli, uśmiechnęli się. Reszta traciła zainteresowanie. Jenny skinęła na Arvela, pewna, że zaraz odzyska ich uwagę.

— Proszę podać panu Granthamowi kopertę.

Gdy woźny niósł bąbelkową kopertę na miejsce dla świadków, powiedziała:

— Czy pamięta pan datę nagłej śmierci koronera Marshalla?

Granthamowi wyraźnie nie podobał się kierunek, w jakim zmierzało przesłuchanie. Poprawił kołnierzyk, jakby było mu w nim za ciasno.

— Nie, nie pamiętam dokładnej daty.

Jenny zajrzała do notatek.

— Zmarł trzeciego maja nad ranem. Drugiego maja wysłał do pana list polecony. Mam tu potwierdzenie nadania, jeśli pan życzy sobie później na nie zerknąć.

Grantham spojrział podejrzliwie na kopertę podaną mu przez Arvela.

— Czy rozpoznaje pan pismo na naklejce adresowej jako pismo pana Marshalla?

Grantham popatrzył na wyraźne, okrągłe litery.

— Tak, to chyba jego pismo.

— Przesyłka została wysłana do pana, na adres pańskiego biura, ale pan jej nie odebrał. Został dostarczony powtórnie następnego dnia, ale wtedy też pan jej nie odebrał. Dlaczego?

— Poczta przechodzi przez kancelarię. Nigdy tam nie chodziłem podpisywać czegokolwiek osobiście.

Marshall musiał o tym wiedzieć. Jenny zastanawiała się, czy naprawdę chciał, żeby ta przesyłka dotarła do adresata, czy może przewidział, że grzechy jego i Granthama zostaną jednocześnie wywleczone przed ludzkie oczy.

— To prywatna korespondencja, więc nie zamierzam upubliczniać zawartości tej koperty, ale proszę łaskawie na nią spojrzeć.

Arvel stanął przed Granthamem, zasłaniając go przed publicznością i pozostawiając tylko przysięgłym możliwość obserwowania go z boku. Grantham sięgnął do koperty i wyjął zdjęcia z przypiętym bilecikiem Harry'ego. Patrzyła, jak niepewność na jego twarzy zmienia się w przerażenie, gdy oglądał kolejne fotografie.

— Proszę oddać zdjęcia woźnemu, kiedy już dobrze się pan przyjrzy.

Trzęsącymi się dłońmi Grantham włożył zdjęcia do koperty, którą Arvel odebrał od niego i odniósł na swoje biurko. Williams, stojący pod ścianą z tyłu, spojrział z aprobatą na Jenny, podziwiając jej elegancki sposób załatwienia tej sprawy.

Jenny kontynuowała przesłuchanie:

— Rozumiem, że pański wydział zajmuje się dosłownie setkami spraw, ale proszę zastanowić się jeszcze raz. Czy na pewno pan nie wiedział o tej ofercie?

Pamela Sharpe i Hartley wstali jednocześnie, by zgłosić sprzeciw. Hartley ustąpił kobiecie.

— Pani koroner, czy świadek może zostać pouczony o swoim prawie do nieskładania zeznań, które mogłyby go obciążyć?

— Oczywiście. Panie Grantham, nie musi pan mówić niczego, co by pana

obciążę. — Zwróciła się do przysięgłych. — Innymi słowy świadek nie musi udzielać odpowiedzi, która naraziłaby go na kryminalne zarzuty.

Prawnicy usiedli, zostawiając Granthama w szponach dylematu. Jenny obserwowała, jak patrzy na dziennikarzy i kalkuluje, co zdołają wykopać, jeśli odpowie, i co wyczytają z jego milczenia, jeżeli odpowiedzi odmówi. W końcu, z godnym podziwu tupetem, powiedział, patrząc na przysięgłych:

— Mamy do czynienia z tysiącami przeróżnych ofert. Teraz, po zastanowieniu, przypominam sobie, że faktycznie była jakaś dotycząca więzienia dla nieletnich.

— Pamięta pan, czy to więzienie miało powstać na terenach należących do miasta?

Błysk paniki w oczach Granthama wystarczył jej za odpowiedź, ale spojrzenie Pameli Sharpe powstrzymało go przed otwarciem ust. Jenny chciała wydobyć od niego potwierdzenie, żeby mieć podstawy do wejścia w szczegóły, ale czuła, że ten świadek już nic więcej nie powie. Strach w jego oczach zastąpiła determinacja. Wykombinował, że może się odciąć od zdjęć Harry'ego Marshalla, bo użyła ich tylko jako straszaka; pozostawał mu więc tylko jeden problem do rozwiązania, na gruncie, który kontrolował.

Spróbowała jeszcze raz.

— Musiał pan wiedzieć, czy władze miejskie przymierzały się do wielomilionowego interesu z UKAM Secure Solutions Ltd.

Grantham przejrzał jej bluff:

— Musiałbym skontaktować się z osobami, które zajmują się tymi kwestiami — rzekł — i dopiero wtedy mógłbym udzielić odpowiedzi.

Jenny obawiała się, że jeśli da mu czas, Grantham zatrze wszystkie ślady: spędzi noc w biurze, niszcząc dokumenty. Poszła na kompromis.

— Zwolnię pana na czas przesłuchania kolejnego świadka. Może pan zdobyć potrzebne informacje przez telefon, ale proszę nie oddalać się od tego budynku na więcej niż sto metrów. Spodziewam się odpowiedzi jeszcze przed południem.

Zerwał się z miejsca dla świadków i ruszył do wyjścia, a za nim jego nerwowy adwokat. Williams kiwnął Jenny głową spod tylnej ściany, jakby

chciał powiedzieć, że to mu wystarczy, by wkroczyć do biura Granthama.

Wywołała Petersona. Spodziewała się, że prawnicy zażądają prywatnego posłuchania i będą się domagali pokazania zawartości koperty, tymczasem gdy Peterson szedł na przód sali, trójka pełnomocników prowadziła cichą dyskusję; Hartley i Golding byli chyba w zмовie, a Pamela Sharpe miała taką minę, jakby pierwszy raz usłyszała jakieś szokujące informacje.

Peterson wyglądał na bardzo zmęczonego, jakby nie spał od chwili dostarczenia wezwania. Dla Granthama nie miała ani krztyny współczucia, tego przepracowanego patologa było jej trochę żal. W tym zawodzie nie było powrotu dla kogoś, kto umyślnie zataił dowody morderstwa.

— Doktorze Peterson — zaczęła — badał pan ciało Danny'ego Willsa w poniedziałek szesnastego kwietnia i stwierdził pan, że chłopiec popełnił samobójstwo, wieszając się na prześcieradle na kracie okna.

— Zgadza się.

— I to powiedział pan na rozprawie, którą pan Marshall prowadził pierwszego maja. Czy tak?

— Tak.

Peterson był ewidentnie skruszony, natomiast Golding nie okazywał nawet śladu niepokoju. To trochę zbiło Jenny z tropu.

— Czy potwierdza pan — ciągnęła — że w poniedziałek dwudziestego trzeciego kwietnia przeprowadził pan drugą autopsję Danny'ego?

Dał się słyszeć szelest kartek, bo dziennikarze, którzy śledzili tę sprawę, wyczuli sensację.

Peterson odparł:

— Tak. W poniedziałek rano pan Marshall poprosił mnie, żebym jeszcze raz obejrzał ciało.

Sam fakt, że odpowiedział, był zaskakujący. Spodziewała się, że wykorzysta prawo do nieobciążania własnej osoby. Takiego obrotu sprawy nie przewidziała, ale musiała przeć dalej.

— Może pan wyjaśnić, dlaczego przeprowadził pan to drugie badanie?

— Pan Marshall zadzwonił do mnie i powiedział, że otrzymał informacje, że przed śmiercią Danny'ego mogło dojść do rękoczynów. Poprosił, żebym

poszukał jakichś urazów.

— Czy powiedział, że ta informacja pochodziła od innej osadzonej z Portshead Farm, Katy Taylor?

— Nie. Nie powiedział mi, skąd o tym wie.

Peterson był wyraźnie przygaszony, wręcz zrezygnowany. Jenny spojrzała na Goldinga i dotarło do niej, że zarówno on, jak i Hartley wiedzą już o wszystkim, co najgorsze, może nawet o zdjęciach Marshalla, i mają przygotowaną taktykę obrony. Sięgnęła po kolejną miętówkę.

— Co pan znalazł przy powtórnych badaniach?

Doktor Peterson sięgnął do kieszeni i wyjął kartkę.

— Czy mam odczytać mój raport?

— Tak, bardzo proszę — odparła Jenny, nie bardzo wiedząc, co tu jest grane.

Patolog odczytał raport, z którego wynikało, że Danny przed śmiercią został obezwładniony i mógł być nieprzytomny, gdy zawisł na prześcieradle.

— Czy to znaczy, doktorze, że pańskim zdaniem Danny Wills nie powiesił się sam, ale został powieszony przez kogoś innego?

Simone Wills ścisnęła rękę przyjaciółki, zbyt zszokowana, by płakać.

— Mogę tylko stwierdzić, że to jest możliwe. Widuję wiele przypadków powieszenia, w których ślady świadczą, że ofiara próbowała rozluźnić stryczek, i wiele takich, w których nie ma tego typu śladów. Nie potrafię przesądzić, jak było w tym przypadku.

— Ale miał obrażenia wskazujące na użycie wobec niego siły i musiała to być gwałtowna samotanina, skoro nawet wyrwano mu kępkę włosów.

— Tak.

— Pokazał pan ten drugi raport koronerowi Marshallowi?

— Tak.

Przysięgli wymienili spojrzenia. Dziennikarze notowali pospiesznie i szeptali między sobą, natomiast prawnicy nie zareagowali. Jenny poczuła, że dławiąca ją klucha rośnie, zupełnie jakby w jej przełyku utkwiał kamień. Napła się wody.

— Dlaczego zatem nie wspomniał pan o tym raporcie podczas pierwszej

rozprawy w sprawie śmierci Danny'ego?

— W piątek dwudziestego siódmego kwietnia pan Marshall zadzwonił do mnie i poinformował, że Danny faktycznie miał spięcia z personelem, i że to wyjaśnia obrażenia. Poprosił, żebym o nich nie wspominał, gdyż rodzina może dojść do wniosku, że został zamordowany, chociaż wcale tak nie było. Wszystkie dowody wskazywały, że w chwili śmierci Danny był w celi sam.

— Poprosił pana o zatajenie dowodów, żeby rodzina nie wyciągnęła fałszywych wniosków?

Doktor Peterson spojrzał przepaszająco na Simone.

— Może umieszczę to w szerszym kontekście. Przez czternaście lat, od kiedy tu pracuję, Harry Marshall był koronerem. Od czasu do czasu mieliśmy do czynienia z niepokojącymi zgonami, zwykle samobójstwami, i w takich przypadkach Harry bardzo niechętnie przedstawiał rodzinie wszystkie swoje ustalenia. Mawiał, że czasami lepiej, by rodziny nie znały szczegółów śmierci bliskich, bo wtedy może się nie skończyć na jednym zgonie. Nie zawsze się z nim zgadzałem, i w tym przypadku nie boję się przyznać, że popełniłem błąd, nie podając do publicznej wiadomości wyników tego badania. Już po zamknięciu poprzedniego przewodu postanowiłem je ujawnić i cieszę, że teraz miałem okazję to zrobić. Dodam jednak, że nie zmienię mojego pierwotnego orzeczenia. Jestem przekonany, że Danny Wills popełnił samobójstwo.

Rozdział 27

Jej lunch leżał nietknięty na biurku. Żołądek miała tak ściśnięty, że ledwie mogła przełykać ślinę. Wszystkie jej kalkulacje okazały się błędne. Grantham, którego nie zmusiła do odpowiedzi w sprawie oferty, przed przerwą wrócił na miejsce dla świadków z ogólnikową informacją, że UKAM kontaktowało się wprawdzie z magistratem w sprawie możliwego zakupu ziemi, ale on nie był w żaden sposób zaangażowany w tę sprawę. Mogła go spytać wprost, czy zaprzecza, iż miał jakiegokolwiek kontakty z UKAM, chciała jednak być elegancka. Pozwoliła, żeby ambicja przeszkodziła jej w obnażeniu

matactw UKAM. Może Williams znajdzie dowody na korupcję Granthama, ale będzie już za późno, by wpłynęły na wynik tej rozprawy.

Sensacja w postaci drugiego raportu Petersona też nie wypaliła. Jenny spodziewała się, że będzie zaprzeczał albo przynajmniej odmówi odpowiedzi, co przekonałoby sędziów, iż przemilczał dowody z jakichś niecznych przyczyn. Tymczasem patolog sprytnie zrzucił winę na Harry'ego Marshalla, jednocześnie rozbijając bombę, na której siedział. Podjął ryzyko narażenia na szwank swojej reputacji i to mu się opłaciło. Reakcje prawników podczas jego zeznania świadczyły, że to wszystko było starannie zaplanowane. I jak na razie szło po ich myśli.

Sięgnęła po temazepam, bo ona też musiała podjąć skalkulowane ryzyko. Wiedziała, że kolejna pigułka ją przytępi, ale potrzebowała siły, żeby wydobyć coś z dwóch pozostałych świadków, których ludzie Williamsa doprowadzili do sądu tuż przed przerwą: Kevina Stewarta i Darrena Hogga. Jeśli nie ruszy do przodu z którymś z nich, przysięgli będą musieli orzec samobójstwo. A ona poniesie porażkę — i to będzie wyłącznie jej wina.

Spojrzała na tabletkę w dłoni. Jak ulotna jest prawda, przemknęło przez jej myśl, skoro nadzieja na uzyskanie sprawiedliwości zależy od tego, czy ją połknie.

Darren Hogg, operator kamer monitoringu, powiedział, że nie stawiał się w sądzie, bo w sobotę wieczorem gońcowi sądowemu otworzył jego pijany współlokator i zapomniał przekazać mu przesyłkę. Przysięgli roześmiali się, słysząc takie tłumaczenie. Jenny, śmiertelnie poważna, spytała, czy w dniach poprzedzających śmierć Danny'ego widział jakiegokolwiek incydenty, które mogły spowodować obrażenia widoczne na ciele chłopca. Hogg odparł, że nie widział niczego takiego, i przypomniał jej, że kamera w korytarzu męskiego oddziału była zepsuta. Na pytanie, czy w tym okresie zdarzały się przypadki użycia siły wobec jakiegoś innego osadzonego, znów usłyszała zaprzeczenie. Jeśli nawet kogoś obezwładniano, on tego nie widział.

Powoli zaczynała tracić cierpliwość.

— W takim razie proszę nam powiedzieć — zażądała — czy kiedykolwiek widział pan sytuacje, w których personel musiał obezwładnić któregokolwiek

z osadzonych.

Hogg, ubrany w swój brązowy mundur z cienkim krawatem zawiązanym ciasno pod kołnierzykiem, odparł:

— To się czasami zdarza. Ktoś zaczyna wierzgać i trzeba go doprowadzić do porządku.

— Proszę opisać, jak to wygląda.

Hogg podrapał się w zaczerwienioną szyję, podrażnioną po goleniu.

— Na przykład przypierają dzieciaka do ściany i czekają, aż się uspokoi.

— Czy widział pan kiedykolwiek, żeby osadzony został powalony na podłogę, a opiekun klęknął mu na plecach i wykręcił rękę między łopatki?

Hogg pokręcił głową.

— Nie widziałem niczego takiego, pani koroner.

— Nigdy?

— Nigdy.

Jenny, bliska wybuchu, przerwała na chwilę, żeby ochłonać.

— No dobrze, panie Hogg... Jestem w stanie uznać, że jak na człowieka, który spędza całe dni, wpatrując się w monitory kamer, jest pan wyjątkowo mało spostrzegawczy, ale chyba może mi pan podać nazwisko chociaż jednego opiekuna, który na pańskich oczach stosował chwyt obezwładniający wobec któregoś z osadzonych.

— Niestety nie. Przykro mi.

— Jak długo pracuje pan w Portshead Farm?

— Trzy lata.

— I nie potrafi pan podać nazwiska ani jednego opiekuna, który używał siły?

— Tak na sto procent to nie.

Jej cierpliwość się skończyła.

— Kłamie pan przed sądem, panie Hogg?

— Nie, pani koroner.

— To, co pan mówi, jest tak nieprawdopodobne, że po prostu nie może być prawdą.

Hogg milczał.

— A skoro skłamał pan w jednej kwestii, nie możemy ufać także pozostałym pańskim zeznaniom. Nie możemy panu wierzyć, gdy mówi pan, że kamera na męskim oddziale była zepsuta.

— Kiedy była.

— Ani że Kevin Stewart przez całą noc co trzydzieści minut zaglądał do wszystkich pokoi.

— Zaglądał.

Hartley uniósł się z krzesła.

— Pani koroner, w najlepszych intencjach muszę przypomnieć, że koroner ma obowiązek unikać wszelkich pozorów stronniczości.

— A ja, panie Hartley, muszę przypomnieć temu świadkowi, że przysięgł mówić całą prawdę, jestem bowiem przekonana, że się z nią mija.

Hartley wymienił zdziwione spojrzenie z resztą prawników i usiadł, zadowolony, że dodał kolejny punkt do swojej kolekcji podstaw do apelacji.

Jenny spojrzała na świadka.

— Nie mam więcej pytań, panie Hogg, pozostaje mi tylko nakazać panu zapłacenie grzywny w wysokości pięciuset funtów za obrazę sądu, jaką było niestawienie się dziś rano na wezwanie.

— Pięćset funtów? Nie stać mnie na to.

— Więc spędzi pan pięć dni w areszcie. — Zwróciła się do konstabla, który doprowadził Hoggę na salę. — Proszę dopilnować, żeby pan Hogg nigdzie nie poszedł. Formalnościami zajmę się po posiedzeniu.

Tym razem Golding wtrącił się w najlepszych intencjach.

— Pani koroner, czy panu Hoggowi nie powinna być dana możliwość poszukania pomocy prawnej, zanim zostanie skazany na karę aresztu?

— Pan się zgłasza, panie Golding?

Prawnik spojrzał na strażnika.

— No cóż, ja...

— Mogę pana zapewnić, że nie będę stronnicza. Wszyscy świadkowie, którzy nie stawili się na wezwania, otrzymają taką samą karę. — Spojrzała na Hartleya. — Z wyjątkiem pani Lewis, oczywiście.

Golding usiadł i zaczął się naradzać z Pamelą Sharpe, która sięgnęła po

kodeks i zaczęła w nim szukać odpowiednich paragrafów. Mocodawcy ruszyli na tyły widowni, by zapewnić Granthama i Petersona, że nie trafią do aresztu. Posterunkowy zaprowadził Hogga przy wtórze jego głośnych narzekań, pod boczną ścianę.

Jenny, podbudowana swoim drobnym zwycięstwem, poprosiła na miejsce dla świadków Kevina Stewarta.

Szkot był jeszcze bardziej nieprzekonujący niż Hogg. Niestawienie się na wezwanie wytłumaczył pewnością, że zaszła pomyłka — wszystko, co miał do powiedzenia, powiedział już w zeszłym tygodniu. Zaprzeczył, by kiedykolwiek stosował chwyt obezwładniający wobec Danny'ego, i stwierdził, że nie wie, aby ktokolwiek inny używał siły do poskromienia chłopca.

— Sugeruje pan, że przez sześć dni pobytu na oddziale Danny ani razu nie był obezwładniany?

— Na pewno nie na moich dyżurach.

— Ale mogło do tego dojść w ciągu dnia, kiedy pana tam nie było?

— Nie wiem.

— Nie odnotowuje się w dzienniku przypadków utarczek fizycznych z osadzonymi?

— Nie, chyba że to coś naprawdę poważnego.

— Danny miał liczne sińce i wyrwaną kępkę włosów.

— Nikt mi nic nie mówił. A ja nigdy nie miałem z nim kłopotów.

— Panie Stewart, z raportu patologa wynika, że niedługo przed śmiercią Danny brał udział w gwałtownej szarpaninie, podczas której, jak wskazują obrażenia, zastosowano profesjonalne techniki obezwładniania. Mam uwierzyć, że pan nic o tym nie wiedział?

— Tak.

— Nie było żadnych plotek na oddziale?

— Ja nie słyszałem.

— Koledzy z dziennej zmiany nie mówili, żeby pan na niego uważał, bo mieli z nim kłopoty?

— Nie, pani koroner.

Jenny spojrzała na przysięgłych i wyczuła, że uniki Stewarta wydają im

się podejrzane. Też zadawali sobie pytanie, co on ukrywa.

— Jak często musicie stosować techniki obezwładniania?

— Niezbyt często. Może raz na tydzień.

— A zdarza się, że zmuszacie osadzonego do położenia się twarzą na podłodze, z ręką wykręconą za plecy?

— Bardzo rzadko.

— Ale się zdarza.

— Czasami nie ma innego wyjścia.

— Skoro to tak rzadki przypadek, wydaje się tym bardziej zaskakujące, że nikt panu o tym nie wspomniał. Przecież o takich incydentach rozmawia się z kolegami, prawda?

Stewart spojrział na przysięgłych i odpowiedział z tą samą obojętną rzeczowością, którą pokazał na sali sądowej tydzień wcześniej.

— Nie wiem, w jaki sposób Danny nabawił się tych obrażeń. Może wdał się w awanturę z personelem, o której nie wiedziałem, a może pobił się z innymi chłopcami. Wiem tylko, że kiedy gasiłem światło, nic mu nie było, i że po dziesiątej nie było żadnego incydentu.

— Doktor Peterson twierdzi, iż jest możliwe, że Danny był nieprzytomny lub tylko częściowo przytomny, gdy prześcieradło zacisnęło się na jego szyi.

— Myli się.

— I nie powinno nam się wydawać podejrzane, że w korytarzu nie działała kamera?

— Może pani podejrzewać, co się pani podoba. To nie ma nic wspólnego ze mną.

— Niech pan nie będzie bezczelny, panie Stewart, mówimy tu o śmierci dziecka.

Złożył ręce na stole przed sobą, nie przepaszając. Jenny czuła obrzydzenie do tego człowieka. Głupkowaty Hogg budził raczej politowanie, a zimny, wyrachowany Steward — pogardę i gniew. Miała ochotę zacisnąć pięści i młócić go po twarzy, aż wyda wszystkie swoje brudne tajemnice.

— Czy czuje pan wyrzuty sumienia z powodu tego, co spotkało Danny'ego?

— Tak, przykro mi, że się powiesił.

— Więc dlaczego nie próbuje pan pomóc? Dlaczego nie próbuje pan nawet zasugerować, kto mógł mu zadać te obrażenia?

— Bo nie wiem, kto to mógł być.

— Panie Stewart, jako pracownik zakładu zna pan cały personel i wszystkich osadzonych, którzy przebywali na męskim oddziale w czasie, kiedy zmarł Danny. Więc albo sam pan postanowił zataić wszelkie informacje przed tym sądem, albo dostał pan takie polecenie od swoich przełożonych. Która opcja jest prawdziwa?

Hartley zerwał się z miejsca.

— Pani koroner, nie podoba mi się sugestia zawarta w tym pytaniu. Nie przedstawiono absolutnie żadnych dowodów, które świadczyłyby, że moi klienci próbują zatajać istotne informacje.

— A jak inaczej mam to rozumieć, panie Hartley? Ten świadek z pewnością nie mówi prawdy, podobnie jak pan Hogg. A Elaine Lewis tak bardzo chciała uniknąć zeznawania na tej rozprawie, że wyjechała z kraju. Nie trzeba wykształconego prawnika, by dojść do wniosku, że pańscy klienci jak ognia boją się prawdy, która mogłaby wyjść na jaw na tej sali.

— Czy pani jest pewna, pani koroner, że chciała się wyrazić właśnie w ten sposób?

Kevin Stewart roześmiał się. Było to krótkie, szydercze parsknięcie, ale wystarczyło, że Jenny puściły bezpieczniki. Zwróciła się do Hartleya:

— Mam już powyżej uszu pańskiego szyderczego tonu. Jestem przekonana, że właśnie pan zasugerował Elaine Lewis wyjazd za granicę i poproszę policję o wszczęcie śledztwa w tej sprawie. Poproszę też, by ustalili, kto polecił panu Hoggowi i panu Stewartowi utrudnianie tego dochodzenia. Pańscy klienci mogą wierzyć, że odpowiednio wysoka kwota wydana na matactwa pozwoli uzyskać rezultat, jakiego oczekują, ale ja nie zamierzam do tego dopuścić. I nie dopuszczę.

Gdy skończyła, w sali zapadła cisza. Hartley zamknął notes, odłożył pióro i spojrzał na Jenny z pełną żalu miną.

— Obawiam się, pani koroner, że w tej sytuacji nie mam innego wyjścia,

niż prosić sąd wyższej instancji o uchylenie werdyktu, jaki zostanie wydany. Pani sposób prowadzenia tej sprawy, pani ewidentna stronniczość, nie mówiąc już o dziwacznych wydarzeniach z zeszłego tygodnia, naprawdę nie pozostawiają mi wyboru.

Sięgnął po teczkę i razem ze swoim mocodawcą ruszył do drzwi. Golding i Pamela Sharpe popatrzyli po sobie. Sharpe wstała.

— Pan Golding i ja podzielamy odczucia naszego szanownego kolegi, ale zostaniemy na sali w interesie naszych klientów.

Jenny powiodła wzrokiem po morzu zdumionych twarzy. Dała dziennikarzom dramat, na który czekali, i nagłówki do wieczornych wydań były już gotowe: „Prawnicy wychodzą z sali niesławnej pani koroner”. Moreton jeszcze dziś dostanie mailem pierwsze artykuły, a kolejną porcję przeczyta rano. Telefon zadzwoni, zanim ona o dziesiątej wznowi rozprawę. Dostała szansę, ale ją zmarnowała. Chciała przeprosić Simone Wills, która patrzyła na nią, skołowana; chciała jej powiedzieć, że robiła, co w jej mocy, lecz w głębi duszy wiedziała, że nie starała się wystarczająco.

Spojrzała na Kevina Stewarta, ale słowa uwięzły jej w gardle. Brzegi pola widzenia zaczęły się zamazywać, w skroniach narastało pulsowanie; gwar rozmów w sali zagłuszył szum jej własnej krwi. Wsunęła rękę do kieszeni, szukając miętówek, ale nie zdołała chwycić tubki. Zobaczyła, jak Arvel rusza w jej stronę, i pomyślała, że chce ją podtrzymać, gdyby upadła. On jednak minął ją, wszedł między rzędy ławek i podszedł do jasnowłosej starszej kobiety, z którą wdał się w ożywioną rozmowę. To była Alison. Kiedy woźny odwrócił się, Jenny zobaczyła obok niej Tarę, a między nimi smukłego młodzieńca o włosach koloru słomy.

Arvel wrócił do jej stołu.

— Pani Alison Trent, asystentka kornera, przyprowadziła świadka, niejakiego Marka Claytona.

Fala paniki opadła równie szybko, jak wezbrała. Jenny poczuła, że znów stoi na twardym gruncie. Sięgnęła po szklankę z wodą, wypła łyk i odzyskała głos.

— Proszę opuścić miejsce dla świadków, panie Stewart. Ale proszę

zostać na sali.

Stewart wstał i poszedł na widownię, kręcąc lekceważąco głową.

— Wzywam pana Marka Claytona.

Jasnowłosy chłopak, najwyżej dziewiętnastoletni, odwrócił się do Alison, która położyła mu dłoń na plecach i pchnęła go lekko do przodu jak nadopiekuńcza matka. Za nimi stała Tara, z oczami błyszczącymi z ekscytacji.

Clayton niepewnie wyszedł na środek. Arvel skierował go na miejsce dla świadków i stał obok, gdy przerażony chłopak, zacinając się, czytał słowa przysięgi.

— Nazywa się pan Mark Clayton — zaczęła Jenny.

— Tak.

Podał swój wiek — osiemnaście lat — i adres w południowej części miasta. Akcent miał miękki, bardziej z Somerset niż z Bristolu. Jenny widziała, że nigdy wcześniej nie zeznawał w sądzie, nie było w nim nawet cienia buty zaprawionych w boju sądowych bywalców.

Nie miała żadnego planu przesłuchania, ale stoicka mina Alison dodawała jej pewności.

— Czy może nam pan powiedzieć, jaki związek, i czy w ogóle, ma pan ze sprawą zmarłego Danny'ego Willsa?

Clayton zerknął na Alison, jakby czekając na jej sygnał, i nieśmiało zwrócił się do przysięgłych:

— Byłem... byłem przyjacielem koronera, pana Harry'ego Marshalla.

— Co ma pan na myśli, mówiąc „przyjacielem”? — spytała Jenny.

— No więc... Właściwie to było coś więcej... Poznałem go jakieś trzy miesiące temu i spotykałem się z nim co dwa tygodnie.

Sala się ożywiła. Dziennikarze jak jeden mąż podnieśli głowy, nawet najbardziej zblazowani otworzyli szerzej oczy.

Jenny kontynuowała ostrożnie:

— Czy to była romantyczna przyjaźń?

— Coś w tym rodzaju... Poznałem go przez Internet. — Znów spojrzenie na Alison. — Płacił mi.

— Harry Marshall, koroner, który prowadził dochodzenie w sprawie śmierci Danny'ego Willsa, płacił panu za seks?

— Tak.

Zobaczyła, jak Williams spuszcza głowę, ale teraz nie było już odwrotu. Poleciała Arvelowi zanieść kopertę na miejsce dla świadków i poprosiła Clayтона, żeby ją otworzył. Chłopak wyjął zdjęcia.

— Czy może pan nam powiedzieć, co to jest?

Clayton wydawał się zdziwiony, a nawet zniesmaczony tym, co widzi.

— To zdjęcia moje i Harry'ego w pokoju hotelowym.

— Czy jest na nich data?

— Dwudziesty piąty kwietnia.

— Gdzie panowie byliście?

— W Novotelu w Bristolu. Zawsze tam chodziliśmy.

— Czy pan wiedział, że robione są zdjęcia?

— Nie... ani ja, ani on.

— Do zdjęć przyczepiony jest liścik. Czy może pan go przeczytać?

Jenny spojrzała na miejsce, gdzie siedział Frak Grantham, ale jego już tam nie było.

— Tu jest napisane: „Drogiemu przyjacielowi Frankowi — H”.

— Czy jest data?

— Trzeci maja.

Jenny zwróciła się do przysięgłych.

— Pamiętacie państwo, że pan Marshall wysłał te zdjęcia do pana Granthama rankiem trzeciego maja i zmarł tego samego dnia. — Wróciła do Clayтона. — Co pan wie o tych zdjęciach?

— Harry zadzwonił do mnie na komórkę, zdaje się, że w piątek, i powiedział, że bardzo mu przykro, ale niewykluczone, że jakieś nasze wspólne zdjęcia mogą się ukazać w prasie. Powiedział, że ktoś przysłał kopie do jego biura. Nie wiedział, jak to się stało.

— Czy był zdenerwowany?

— Bardzo.

— Czy wspominał coś o swojej pracy?

— Nie wtedy. To była krótka rozmowa... Rozgniewałem się.

— Z powodu tych zdjęć?

— A z jakiego innego? Tak.

— Powiedział pan „nie wtedy”. Czyli rozmawialiście jeszcze później?

— Tak. Zadzwoił do mnie w następnym tygodniu, w ten czwartek, kiedy zmarł. Szczerze mówiąc, nie chciałem z nim rozmawiać, ale on dzwonił i dzwonił, więc wreszcie odebrałem...

— O której godzinie?

— Nie pamiętam dokładnie. Późnym wieczorem, chyba już po północy.

Jenny spojrzała na Alison, myśląc o telefonie od Harry'ego, którego nie odebrała, a który może powstrzymałby go, gdyby podniosła wtedy słuchawkę albo znalazła odwagę, żeby oddzwonić.

— Co panu wtedy powiedział?

— Nie wydawał się zdenerwowany, tylko jakby smutny... Powiedział, że nie czuje się dobrze. I że jeśli cokolwiek mu się stanie, mam powiedzieć w jego biurze, że człowiek, którego szukał, nazywa się Sean Loughlin i że był pielęgniarzem w Portshead Farm. Powiedział: „Sean Loughlin zabił Danny'ego Willsa, a ja nie miałem dość odwagi, żeby to udowodnić”.

— Dlaczego nie zadzwonił pan do jego biura, panie Clayton?

— Nie chciałem mieć z nim więcej nic wspólnego. To były tylko interesy. A kiedy jego żona zaczęła do mnie wydzwaniać, miałem już tego powyżej uszu.

* *

Williams przysłał liścik, prosząc o przerwę, kiedy Jenny już skończy z Claytonem, ale nie wyjaśnił, dlaczego. Później wytłumaczył jej, że przez te pół godziny, kiedy zawiadomione przez kolegów ekipy telewizyjne gorączkowo rozstawiały się na chodniku przed wejściem, prawdziwa akcja rozgrywała się w uliczce na tyłach sali, gdzie jego ludzie wyprowadzili Stewarta i Hogga. Z tym samym błyskiem w oku, z jakim mówił o dokopaniu Angolom, powiedział, że zaproponował układ pierwszemu, który zacznie gadać. Hogg natychmiast podniósł rękę jak uczeń. Stewart rąbnął go

pięścią w twarz i próbował uciec, ale wylądował skuty w furgonetce zaparkowanej na drugim końcu uliczki, gdzie siedział już Frank Grantham. Grantham był najgorszy, w kółko powtarzał: „Czy pan wie, kim ja jestem?” Williams udzielił mu odpowiedzi, ale nie nadawała się do cytowania.

Wiejski sierżant, który zajmował się głównie włamaniami do komórek i domowymi awanturami, bawił się jak nigdy.

* *

Kiedy Jenny po południu wznowiła rozprawę, Hartley i prawnicy UKAM stali w części dla publiczności. Musieli trzymać rękę na pulsie, ale byli zbyt dumni, by stracić twarz, wracając na swoje miejsca. Kilka rzędów przed nimi Alison i Tara dosiadły się do Simone Wills i jej przyjaciółek; Tara, zastąpiwszy Gwiazdę Porno, trzymała Simone za rękę.

Jenny wezwała Hoggę i przypomniała mu, że wciąż zeznaje pod przysięgą. W jego zachowaniu nie było śladu wstydu czy zażenowania, tylko arogancka pewność siebie człowieka, który wierzy, że wykręcił się sianem.

— Panie Hogg, powiedziano mi, że od porannego zeznania doszedł pan do jakichś wniosków i teraz chce wyjaśnić kilka spraw.

Hogg spojrzał na Williamsa, szukając potwierdzenia, że naprawdę jest kryty. Sierżant kiwnął głową.

— Tak, pani koroner.

Jenny przeszła do sedna.

— Panie Hogg, czy może nam pan powiedzieć, co pan widział w nocy trzynastego kwietnia, kiedy zmarł Danny Wills?

— Widziałem, jak ktoś z personelu wchodzi do jego pokoju.

— Gdzie pan to widział?

— Na jednym z monitorów.

— Chce pan powiedzieć, że kamera w korytarzu męskiego oddziału była sprawna?

— Tak, pani koroner. Była sprawna.

Jenny powstrzymała chęć zerknięcia na przysięgłych. Słyszała szepty i pomruki, ale nie chciała zarażać się od nich emocjami — jej serce i tak już

mocno łomotało. Nie odważyła się też spojrzeć na Hartleya i jego ekipę. Musiała zachować koncentrację; teraz liczyło się tylko wydobyć od Hogga całą prawdę.

— Nie była zepsuta?

— Nie. — Wciąż ani śladu wyrzutów sumienia. Jego tupet był wręcz nieludzki.

— Więc dlaczego pan powiedział, że była?

— Kazano mi tak powiedzieć i zgłosić usterkę z samego rana następnego dnia, przed końcem mojej zmiany.

— Kto panu kazał?

— Dyrektorka. Pani Lewis.

Jenny usłyszała poruszenie wśród prawników UKAM. Wiedziała, że zastanawiają się gorączkowo, jak oczernić i zdyskredytować Hogga, że telefony poszły w ruch.

— Więc zgłosił pan usterkę kamery dopiero rano czternastego kwietnia, kiedy Danny już nie żył?

— Zgadza się.

Jenny wzięła głęboki oddech.

— Proszę powiedzieć, co pan widział na monitorze.

— Wieczorem widziałem, jak pan Stewart robi obchody, ale kilka razy stanął przed drzwiami pokoju Danny'ego. Nie widziałem, co się dzieje w środku, ale pan Stewart chyba krzyczał. Wyglądało na to, że osadzony się awanturuje. Poprzednich nocy też to widziałem.

— Co pan widział?

— Że pan Stewart miał kłopoty z Dannym. Chłopak nie chciał się uspokoić. Pan Stewart ciągle musiał podchodzić do jego drzwi i w końcu wezwał Loughlina.

— Kto to jest Loughlin?

— Jeden z pielęgniarzy z oddziału przyjęć.

— Dlaczego nie było jego nazwiska na żadnym z grafików?

— Po czternastym kwietnia więcej go nie widziałem... — Hogg po raz pierwszy zwiesił głowę. — Powiedzieli nam, że jak dla nas to miał wolne

przez dwa tygodnie... Że jeśli policja albo koroner będą zadawać jakieś pytania, tak mamy mówić.

— Czy pani Lewis to wam powiedziała?

Kiwnął głową.

— A gdybyście nie posłuchali?

— Stracilibyśmy pracę i dostalibyśmy wilczy bilet... A poza tym nikt nie chciał zadzierać z Loughlinem. Dzieciaki nazywały go „Rzeźnik”.

— Z jakiegoś szczególnego powodu?

— Nie wiem, czy to prawda, czy nie... — Hogg zaczął się pocić. Otarł mankietem wilgotne czoło. — ...ale słyszałem, że dawał im narkotyki i że traktował ich jak mięso.

— To znaczy?

Hogg rozluźnił krawat.

— Podobno płacili za te narkotyki seksem. Ale ja tego nigdy nie widziałem. Wiem tylko, że często brał nocne dyżury. Dyżurnego pielęgniarza wzywa się, kiedy trzeba kogoś uciszyć. I przeważnie to był on.

— O której Loughlin przyszedł do pokoju Danny’ego?

— Koło drugiej.

— Czy pan Stewart wszedł tam z nim?

— Nie. Loughlin wszedł sam. Był tam jakieś dziesięć, piętnaście minut. Oczywiście nie widziałem, co się działo w środku, ale kiedy wyszedł, spojrzał w kamerę, wie pani, tak zerknął...

— Co było potem?

— Był spokój. Pan Stewart nie robił obchodów aż do szóstej. Wtedy zobaczył Danny’ego. — Zanim Jenny zadała kolejne pytanie, dodał: — Właściwie nigdy tego nie robił, kiedy dzieciaki spały.

— Panie Hogg, proszę powiedzieć, jak często widywał pan przypadki fizycznego obezwładniania osadzonych przez personel?

— Codziennie. Inaczej się nie da. Niektórzy są jak dzikie zwierzęta, niby jak inaczej mają ich utrzymać pod kontrolą?

Odchyliła się na krześle i pozwoliła sobie na przyjemność rozejrzenia się po sali. Alison wyciąga z rękawa chusteczki i podaje Simone; Hartley i jego

świta naradzają się gorączkowo; Williams uśmiecha się spokojnie; Peterson, zamyślony, gapi się w przestrzeń; Pamela Sharpe i Golding siedzą osłupiali, tak samo jak przysięgli przerażeni tym, co usłyszeli.

Zadała Hoggowi ostatnie pytanie.

— Czy pamięta pan, jakim samochodem jeździł Sean Loughlin?

Hogg skrzywił się, próbując sobie przypomnieć.

— Tak... to była vectra. Granatowa.

* *

Przysięgli potrzebowali niecałych czterdziestu minut, by uzgodnić werdykt. W sali panowała pełna szacunku cisza, gdy wracali na miejsca.

Jenny powiedziała:

— Pani przewodnicząca, proszę wstać.

Pewna siebie młoda kobieta z drugiego rzędu wstała z gotowym podsumowaniem przewodu w dłoni.

— Pani przewodnicząca, czy ława przysięgłych uzgodniła odpowiedzi na wszystkie pytania zawarte w podsumowaniu przewodu koronerskiego i czy wszyscy sędziowie złożyli na nim swoje podpisy?

— Tak, pani koroner.

— Proszę więc odczytać obecnym odpowiedzi. Nazwisko zmarłego?

— Daniel Wills.

— Uraz lub schorzenie będące przyczyną zgonu?

— Asfiksja w wyniku uduszenia.

— Czas i miejsce zgonu?

— Daniel Wills zmarł krótko po drugiej w nocy, czternastego kwietnia, w swojej celi w Zamkniętym Zakładzie Wychowawczym Portshead Farm.

— Orzeczenie ławy przysięgłych określające przyczynę śmierci?

— Daniel Wills został zamordowany przez Seana Loughlina, pielęgniarza w Portshead Farm. Loughlin zastosował wobec niego chwyt obeszładniający, powodując obrażenia, które doprowadziły do utraty przytomności. W przekonaniu, iż Daniel Wills nie żyje, Loughlin powiesił jego ciało na stryczku z prześcieradła, na kracie okna celi, by upozorować samobójstwo.

Przy wtórze szlochów Simone Wills Jenny podziękowała przysięgłym za zaangażowanie i poinformowała ich, że bezzwłocznie przekaże akta sprawy policji z zaleceniem, by Sean Loughlin był ścigany pod zarzutem morderstwa. Potem wywołała Franka Granthama i doktora Petersona i skazała obu na pięć dni aresztu za obrazę sądu. Wiedziała, że ich adwokaci popędzą do Sądu Najwyższego z apelacją, ale ci dwaj przynajmniej posmakują nocy w więzieniu. Williams powiedział jej, że na zewnątrz czeka już samochód, który zawiezie ich do Swansea, więzienia, które bardzo niechętnie wypuszczało Angoli, gdy już się tam znaleźli.

Zwolniła przysięgłych i w zarnieszaniu, które nastąpiło potem, niepostrzeżenie wymknęła się tylnym wyjściem do samochodu.

Rozdział 28

Było późne popołudnie. Zaparkowała na świeżo skoszonej trawie i poszła za dom, gdzie zastała Steve'a w japonkach, obciętych džinsach i koszuli mokrej od potu podziwiającego pasy, które wystrzygł starą ręczną kosiarką. Alfie leżał w cieniu przy kuchennych drzwiach.

— Wygląda jak pole golfowe — powiedziała Jenny.

— Przemawia do mojego poczucia ładu.

— A od kiedy masz coś takiego, jak poczucie ładu?

— Sześć lat architektury nie mogło pójść całkiem na marne.

Rzuciła aktówkę na stół i zdjęła żakiet. Po deszczowym czerwcu lipiec wreszcie przyniósł słońce.

— Nigdy mi nie powiedziałaś, dlaczego nie skończyłaś studiów.

— Chyba ze strachu, że stanę się gościem w garniturze. Żona, dzieci, hipoteka i tak dalej.

— Są na świecie gorsze rzeczy.

Spojrzał na jej bluzkę z dwoma guzikami rozpiętymi pod szyją.

— Wiem. — Ruszył w stronę tartaku, żeby odstawić kosiarkę. — Przed chwilą dzwoniła Alison. Mówi, że nie może cię złapać od dwóch godzin.

— Byłam zajęta. Czego chciała?

— Dostała wyniki analizy DNA. Włosy, które znaleźli w samochodzie Loughlina, należały do Katy Taylor. Powiedziała, że prawdopodobnie oskarżą go o podwójne morderstwo. — Zniknął w zrujnowanym budynku. Jenny usłyszała, jak przestawia jakieś żelastwo i kawałki drewna.

— Tylko tyle masz do powiedzenia? Może byś mi pogratulował, że sama znalazłam podwójnego zabójcę.

— Sama?

Ruszyła za nim; obcasy zapadały jej się w trawę.

— Co to miało znaczyć?

— Claytona znalazły Alison i ta dziennikarka.

— Ale to ja wykopałam te zdjęcia.

— A kto wykradł raporty patologa?

Stała w miejscu, gdzie kiedyś były drzwi.

— Też tam byłam.

— Z tym dzieciakiem.

Wstawił kosiarkę pod prowizoryczny daszek, który zbudował pod ścianą.

— Próbujesz umniejszyć moje zasługi, bo ja mam jakąś pozycję, a ty nie?

Steve spojrzął na swoje brudne od rdzy dłonie i podszedł do niej.

— Wiesz, na czym polega twój problem, Jenny? Ty chyba we wszystkim chcesz być sama.

— To nieprawda.

— Z wyjątkiem chwil, kiedy tak świetnie ci się to udaje, że sama siebie przerażasz.

— Przecież prawie mnie nie znasz.

— Czasami obcy widzą wyraźniej.

— Bzdury.

— Popatrz na siebie, Jenny. Jesteś piękną kobietą, a ubierasz się jak przedsiębiorca pogrzebowy. — Położył brudne dłonie na jej talii.

— Co ty robisz, do diabła?

— Jest gorąco. Kupiłaś dom przy potoku. Nie zamierzasz w nim popływać?

— Puszczaj mnie.

Puścił.

— Jak sobie życzysz. — Zdjął koszulę i, brodząc, doszedł do miejsca, gdzie woda sięgała mu prawie do pasa. Zanurkował głową naprzód. Wynurzył się, roześmiany, otrzepał włosy i przekręcił się na plecy, wierzgając nogami w powietrzu.

— To mogłabyś być ty, Jenny... To mogłabyś być ty.

Patrzyła na niego przez krótką chwilę — zawsze bała się wody — aż w końcu powoli zdjęła buty i rozpięła spódnicę. Najwyższa pora przestać się bać.

* *

— Posłuchaj jeszcze raz i powiedz, co to za dźwięk.

— To łomotanie... pięściami w drzwi. Gwałtowne, wściekłe...

— A potem?

— Głos... gniewny głos. Krzyczy... Bardzo głośno.

— Co?

— Nie wiem... Nie mogę.

— Spróbuj, Jenny. Zostań tam. To głos twojego ojca?

— Nie, to nie on... O Boże...

— Czyj to głos?... W porządku, nie powstrzymuj łez... Tylko zostań tam.

— ...Mój dziadek... Wrzeszczy... Nie mogę. Nie mogę...

Otworzyła zapłakane oczy i sięgnęła po kolejną chusteczkę z paczki, którą podał jej doktor Allen.

— Przepraszam... Dalej nie dam rady.

— Zrobiła pani kolejny duży krok. Usłyszała pani głos dziadka. Czy wie pani, co mogło być powodem tych krzyków?

Pokręciła głową.

— Nie.

— Może sobie pani przypomni? Myślę, że niedługo do tego dojdziemy. — Robiąc notatki, spytał: — Co pani czuła, kiedy usłyszała pani głos dziadka? Kolejna słona rzeka popłynęła po jej twarzy.

- Nie wiem, skąd się to wszystko bierze...
- Proszę pomyśleć o jakimś słowie, uczuciu.
- Nie mogę.
- Niech pani chociaż spróbuje. Pierwsze, co pani przychodzi do głowy.
- Śmierć.
- Świetnie. — Zapisał to. — Czy ktoś, kogo pani znała, zmarł w tamtym

okresie?

— Nie.

— Proszę przejrzeć w domu jakieś stare zdjęcia, listy, cokolwiek. Czuję, że jesteśmy bardzo blisko. — Uniósł wzrok znad notatek. — A teraz proszę powiedzieć, jak pani sobie radzi ze swoją stresującą pracą?

Wytarła oczy.

— Te nowe leki pozwalają mi jakoś funkcjonować.

— Z tego, co czytałem w gazetach, funkcjonuje pani nawet całkiem nieźle.

— Popełniłam też wiele błędów.

— Nie było więcej autodestrukcyjnych myśli?

— Nic poważnego... One zawsze są, czają się w cieniu, ale dopóki tam siedzą, jest w porządku.

— Ataki paniki?

— Od jakiegoś tygodnia spokój. Łódka się nie kiwa.

— Mówi to pani, jakby była rozczarowana.

— Po tych lekach nie czuje się zbyt wiele... Ale nie narzekam.

— Dochodzi pani do zdrowia. Proszę myśleć o tych lekach jak o opatunku. Potrzebuje ich pani, tylko dopóki rana pod spodem się nie zagoi.

— Pewnie tak... — Usiadła na kozetce, ocierając resztki łez.

— Proszę powiedzieć, jak wyglądają sprawy z synem.

— Dobrze. Przyjeżdża do mnie w przyszłym tygodniu. Zostanie na lato, może dłużej.

— A jego kłopoty z marihuaną?

— Mam nadzieję, że zamiast tego zajmie się dziewczynami.

— I dla pani to nie będzie problem?

— Oczywiście że będzie, jestem jego matką, ale przynajmniej będę mogła odstraszyć te nefajne.

Doktor Allan się uśmiechnął.

— Cokolwiek między wami zaszło, nigdy nie naprawi pani przeszłości, ale jeśli terażniejszość będzie w porządku, przynajmniej będzie pani mogła się z tym pogodzić.

— Jestem koronerem. Układanie spraw na wieczny spoczynek to moja specjalność.

Epilog

Śledczy sierżant Williams i jego ekipa doprowadzili do procesu Loughlina. Przed Sądem Okręgowym w Newport Loughlin przyznał się do nieumyślnego spowodowania śmierci Danny'ego Willsa, nie przyznał natomiast do morderstwa pierwszego stopnia Katy Taylor. W trakcie procesu wyszło na jaw, że w dniu zniknięcia Katy zgodnie z prawem zakupił broń pneumatyczną przypominającą pistolet Glock, za pomocą której prawdopodobnie zmusił dziewczynę, by wsiadła do jego samochodu. Loughlin odmówił zeznań, mimo to został uznany za winnego. Dostał wyrok dożywotniego pozbawienia wolności, z możliwością zwolnienia warunkowego po dwudziestu pięciu latach.

Kevin Stewart usłyszał zarzut składania fałszywych zeznań, a po wysłuchaniu zeznania Jana Smirskiego, złożonego za pośrednictwem połączenia wideo z Polski, przyznał się do udaremniania prawidłowego funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości. Został skazany na cztery lata pozbawienia wolności. Williams próbował postawić podobne zarzuty kilku innym osobom z personelu Portshead Farm, ale prokuratura postanowiła nie wnosić sprawy przed sąd z braku dowodów. Darren Hogg w dalszym ciągu pracuje jako operator kamer monitoringu, jednak krótko po wyroku w sprawie Danny'ego Willsa został przeniesiony przez pracodawcę do więzienia dla dorosłych. Elaine Lewis pozostaje w USA i próby uzyskania jej ekstradycji do Wielkiej Brytanii na razie nie przyniosły efektu. Giles Hartley i jego

mocodawcy byli podmiotem formalnego śledztwa, ale nie wniesiono przeciwko nim zarzutów kryminalnych.

Mimo długiego śledztwa nie znaleziono żadnych dokumentów dowodzących, że Frank Grantham brał udział w działaniach korupcyjnych mających na celu sprzedaż terenów należących do miasta firmie UKAM Secure Solutions Ltd. Firma UKAM doprowadziła do transakcji i obecnie buduje zamknięty zakład wychowawczy na pięćset osób. Tożsamość informatora, który dostarczył ofertę przetargową Marshallowi, nigdy nie została odkryta.

Andy i Claire złożyli oficjalne zażalenie na sposób prowadzenia śledztwa w sprawie śmierci ich córki. Choć policyjna komisja do spraw zażaleń znalazła liczne uchybienia w działaniu wydziału śledczego, złożono je na karb braku środków; wyrażono ubolewanie z powodu zaniedbań, ale żadnego z funkcjonariuszy nie oskarżono o nierzetelność.

Tara Collins wynajęła firmę zajmującą się ekspertyzą i odzyskiwaniem danych komputerowych, która ustaliła, że nielegalnych transakcji dokonanych rzekomo z jej laptopa w rzeczywistości dokonano z kawiarni Starbucks w Burtonsville w stanie Maryland, wyposażonej w bezprzewodowe łącze internetowe. Nie udowodniono żadnego związku z UKAM ani z żadną z zależnych od niej firm, ale sędzia prowadzący sprawę Tary uznał, że zarzuty były bezpodstawne i zalecił przysięgłym wydanie werdyktu uniewinniającego.

Doktor Nicholas Peterson odszedł ze szpitala Vale i przyjął posadę w państwowym szpitalu w Johannesburgu w Republice Południowej Afryki.

* *

Dochodzenie w sprawie śmierci Harry'ego Marshalla, prowadzone przez koronera dystryktu Bristol Central, zakończyło się brakiem rozstrzygnięcia. Ani pani Marshall, ani żadna z jej córek nie były obecne w sali sądowej. Jednak podczas krótkiego nabożeństwa, które odprawiono po powtórny pochówku Katy Taylor, Mary odczytała fragment Biblii Króla Jakuba, ulubiony ustęp jej zmarłego męża, z rozdziału 61 Księgi Izajasza:

„Duch Pana Boga nade mną, bo Pan mnie namaścił. Posłał mnie, by

głosić dobrą nowinę ubogim, by opatrywać rany serc złamanych, by zapowiadać wyzwolenie jeńcom i więźniom swobodę”* [* Biblia Tysiąclecia, wyd. V, Pallotinum].